

AUTOR «ZMIERZCHU BOHATERÓW»

Ralph Peters



Diabelski ogród

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

W każdym słowie najnowszej powieści Petersa
wyczuwa się głęboką znajomość tematu...
Świadomość, że autor pracuje jako strateg
dla Komitetu Szefów Sztabów w Waszyngtonie
napawa otuchą...

The Wall Street Journal

Lektura *Diabelskiego ogrodu* przekonuje,
że na Górnym Kaukazie
w dającej się przewidzieć przyszłości
nie będzie pokoju,
ponieważ nie jest on na rękę ani Rosji,
ani ponadnarodowym koncernom naftowym.
Zamiast oglądać bezwzględne doniesienia z CNN,
warto przeczytać najnowszą powieść
Ralph Petersa...

Newsweek



Ralph Peters

TŁUMACZYŁA ANNA ZDZIEMBORSKA

Diabelski ogród

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI
WARSZAWA 2000

Tytuł oryginału The Devil's Garden

Copyright © 1998 by Ralph Peters

Skład i łamanie
Wydawnictwo Adamski i Bieliński,
Andrzej Pytka

For the Polish edition Copyright © 2000 by Wydawnictwo Adamski i
Bieliński

Wydanie pierwsze

ISBN 83-87454-53-2

Wydawnictwo Adamski i Bieliński
Warszawa 2000
E-mail: aibpubli@it.com.pl
ark. wyd. 19; ark. druk. 19
Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca SA
w Krakowie, ul. Wadowicka 8
zam. 1047/99

Odwaga jest duszą patriotyzmu,
a groźba nagłej śmierci
natchnieniem poetów.

William James
The Moral Equivalent of War

1

Jej ciemne włosy zwisały w ciężkich od brudu strąkach. Dziewiczo biała skóra w wielu miejscach spuchła od ran. Kiedy przewyciężyła szok dziennego światła, wbiła wzrok przed siebie jak niewidoma, choć śledziła źrenicami każdy gwałtowniejszy ruch. Miała niespełna dwadzieścia lat i ładne, choć wyostrome cierpieniem rysy twarzy. Siedziała w kucki, a warstwy ubrania ściśle przylegały do jej ciała. Cuchnęła gorzej niż zwierzę. Kiedy Kelly ją obserwowała, kobieta tylko raz drgnęła i zaczęła drapać zawszone włosy. Świeże powietrze nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. Każdy promień słońca był dla niej jeszcze jednym prętem w celi, która więziła ją w głębi sparaliżowanego letnią spiekotą gaju. Reszta kobiet, zranionych przez wojnę tylko na ciele, wraz z dziećmi skryła się w cieniu. Kelly stała pomiędzy strażnikami a pojmaną. Młoda kobieta wydała z siebie chrapliwy dźwięk, który nie był próbą nawiązania kontaktu, a jedynie odruchowym skurczem mięśni krtani.

-Od kiedy jest w takim stanie? - spytała Kelly przez swojego tłumacza.

Gładko ogolony młody mężczyzna, typowy mieszczuch, nerwowo odezwał się do kobiet-uchodźców. Zbiły się w gromadkę w chłodnym półcieniu. Ich krzepkie ciała i ogorzałe od słońca twarze szczelnie okrywały znoszone sukienki i chusty w kwieciste wzory. Kobiety nie patrzyły w twarz, ani tłumaczowi, ani Kelly, ale zaczęły mówić jedna przez drugą.

-Upierają się - zaczął przekładać Amerykance tłumacz - że musisz ją natychmiast stąd zabrać. Zanim wrócą mężczyźni. - Tłumacz miał na imię Yussuf. Czoło świeciło mu od potu. Na samym początku ich współpracy, próbował dotknąć jej piersi, kiedy zdrzemnęła się podczas jednej z długich tras obficie dymiącym spalinami rosyjskim samochodem terenowym, ale zdzieliła go pięścią w szczękę i więcej się to nie powtórzyło. W oddali rozległy się dwa strzały, a po nich nastąpił trzeci, ale ta potyczka dotyczyła kogoś innego.

- Przetłumacz im - odezwała się Kelly - że potrzebuję więcej szczegółów. Na przykład, jak się nazywa. Jak długo znajduje się w takim stanie. I muszą mi powiedzieć, co się jej stało.

Kelly przypuszczała, że wie, co przydarzyło się tej młodej kobiecie. Przebywała w tym kraju od pięciu miesięcy i widziała tyle że wystarczyłoby na pięć życiorysów, przy czym nie były to sprawy, o których czyta się w podręcznikach. Jednak chciała to usłyszeć od nich. Chciała zmusić tych ludzi, żeby skończyli ze swoimi średniowiecznymi idiotyzmami. Ten obóz uchodźców odwiedzała już kilka razy, żeby spisać jakie mają potrzeby i przekazać je do biura World Aid w Baku, gdzie toczyły się o nie bezustanne kłótnie. Pomoc w dziewięćdziesięciu procentach składała się z polityki, a jedynie w dziesięciu z rzeczywistych wysiłków. I to nie biorąc poprawki na lokalny talent do korupcji. Czasem Kelly podejrzewała, że nie rezygnuje z pracy tutaj tylko dlatego, że wstydziłaby się wrócić do domu z poczuciem klęski.

Obóz, jeden z setek w kraju liczącym ponad milion uchodźców, był przydrożnym skupiskiem chat z brezentu i darni oraz nor wykopanych w ziemi dla zwierząt i na zimę dla ludzi. Ci uchodźcy koczowali w zasięgu strzału z broni artyleryjskiej na froncie. Oczekiwali rychłego powrotu do swoich domów w górach. Lecz ilekroć Kelly wracała do obozu, zdradzał on kolejne oznaki trwałego zasiedlenia. Działania na linii frontu utkwily w martwym punkcie, a po okolicznych miastach zaczęli się wahać żołnierze z otepiałym wzrokiem, który bystrzał tylko na widok kobiet. Dzieci nękała czerwotka.

Męska część uchodźców - podejmująca wszelkie decyzje - nie chciała załatwiać żadnych ważnych dla nich spraw z kobietą, dopóki nie dowiedzieli się, że Kelly jest ze Stanów Zjednoczonych. Wtedy zaczęli jeden przez drugiego narzekać, że Ameryka jest przeciwko nim, i nie pomaga im w ich świętej wojnie, bo są muzułmanami. Kelly nie miała serca, żeby im powiedzieć, że w jej kraju nie wiedzą nawet o ich istnieniu. Kiedy się już do niej przyzwyczaili, część z nich przestała z nią rozmawiać, a pozostali przedstawiali jej zupełnie nierealne żądania. Kobiety stanowiły nieme tło albo uśmiechały się nieufnie ukazując złote zęby, kiedy Kelly zastawała je przy codziennych zajęciach.

Podczas wcześniejszych wizyt Kelly, chowały przed nią szaloną kobietę, jednak dzisiaj było inaczej. W obozie nie przebywał żaden mężczyzna. Wszyscy udali się na kolejne zgromadzenie, na którym kłamali jak najęci, co zazwyczaj kończyło się tym, że otrzymywali skąpą jałmużnę. Kobiety dosłownie wyciągnęły Kelly z dżipa i przywiodły do wybrzuszenia w ziemi, które przypominało nadszybie małej kopalni,

a tam kilka z nich wygoniło na światło dzienne kogoś, kto ledwo przypominał człowieka.

Obóz należał do jednego z najgorszych, ponieważ rozbito go w spuszczonej zagajniku, a wodę pobierano z przydrożnego rowu, w którym zbierały się ścieki i sztuczne nawozy z pobliskich pól. Uchodźcy, którzy mieli więcej szczęścia, z obozów rozbitych wzdłuż tej samej drogi, tyle że wyżej, mieszkali w krytych wagonach towarowych lub starych namiotach wojskowych, a niektórym od czasu do czasu podłączano nawet elektryczność, dzięki której mogli oglądać telewizję w odbiornikach ratowanych przez nich gorliwiej niż rodzinne fotografie. Wagony towarowe latem były nie do zniesienia, za to zimą stanowiły dobrą ochronę przed zimmem, kiedy od strony gór zrywał się wiatr. Toalety stawiano zawsze zbyt blisko zasiedlonych terenów. Obozy nadzorowane przez Turków były dość czyste i nie najgorsze, dzięki podstawowej opiece medycznej a nawet szkołom. Jednak pozostałe, prowadzone przez Irańczyków i niekompetentnych Saudyjczyków lub rząd Baku przypominały istne ludzkie kłębowiska. Najlepsze co można było o nich powiedzieć, to fakt, że w tym roku udało im się utrzymać liczbę zachorowań na cholere na minimalnym poziomie, ale lato się jeszcze nie skończyło.

Kelly obrzuciła grupkę kobiet spojrzeniem pełnym gniewu i obrzydzenia. Była uparta i chciała, by przyznanie się do winy padło z ich ust. Czemu pogrzebałyście żywcem jedną z waszych córek?

Po kilku niezrozumiałych wypowiedziach, Yussuf znów się poddał. Yussuf bez przerwy się poddawał, ponieważ był mężczyzną niezdolnym do długotrwałego wysiłku. Zwłaszcza, gdy wysiłał się na polecenie kobiety. Kelly nie znosiła tego, że jest od niego zależna. Ani od nikogo innego. Jednak nie znała jeszcze języka na tyle dobrze, żeby porozumieć się w takiej kwestii samodzielnie. Z trudem znajdowała czas na sen, a co dopiero na naukę. A jej organizacja uważała Yussufa za jednego z najlepszych pracowników na tych terenach.

Pot mieszał się z brudem na jej plecach, i na chwilę skupiła się na myśli, że musi zadbać o swoją skórę. Tutaj wszystko nastęczało trudności.

- One mówią „Idź” - przetłumaczył jej Yussuf. - Mówią, że musisz zabrać dziewczynę i natychmiast stąd odjechać. Albo wszystko będzie bardzo źle.

Kelly przybrała kamienny wyraz twarzy. - Posłuchaj. Masz im powiedzieć, że mogą za coś takiego pójść do więzienia. Wszystkie. Za to, że ją tak traktują. Nawet w tym zapomnianym przez Boga kraju są prawa zabraniające przetrzymywania ludzi w dołach wykopanych w ziemi.

Ale Yussuf zaczął dyskusję. - Proszę, Kelly-hanum. Wiesz, co się stało tej kobiecie. - Pokazał ręką ponad ścianą drzew na góry, wznoszące się niespodziewanie z równiny. Jakby to góry ponosiły odpowiedzialność za zaistniałą sytuację. - Oni użyli jej w zły sposób. To robi wielki wstyd rodzinie.

-Znasz słowo, które określa taki czyn - to gwałt. Nie można kobiety pogrzebać żywcem tylko za to, że została zgwałcona.

Tłumacz zaczerwienił się i spuścił wzrok.

-To wielki wstyd dla rodziny. Ja myślę, że lepiej, jak ona umrze.

Kilka miesięcy wcześniej wybuchłaby słysząc z czyichś ust takie słowa.

-Muszę znać jej imię. Tylko tyle. Dobrze? I od kiedy znajduje się w takim stanie. Te dwie rzeczy. Nie mogę jej stąd zabrać, jeśli nie wiem, kim jest.

-Myślę, że ona teraz nie ma imienia.

-Ma.

-Myślę, że jej rodzina nie chce, żeby ona miała imię.

Kelly poczuła, jak drżą jej nozdrza. Kobiety szeptały coś do siebie, skryte w brązowym cieniu.

-To jest kurewsko chore - powiedziała Kelly.

-Co?

-Powiedziałam, że chcę znać jej imię. Powiedz im, żeby podały mi jej imię. Albo jej stąd nie zabiorę.

Blefowała. Zabierze stąd tę młodą kobietę. Tak daleko jak to możliwe. Nocą pojedą do obozu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Sumgait, gdzie powietrze jest bardzo zanieczyszczone, ale opieka kompetentna. Sumgait, rozciągające się wzdłuż zrujnowanego wybrzeża, cierpiało od przemysłowych zanieczyszczeń, spuścizny po Związku Radzieckim. Dzieci budowniczych tego świata dusiły się od astmy i prezentowały wszelkie rodzaje deformacji. Początek tej wojnie dała masakra w Sumgait, którą podobno spowodowała uroda ormiańskiej dziewczyny. Ale obóz dla uchodźców był w porządku.

Yussuf zacznie narzekać. Młoda kobieta zabrudzi łazika, który, to mu trzeba przyznać, utrzymywał w idealnej czystości. Sama Kelly podejrzewała, że źle znieśie podróż, obawiając się zarażenia wszelkiego rodzaju chorobami. Nie została przygotowana na coś takiego.

Spojrzała na młodą kobietę, której bezpowrotnie zniszczono życie. Wyobraziła ją sobie na tle wysokiej, malowniczej ściany doliny. Pasącą owce. Nie, to było męskie zajęcie. Niosącą wodę ze strumienia. Może wyplatającą dywan. I marzącą o zamążpójściu.

Zanim wojna sprawiła, że mieszkańcy jednej wsi mordowali mieszkańców drugiej.

Yussuf wyglądał na zestresowanego, jak zwykle zresztą, ale Kelly się nim nie przejmowała. Dobrze mu za to płacą.

Nagle coś się zaczęło dziać. Nuta strachu w głosie jej tłumacza a zarazem kierowcy, ochroniarza i obserwatora, dotarła do niej niczym zapach. - Kelly-hanum. Posłuchaj. Proszę. Jeśli natychmiast jej stąd nie zabierzesz...

Oczy kobiet-uchodźców zmieniły wyraz, a one same zbiły się ciałniej w grupę. Czyjaś wielka pięść powaliła tłumacza na ziemię. Wrócili mężczyźni. I to w dużej liczbie. Zupełnie jakby wezwał ich jakiś alarm.

Z drogi schodzili w dół - ciemni, żwawi i ponurzy. Przy ich nogach kręcili się mali chłopcy, którzy dostąpili zaszczytu uczestnictwa w tym spotkaniu.

Starszy mężczyzna w czarnej czapce wskoczył w środek grupki kobiet rozdając na prawo i lewo razy batem. Kobiety rozbiegły się z wrzaskiem. Doganiał najwolniejsze i bił po twarzach i głowach.

Nikt nie tknął Kelly.

Stała nieruchomo.

Mężczyźni otoczyli ją owalnym kręgiem, w którym znalazła się też szalona kobieta i Yussuf, który otworzył oczy i natychmiast zacisnął je z powrotem. Cały czas leżał skulony na ziemi. Stary człowiek z batem zbliżył się do niej, a Kelly mimowolnie wzdygnęła się. Ale nie cofnęła się ani o krok. Stary człowiek miał włosy koloru popiołu z papierosa i czarne brwi nad oczami przypominającymi wyloty luf pistoletu. Choć panował niesamowity upał, on miał koszulę zapiętą pod szyję, na niej stary wełniany sweter i wreszcie marynarkę. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nagle odwrócił się gwałtownie, odszedł od niej i powiedział coś rozkazującym głosem. Pierścień mężczyzn zacieśnił się.

Podszedł do niej młodszy mężczyzna, który zdecydowanie nie był tak pewny siebie jak starzec. Krzyknął do niej łamiącym się głosem w górskim dialekcie i zamachał rękami. Kelly domyślała się, że gdyby się nie ruszał, widać by było, że się trzęsie. Poczuli strach. Dwóch mężczyzn podniosło Yussufa z ziemi. Kelly zdążyła już poznać spory zasób słownictwa w ich języku i rozpoznała słowa „samochód” i „dziwka” ale nie potrafiła ich połączyć. Nie wiedziała, czy „dziwka” odnosi się do niej, czy do szalonej dziewczyny.

Roztrzęsiony Yussuf spojrział na nią z wyrazem twarzy, który mówił: „Błagam, nie zrób teraz niczego głupiego”. - Chcą wiedzieć, co zrobiłaś tej kobiecie - powiedział dobierając słowa. - Chcą wiedzieć, czy

rzuciłaś na nią zaklęcie, żeby z niej zrobić prostytutkę w mieście.

- Co? - Kelly przyjrzała się mężczyznom. Patrzyła na ich identyczne zarośnięte twarze. A potem przeniosła wzrok na młodą kobietę, obojętną na to, co się dzieje wokół niej. Przez chwilę Kelly wydawało się, że świat zwariował i zachciało się jej śmiać. Nie ulegało wątpliwości, że szalona dziewczyna nie zrobiłaby wielkiej kariery jako prostytutka. Chyba że wcześniej poddałaby się leczeniu.

- Powiedz im - zaczęła Kelly spokojnym głosem - że ona jest chora. Zamierzam zabrać ją do obozu, gdzie otrzyma pomoc. Żeby wyzdrowiała.

- Myślę, że musimy stąd iść natychmiast - powiedział Yussuf.

- Przetłumacz im moje słowa, do diabła. - Lodowaty głos, a serce rozpalone. - Powiedz im, że się ich nie boję.

W duchu liczyła, że odziedziczyła po ojcu wyjątkowy talent do kłamania.

Yussuf przemówił do mężczyzn. Zdaniem Kelly, równie dobrze mógł rozprawiać o sporcie albo o pogodzie.

Starszy mężczyzna, który rozgonił kobiety, krążył wokół pierścienia utworzonego przez pozostałych. Teraz znów wystąpił przed nich i twarde głosem wydał rozkaz młodemu mężczyźnie, który wcześniej krzyczał na nią.

Pozostali zaczęli zachęcać go okrzykami.

Yussuf był przerażony.

Zanim Kelly zdążył przemówić lub cokolwiek zrobić, młody człowiek wyjął zza paska nóż, odwrócił się i pochylił nad szaloną dziewczyną. Głowa odskoczyła jej do tyłu, a po klatce piersiowej chlusnęła krew, jakby ktoś polał ją z wiadra. Zamrugła powiekami. Morderca puścił ją i broda dziewczyny opadła na pierś. Osunęła się na ziemię.

Kelly nie krzyknęła. Zaciskała usta, walcząc z zawartością żołądka, którą czuła w gardle. Zamknęła oczy, walcząc z zawrotami głowy i znów je otworzyła.

Świat, nieprawdopodobnie rozgrzany nawet pod drzewami, zamarł w bezruchu z wyczerpania. Nawet muchy ucichły. Wszyscy patrzyli, jak krew pulsującym strumieniem wypływa z ciała dziewczyny. Strumień szybko zmienił się w stróżkę, sączącą się z rozcięcia tak głębokiego, że ukazywał kość w tylnej części szyi.

- Mój Boże - powiedziała Kelly.

Młody mężczyzna, który dokonał morderstwa, ocknął się na dźwięk głosu Kelly. Ruszył w jej stronę z nożem wciąż trzymanym w ręku. Zaczął na nią wrzeszczeć i wrzeszczał nieprzerwanie, a z jego oczu

pływały łązy. Już się nie bała. Nie zabije jej. Wyczuła, że przedstawienie skończone. Ogarnęła ją pustka większa od Wyżyny Karabachskiej. Czarny Ogród.

Na dalszym planie, na obrzeżu pola kukurydzy, niepozorny starzec jechał na oklep na swoim osiołku, uderzając go lekko w zad witką, nie zdając sobie sprawy z tragizmu tego świata.

Młody chłopak odrzucił nóż i odszedł chwiejnym krokiem. Zapanowała absolutna cisza.

- Skurwysyny - powiedziała Kelly przez zaciśnięte gardło. - Wasi ojcowie też byli skurwysynami. Ich ojcowie też byli skurwysynami. - Każde słowo wypowiadała coraz głośniejsze. Nagle zaczęła przeraźliwie krzyżeć. - Mordercy... mordercy... mordercy...

Yussuf zaciągnął ją do samochodu. Nikt nie ruszył ich śladem z wyjątkiem Łady myszowatego koloru, która jechała za nimi przez większą część dnia. To akurat nie było dziwne. Rząd nadzorował ludzi niosących pomoc, jak Kelly - nieustannie i niezdarnie. Kiedy samochód zaczął jechać rano ich śladem tuż za Yevlakh, Kelly po prostu uznała, że znajduje się w nim kolejna grupa obserwatorów, kontrolujących, czy Yussuf dobrze pilnuje Kelly. Drużyna obserwatorów zniknęła na jakiś czas, pewnie żeby się zdrzemnąć w cieniu na czas największej spiekoty. Jeśli działania wojenne kiedykolwiek zostaną wznowione, trzeba będzie najpierw poczekać, aż obie strony zjedzą lunch i utną sobie drzemkę.

- Nie musieli tego robić - powiedziała Kelly częściowo do Yussufa, a częściowo do siebie. - Śmiecie.

- Kelly-hanum... Myślę, że nikt nie może nic zrobić.

- Och, zamknij się. - Postanowiła sobie, że za nic nie rozplacze się przy tym mężczyźnie. Przy żadnym mężczyźnie. Nie tutaj. - Powiedz mi, co się właściwie stało?

- Musieli zabić tę dziewczynę.

- Dlaczego?

- Bo ty o niej wiesz. To za duży wstyd. A to są ludzie z gór.

Rozpląkała się. - Pieprzyć to miejsce. Powinniście dołączyć do cholernego dwudziestego wieku, wiecie?

Yussuf, choć bardzo wystraszony, stracił cierpliwość. - Miss Kelly, nie słuchasz, co mówię. Ta dziewczyna umarła, bo ty nigdy nie słuchasz. Wierzysz, że jej brat chciał tak zabić własną siostrę? Nożem? Przez ciebie cała rodzina okryła się hańbą. Dziewczyna nie może pokazywać się w takim stanie obcym. Jej bratu teraz pęknie serce. Ojciec umrze ze wstydu.

Kelly poczuła w ustach smak wymiocin. - Zatrzymaj się.

- Odjeżdżamy stąd.

- Zatrzymaj tego pieprzonego dżipa.

Yussuf zahamował gwałtownie. Nienawidził jej w tej chwili. Ale ona nie dbała o to. Wypadła z samochodu i zbiegła po niewielkim nasypie, kierując się w stronę kępki krzaków, która nie padła ofiarą uchodźców poszukujących opał. Zauważyła, że myszowata Łada zatrzymała się przy dziupie bliżej, niż te, które ją zazwyczaj śledzą. Ale o to też już nie dbała. Biegła po ostrężynach, ignorując ostrzeżenia przed węzami, a wysuszone łodygi uderzały i wbijały się w nogawki jej spodni.

Zaczęła wymiotować, zanim znalazła kryjówkę. Mdłości potęgował jeszcze straszliwy żar. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu nieistniejącego oparcia. Kiedy myślała, że zwymiotowała już wszystko, zaczęła od nowa.

Nie miała siły, żeby zmienić pozycję. Pochyliła głowę w stronę ud. Dopiero teraz dotarła do niej prawdziwość zabójstwa. Za plecami przy drodze usłyszała głosy, w tym i Yussufa. Rozległ się strzał i głos tłumacza urwał się w połowie zdania. Adrenalina poderwała ją na równe nogi. Ale dwóch brodatych mężczyzn już zbiegło po nasypie w jej stronę. Kelly próbowała uciec, ale poślizgnęła się na własnych wymiocinach i upadła twarzą w zeschłe zarośla. Wtedy poczuła na ciele ich ręce.

Heddy odwróciła głowę w jego stronę i oparła ją na łokciu. Miała wilgotne uda, a włosy posklejane. Nigdy ich nie depilowała, ponieważ w całym kraju żaden basen nie był wystarczająco czysty, żeby nadawał się do pływania. Poniżej surowej linii ramion pyszniły się jej piersi, które w takiej pozycji wydawały się nienaturalnie ciężkie. Rzeczowa, można by rzec pruderyjna na co dzień, w zaciszu swojej sypialni stawiała się bezwstydną, dając rozkosz zarówno jemu, jak i sobie. Głos Heddy kojarzył się Burtonowi z ciemną flanelą, która świetnie pasowałaby do tej kobiety, raczej atrakcyjnej niż pięknej, jak to bywa w przypadku Niemek. Najbardziej podobała mu się, kiedy się nie perfumowała, nie myła przez cały dzień wypełniony seksem, a w tle grał jazz. Właśnie tak jak teraz: bladooka, spełniona i myśląca o sobie.

-Ambasador chce się ze mną ożenić, Evan - powiedziała z brytyjskim akcentem, typowym dla dobrze wychowanych dziewcząt z Hamburga. - Mam przyjąć jego oświadczenia?

Burton uśmiechnął się. Spośród wszystkich znanych mu kobiet, Heddy miała najlepsze wyczucie teatralności. Pot na jego plecach spłynął na poduszkę. Przez chwilę zbierał myśli. Kiedy poczuł, że jest gotowy, objął kobietę ramieniem i powiedział:

-Posłuchaj jeszcze tego kawałka, a potem utniemy sobie pogawędkę.

W bursztynowym świetle, wypełniającym pomieszczenie chłodzone dużym klimatyzatorem Siemens, Charlie Parker grał „Bloomdido” dla duchów Baku. Burton wyobrażał sobie, jak wentyle saksofonu parzą palce muzyka. Czterdzieści lat temu. Umarł ptak*, a narodził się żołnierz. Rzeka życia. I całe to gównno.

Wiedział już o oświadczeniach niemieckiego ambasadora. Jeśli chodzi o koła dyplomatyczne, niewiele umykało jego uwadze, ponieważ jego azerbejdżańscy odpowiednicy uwielbiali wyśmiewać w jego towarzystwie tego rodzaju smaczki. Dla Azerów każdy nie-Rosjanin o białej skórze należał do plemienia Burtona, w związku z czym tym wspólnym wyśmiewaniem się jednocześnie okazywali mu zarówno szacunek, jak i drwinę. Tak to tutaj wyglądało. Chciałby wiedzieć o Azerach choć jedną czwartą tego, co wiedział na temat wszystkich zdrad i czarnego rynku w kołach dyplomatycznych. Utwór zakończyła jednostajna partia perkusji - stary dźwięk Verve - i Heddy wstała z łóżka, prezentując swoje białe ciało. Wyłączyła wieżę stereo, nie wyjmując płyty kompaktowej.

- Ptak żyje - powiedział Burton. Podarował jej z pół tuzina nagrań jazzowych, żeby mogła wkroczyć do tej części jego świata, ale tego rodzaju muzyka była dla niej zbyt spontaniczna i niezorganizowana. Heddy należała do dziewczyn, które mają pewne plany. Plan, w którym on odgrywał bardzo przyjemną rolę. Jednak jego rola się kończyła. Stała naprzeciw niego przez chwilę, ofiarowując mu swoją nagość, ciało będące uosobieniem zdrowia w tym uroczym choć zrujnowanym mieście, i biodra nieco zbyt szerokie dla miłośnika klasyki. Odgarnęła swoje proste schludnie obcięte włosy z obojczyka, który zdobyła wąską blizna - pamiątka z pechowych wakacji na nartach. Czuł jej intensywny zapach, przypominający zjełczałe masło i pobudziło to jego zmysły, zanim ciało zdążyło odpowiednio zareagować. Odszukał jej oczy - zwierciadła inteligencji - i w tonacji mol zaczął analizować straty, na które nie czuł się w pełni przygotowany.

- Będzie mi brakować rozmów z tobą - powiedział. - I twojego ciała.

Posłała mu prawie matczyne uśmiech i usiadła na brzegu łóżka. Prześlizgnął się wzrokiem po pięknym ciele Heddy i znów spojrzął jej w oczy.

- Nie musimy tego kończyć - powiedziała przytłumionym głosem. - Helmut wie o nas. Nie przeszkadza mu to. Naprawdę.

* Amerykański muzyk jazzowy Charlie Parker (1920-1955) nosił przydomek „Bird” - Ptak [przyp. red.].

W tle rozległ się odgłos pracy systemu filtrowania wody, który Heddy kazała zamontować w kuchni.

Burton pokręcił głową. - Mnie by to przeszkadzało. Dawno temu przestałem sypiać z cudzymi żonami. Gram fair.

- Nikt nie gra fair.

Uśmiechnął się łagodnie. - Ja się staram. Czy kiedykolwiek byłem nie fair w stosunku do ciebie?

Odsłoniła swoje mocne białe zęby. - Zmuszałeś mnie do słuchania jazzu. - Jej doskonały akcent zawiódł przy ostatnim słowie i wymówiła je „dżasu”. Chciała być śmieszna, a wyszła z niej Niemka. Niemcy mieli dużo zalet, ale najlepszy objaw poczucia humoru, na jaki potrafili się zdobyć, ograniczał się do rubasznego dowcipu, opowiedzianego w ogródku piwiarni. Burton wyrobił sobie taką opinię o Niemcach dwie dekady wcześniej, kiedy jako porucznik 8. Dywizji Piechoty maszerował przez jesienne krajobrazy nad Renem. Podczas ludowego festiwalu wina udał się do toalety w domu kultury i zastał tam Niemca, siedzącego na sraczu ze ściągniętymi spodniami i wcinającego mamuciej wielkości parówkę.

Deutschland.

- A więc - zaczęła lekko poirytowanym głosem - uważasz, że powinnam za niego wyjść? Nie zależy ci?

- Tak. Uważam, że powinnaś za niego wyjść. I nie. Mylisz się. Zależy mi. Ale w granicach rozsądku.

- Będzie mi brakować naszego seksu. - Ton jej głosu jasno dowodził, iż ona nie wierzy, że ten mężczyzna na zawsze opuszcza jej łóżko. - Ale wciąż będziemy przyjaciółmi. Dlaczego, twoim zdaniem, powinnam za niego wyjść?

Burton o mały włos nie wybuchnął śmiechem. - Hedwig, uważam, że powinnaś za niego wyjść z tych samych powodów co ty. Jest bogaty. Ma koneksje. A prosi tylko o to, żebyś ozdobiła jego życie. Zachowując pewną dyskrecję. W zamian, zostaniesz piękną Bonn z Familiensitz na urwistym cyplu Hamburga. Nie wspominając już o willi w Toskanii, gdzie będziesz spędzać wakacje. Wygrałaś los na loterii, dziecino. Za dziesięć, piętnaście lat sama zostaniesz ambasadorem. - Pokręcił głową w udawanym podziwieniu.

- On mnie kocha - powiedziała.

- Połóż się, proszę. Lubię na ciebie patrzeć, kiedy tak wyglądasz.

Zrobiła, o co prosił, układając się na brzuchu i podpierając brodę rękami. Dzięki temu, kontur jej ciała przybrał nieprawdopodobnie erotycznego charakteru.

- On naprawdę mnie kocha, wiesz.

- Aha.

-A ty mnie nie kochasz.

-Nie. Ani ty mnie.

-Jego też nie kocham - zauważyła.

Światło lampy nadało jej pośladkom złotawy kolor. Brak muzyki sprawił, że szum sznura samochodów i odgłosy ich klaksonów przywołały noc zza okiennic mieszkania Heddy.

-Chciałabym go kochać - powiedziała. W jej oczach błyszczały łzy - zjawisko tak rzadkie jak pojawienie się komety.

Burton przysunął się do niej i wziął ją w ramiona, ze zdwojoną intensywnością rozkoszując się darem jej towarzystwa.

-Nieprawda - powiedział łagodnym głosem. - Wcale nie chciałabyś go kochać. Nie o to w tym chodzi, Hed. I nie chciałabyś też kochać mnie. Bo w małżeństwie najmniej potrzebna jest walka dwóch silnych charakterów.

-Nasz seks był wspaniały.

-Oczywiście.

Przytuliła się do niego mocniej.

-A to już jakiś początek, jak to wy, Amerykanie, mawiacie.

-Nie. To już jakiś początek, kiedy masz dwadzieścia lat. Przy czterdziestce to lina ratunkowa, na której drugim końcu nikogo nie ma.

-Nie musisz być taki szorstki, Evan.

-Muszę zacząć się od ciebie odzwyczajając.

-Jeszcze nie.

Poddał się, wzdychając ciężko z uśmiechem. - Chyba masz rację.

Przesunęła ręką po jego ciele i sięgnęła po tę część jego anatomii, która nigdy nie sprawiła jej zawodu. - Jak o nas myślisz, Evan?

Uśmiechnął się szerzej. - Jak o ludziach, którzy wiedzą, jak przetrwać. I którzy mieli tyle szczęścia, że przez jakiś czas płynęli razem bardzo wygodną szalupą ratunkową.

-Myślę, że będziesz za mną tęsknił. Założę się, że nawet bardzo.

-Przecież powiedziałem ci już, że będę za tobą tęsknił.

-Więc pokaż mi, jak bardzo będziesz za mną tęsknił.

Na to akurat miał wielką ochotę. Przechylił się, żeby ją pocałować, czując jej ciepło, ciepło jej ciała w chłodnym, klimatyzowanym pomieszczeniu. Gdzieś daleko gorąca, gęsta noc pulsowała życiem miasta, które pachniało spalinami, śmieciami i potem. Usta miała spieczone od seksu i pragnienia, więc zwilżył je językiem i pocałował namiętnie. Będzie za nią tęsknił, bez dwóch zdań. Za karnawałem w sypialni Heddy. Za tym jak flanelowym głosem recytowała poezję, leżąc obok niego w ciemnościach koloru wina.

Die Frauen von Ravenna tragen... Będzie mu brakowało jej towarzystwa przy kawie.

Ktoś zapukał do drzwi mieszkania. Najpierw dźwięk wydawał się odległy i niewart zainteresowania. Ale po chwili czyjaś pięść ponowiła wysiłki.

Burton odsunął się nieco od swojej kochanki. - Wizyta ambasadorska?

- Pójdą sobie - powiedziała Heddy, przyciągając go blisko do siebie.

- Nie chcę nikogo wpuszczać.

Ale gość nie odchodził od drzwi.

- Lepiej zobacz, kto to taki, Heddy.

Spojrzała na niego. Jej zielonoszare oczy miały wyjątkowo egocentryczny wyraz. Ale wiedział, że w pewnych sprawach nigdy nie uciekłyby się do kłamstwa. To był jej luteriański kac.

- Ty idź. Proszę. Jest późno.

- A jeśli to...

- To nie on. Nie zrobiłby czegoś takiego. Proszę. Jest późno.

Zgodził się skinieniem głowy. Atrakcyjna blond Europejka, Heddy, wzbudzała spore zainteresowanie w sąsiedztwie. A po kilku kieliszkach wina, miejscowi mężczyźni potrafili wmówić sobie nieprawdopodobnie rzeczy. Jednego wielbiciela, który szedł za nią do domu, uderzyła w twarz aktówką, tak że spadł ze schodów i trafił do szpitala. Poza tym Burton uważał, że jest niezły w otwieraniu drzwi. To część jego pracy.

Głośne pukanie powtórzyło się ze zdwojoną siłą. Burton wbił się w dżinsy, z trudem wpasowując do nich pewną niewygodną część anatomii, podczas gdy Heddy przyglądała mu się, chichocząc jak nastolatka.

- Wracaj szybko - powiedziała.

Boso przeszedł po dywanie w korytarzu, zapalając światło i wreszcie zapinając rozporek. Baku było miastem pełnym różnego rodzaju wrogów. Zanim Burton otworzył, wziął do ręki kij baseballowy, który kazał Heddy trzymać za drzwiami.

To był sierżant piechoty morskiej Spooner z ambasady. Na jego twarzy odbijało się zażenowanie.

- Szefie? Przepraszam za najście. Mamy drażliwą sprawę. Nie chciałem informować pana przez komórkę. Tu ściany mają uszy. To znaczy, i tak prędzej czy później się dowiedzą... Jezu, cholernie trudno tu zaparkować. Trzeba znać jakieś hasło, czy co?

- Co jest grane, Spoon?

- Córka senatora, ta dobra dusza?

Trost. Kelly Trost. Jasne.

- Ktoś ją zwinął.

- Co?

- Została porwana.

Burton natychmiast pomyślał, że naprawdę bardzo mu będzie brakowało Heddy.

Sierpień to fatalny miesiąc w Waszyngtonie. Dystrykt Columbia w sierpniu przypomina matecznik Południa. Właśnie wtedy nad asfaltem unoszą się duchy starych bagien, a powietrze ciąży na ramionach, niczym czyjeś spuchnięte i spocone dłonie. Dni są długie, upał jest zawzięty jak baptysta, a zmierzch nadchodzi bardzo powoli.

Człowiek o słabszym charakterze wyjechałby klimatyzowanym samochodem z podziemnego garażu do sympatycznej restauracji przy Ulicy K, ale senator Mitch Trost lubował się w demonstrowaniu silnej woli. Zostawił podwładnych w swoim apartamencie w Dirksen Building: matkę tego przytulnego biura, Ruby Kinkiewicz, i paczkę bardzo ambitnych dzieciaków, skupionych nad ustawami na następny dzień, nad którymi pracowali, korzystając z przerwy w obradach Kongresu. Doskonałość Ruby polegała na tym, że była prostolinijna, pracowita, żarliwie nadopiekuńcza w stosunku do niego i nigdy nie stanowiła pokusy. Idealna szefowa sztabu. Kapitol, widniejący ponad ciemnymi drzewami, tonął w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca.

Szedł między trawnikiem a ulicą z marynarką przerzuconą przez ramię, w taki sam sposób, w jaki pamiętał ojca idącego z budynku sądu Okręgu Schuylkill. Wciąż miał przed oczami jego nienaganną sylwetkę i krople potu przypominające klejnociki, które od czasu do czasu spływały mu na muszkę. Prawdziwy arystokrata pośród swoich kopalnianych wyborców. Podobnie jak jego ojciec, senator Trost nie pocił się zbyt obficie, a wieczorny upał sprawiał mu nawet pewną przyjemność, ponieważ jego zapachy przywodziły mu na myśl obrazy z dzieciństwa i młodości, przyjęcia w ogrodzie przy ulicy Mahantongo, na których goście zarabiający na interesach związanych z wydobywaniem węgla, zatrzymywali czas za pomocą drinków Manhattan i koktajli z whisky. Zapachy te wzbudzały w nim też podniecające uczucie towarzyszące pierwszym kontaktom z dziewczętami, które zaspokajały jego młode pożądanie. Mitch Trost całym sercem kochał swój zrujnowany stan i im rzadziej go odwiedzał, tym bardziej idealizował jego przeszłość i tym większą odczuwał niechęć w stosunku do jego teraźniejszości. Johna Updike'a czytywał z poczucia lojalności, do Johna O'Hary powracał z miłości i nigdy nie umawiał się z kobietą, która nie była przynajmniej o pięć lat starsza od jego córki. Ponadto posiadał o wiele rozleglejszą

wiedzę na temat wina, niżby się przyznał swoim rodzimym wyborcom z antracytowych wzgórz czy zamieszkanym przez potomków niemieckich osadników nizin. Minione lata sprawiły, że to Waszyngton, a nie Pottsville, był dla Trosta domem, a czas spędzony w Pensylwanii traktował raczej jako służbę wojskową, niż przyjemność. Zebranie o głosy prowincjuszy, którzy nie pamiętali jego sukcesów wyborczych na Kapitolu, tylko czasy, kiedy kandydował z Pensylwanii. Byli jeszcze Niemcy z Pensylwanii, którzy wciąż z wielkimi oporami spuszczały po sobie wodę w toalecie, bo szkoda im było pieniędzy, harujący i zgorzkniali, z kobietami przypominającymi krowy. No i górnicy bez kopalni, hutnicy bez walcowni, zrędlivi farmerzy, a wszyscy zagubieni w świecie, który przestali rozumieć. Dla nich telewizja była bardziej rzeczwiasta, niż ich własna egzystencja, wyjąwszy sezon polowań. Mitch Trost nie mógłby się od nich bardziej różnić, a mimo to rozumiał ich potrzeby i pragnienia - uważał się za ostatniego dobrego unionistę w każdym z ich domostw - i posiadał dar rozmawiania z nimi. Byli rodziną, ale taką, którą najłatwiej kocha się z daleka.

Waszyngton był jego domem. Mieszkał tu prawie dwadzieścia lat i przyglądał się temu miastu jak mało kto, okiem konesera odziedziczonym po matce-niepełnionej artystce, z wyrachowaniem osoby kontrolującej rządowe fundusze, a jednocześnie jako moralista i namiętny kochanek. Rzeczom i ludziom, którzy go otaczali poświęcał wiele uwagi i posiadał dar ich zapamiętywania. Po trzech drinkach nadal potrafiłby szczegółowo opisać turystów i uprawiających jogging, zmęczonych pracowników i bezdomnych, których mijał podczas spaceru. Gdy dotarł do przecięcia ulic Constitution i Pennsylvania, jednego ze słynnych skrzyżowań świata, skierował przyjacielskie spojrzenie na swojskie budynki National Gallery, w których nie raz poznawał kobiety podczas lunchu i gdzie zakochał się w dawno zmarłej żonie Sheridana*. Minął starego George'a Meade'a bez konia - skurczybyka, do którego pod Gettysburgiem uśmiechnęło się szczęście - a potem lodowiec kanadyjskiej ambasady.

Przed modną obecnie restauracją zapatrzył się na nogi kobiety, wysiadającej z niebieskiego Lincolna. Miała młodą skórę, jasne włosy obcięte na pazia, a na sobie czarny wyzywający kostium z krótką spódnicą, ignorujący koszmarnie zasady dotyczące ubioru, rządzące tym miastem. Trost, zawsze szybko wydający opinie, uznał ją za wyjątkowo

* Richard Brinsley Sheridan (1751-1816), brytyjski dramaturg i polityk [przyp. red.].

atrakcyjną. Do momentu, kiedy od strony kierowcy wyłonił się osobnik o potarganych, paskudnych włosach i o mało nie zderzył się z pracownikiem restauracji, odpowiedzialnym za parkowanie samochodów. Trost oddał koledze po fachu dżentelmeński ukłon. Pożałowania godne marnotrawstwo pięknego kobiecego ciała wybiło Trosta na moment z jego rytmu spacerowego. Co gorsza, w tej samej chwili po drugiej stronie ulicy naprzeciwko Archiwów Państwowych, spod pomnika Marynarki wyłoniło się straszdyło w brudnym podkoszulku i zaczęło żebrać o drobne. Trost, który niezłomnie wierzył, że bezdomni są wyłącznie ofiarami swojego nieodpowiedzialnego zachowania, spojrzął na mężczyznę wzrokiem, którego nigdy nie uświadczyliby u niego jego wyborcy. Senator był wysoki i wciąż atletycznie zbudowany, więc bezdomny odczekał, aż Trost odejdzie kawalek, zanim zawołał:

- Pieprz się, sukinsynu.

Ale były też młode turystki w szortach i bluzkach bez ramiączek, niektóre grube, ale inne, o gibkich ciałach, łatwo zapadające w pamięć. Do tego w powietrzu coraz słabiej czuć było spaliny i nawet upał wydawał się być zmęczony sam sobą. Zanim dotarł do hotelu „Willard”, przed którym niechlujna rodzina gramoliła się z Rangę Rovera na pensylwańskich numerach, męczący dzień znów nabrał kolorów, a spacer wzdłuż Białego Domu zdecydowanie poprawił mu humor. Nigdy nie wiadomo. Naprawdę, nigdy nic nie wiadomo.

Skreślił z ulicy Pennsylvania, czując, że druga koszula, którą ma dziś na sobie, wciąż jest świeża i zadziwiająco sucha, po czym przemaszerał obok grupy szaleńców, protestujących nie wiadomo przeciw czemu i psujących swoimi transparentami urok Lafayette Square. W duchu licząc na to, że nie zostanie rozpoznany, dotarł do bezpiecznej Connecticut Avenue. Zostawił wiadomość w Klubie Armii i Marynarki dla czterogwiazdkowego emeryta i przeszedł obok wygaszonych pomieszczeń sztabu ekspertów i pozamykanych kawiarni oraz pięciodolarowych cudów Afryki i rozklekotanych taksówek, których właściciele nie znali ani kraju, ani jego języka. Księgarnie, banki, domy maklerskie, wszystko uśpione. Ulica K kipiała życiem w godzinach pracy, a potem szybko pustoszała. Pojedynczy piesi, których spotykał albo się zgubili, albo wysiadali z samochodów prosto do restauracji. Trost zatrzymał się na chwilę, zanim wszedł do restauracji „Prime Ribs”, chociaż odzwierny już go rozpoznał i ruszył usłuźnie w jego stronę. Wieczór nie rozpoczął się jeszcze na dobre, ale czuć już było świeżość. Perfumowała spocone miasto. Waszyngton, mimo że zapełniony źle skrojonymi garniturami i nudnymi pracownikami rządowymi, wydawał mu się romantyczny i pełen możliwości.

Waszyngton, stolica świata. Zdawał sobie sprawę, że miasto posiada też mniej atrakcyjne dzielnice, ale nie odczuwał potrzeby, żeby się w nie zagłębiać. Niech burmistrz udaje, że go obchodzą. Waszyngton Trosta był pastelowym cudem w kształcie wachlarza, podstawą opartym trochę na wschód od Kapitolu, lewym końcem dotykającym National Airport, a prawym sięgającym Massachussets, aż za katedrę, do krainy proszonych obiadów i żon nieliczących się przyjaciół. Wspaniałe miasto, nurzające się we władzy, ożywione za dnia i monumentalne nocą. Uzależniło go od siebie bardziej niż udało się to jakiegokolwiek kobiecie, nawet jego żonie, która skupiła jego uwagę na pięć lat, zanim zatrzymała go przy sobie dzięki przysiedze małżeńskiej na następne dziesięć.

Stolica świata.

Senator założył marynarkę, zapiał spinki do mankietów i zagłębił się w klimatyzowane wnętrze ekskluzywnej restauracji. Uśmiechał się, ale niezbyt uważnie witał się z kierownikiem sali. Teraz był politykiem w każdym calu, machał, witał się, starannie odmierzał pauzy, dobierał gesty i słowa. Świetnie się bawił, krocząc w triumfalnej procesji w kierunku stolika, przy którym czekała jego kobieta na ten sezon.

-Lauro - powiedział wreszcie, uśmiechając się do niej z góry. - Jak się miewa najpiękniejsza kobieta naszej wspaniałej republiki? - Schylił się, kiedy wyciągnęła do niego rękę, ale tylko musnął ją ustami.

-Jestem głodna. - Miała papierosową chrypkę, tego rodzaju, którego nie spotka się już w dorastającym pokoleniu. Rzuciła palenie, lecz długoletni nałóg ujawniał się w ruchach rąk nad nakrytym stołem. Jej życie było - niczym dobra rzeźba - dopracowane w najdrobniejszych szczegółach i zostało jej mniej więcej pięć lat wielkiej urody. Ta rudowłosa kobieta nadawała jesienny posmak rzeczom najważniejszym w życiu i chociaż jej nie kochał, szanował ją na tyle, żeby zachować wierność na czas trwania ich związku. Zawsze wyglądała perfekcyjnie, a jej ubranie poruszało się wraz z nią tak, jakby pragnęło dotyku jej skóry. W seksie była kreatywna, otwarta na propozycje i gotowa znajdować rozkosz pod wieloma postaciami. Jej jedyna zasada brzmiała: żadnych gadżetów i w tej kwestii akurat podzielał jej opinię.

-Powinnaś była coś zamówić. - Przysunął sobie krzesło do stołu. - Mały kasek, żeby przygotować brzuszek. - Lubił tę restaurację ze względu na jej klubowy charakter, ale stoliki znajdowały się blisko siebie i trzeba było odpowiednio się wystawiać. W przypadku nowo rozpoczętych znajomości preferował „701”, ponieważ znajdował się w pobliżu Kapitolu, a stoliki były od siebie odpowiednio oddalone.

- Powiedz mi, czy twoi obłąkani przyjaciele na stałe zatrzymają cię na obradach Kongresu, czy wyrwiemy się wreszcie na plażę?

- Moja ukochana Lauro. - Spojrzał na nią, jak zwykle oceniając jej wygląd i znów nie czując się zawiedziony. - Wybraliśmy Kongres złożony z reakcjonistów zdecydowanych na rewolucję oraz prezydenta, który pragnie być rewolucjonistą, ale uwielbia status quo. A to, moja droga, jest gotowy przepis na frustrację. Ale nie przejmuj się. - Pochylił się nad stołem, żeby poczuć jej zapach i następne zdanie wypowiedział tak, żeby zdążyć przed nadejściem kelnera z kartą win. - Zamierzam kochać się z tobą w świetle księżycy na odległych plażach Outer Banks.

- Wystarczy mi jedna plaża. Chryste, to ten dupek MacCauley.

Trost wolałby, żeby te słowa nie dotarły do uszu ludzi przy sąsiednim stoliku ani do uszu obsługi, ale odwrócił się i spojrzał w tamtym kierunku, częściowo zasłonięty przez kelnera podającego wina. Kelner zaczął zachwalać wyjątkowego Gevrey-Chambertin, jednak drugi człowiek w państwie, przyjaciel prezydenta i wyjątkowy głupiec w jednej osobie, dał jasno do zrozumienia spojrzeniem i miną, że nie przyszedł tu na obiad. Przecisnął się między zwartym tłumkiem prawników do baru.

Trost, nie umniejszając swojej wagi, zdziwił się jednak, że ten arogancki skurczybyk MacCauley pełni rolę własnego chłopca na posyłki. Nie miał pojęcia, o co może chodzić. MacCauley odpowiedzialny był w rządzie za politykę w stosunku do Rosji, która zawodziła na całej linii. Głównie polegała ona na odsyłaniu republik odzyskujących niepodległość, o nazwach nie do wymówienia, z powrotem do Moskwy. Trost pogardzał MacCauleyem, niespotykaną mieszanką arogancji i niekompetencji, ale teka tego polityka nie dotyczyła go specjalnie, ponieważ Rosjanie nic nie kupowali ani nie budowali w jego stanie. Jednak MacCauley, niezgrabnie przeciskający się między ciasno ustawionymi stolikami, wyraźnie czegoś od niego chciał.

Wtedy Trost skojarzył fakty. I po plecach spłynął mu pot, którego przedtem nie udało się z niego wycisnąć letniemu upałowi.

O Boże. Nie.

- Mitch... Senatorze... Ja...

Brakowało mu oddechu. Na litość boską, człowieku. Brakuje ci oddechu. Opanuj się. Nie róbmy przedstawienia.

- Wyjdziemy na zewnątrz, Drew?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, senatorze.

Kiedy manewrowali między stolikami, Trost starał się ograniczyć wszelkie kontakty. Serce waliło mu w piersi. Drzwi wejściowe otworzyły się i z drogi zeszli im pracownicy, parkujący samochody. Upał

wydawał się jeszcze większy w porównaniu z klimatyzowanym wnętrzem restauracji. Minał ich jadący z dużą prędkością wóz policyjny, migając niebieskim światłem. Obydwaj mężczyźni stanęli obok Lincolną MacCauleya, prowadzonego przez szofera. Obaj byli zdenerwowani, lecz tylko jeden pokazywał to po sobie.

-Chodzi o pańską córkę - powiedział w końcu MacCauley.

Analitik czekający w pokoju konferencyjnym sekretarza stanu na szóstym piętrze okazał się kobietą po trzydziestce o wygładzie w stu procentach oddającym charakter jej pracy. Pozbawiony gustu, czerwony zakiet od kostiumu pociemniał od potu pod pachami. Przypominała Trostowi Ruby Kinkiewicz sprzed dwudziestu lat i natychmiast zaufał jej bardziej niż Drew MacCauleyowi.

-Obawiam się, że wciąż mamy bardzo skąpe informacje, sir. Ale, jak już mówiłam, nic nie wskazuje na to, że pańska córka odniosła jakieś obrażenia.

Senator kiwnął głową. - Kierowca zarobił kulkę w łeb - powiedział. - A ostatnie miejsce pobytu mojej córki to rzut kamieniem od zwłok miejscowej dziewczyny z poderżniętym gardłem. Nie brzmi to zachęcająco.

Kobieta przybrała udręczony wyraz twarzy. Nie tylko dlatego, że tak niewiele miała do zaoferowania temu potężnemu człowiekowi, ale również dlatego, że nienawidziła nie wywiązywać się z powierzonego jej zadania. Trost zaliczył ją do jednego z tych małych bohaterów, którzy sprawiają, że rząd do czegoś dochodzi, podczas gdy oni sami nigdy.

-Krew pobrana z miejsca, gdzie odnaleziono samochód i kierowcę, wydaje się należeć tylko do kierowcy. Wygląda na to, że ten, kto to zrobił, chciał porwać pańską córkę, a nie ją skrzywdzić. Lecz... szczerze mówiąc... mamy za mało informacji, żeby wyciągać jakiegokolwiek wniosek.

Trost przyjrzał się kobiecie uważnie. Cera woskowa nawet latem. Poważny wyraz oczu. - Jak pani ma na imię, panno Rains?

-Virginia, panie senatorze.

Trost w każdej sytuacji potrafił zdobyć się na uśmiech. - Wspaniałe imię i wspaniały stan. No dobrze, Ginny. Może teraz powiesz mi, co naprawdę o tym myślisz? Co ci podpowiada intuicja?

Spojrzała przelotnie na MacCauleya. Uwielbiała swoją pracę i bała się, że może ją stracić. Jednak podjęła słuszną decyzję.

-Sir... za wcześniej na jednoznaczną odpowiedź. Ale ja stawiam na porwanie.

-Bo to moja córka?

Wzruszyła ramionami. - To na pewno daje pewne podstawy, żeby tak sądzić. Region tonie w takim chaosie, że to mógł zrobić każdy, począwszy od bandytów, chcących zarobić parę dolców, po terrorystów, którzy będą próbowali ją wymienić na swoich ludzi. Być może trzeba będzie poczekać, aż porywacze pojawią się z listą żądań.

-Jeśli to rzeczywiście porwanie.

-Tak, sir.

-Śmieszna sprawa. Człowiek uświadamia sobie własną nadzieję, że jego córka została porwana. Kiedy okazuje się, że to najlepsza z możliwości.

-Tak, sir.

Odwrócił się do MacCauleya i odezwał się do niego z życzliwością kobry. - Myślałem, że pańscy ludzie mają oko na Kelly? Jak się nazywa ambasador?

MacCauley nadal miał na twarzy wystudiowany wyraz, ale jego wzrok był rozbiegany. - Kandinsky, panie senatorze. Druga liga, niestety. Dość opornie przyswajał podane mu przeze mnie podstawy naszej polityki. - MacCauley uciekał wzrokiem. - To jeden z młodszych, których musieliśmy powysłać do nowych ambasad, kiedy rozpadł się Związek Radziecki.

Trost zanotował sobie od razu w myślach, że ambasador jest prawdopodobnie w porządku. Nie potrafił wyobrazić sobie lepszej rekomendacji dla pracownika służb zagranicznych niż obecność na czarnej liście Drew MacCauleya.

-Oddając sprawiedliwość departamentowi - ciągnął MacCauley - Kandinsky dysponuje niewielką liczbą pracowników, a ma do spełnienia ważną misję. Azerbejdżan ma decydujące znaczenie w kwestiach ropy i gazu. Tamtejszy prezydent uważa się za wielkiego władcę i przeszedłem prawdziwe piekło, zanim udało mi się doprowadzić do jego porozumienia z Czernomyrdinem. A Kandinsky'ego rzeczywiście poproszono o pilnowanie pańskiej córki. Na tyle, na ile pozwalała liczebność personelu.

Trost zwrócił uwagę na subtelną zmianę w wyrazie twarzy analityka. - Masz coś do dodania, Ginny?

Znów spojrzała ukradkiem na MacCauleya. I znów podjęła słuszną decyzję. Trost zrobił w myślach kolejną notatkę: niech któryś z moich ludzi ma ją oku i upewni się, że MacCauley jej nie udupi.

-Sir... rząd w Azerbejdżanie doskonale zdawał sobie sprawę, że córka amerykańskiego senatora pracuje jako ochotnik na terenie ich kraju. Szef placówki doniósł, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych dobrze się orientowało, gdzie ona w danym momencie przebywa. Śledzili ją i tak dalej. Pewnie informowali się telefonicznie.

-Nie wygląda na to, żeby się sprawdzili przy tym zadaniu.

-To nie jest bezpieczne podwórko - odpowiedziała.

-Cóż - odezwał się MacCauley, nie kierując swoich słów do konkretnej osoby. - Muszę panu szczerze powiedzieć, senatorze, że cały region wychodził na tym lepiej, kiedy rządzili w nim Rosjanie.

Trost spojrział na niego. Tamten skurczył się pod jego wzrokiem. - Powiedz mi, Drew - zaczął senator - jak ty byś się czuł, gdyby Rosjanie rządzili w twoim kraju? Nie da się ukryć, że ceny nieruchomości znacznie spadły w Czechenii przez ostatnie kilka lat. Dobrze wymawiam nazwę?

MacCauley zaczerwienił się.

Wtedy Trost skierował uwagę z powrotem na analityka. - Powiedz mi, Ginny, co konkretnie robią lokalne władze, żeby odzyskać moją córkę?

-Nie znam wszystkich szczegółów, sir... Kiedy wiadomości dotarły do Baku - to ich stolica - placówki rządowe skończyły godziny urzędowania. Nasz ambasador musiał odnajdywać przedstawicieli ich rządu w domach albo na przyjęciach... a nawet w ich prywatnych kryjówkach. Ale z ambasady donoszą, że Azerowie bardzo się tym przejęli. Nie chcą, by cokolwiek negatywnie wpłynęło na pomoc ze strony USA. A ambasador Kandinsky osobiście uda się rano do Yevlakh. - Spojrzała na zegarek. - Teraz tam jest rano.

-Ten Kandinsky jest do rzeczy, Ginny?

-Tak, panie senatorze. - Spojrzała ostrożnie na MacCauleya. - Ale oczywiście ma do dyspozycji bardzo skromny budżet.

Trost oparł się na krześle. - W takim razie, być może powinniśmy wysłać mu tam jakąś pomoc. Jakich mamy ekspertów - chodzi mi o ekspertów z prawdziwego zdarzenia - w tym zapomnianym przez Boga zakątku?

Wirginia i MacCauley wymienili między sobą spojrzenia. - Cóż, senatorze, wie pan, przez te wszystkie cięcia w budżecie i redukcje...

- Ginny? Kto z naszych ludzi wie cokolwiek o tym kraju?

Utkwiła w nim uważne spojrzenie. - Wygląda na to, że ja, panie senatorze. Jeśli chodzi o sam kraj. Oczywiście, pracownicy ambasady lepiej orientują się w codziennych sprawach.

-Czy opłaciłoby się nam wysłać cię tam, żebyś pomogła odnaleźć moją córkę?

Trost obserwował mięśnie jej twarzy i myśli odbijające się w jej oczach. Ani śladu strachu. Kobieta z wielkim apetytem. Bardzo dobre oceny i przegrana w walce o stypendium na studia, a potem wypuszczona w morze pełne małych oszustów i dupków w rodzaju MacCauleya.

Senatorowi zdawało się, że zna jej odpowiedź, więc zdziwił się, kiedy usłyszał:

- Pełniłam służbę w tym kraju, panie senatorze. Pomagałam otworzyć naszą ambasadę. Wróciłam zaledwie kilka miesięcy temu. - Odwróciła wzrok od utkwionych w nią oczu senatora. - I choć niechętnie, muszę przyznać, że kobieta napotyka tam na mur. Uderza w niego głową. Tamten świat nadal należy do mężczyzn.

Trost uśmiechnął się tak blado, że nie zarejestrowałaby tego żadna kamera. - Ciężko to pani przeszło przez gardło, prawda?

Wyglądała na zrezygnowaną. Trost nie chciał, żeby już czuła się przegrana. Walka dopiero się zaczynała.

- Nie ma pan pojęcia panie senatorze, jak mnie to wkurza.

- Jesteś szczerą, Ginny. To rzadka cecha w tym mieście. Jeśli kiedyś będziesz szukała pracy, wpadnij do mojego biura. A na razie, podaj mi nazwiska najlepiej wykwalifikowanych mężczyzn, których można tam wysłać, żeby dokopali się do Kelly.

Natychmiast pożałował takiego doboru słów. Wierzył w łut szczęścia i w to, że jest on ulotny.

- Cóż, szczerze mówiąc, nasz najlepszy człowiek znajduje się na miejscu zdarzenia. Przynajmniej najlepszy, jakiego znam. Jest podpułkownikiem Armii. - Uśmiechnęła się do własnych myśli. - Ale on jest raczej...

MacCauley wszedł jej w słowo. - Uważam, że powinniśmy ograniczyć do minimum udział wojska w tej sprawie.

- Drew? Może najpierw wysłuchamy opinii eksperta? Tak się składa, że jej wiedza wzbudza mój podziw. - Znow skupił uwagę na młodej kobiecie, o podkrążonych oczach, które zdawały się być stałą cechą jej twarzy. - Proszę mi powiedzieć coś więcej na temat tego podpułkownika.

Zmieniła pozycję, jakby szukała takiej, która doda jej pewności siebie. - Pracuje w ambasadzie. Jako tymczasowy przedstawiciel wojskowy. W rzeczywistości nie mamy tam wojskowego attache, ponieważ... zresztą, mniejsza z tym. Nazywa się Evan Burton i zna teren jak własną kieszeń. Zna wszystkich i mówi ich dialektami. On...

Trost uśmiechnął się szerzej. - Jest dokładnie tym, kim ty chciałaś być, prawda Ginny?

Zarumieniła się.

- A więc - powiedział Trost - uważasz, że ten dzielny podpułkownik jest w stanie odnaleźć moją córkę?

Skinęła głową. - Zna tamtejsze zwyczaje. Kiedy pracowałam w ambasadzie, potrafił rozwiązać każdy problem, który tam napotkałam albo wyjaśnić... strasznie mnie wtedy złościł. - Spojrzała Trostowi prosto w oczy.

Nagle stała się rzecz straszna. Trost poczuł, że łyzy napływają mu do oczu. Właśnie przypomniał sobie małą Kelly, biegnącą do niego z radosnym uśmiechem.

Senator potrzebował chwili, żeby odzyskać kontrolę i otrzeć łyzy chusteczką z niebieskim monogramem. Potem powiedział: - Cóż, myślę, Drew, że możemy zaangażować tego podpułkownika do pracy nad naszą sprawą. Daj mu we wszystkim wolną rękę. Co nie zwalnia ich od wszelkich innych wysiłków. Porozmawiam z sekretarzem obrony i oczyszczę pole do działania. I zadzwonię do przewodniczącego.

-Jak pan sobie życzy, panie senatorze.

-Tego sobie życzę. - Znow zaczął jaśniej myśleć. - Nasze placówki zawiadomione?

-Każdy terminal świata powinien być do tej pory dostać raport. Wszyscy trzymają rękę na pulsie.

-Sprawa ulegnie nagłośnieniu. Zawsze tak jest.

MacCauley wrzucił ramionami, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Trost skupił się na działaniu. - Musimy przygotować oświadczenie dla prasy.

-Możemy się tym zająć.

Senator podniósł rękę. - Nie. Moje biuro to załatwi. Wyślemy wam kopię e-mailem. - Przyjrzał się Wirginii, która wyglądała na bardzo zmęczoną. - Po prostu upewnijcie się, że nasze działania są zsynchronizowane.

MacCauley i analityk pokiwali głowami.

Trost wstał. Czuł się bardzo znużony. - Wiecie - powiedział cichszym głosem - w pierwszym odruchu sam chciałem tam pojechać i zacząć poszukiwania. Jeszcze dziś wieczorem wsiąść w samolot. Żeby tylko być bliżej Kelly. Ale pewnie powinienem poczekać, przynajmniej do czasu, aż dowiemy się, czego chcą te sukinsyny i co dokładnie się stało. Podejrzewam, że więcej zdziałał tutaj, niż w tym kraju na końcu świata.

MacCauley zaczął bredzić o tym, że należy poczekać, aż dyplomacja zacznie działać, ale Trost odwrócił się i poszedł sobie, nie zwracając na niego uwagi. Myślał głośno, co było u niego niezwykle rzadkim zjawiskiem. Lecz sytuacja też była niecodzienna. Czuł się wyjątkowo samotny. Bezradny. Zastanawiał się, dokąd uprowadzono jego córkę, kto to zrobił, jak ją traktują. Uderzyła go myśl, że Kelly jest jedyną osobą, którą przez całe życie obdarzał bezwarunkową i niesłabnącą miłością.

Po raz pierwszy od kiedy pamiętał, senator Mitch Trost się bał.

2

Burton siedział z ambasadorem na patio mieszczącym się na dachu budynku ambasady amerykańskiej. Sierpień o siódmej rano był jeszcze do zniesienia, ale czuło się już, że słońce szykuje się, żeby zwalić z nóg niczym złe wieści. Obydwoj mężczyźni mieli na sobie koszule z krótkimi rękawami. Pili niesmaczną kawę, żeby zrekompensować brak snu. Wiedzieli, że muszą podjąć temat Kelly Trost, ale ich zmęczenie utrzymywało świat w stanie zawieszenia. Napić się kawy. Wykorzystać resztki chłodu. Zebrać siły.

Ambasada mieściła się w rezydencji, należącej w czasach rozkwitu wydobycia ropy naftowej w Baku do bogatego awanturnika. Bolszewicy przerobili ją na szpital, w którym nigdy nie było żadnych lekarstw, a następnie na bibliotekę, w której książki były niedostępne. Widok z ambasady usytuowanej na wzniesieniach otaczających stare miasto był wyjątkowy, ponieważ pozwalał zachwycać się kaspijskim błękitem, oszczędzając obserwatorowi krajobrazu błotnistych równin, najeżonych przestarzałymi wieżami wiertniczymi i ekologicznej pustki wokół przyładka. Od strony Kaukazu wiała bryza, dzięki której nie czuć było zapachu ropy, a Baku w świetle poranka sprawiało przyjemne, śródziemnomorskie wrażenie. Było to miejsce pełne pozorów. Ambasador też był inny niż się z pozoru wydawał. Przy wzroście prawie metr osiemdziesiąt sprawiał wrażenie małego człowieka z twarzą lisa i cienkim wąsikiem. Uśmiechnął się i jego głos przeciął powietrze. Można by go wziąć za urzędnika tak skrupulatnie liczącego grosze, że przegapiłby kradzież milionów. A mimo to Burton uważał go za jednego z najbardziej stanowczych dyplomatów, z którymi zdarzyło mu się pracować. Kandinsky był człowiekiem z rodzaju tych, których nie doceniają jego wrogowie do czasu, aż pokona ich subtelnym posunięciem - doskonały ambasador w regionie, gdzie nic nie jest takie, na jakie wygląda. Burton spojrział ponad odrapaną ścianą budynku mieszkalnego, który zasłaniał część widoku na holownik ciągnący ogromną platformę naftową w

stronę samego serca Azji. Pociągnął łyk kawy sprowadzanej przez ambasadę i zapytał:

-Naprawdę pan myśli, że Rosjanie pozwolą, żeby ropa naftowa wędrowała przez ten teren?

Ambasador nie odpowiedział od razu. Filiżanka z taniej chińskiej porcelany stuknęła o spodeczek i Burton spojrzął na człowieka, którego okulary zwisały na nosie pod niebezpiecznym kątem niczym u szalonego profesora. Obydwaj przepracowali większość nocy skupieni na pokrewnych dziedzinach, w których byli specjalistami.

-Nasi mali rosyjscy bracia nie bardzo się palą do tego pomysłu - powiedział wolno Kandinsky - ale jeśli będziemy bardzo dobrzy, wepchniemy go im do gardła. - Znów tyknął kawę.

-A będziemy bardzo dobrzy?

Ambasador znów uśmiechnął się kąciakiem ust i poprawił okulary. - Tego się dowiemy. Rosjanie nienawidzą tracić pieniędzy, tracić kontroli. A najbardziej nienawidzą perspektywy, że jedna z pomniejszych republik byłego imperium wygrywa los na loterii, podczas gdy Kreml nie jest w stanie zapłacić za zakupy w spożywczym. - Dopił kawę, uśmiechnął się i okulary znów zjechały mu z nosa. - Zazdrość to jedna z głównych rosyjskich cech. A zaraz po niej chciwość. Chłopski naród. Reszta powymierała w obozach.

-Nigdy nie wierzyłem, że Rosjanie pozwolą, by rurociąg opuścił wybrzeże Morza Kaspijskiego.

Kandinsky odstawił filiżankę. - To najwyraźniej twoja ulubiona śpiewka ostatnimi czasy, Evan. Gdybym cię nie znał, podejrzewałbym cię o defetyzm. A tak przy okazji - mogę jeszcze potrzymać płytę Dextera Gordona? Catherine ją uwielbia. - Poprawił okulary.

- Wracając do sprawy, musimy poczekać na rozwój wypadków. Obecnie bardziej mnie martwi nasz rząd niż Rosjanie. Decyzja dotycząca rurociągu zostanie podjęta w październiku. Boję się, że MacCauley znów nas wpakuje do łóżka z Rosjanami. Co według mnie jest równie obrzydliwe moralnie, jak pozbawione sensu ze strategicznego punktu widzenia. Wiesz, naprawdę powinienem dać te okulary do naprawy. - Zdjął je i przyjrzał się zatroskanym wzrokiem oprawkom, niczym przyjacielowi, który go zawiódł, po czym pochylił się w stronę Burtona. - A skoro już mowa o łóżku, Evan... nie należę do tych, którzy wścibiają nos w prywatne życie swoich podwładnych, ale byłbym wdzięczny, gdybyś zachował odrobinę dyskrecji w kontaktach z Heddy Seghers. Mój kolega ambasador niemiecki rozesłał zaproszenia na przyjęcie zaręczynowe - nie podejrzewam, żebyś ty takie dostał?

Burton spojrział bez słowa na ambasadora.

-Nie każe ci zostać mnichem - kontynuował Kandinsky. - Wystarczy, żebyś korzystał z tylnego wyjścia, czy coś w tym stylu. Helmut jest zakochany po uszy. A my potrzebujemy go w naszej rurociągowej drużynie, Evan. Zależy mi na idealnym wyniku. Azerbejdżan - Rosja 1:0. Lokalna niezależność zachowana, dziękuję państwu. - Spojrział na Burtona nieodgadzionym wzrokiem. - A tak przy okazji... myślisz, że mógłbyś dowiedzieć się od Heddy, jakie on ma zdanie w kwestii pożyczek inwestycyjnych z Unii Europejskiej?

Burton roześmiał się. - Dzięki za tak dobitne przedstawienie swojego stanowiska, panie ambasadorze.

-Staram się wykonywać moje obowiązki. Co łączy się z naszą sprawą. Z tą dziewczyną. Zaginioną panną Trost.

Zadzwoił telefon komórkowy Burtona. To tylko służbowy kierowca zgłaszał swój powrót odkrytym samochodem.

-Ci, do których udało mi się dotrzeć byli pijani albo nic nie wiedzieli, albo i jedno i drugie - powiedział ambasadorowi Burton. - Prezydent wyjechał z miasta na zjazd WNP. Achmedajew spędza czas na przylądku z kochanką, więc nie mogłem mu przeszkadzać. Podejrzewam, że pozostali gracze ukryli się przed nami, żeby najpierw uzgodnić oficjalne stanowiska. Kazali pomniejszym graczom narobić trochę szumu, ale to są płotki w tych kręgach. - Burton odgonił muchę. - Duże spluwy zupełnie nie wiedzą, jak się zabrać do tej sprawy. Wpadli w panikę. A azerski polityk w panice robi to samo, co jego przodkowie od czasów, kiedy Aleksander Wielki wpadł tu z wizytą na weekend - znikają.

-Pomóż im, Evan. Pokaż, jak się zabrać do tej sprawy. Podkreśl, że senator Trost może tak załatwić ich interes z rurociągiem, że będzie bardziej martwy od Lenina.

Burton wyjął okulary słoneczne z kieszeni w koszuli i założył je. - Lenin jest wiecznie żywy, towarzyszu ambasadorze. Wybieram się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zastawię pułapkę na Hamedowa i złapię go, kiedy pojawi się w pracy. Każda brudna nitka w tym mieście prowadzi do naszego starego dobrego generała. A on jest mi winien przysługę.

-A ty jesteś winien przysługę mnie - zachnął się ambasador. - Studencka wiza dla siostrzeńca tego kłamliwego skurczybyka.

-Taka jest cena prowadzenia interesów, sir. I przyznam się, że mam słabość do Brata Hamedowa. Zawsze dorasta do plotek o sobie.

Kandinsky kiwnął głową. - Pewnie żaden z nas nie jest tu wzorcem prawości, Evan. - Włożył okulary i spojrział w stronę morza, ukazując zrezygnowany profil. - Właśnie tu, w samym środku tej pipidówki, waży

się przyszłość kontynentów, a departament boi się zranić uczucia jakiegogo pijaczyny z Moskwy. - Ambasador znów zwrócił połamane okulary i podkrążone oczy w stronę Burtona. - Masz pojęcie, ile depez właśnie zignorowałem?

-Trost nie należy do żadnej komisji kluczowej dla rurociągu - powiedział Burton. - A może czegoś nie wiem?

Ambasador pokręcił przecząco głową. - Mitch Trost pewnie nigdy nie słyszał o Azerbejdżanie. Dopóki jego córka nie zdecydowała się tu przyjechać, żeby naprawiać świat. - Dotknął brzegu oprawki okularów, dzięki czemu przez chwilę znajdowały się na właściwym miejscu. - Ale Senat w dużym stopniu przypomina Rosję, Evan. Panują w nim stosunki feudalne. Wzajemna lojalność. Jeśli nie uda się nam wyprowadzić Kelly Trost statkiem do domu z uśmiechem na twarzy i foką z FDA* strzegącą jej białego tyłka, jej ojciec rozpęta burzę, która zatopi rurociąg, azerbejdżańską niezależność i co najmniej jednego sfrustrowanego ambasadora. A Trost się nawet przy tym nie spoci. -W kąciku ust Kandisky'go znów pojawił się uśmiech. - A wtedy przejdzie do spraw, które uważa za naprawdę ważne.

-Co pan zamierza zrobić?

-Pojechać w głąb kraju. Dotrzeć do miejsca, gdzie ostatnio widziano ją żywą. Zamachać flagą. - Zdjął okulary gwałtownym ruchem, jakby miał ich dosyć i posłał Burtonowi zamglone spojrzenie. - Dobrze wiem, że jesteś idealnym człowiekiem do tego zadania, Evan. Ale jeśli się tam nie pojawię i nie narobię odpowiedniego szumu, może się okazać, że mamy więcej pomocników niż nam potrzeba. Prasa też się pojawi, zanim zajdzie słońce, węsząc krew. - Kandisky'emu znudziła się ślepotą i znów włożył okulary. - A na razie, sprawdź generała Hamedowa. I wszystkich innych demokratycznie i reformatorsko nastawionych złodziei, których uda ci się złapać za rękaw. Jestem przekonany, że ludzie wiedzą tu „co, kto, gdzie i z kim” pięć minut po tym, jak Fanny ściąga majteczki. Musimy jedynie złamać kod. - Opadł na oparcie krzesła, czując, jak nasila się upał. - Ta podróż do Yevlakh będzie jedną z najnudniejszych na ziemi. Zupełnie jakby człowiek jechał przez Utah. Ale tam rozgrywa się cała akcja. Masz na miejscu kontakty, z którymi powinienem porozmawiać?

Burton myślał przez chwilę, czując upał zaciskający się na szyi i zmieniającą krawat w pętlę. - Nie, sir. Prawda jest taka, że nie będą chcieli z panem rozmawiać. Uzbrowieni bandyci są dumni ze swojego zajęcia.

* Food and Drug Administration - agenda rządu USA, zajmująca się kontrolą produkcji żywności, kosmetyków i lekarstw [przyp. red.].

Kandinsky kiwnął głową. - W takim razie lepiej będzie, jak najpierw zobaczą się z szefem policji i dopiero wtedy ruszę w drogę. Chciałem tylko sprawdzić, czy ty nie trafiłeś na jakiś ślad. - Wstał, więc i Burton się podniósł, a wtedy ambasador zawahał się i powiedział: - I Evan, proszę, pomóż mi utrzymać tym razem Vandergraafa z dala od kłopotów. Zawałam go innymi projektami, ale pali się, żeby się czymś popisać i zaskarbić sobie przyjaźń człowieka z Kapitolu. W wolnym czasie niech Spooner albo ktoś inny ma go na oku. Jeśli Arthur zacznie się zbyt spoufalać z prasą, chcę o tym wiedzieć.

Vandergraaf był człowiekiem Drew MacCauleya, oddelegowanym do ambasady do pilnowania Kandinsky'ego przed wyrządzeniem krzywdy rządowej linii politycznej pod tytułem „Rosja na pierwszym miejscu”. Urząd komisarza wciąż miał się dobrze.

-Rozumiem, sir.

Ambasador uśmiechnął się. Wszystko w nim było krzywe: jego uśmiech, okulary, wątle ramiona. - Wkurza go, że nie nosisz munduru. Musiałem mu wyjaśnić, że to zarządzenie z naszego własnego kraju. Chyba się boi, że wezmą cię za jednego z nas.

-Uchowaj Boże - powiedział Burton.

Wyczuł, że obydwaj mają bardzo podobne zdanie na temat Vandergraafa, hipopotama Arthura Vandergraafa, który krył się przed upałem w swoim gabinecie i układał nie kończące się informacje „Tylko Dla Twoich Oczu” na swoim komputerze. Pewien swoich zdolności i sprytu, niezdarnie dawał do zrozumienia Azerom, że powinni zwracać się bezpośrednio do niego, jeśli chcą dotrzeć do najpotężniejszych ludzi u władzy w Waszyngtonie. Jego charakterystykę dopełniał oddech, który zwał z nóg i cierpiąca na nadmiar energii, wściekła żona o ambicjach wielkości kontynentu.

Ambasador dał znak, że czas się rozstać. - Śmiało uderzaj pięścią w azerskie biurka. Poprę cię. Upewnij się, że zdają sobie sprawę z konsekwencji.

Upał uderzył ich z mocą młota. Spaliny z rozklekotanych samochodów zabrązowały powietrze. Kolejny dzień w raj. Daleko od brzegu, holowana platforma wciąż stanowiła najważniejszy element na horyzoncie.

Przecięli patio i dotarli do drzwi prowadzących do klimatyzowanej oazy i schodów.

-Słabo znałem córkę Trosta, ale mam wrażenie, że to dobry dzieciak - powiedział Burton. - Nieco zadufana w sobie i przemądrzała. Świat ma się podporządkować prawom zgodnym z tym, co wyniosła z uniwersytetu. Za to pełna dobrych chęci. Chce zbawić świat podczas letnich wakacji. - Odetchnął zatrutym od stu lat powietrzem. - Jestem po jej stronie.

Ambasador zatrzymał się z ręką na klawiszu i spojrzał na swojego strategicznego partnera.

- Wszyscy jesteście, Evan. Przynajmniej mam taką nadzieję. Ale ona jest daleko od domu. I daleko poza swoją ligą.

- Założę się, że teraz robi w majtki ze strachu - powiedział Burton.

W ostrym świetle twarz ambasadora wyglądała wyjątkowo staro i bezbronnie.

- Jeśli jeszcze żyje.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Azerbejdżanu zajmowało budynek, w którym w zasadzie nic nie działało. Łuk opleciony winoroślą stanowił aluzję do spuścizny regionu, lecz pozostała zewnętrzna część budowli miała stalinowski, pozbawiony kształtu charakter. Wystarczyło wejść do środka, żeby poczuć sowieckiego ducha w zawilgoconych korytarzach, gdzie światło lamp pochłaniał lakier i czuć było ledwo uchwytny odór typowy dla szaletu miejskiego. Tylko szefowie mieli klimatyzację, więc upał był wszechobecny. Sekretarki przechadzały się jak prostytutki w rytm stukotu jedynej maszyny do pisania. Młodzi urzędnicy mieli postsowieckie mundury, które na nich nie pasowały, podczas gdy ich przełożeni nosili garnitury rodem z filmów gangsterskich z lat trzydziestych. W najlepszych gabinetach na eksponowanych miejscach stały komputery, ale Burton nigdy nie widział, żeby ktokolwiek z nich korzystał. Windy służyły za szafy.

Było to fantastyczne miejsce, nieoficjalne muzeum starych złych czasów, kiedy świat był prostszy, choć zapewne nieco mniej interesujący. Jedną z podstawowych różnic była obecność Burтона, któremu nie towarzyszyła żadna eskorta. Parę lat temu, zastrzelono by go za próbę ominięcia strażników. Teraz natomiast strażnicy powitali go z leniwym szacunkiem jako „Pułkownika Burтона”, zgodnie z rosyjskim przywiązaniem do tytułów wojskowych. Tandetny obraz przedstawiający prezydenta Aliewa stał w miejscu, gdzie rozchodziły się główne korytarze. Burton posłał staremu lisowi niedbały salut. Aliew był doświadczonego oficerem KGB, którego Rosjanie wpełnęli na to stanowisko, na miejsce Elczibeja, który za dużo mówił o islamie. Ale Aliew przeszedł metamorfozę i stał się azerbejdżańskim patriotą, co szarpało nerwy chłopakom na Kremlu już od dobrych paru lat. Na dodatek, ten starzec wyszedł cało z kilku sponsorowanych przez Moskwę zamachów stanu, cały czas ogłaszając wszem i wobec, że Azerbejdżan będzie wydobywał własną ropę, a Rosjanie mogą mu naskoczyć. Aliewowi udało się nawet przekonać Zachód, że Azerbejdżan skłania się ku prawdziwej

demokracji, co było tak samo prawdopodobne jak wycieczki Saudyjczyków na bar micwy w Mekce.

Nie było jeszcze dziewiątej, więc Burton spodziewał się, że przyjdzie mu poczekać co najmniej godzinę w zewnętrznym biurze Hamedowa, zanim generał pojawi się w pracy. Lecz żyjemy w epoce niespodzianek. Ledwo wszedł po schodach i skierował się do biura generała, kiedy drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Dick Fleming, a za nim uśmiechnięty Hamedow. Fleming był nafcierzem, o rozległych kontaktach i kontraktach, miał europejski akcent oraz amerykański paszport. Heddy opisała go jako mężczyznę, który przyprawia kobietę o ciarki tylko przechodząc obok jej biurka. Generał trzymał go serdecznie pod ramię.

Kiedy Hamedow dostrzegł Burтона, uśmiech zniknął z jego twarzy.

-Pułkownik Burton - powiedział Fleming, wyprzedzając generała. Miał na sobie garnitur w głębokim morskim kolorze, a Hamedow - niewolnik postsowieckiej mody - dwurzędową fioletową marynarkę i koszulę w grochy z białym krawatem. Pod jego lewą pachą widniało zgrubienie. Z masywną posturą i ciemnymi zalizanymi włosami, generał wyglądał jak bramkarz w dyskotecie gdzieś w kraju Trzeciego Świata. Fleming, stanowiący jego absolutne przeciwieństwo, był przeraźliwie chudy, o mysich włosach i woskowej cerze. Nafcierz wyglądał Burtonowi na faceta, który targuje się z tanimi dziwkami o cenę usługi. Podsumowaniem charakterystyki jego postaci był fakt, iż w ambasadzie Fleminga uważano za persona non grata, dzięki jego zamiłowaniu do łapówek i kłamaniu ambasadorowi prosto w oczy.

-Co za miła niespodzianka - ciągnął Fleming. - Przyszedł pan się spotkać z naszym przyjacielem generałem. - Wyciągnął natarczywie rękę i Burton uściśnął ją niedbale, po czym natychmiast tego pożałował. - No cóż, interesy, interesy. Jak to my, Amerykanie, mawiamy? Sto mil na godzinę. Ten pociąg nigdy się nie zatrzymuje. Moje ukłony dla ambasadora. Proszę mu powiedzieć, żeby się nie przepracowywał.

- Kiedyś źle skończysz, Fleming.

Nafcierz uśmiechnął się. - I nawzajem, stary.

-Evan, mój drogi przyjacielu - powiedział Hamedow, który miał wolniejszą dykcję i ostrzejszy wzrok niż nafcierz. - Chyba się domyślam powodu twojej wizyty.

-No, tak - powiedział Fleming, wciąż się uśmiechając. Miał uzębienie palacza, zdradzające, że amerykańskiego dentystę odwiedził dopiero jako dorosły człowiek. I chociaż w ambasadzie nie wolno było otwierać czetek obywateli amerykańskich, Burton wiedział, że mężczyzna naprawdę

nazywa się Vlamink, i że urodził się w Liege oraz, że wbrew temu co mówi, nie skończył studiów ekonomicznych. - Zostawię was, wojskowych, żebyście omówili sprawy wagi państwowej. Jeśli nie można na nich zarobić, Dick Fleming nie jest zainteresowany. Zawsze flaga państwowa, co, Burton?

Nafciarz zbiegł po schodach, pozostawiając Burtona i Hamedowa naprzeciw siebie z dwoma najbardziej nieszczerymi uśmiechami w historii.

- Mój drogi przyjacielu - powiedział Azer, biorąc Burtona pod ramię, tak jak to zrobił z poprzednim gościem. - Cieszę się, że pana widzę. Bałem się, że nie uda mi się z panem skontaktować telefonicznie. Ofiarowuję panu moją pełną współpracę. Ale proszę, niech pan wejdzie.

Hamedow był młodszym kapitanem, kiedy skończyła się era sowie-tów, niecałe pięć lat wcześniej, ale miał tyle szczęścia, że urodził się w Nakiczewanie, podobnie jak dwaj prezydenci Aliew i Elczibej oraz jak trzeci kandydat, rosyjska kukielka o nazwisku Mutalibow. Nachiczewan było niewielkim terytorium oddzielonym od Azerbejdżanu, zapomnianym, za to dobrze uzbrojonym pasem Armenii, na którym rodzili się wielcy ludzie. Ponadto Hamedow miał nosa, żeby trzymać się rządu, kiedy mało brakowało, żeby grupa mafijna z Gyandzha dokonała przewrotu. Wykazał się jeszcze lepszym wyczuciem, trzymając się z daleka od linii frontu Karabachu, gdzie wielu straciło dobre imię, a nikt go nie zyskał. Przez cały czas generał nawiązywał kontakty biznesowe - którymi się przechwalał na prawo i lewo - z Rosją, Turcją, Iranem i Izraelem oraz z konsorcjum do spraw związanych z rurociągiem. Jednego dnia był generałem, innego biznesmenem. Mówiono też, że zastrzelił człowieka w nocnym klubie, ponieważ ofiara nie zgodziła się, żeby pijany generał zatańczył z jego żoną. Hamedow przedstawiał sobą model idealnego postsowieckiego człowieka: Wszyscy go znali, wszyscy byli mu coś winni, a rozsądni ludzie bali się go.

Generał miał do dyspozycji duży gabinet z wysokimi oknami, po-
plamionymi, czerwonymi zasłonami, zawsze zaciągniętymi w trzech
czwartych i z zielonym dywanem, upstrzonym dziurami wypalonymi
zarem z papierosa. Przy ziemi leniwie pełzał dym. Komputer pokrywała
warstwa kurzu, faks nigdy nie był włączony i jedynie telewizor Panaso-
nica nastawiony był na lokalny kanał prowadzony w studio o wystroju
przypominających wnętrza kasyna, nawet kiedy generał przyjmował
oficjalnych gości. Jednak tego ranka w pokoju było cicho i Burton mógł
słyszeć warkot samochodów na bulwarze oraz oddech generała. Nie
było nawet sekretarki ani ochroniarza w poczekalni.

Hamedow poprosił Burtona, żeby usiadł na krześle przy stole konferencyjnym, przylegającym do jego biurka i pochylił się nad barkiem schowanym za jego krzesłem. Wyjął stamtąd tacę ze szklankami do napojów i opróżniła do połowy butelkę brandy. Postawił to wszystko pod dużym, oprawionym w ramki zdjęciem prezydenta Aliewa.

-Pan Fleming ma wrzód żołądka, wie pan. Nie potrafi pić jak mężczyzna. I nie ma kobiety. Nie rozumiem, po co żyje.

Burton zauważył, że na butelce brandy widnieje armeńska nalepka. Etniczna nienawiść nigdy nie stała w Baku na drodze do dobrego drinka.

Hamedow wręczył Burtonowi szklankę. Wiedział, że Burton tylko symbolicznie zamoczy usta, ale stanowiło to część rytuału, pozwalającego generałowi wypić swoją część. Podobnie jak Rosjanie, Azerowie potrafili wypić nieprawdopodobne ilości wysokoprocentowych alkoholi i nadal funkcjonować. Generał wypił brandy jednym haustem, westchnął i powiedział: - Najpierw muszę pana o coś spytać. Czy pan to mówił na poważnie w zeszłym tygodniu? Że zamierza pan odejść z wojska na emeryturę?

Burton umoczył koniuszek języka w brandy i odstawił szklankę. - W przyszłym roku w czerwcu. Dwadzieścia lat. Czas na życie numer dwa.

-Ależ to wspaniale! Musi pan rozważyć moją propozycję. Ile pieniędzy moglibyśmy razem zarobić! Jakimi byłibyśmy partnerami!

Burton uśmiechnął się i pokręcił głową. - Mówiłem już panu, Hassan. Kiedy się spakuję, to będzie koniec. Zamierzam po prostu odejść. Do słownie. Z plecakiem ze zmianą bielizny i skarpetek i kilkoma książkami. Przyślę panu pocztówkę.

-Ale pan mógłby się stać bogatym człowiekiem w Azerbejdżanie. Mówi pan po rosyjsku, turecku... zna pan wiele tajemnic. Miałby pan tyle możliwości.

-Chyba zacznę grać na saksofonie.

Generał pokiwał swoją wielką głową, jak białą flagą na znak kapitulacji. - Cóż to będzie za strata. Jak pan będzie zdobywał kobiety bez pieniędzy i pozycji? - Twarz mu się rozjaśniła. - Wie pan co, mam dla pana kobietę. W połowie Rosjanka, ale bardzo miła dziewczyna. Nie jedna z tych rosyjskich kobiet, które się tapetują. Spodoba się panu.

Tym razem Burton uśmiechnął się szeroko. - Nigdy nie sypiam z agentkami. Nawet jeśli pracują dla przyjaciela. Poza tym słyszałem, że wszystkie Rosjanki chcą teraz wychodzić za mąż za biznesmenów.

-Och, nie - zaprzeczył poważnie generał. - Tak było w zeszłym roku. Teraz chcą mieć męża w mafii. Większe pieniądze.

-Cóż - powiedział Burton, oceniając, że dość już przekomarzania się. - Prawdę mówiąc, przyszedłem do pana, żeby porozmawiać o pewnej kobiecie.

Hamedow spowaźniał natychmiast. Odstawił pustą szklanekę i zaczął spacerować po pokoju, strzelając kostkami palców u rąk. Wyrzwał oknem na stare miasto po drugiej stronie bulwaru.

-Co zrobimy? Co my teraz zrobimy? - Machnął ręką i znów zaczął strzelać kostkami. - Chcielibyśmy uszczęśliwić naszych amerykańskich przyjaciół. Dla dobra naszych interesów. A tu jakiś okrutny wróg tak się na nas zemścił..

-Kto pana zdaniem ją porwał? - spytał Burton.

Generał odwrócił się do niego z teatralnym grymasem pogardy na twarzy. - Chce pan wiedzieć, kto to zrobił? Życzy pan sobie poznać opinię Hassana Hamedowa? Ja myślę, że to byli Ormianie. Oni są zdolni do wszystkiego. Nie mają zasad moralnych. Potrafiliby nawet ukraść kobietę.

Burton nadal uśmiechał się uprzejmie, przedstawiając mu kolejne sugestie. - Hassan-bey, zbyt wysoko cenię azerbejdżańskie wojsko i pana podwładnych, żeby uwierzyć, iż Ormianom udałoby się przedrzeć przez wasze linie, porwać dziewczynę, którą mieli pod obserwacją wasi agenci, i uciec z nią.

Generał przybrał konspiracyjny wyraz twarzy, rodem ze starych filmów.

-Ormianie to diabły! Są zdolni do wszystkiego złego. Mówię panu: Ameryka nie może im ufać. To ogromny błąd. - Znów strzelił z kostki.

-Chciałbym jednak omówić z panem kilka innych możliwości - powiedział Burton. - Na wypadek, gdyby to nie byli Ormianie. -Podniósł wzrok na generała. - Czy jest możliwe, że zrobili to Irańczycy?

Generał poruszył brwiami w górę i w dół. Groucho Marc jako zawodowy zapaśnik. Wziął do ręki zmiętą paczkę papierosów Marlboro i poczęstował jednym Burtona, chociaż wiedział, że Amerykanin nie pali, po czym sam przypalił sobie jednego srebrną zapalniczką w kształcie greckiej wazy, stojącą na biurku. - Powiem panu, że Irańczycy też są okropni. Ale to nasi bracia. Nie sądzę, żeby to oni pojмали pannę Trost. Nie są tak dobrzy w te klocki, jak podejrzewają Amerykanie. Wiedział pan, że ich kobiety przyjeżdżają tu, żeby pracować jako dziwki? W Baku, gdzie nikt ich nie zna? Potem wracają do Iranu i wychodzą do brze za mąż jako dziewice. Nigdy nie ufaj Irańczykowi. To Ormianie islamu.

-A może była to jakaś irańska frakcja? Albo inna radykalna religijna grupa?

Generał osunął się wyczerpany na swój duży fotel, chciwie paląc papierosa. - Tacy są najgorsi. Same kłopoty. Myślę, że w Ameryce, gdzie nie ma Boga, musi być lepiej. Ci religijni ludzie nocą zmieniają się w kłamców i złodziei. Ale oni porwaliby tylko mężczyznę. Nie wierzą, żeby ktoś był gotów zapłacić zbyt wiele za dziewczynę.

- Czy ktoś mógł ją śledzić? Z obozu dla uchodźców, w którym zamordowano tamtą dziewczynę? Może zabrali ją w akcie zemsty?

Generał stanowczo potrząsnął głową, wstając po butelkę brandy.

- Powiem panu, Evan-bey, że nie ma na świecie nic gorszego od tych ludzi ze wsi. To zwykli bandyci. Wszyscy, co do jednego. Czasami nie rozumiem, dlaczego musimy za nich walczyć w tej wojnie. Zdradziłby człowiek za garść pilaf. - Pociągnął łyk i westchnął. - Myślę, że to nie oni porwali pannę Trost. Oni wszyscy boją się policji. Odważni są tylko w swoich górach. Teraz są jak zagubione owce.

- Rosjanie?

Hamedow odchrząknął i zagłębił się na powrót w swoim fotelu.

- Rosjanie są zdolni do wszystkiego. Absolutnie wszystkiego. Rosjanie to zwierzęta. Ale po co, myślę sobie, mieliby porywać pannę Trost? Rosjanie chcą być przyjacielem Ameryki, żeby zaważać waszymi pieniędzmi, żebyście odwrócili wzrok, kiedy będą zabijać czeczeńskie babcie. Myślę, że człowiek, który ufa Rosjanom, jest głupcem. Ale po co mieliby porywać pannę Trost?

- Niech pan mi powie, Hassan-bey. Pańska wiedza jest o wiele rozleglejsza od mojej.

Generał przejechał łapą po brodzie, wycierając alkoholowy pot.

- Wie pan, co myśli Hassan Hamedow? Myślę, że być może panna Trost ma kochanka. Może uciekła gdzieś ze swoim kochankiem. Azerowie są bardzo czarujący. - Upuścił niedopałek papierosa na dywan i wytarł nos rękawem.

- A co z martwym kierowcą?

- Może to był zazdrosny kochanek. Może panna Trost miała dwóch kochanków. Albo i więcej. Proszę mi wybaczyć, że tak mówię, ale wazę kobiety to lwice.

- Kilka razy spotkałem Kelly Trost. Nigdy nie odniosłem wrażenia, żeby seks był jej priorytetem.

Generał uśmiechnął się. Na twarzy już pojawił mu się lekki zarost, mimo iż rano się golił. - Jak mężczyzna z pana doświadczeniem może mówić takie głupstwa? Wszystkie kobiety chcą seksu. Tylko o tym myślą. I oczywiście o pieniądzach.

- Odłóżmy na razie na bok teorię na temat kochanka.

- Ale nigdy nie można ufać zazdrosnemu kochankowi. Mężczyznami Azerbejdżanu targają wielkie namiętności.

- Myślę, że spokojnie można założyć, że nie jechał za nią do granic nieprzyjacielskiego terytorium. - Burton nie miał ochoty już się więcej uśmiechać. - A azerbejdżańska frakcja dysydentów? Może grupa Gyandzha. Chętnie skompromitowaliby prezydenta Aliewa.

Hamedow splunął na dywan. - To ściierwa. Nikt nie spadł niżej. Są gorsi od Ormian. Gorsi od Rosjan. To zdrajcy. Ścieki ziemi. Ale nigdy nie porwaliby panny Trost.

- A to dlaczego?

Generał wykonał gest, jakby łamał coś o swoje kolano. - Bo złamałiśmy im kręgosłup. Są skończeni. Nic po nich nie zostało. Trochę ludzkiego śmiecia, którego nie chciało się nam sprzątnąć. Poza tym, nie chcą sściągać na siebie więcej uwagi Amerykanów. Chcieli obalić rząd, żeby sprzedać Ameryce ropę. Więc nie mogą najpierw was rozgniewać. Myśla, że zjawi się tu CIA i wasza piechota morska, i wtedy nigdy im się nie uda dokonać przewrotu. Robaki z Gyandzha nie porwały panny Trost.

- Może to był gwałt i porwanie?

Generał wyprostował się na krześle. - Mężczyźni z Azerbejdżanu nie gwałcą kobiet. Nie muszą. Wszystkie te historie, które opowiadają Ormianie, to kłamstwa. Perfidne kłamstwa, które śmierdzą jak ścieki Erewania. - Generał skrzywił się. - Ja też widziałem pannę Trost. Nie wygląda jak gwiazda filmowa.

- Ma niezłą prezencję. Dopiero skończyła studia i przechodzi teraz etap pod tytułem „nie chcę dobrze wyglądać, gdyż zależy mi na odszukaniu prawdy”.

- Co?

- I jest blondynką. To na tych terenach zawsze atrakcyjna cecha.

- Wygląda na chłopczycę.

- Więc kto to zrobił? Jedna frakcja próbująca skompromitować inną? Podwójna intryga?

Hamedow uśmiechnął się i zapalił następnego papierosa. - Widzi pan? Rozumuje pan jak jeden z nas. Mógłby pan zostać moim najlepszym partnerem w interesach. Tu, na Zakaukaziu wszyscy kłamią. Oprócz mężczyzn z Nakiczewanu. Więc... myślę, że mógł to zrobić dosłownie każdy.

Burton uniósł rękę wnętrzem do góry. Okay. Skończmy to pieprzenie. W pokoju panowała duchota i unosił się zapach brandy i dymu, ale Hamedow nie pomyślał o tym, żeby włączyć klimatyzator, urządzenie tureckiej produkcji, które działało podczas ostatniej wizyty Burтона. Czy generał chce go złamać temperaturą?

- Zdaję sobie sprawę, że amerykańska polityka czasem wygląda na bardzo skomplikowaną - powiedział Burton. - A nawet wewnętrznie

sprzeczną, Hassan-bey. Ale coś panu powiem. Prosto i jasno: ojciec Kelly Trost to senator Mitch Trost. O tym już pan wie. Jednak zawiódłbym pana jako przyjaciel, gdybym panu nie powiedział, że senator Trost to bardzo wpływowy człowiek. Ma władzę, dzięki której może kształtować wyniki głosowań w Kongresie. Jest tak potężny, że mógłby nawet zablokować posunięcia naszego prezydenta. A już na pewno jest w stanie wstrzymać amerykańskie poparcie dla tak mało ważnej sprawy jak rurociąg doprowadzający ropę naftową. A jeśli Stany Zjednoczone nie poprą projektu zakaukaskiego rurociągu, Europejczycy nabiorą obaw. Wszyscy zwrócą się ku Rosjanom i rurociąg zostanie skierowany na północ. Niepodległość Azerbejdżanu nie otrzyma międzynarodowego poparcia i uwagi na jakie zasługuje. - Burton zrobił przerwę, jakby czytał poezję na głos i dodał. - A pieniądze za ropę trafiają prosto do Moskwy.

Generał otworzył usta, żeby się odezwać, ale się powstrzymał. Położył w połowie wypalonego papierosa na krawędzi stołu i znów strzelił kostkami palców, pocąc się obficie na karku. Nagle wstał i podszedł prosto do klimatyzatora. Włączył go i zaklął. Następnie stanął tyłem do okna, przez co jego twarz tonęła w mroku.

-Co musimy zrobić? Jak możemy pomóc naszym amerykańskim przyjaciółom? Już mówiłem, że zrobimy wszystko...

-Musimy znaleźć Kelly Trost. Żywą.

Generał potrząsnął głową. Kiedy się odezwał, jego głos nie był już tak pewny siebie, za to o wiele szerszy. - Gdybym wiedział, kto to zrobił... błagaliby o łaskę śmierci. - Wrócił do Burtona i znów usiadł, zapominając o papierosie dymiącym na stole. Był przejęty albo chciał sprawiać takie wrażenie, a to już wystarczyło Burtonowi. - Teraz powiem panu coś, czego, moim zdaniem, pan nie wie. - Miał brązowe, ciepłe oczy, w których czał się morderczy wyraz. - Tak, śledziliśmy pannę Trost. Jeździł za nią samochód z dwoma ludźmi. Znaleźliśmy ich, jak sobie odpoczywali po posiłku. Już nie żyją. Dostali po kulce w głowę. Przynieśli wstyd moim służbom. Musiałem to wyjaśnić naszemu prezydentowi, co go bardzo zmartwiło i to przed samym wyjazdem na spotkanie na szczycie WNP. - Machnął swoją rzeźniczą ręką. - Myślę, że ludzie, którzy to zrobili, nie boją się nas. Dlatego bardzo się martwię o pannę Trost.

Burton położył marynarkę i krawat na siedzeniu dla pasażera w dziupie, przypiął do paska telefon komórkowy i kazał szoferowi zawieźć się do ambasady i czekać, aż zadzwoni. Chciał przez chwilę pobyc sam.

Czas na myślenie. Poza tym, szofer był na liście płac Hamedowa, a Burton nie był w nastroju, żeby znosić tak bezpośrednią inwigilację.

Przeszedł ulicą Istiglatiyat, obok ściany starej cytadeli po prawej - reliktu dni, w których Baku było gniazdem piratów i chanów. Po lewej stronie chylące się pod ciężarem lat oszklone balkony i stare drzewa ocieniały boczne uliczki. Z odległości jednej przecznicy przedstawiało to malowniczy widok. Z bliska widać było ruiny i śmieci. Rankiem można było zobaczyć, przez otwarte dla ochłody drzwi, kobiety o złotym uzębieniu przygotowujące obiad dla rodziny. Burton lubił chodzić bocznymi uliczkami, słuchać i uczyć się; zanurzać się w tym świecie, na tyle, na ile mógł to zrobić ktoś z zewnątrz. Inność tego świata zazwyczaj go intrygowała, ale teraz po nie przespanej, zmarnowanej nocy, ściany starej fortecy wyglądały jak wały broniące się przed postępem, a ulice tchnęły odrzucającym kramarstwem. Zobaczył, jak młody mężczyzna o wąskich biodrach wyrzuca butelkę do ścieków. Na skraju pstrokatego parku emeryci wyprzedawali swoje biblioteki i pamiątki rodzinne - w rzeczywistości kupę śmiecia - a wokół kręciły się bezrobotne typki. W kiosku można było wymienić pieniądze i kupić rozpuszczone lody. Kobiety o odsłoniętych twarzach, ubrane w lekkie bawełniane sukienki i buty na wysokich obcasach - ulubione narzędzie damskich tortur - pracowały tutaj za symboliczne pieniądze. Przy fontannie dwoje mokrych od potu Skandynawów jadło kanapki rozłożone na papierze na kolanach, a młoda matka-Szecherezada w dżinsach pchała wózek w stronę Muzeum Poezji. Myśl o Muzeum Poezji, unikalnej instytucji, jeśli Burton się nie mylił, znów kazała mu pomyśleć cieplej o Azerach. Być może przejęli najgorsze cechy po niezliczonej ilości najeźdźców, którzy przetoczyli się przez ich kraj, ale Burton przyznawał dodatkowe punkty ludziom, utrzymującym muzeum poświęcone własnym poetom. Nawet jeśli połowę z nich przywłaszczyli sobie ze starożytnej Persji. Burton spędził wiele czasu pocąc się w tym muzeum, próbując odczytać pismo w pomieszczeniach, w których nigdy nie otwierano okien. Nizami z Gyandzhy też był uchodźcą, poetą, idealizującym czasy, kiedy to perscy książęta zakochiwali się w ormiańskich dziewczętach o cerze koloru kości słoniowej. Nizami relaksował Burtona jak spokojny jazz, muzyką utkaną ze słów, improwizacją erosa. W wolnych chwilach przekładał Nizamię, głównie dla własnego użytku, ale nie wykluczał, że kiedyś mógłby wydać tomik jego wierszy.

Przypomnij sobie białą postać w wodzie
Kobietę zrodzoną z róż
Dającą zapach wiośnie...
Ojczy! Za odległymi górami

Odnalazłem miłość bez granic
Kopyta mego konia dopraszają się drogi...

Słowianka o tlenionych włosach ściągnęła go z powrotem na ziemię. Ubrana była w tanie krzykliwe kolorowe ubranie, które Rosjanki mylą z wyrafinowaniem. Przywiodła mu na myśl Kelly Trost, choć nie było między nimi najmniejszego podobieństwa. Baku - niewielkie miasto, jeśli chodzi o cudzoziemców - sprawiło, że kilka razy wpadł na Kelly Trost na imprezach i przyjęciach w ambasadzie. Przedstawiała sobą typ osoby dającej się lubić - nawet kiedy człowieka wkurzała. Ta młoda kobieta szczerze chciała zmienić świat, mimo iż duża część jej zaangażowania służyła budowaniu własnego wizerunku. Programowo antymilitarystka nie denerwowała Burtona, ponieważ traktował jej nastawienie jako okres przejściowy. Podejrzewał nawet, że może wyrosnąć na interesującą kobietę.

Jeśli pożyje dostatecznie długo.

Ile kart ukrywa Hamedow? Burton był przekonany, że nawet jeśli generał nie wie, kto porwał dziewczynę, poruszy niebo i ziemię, żeby się tego dowiedzieć. A pojawienie się Dicka Fleminga, przedstawiciela Cwaniaczków Naftowych, trzeba będzie jeszcze przeanalizować. Generał, co prawda, maczał palce w wielu sprawkach, ale nie istnieje żaden logiczny powód, dla którego należałoby łączyć Fleminga z jakąkolwiek inną sprawą poza starym dobrym złodziejstwem.

Burtona najbardziej frustrował fakt, że nie wie, od czego zacząć. Znajdował się w kraju, w którym Żydzi sprzymierzali się z Turkami przeciwko Rosjanom i Irańczykom i gdzie nikt nie ufał nikomu poza członkami własnej rodziny. Miejscowi zabijali się nawzajem za postępkę, które popełniono kilka pokoleń wcześniej. A powietrze śmierdziało ropą. Ropa warta setki miliardów dolarów, czekała tylko, żeby zalać rynek. Baku to była gorączka złota w Kalifornii, tyle że cierpiąca na rosyjskiego kaca. Każdy bankrut z paszportem był już w Baku, próbując ogłosić się nowym Armandem Hammerem*. Oni wszyscy mogli porwać Kelly Trost. I to dla tak głupich, naiwnych, cynicznych czy idiotycznych powodów, że człowiek, który ma choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie zdoła się w tym połąpać, aż będzie za późno. Marzył, żeby porywacze się ujawnili i przedstawili swoje żądania albo skontaktowali się z ambasadą i zrobili to samo. Gdyby tylko wpadł na jakiś trop, nawet najmniejszy, mógłby puścić w ruch swoją maszynę kontaktów, zgłosić się po przysługę, którą wiele osób było mu winnych. Czuł, że gdyby

* Amerykański biznesmen (1898-1990) znany z bliskiej przyjaźni z radeckimi przywódcami [przyp. red.].

miał się na czymś oprzeć, wyciągnąłby potrzebne informacje. I wszyscy wróciliby żywi do domów.

Skreślił do kafejki na rogu ulicy Nizami, usytuowanej naprzeciw prywatnego banku o fasadzie wykonanej ze szkła i drewna, imitującego bliżej nieokreślony styl europejski. Ta część Baku z całych sił garnęła się do świata zewnętrznego. W butikach sprzedawano tureckie podróbki mody włoskiej, firmy reklamowały swoje szemrane produkty za pomocą agresywnych graficznie plakatów, a małe supermarkety podawały ceny importowanych produktów w twardej walucie. Ale Burтона interesowała „Cafe des Artistes”. Kawiarnia była cudownie klimatyzowana i przedstawiała sobą nietypowy widok: łączyła w sobie odrobinę Azji Centralnej, restauracji z lat pięćdziesiątych i próbę imitacji paryskiej kafejki. Podawano w niej wiedeńskie ciasta, hamburgery i kebab.

Przy głównym barze zamówił turecką kawę i wodę mineralną, po czym przeszedł do lady z ciastkami i wybrał talerzyk beżów do połowy zatopionych w czekoladowym puddingu i posypanych orzeszkami pistacjowymi. Świadomy swojej słabości do czekolady, zwykle przychodził do kawiarni w# pojedynkę, mianując ją Oficjalnym Miejscem do Rozmyślań Numer Cztery. Tylko Heddy wiedziała, jak bardzo jest uzależniony od ziarna kakaowego, ponieważ wykorzystywał ją do importu niemieckich batoników Ritter Sport - prawdziwego przewrotu w dziejach czekolady. Delektował się smakiem, próbując jednocześnie zmusić zmęczony umysł do pracy. To rzeczywiście mogli być Ormianie chcący skompromitować Azerbejdżan. Albo Irańczycy czy Rosjanie, żeby pokazać rządowi Stanów Zjednoczonych, że Azerbejdżan to niespokojna okolica, nie nadająca się do inwestowania dolarów w rurociągi. Albo Azerowie pragnący podwójnie uderzyć w Ormian. Mógł ją porwać jakiś lokalny watażka ze słabością do blondynek jako zabawkę do pieprzenia. Terrorysty. Patrioty. Oszołomy. Jest w czym wybierać. Kelly Trost mogła stać się przypadkową ofiarą, a nie świadomym celem porwania. Jak jabłko zerwane z przydrożnego drzewa.

- Tylko trzymaj tyłek przy życiu, dzieciaku, a znajdę cię - odezwał się Burton do pustego krzesła po drugiej stronie stołu.

Pozwolił sobie na drugą filiżankę kawy, zastanawiając się do którego urzędu teraz uderzyć. Nie był to najlepszy sposób działania - błaganie urzędników o okruszki ze stołów, choć oni sami mogli absolutnie nic nie wiedzieć - ale Burton nie był detektywem i nie znał innej drogi.

Do cafe wszedł starszy mężczyzna, który przykuł jego uwagę. Pomimo upału miał na sobie znoszony kaukaski kapelusz, a na jego strój

składały się sprane spodnie i koszula w zachodnim stylu oraz długa tunika, przewiązana paskiem. Miał białozłote włosy i brodę, a jego twarz przypominała rodzinę. Przybył prosto z gór, może żeby wykupić syna z wojska. Wydawał się zszokowany zmianami, jakie tu zaszły od jego ostatniego pobytu.

Stał przed barem z rękami zatkniętymi za pasek i uniesioną twarzą. Próbował odczytać menu umieszczone na ozdobionej dywanem ścianie. Jeśli umiał czytać, w swoim życiu przeszedł od perskiego pisma do cyrylicy. Teraz jego stare oczy napotkały zlatynizowany alfabet zapożyczony przez ludzi głodnych Europy i Ameryki, którą znali z filmów wideo i gazet. Studiował listę dań i cen jak pismo święte. Wyglądał na bezbronno i całkowicie zagubionego w czasie. Burton miał mu właśnie zaproponować siebie w roli tłumacza i być może wciągnąć mężczyznę w jakąś interesującą rozmowę, kiedy w mgnieniu oka znalazł się na podłodze. Bomba roztrzaskała okna od strony ulicy Nizami i uderzyła z taką siłą, że przemeblowała wnętrze kawiarni. Po chwilowej ciszy, rozległy się krzyki i jęki, a Burton szybko dokonał inwentaryzacji własnych części ciała. Wtedy zaczęła się strzelanina. Nieuzbrojony Burton rozpląszczył się na podłodze, krzycząc, żeby pozostali zrobili to samo. Na ulicy zaterkotała broń maszynowa. Dywany na ścianach szatkowały nieregularne serie pocisków. Burton zobaczył krew nieopodal, ale nie należała do niego. Po podłodze czołgała się krzycząca histerycznie kobieta.

Regularna bitwa. Pomiedzy seriami, kiedy na krótko zapadała cisza, rozlegały się donośne krzyki mężczyzn. Początkowo Burton chciał zaliczyć atak na poczet kolejnej próby zamachu stanu, ale szybko zmienił zdanie.

Porachunki mafijne.

Kolejna seria kul przeszła restaurację i Burton przekreślił się, żeby podczołgać się do lepszej kryjówki. Wtedy zobaczył starca. Stał z szeroko otwartymi ustami i wyrazem zdumienia w oczach. Zrobił obrót, machając rękami w zadymionym powietrzu jakby tańczył w zwolnionym tempie, a jego tunika zawirowała. Burton przygotował się, żeby powalić starca na ziemię, ale przyszło mu do głowy, że to może mu wyrządzić większą krzywdę niż kulka. Wziął więc go na ręce jak dziecko i przebiegł po gruzach, chowając go za ladą z ciastkami.

- Schył się - powiedział Burton, gestykulując na wypadek, gdyby jego słowa nie zostały zrozumiane. Ale stary człowiek już otrząsnął się z szoku. Zrozumiał. Zamiast się schować, wyciągnął zza paska kindżał i ruszył w kierunku drzwi, krzycząc coś, co mogło być jedynie stekiem przekleństw w jakimś górskim dialekcie. W odróżnieniu od Azerów z

terenów nizinnych, ludzie gór nigdy nie unikali walki. Tym razem złapał go od tyłu za ramiona i szarpnął do dołu. Nóż wypadł starcowi z ręki.

-Słuchaj - powiedział Burton w swoim najlepszym tureckim - potem będziemy walczyć. Oni mają pistolety maszynowe.

Ale walka już się skończyła. Z końca ulicy rozległo się jeszcze kilka pojedynczych strzałów i ich miejsce zajęło wycie syren. W kawiarni aż wrzało od okrzyków przerażenia i ogólnego zamętu. Było też trochę krwi, ale zdaniem Burтона niewiele osób ucierpiało. Latające szkło poraniło niegroźnie kilka osób. Dużo krwi, ale małe zagrożenie, pod warunkiem, że okrucy nie dostały się do oczu. Kiedy otarł twarz, na palcach zostały ślady krwi.

Ponieważ nie czuł się już potrzebny, wyszedł na ulicę. Klienci kawiarni mieli szczęście. Na ulicy i chodniku leżało sporo wijących się z bólu ofiar. Przyjaciele, rodzina, kochankowie wybiegali ze swoich kryjówek, wołając bliskich po imieniu i krzycząc z rozpacz po odkryciu prawdy. Na końcu deptaka, ochroniarz w oliwkowym mundurze polowym i czarnym berecie wpakował cały magazynek trzymanego jedną ręką pistoletu maszynowego w drgające jak po porażeniu prądem ciało. Na chodnik polała się krew.

Napad na bank. Świeżo odremontowany budynek dymił z dziury podobnej do jaskini. Wokół pełno było strzępów mebli i ubrań. Burton myślał, że patrzy na odłamek spalonego gruzu, kiedy okazało się, że to pozbawiony rąk i nóg ludzki korpus. Obrobili bank. Na zatłoczonej ulicy. W strefie dla pieszych, gdzie nie można było nawet zaparkować samochodu potrzebnego do ucieczki.

Oszalała matka biegła w tę i z powrotem z krwawym zawiniątkiem, kryjącym niemowlaka. Usta miała wykrzywione krzykiem. Burton też był zszokowany. Samym wybuchem i bezsensownością ataku. Ale siłą woli otrząsnął się z szoku. Zanim ruszył w swoją drogę, podszedł do niego stary mężczyzna, znów z kindżalem w ręku. Ale trzymał broń lekko i niedbale, a jego mina świadczyła dobitnie, że ten rodzaj przemocy zdumiał go o wiele bardziej niż menu cafe. W górach okrucieństwo zawsze ma jakiś powód. Przemówił do Burтона, szukając pokrewnej duszy, ale Burton nie rozumiał jego dialektu. Oczy starca miały niebieski kolor, typowy dla Kirgiza i w równym stopniu zdradzały symptomy jaskry, jak i absolutnego zdumienia. Burton posłał mu zmęczony uśmiech i powiedział:

-Jak w chińskiej dzielnicy.

Potem zostawił mężczyznę samemu sobie i z paska zrobił opaskę uciskową dla trzęsącej się, pozbawionej nóg dziewczyny, która już nigdy nie znajdzie męża.

3

Mitch Trost cenił ćwiczenia fizyczne i psychologiczne zalety systematyczności. Wstał wystarczająco wcześnie, żeby złapać resztkę porannego chłodu. Po zapłaceniu myta prostacie, włożył strój do joggingu, włączył ekspres do kawy, przez minutę porozciągał się na schodkach wejściowych, po czym zanurzył się w zielono-czarne cienie Georgetown.

Duch Kelly gonił go aż do Ulicy M i przez most prowadzący na Pennsylvania Avenue, gdzie wakacyjni studenci z uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona podtrzymywali się nawzajem w drodze powrotnej z piątkowych imprez. Dwie dziewczyny, zbyt młode, żeby martwić się kondycją, spjrzały przez niego, jak przez szkło. Ładniejsza z nich miała w nosie kolczyk, a włosy ufarbowane na kolor obsydianu, ale Trost bez trudu wyobraził ją sobie jako gospodynię domową z przedmieścia za jakieś dziesięć lat. Kelly, tu trzeba jej oddać sprawiedliwość, nigdy nie dała się wciągnąć w ten pozorny bunt. Chociaż, doszedł po chwili do wniosku, może lepiej byłoby, gdyby jego córka okazała się bardziej powierzchowna. Lepszy przekłuty pępek w domu niż kulka w wiosce na zadupiu.

Nie. Nie kulka. Nie wolno mu nawet tak myśleć.

Przebiegł aleją wzdłuż Old Executive Office Building z szarego kamienia, otoczony kwitnącą lawendą i różami. Rozmyślając o miejscu pobytu córki minął Biały Dom. Wróci z joggingu, zje śniadanie, ubierze się i stawi czoło zręczliwemu działowi prasowemu, niezadowolonemu z faktu, że będzie miał zepsuty weekend. Potem spróbuje złapać każdego, kto może pomóc. Oczywiście duszy widział już ten dzień jako pełen rozczarowań i frustracji, nienawidząc swojej niemocy w nagięciu świata do swoich potrzeb ten jeden raz, kiedy to naprawdę ważne.

Wrócił po swoich śladach z poprzedniego wieczoru po Pennsylvania, a następnie skręcił w Siódmą Ulicę, nie chcąc dotrzeć tego ranka aż do Kapitolu. Przy Chinatown Gate zawrócił. Czarny mężczyzna, ubrany w porwane spodnie amerykańskiej armii, siedział oparty o ścianę przy

wejściu do metra, budząc się powoli, a nieopodal zatrzymał się hałaśliwie poranny autobus.

Dom będzie opustoszały, kiedy wróci. Laura chciała zostać na noc, żeby dodać mu otuchy, ale dobrze wiedział, że to babski sposób wprowadzania się na stałe. Uwielbiał kobiety, ale wolał utrzymywać je na bezpieczną odległość. Lubił towarzystwo kobiety podczas rozkwitu związku na samym jego początku albo wtedy, gdy kobieta, której nie doceniał, czymś go zaskakiwała. Mężczyzn Mitch Trost stawiał nieco wyżej i miał tysiące znajomych, ale żadnych bliskich przyjaciół - chociaż kilku facetów uważało się za jego wyłącznych powierników. U kobiet cenił ten szczególnie rodzaj uległości, u mężczyzn solidność i użyteczność. Biegając wzdłuż ohydneho centrum kongresowego, zastanawiał się, czy tej filozofii wstrzemięźliwości nie zastosował przypadkiem w stosunku do swojej córki, jedynej osoby, którą jego zdaniem kochał ponad miarę. Co, na Boga, Kelly tam robiła? Czego próbowała dowieść? Po co zadawała się z bandą brudasów, którym zależało na pracy nad własnym charakterem, jak bezrobotnemu z niespłaconymi ratami za przyczepę. Była wystarczająco ładną dziewczyną, choć nie piękną, do tego bystrą i utalentowaną. Mogła pracować w Waszyngtonie albo przejąć po matce nadzór nad farmą koni w Fauquier, lub robić cokolwiek innego. Gdzie popełnił błąd? Starał się przestrzegać zasad dobrego ojcostwa i wmówił sobie, że są z Kelly przyjaciółmi. Nawet udawał, że konsultuje z nią, jak ma głosować w sprawach społecznych i nigdy nie tknął żadnej z jej koleżanek z koledżu, choć ewidentnie miał u nich szanse.

Na widok betonowej Ulicy H aż go odrzuciło, więc skręcił w stronę Massachusetts, otoczonej drzewami i zaniedbanymi ambasadami. Spocił się porządnie okrążając DuPont Circle i zignorował czerwone światło na przejściu dla pieszych. Przed Starbucks łysy ubrany w skórę mężczyzna z kolekcją srebrnych kolczyków w uchu, siedział w kucki na ziemi i łkając tulił do piersi duży miękki kapeć.

Trost biegł w gęstniejącym powietrzu i niemal dotykającym światłem. Pokonał kilka przecznic wzdłuż Embassy Row i skręcił w lewo przy hotelu „Ritz-Carlton”, żeby dotrzeć do wiaduktu nad Rock Creek Parkway, podczas gdy sobotnie miasto budziło się szerokim ziewaniem. Kiedy wrócił do Georgetown, poczuł ból w nogach, jak stary koń, który widzi już wejście do stajni. Utrzymywał dobrą kondycję z próżności i przekonania, że życie mężczyzny kończy się z chwilą, kiedy przestaje robić wrażenie na kobietach. Ale jego krok z biegiem lat stawał się wolniejszy.

Znów będzie się musiał zobaczyć z MacCauleyem, a to nigdy nie należy do przyjemności. Pan Ziemiaczana Głowa z CIA wyjechał z

miasta, a służalcze psy na pewno będą teraz głośniejsz szczekać. Przewodniczący Kolegium Szeów Sztabów ma kontakty w tamtej części świata i mógłby wpłynąć na lokalne oddziały. Ten człowiek jest w stanie puścić w ruch wywiad wojskowy. W Białym Domu liczono w tym tygodniu na głos Trosta, więc przynajmniej jeden z moralnych karzełków powinien zadzwonić do niego, żeby przekazać wyrazy zaniepokojenia prezydenta i głębokie współczucie pierwszej Damy.

Zamierzał wykorzystać swoje stanowisko, wycisnąć z niego, co się da i nie dbał o kwestie etyki. Kelly jest ważniejsza. Trost wyobraził sobie mgliście, jak wykorzystuje ją banda nieogolonych facetów z Kaukazu i zatrząsł się, jakby temperatura spadła o dwadzieścia stopni. Otworzyły się drzwi i na ganek wyszła po gazetę kobieta w błękitnym szlafroku. Wysokie domy i drzewa trzymały chłód dłużej niż reszta miasta i Trost był spocony, ale nie wykończony, kiedy przeszedł z biegu do marszu. Na następnej przecznicy czekał na niego jego dom: wyjątkowo puste miejsce tego ranka. Parter i dwa piętra filadelfijskiej architektury o fasadzie z czerwonej cegły, do tego archiwum i biblioteka w podziemiu. Całość zbudowana przez generała z Unii, który przeszedł w stan spoczynku, żeby oszukiwać weteranów, sprzedając im fałszywe akcje kolei.

Na schodach wejściowych znów się porozciągał, czując, jak ochłodzone mięśnie stawiają opór. Kelly jest dla niego wszystkim. Bez niej nic nie ma sensu. Ryzyko utraty którejkolwiek kochanki nie dotknęło go nawet w jednej dziesiątej tak boleśnie. Podniósł gazety i wyjął klucze z małej sakiewki wszytej w pasek szortów. Kiedy otworzył drzwi, poczuł aromat kawy. Zapikał system alarmowy. Najpierw napił się wody mineralnej, żeby nawodnić organizm i z butelką w ręku wrócił do przedpokoju, żeby zdjąć buty do biegania i skarpetki. Na ścianie tuż przy wejściu wisiały fotografie rodzinne zamierzchłych przodków o niemieckich korzeniach, demokratycznie umieszczone wśród głównej gałęzi prawdziwych i fałszywych kwaków, w rodzinę których udało się wżenić jego ojcu, dzięki politycznemu stanowisku i koncie w banku. To, właściwie, nie było tak. Jego ojciec się nie wżenił. Raczej jego matka popęlniła mezalians. Wiedział, że przez swoje mrzonki o talencie artystycznym, matka skompromitowała swoją rodzinę. A ojciec, arystokrata urodzony w rodzinie półalfabetów, która zbiła fortunę na antracycie, ożenił się wbrew woli swojego mentora - gubernatora. Ożenił się z miłości. A to oznaczało, że jego ojciec nie zyska nigdy pozycji wyższej od senatora. Matka była absolutną egoistką, fizycznie kruchą, prawdopodobnie chorą psychicznie, ale piękna urodą z rodzaju tych, które

domagają się portretu, a nie fotografii. Zaangażowana społecznie Kelly, z tymi swoimi mięśniami i sprawnością pływaczki, w dzinsach i podkoszulku, tak dalece różniła się od swojej babki, na ile pozwalały jej więzy krwi.

A teraz i ją mu odebrano. Nalał sobie filiżankę bardzo czarnej kawy i zauważył światelko na automatycznej sekretarce w kuchni. Włączył odsłuchiwanie, spodziewając się wiadomości od Ruby Kinkiewicz, dotyczącej pytań od prasy lub jakiejś nowinki, ale usłyszał męski obcy głos. Trost zaniepokoił się: miał zastrzeżony i skrzętnie ukrywany numer telefonu.

Mężczyzna mówił z akcentem ze Środkowego Zachodu, głosem zdradzającym raczej stanowczość niż inteligencję, z typowym dla biznesmena pośpiechem:

- Panie senatorze, mówi Bob Felsher z Oak Leaf Oil. Przepraszam, że dzwonię do domu, ale chcielibyśmy panu pomóc w miarę możliwości. Przedstawiciel naszej firmy w Baku skontaktował się ze mną na moim jachcie i poinformował mnie o incydencie związanym z pańską córką. Panie senatorze, my mamy świetne kontakty w tamtej części świata oraz ludzi z doświadczeniami do miejsc, do których nie dociera rząd amerykański. Pracują tam dłużej niż istnieje nasza ambasada. Kazałem naszemu człowiekowi - Dickowi Flemingowi - rzucić wszystko inne i sprawdzić, czy byłby w stanie odszukać pańską Kelly. Gdyby znalazł pan trochę czasu, chciałbym panu przedstawić naszą ocenę sytuacji i możliwości działania. - Zostawił domowy telefon z numerem zaczynającym się od cyfr, które Trost rozpoznał jako okolice Potomaku. Maryland, dom wielu sponsorów kampanii.

W pierwszym odruchu Trost poczuł oburzenie. Jego numer telefonu był równie tajny jak kod do uruchomienia głowic nuklearnych. Jak ten cały Felsher go zdobył? Trost nie sądził, żeby go nawet kiedykolwiek spotkał, chociaż w Waszyngtonie tego nigdy nie można być pewnym. Tylko że ropa to nie jego działka i w kwestiach energetycznych głosił zgodnie z linią partyjną. Może podał kiedyś rękę temu mężczyźnie na oficjalnym przyjęciu albo przedstawiono mu go w holu jakiegoś budynku. Ruby nigdy by nie dała jego numeru temu sukinsynowi. A jeśli zrobił to ktoś z jego biura, to zrobił coś takiego po raz ostatni. Trzęsąc się z gniewu Trost zdjął mokry podkoszulek i pijąc kawę poszedł na górę pod prysznic. Ale udało mu się przejść tylko połowę drogi. Zatrzymał się i rozejrzył po domu w nagłym przypiływie paniki, przeniesiony znieacka do zupełnie obcych mu pomieszczeń. Jego świat rozpadł się na kawałki, a rozmiar zniszczeń uderzył go jak gigantyczna pięść. Usiadł na krześle i rozplakał się.

-Płacę tysiącem łez, gdyż muszę pana rozczarować, panie Burton - powiedział Fahrhad. - Nie słyszałem nic o tej dziewczynie.

Burton kiwnął głową i czekał. Pod względem brzydoty wszystkie elementy hotelowego pokoju harmonizowały ze sobą. Stary regał ze sklejki ustawiony na tle ściany tak odrapanej, że wyglądała jak ekspresjonistyczny obraz. Drażniący odór z rur kanalizacyjnych mieszał się z zapachem obiadu Fahrhada składającego się z koziego sera. Klimatyzator mełł duszne powietrze, pojękując cicho. Irański napój musował w butelce jak odpady toksyczne.

Fahrhad zajmował zawsze ten sam pokój w hotelu „Azerbejdżan” z widokiem na sowiecko-gotycki Pałac Ludzkiej Bezradności i pozabawione łodzi nabrzeże, z żurawiami w tle przypominającymi rząd uschniętych drzew. To oznaczało, że azerbejdżańska tajna policja założyła w pokoju podsłuch. Niewykluczone, że i Rosjanie. Bardzo prawdopodobne, że podsłuchują przy tej samej aparaturze, ponieważ oficjalna wrogość pomiędzy rządami nie zepsuła wieloletnich dobrych stosunków służb bezpieczeństwa obu państw.

Niech słuchają, pomyślał Burton. Chcę, żeby wiedzieli, że sprawa jest poważna. Fahrhad dotknął swojej brody niczym postać z czarnobiałego filmu, wydymając usta jak do pocałunku. Na serze kłębiły się muchy. - Coś panu powiem. Jako przyjaciel. Nie wierzę, że porwania dokonał irański rząd. Nie mogę ręczyć za wszystkich Irańczyków, ale jako przyjaciel, myślę, że mogę pana zapewnić, że nasz rząd tego nie zrobił. Widzi pan, mądrzy ludzie z Teheranu - nie ci religijni bez odpowiedniego wykształcenia, ale ci mądrzy - wiedzą, że musimy robić interesy z Ameryką. Myślę, że jeszcze nie w tym roku. Ale ten czas nadejdzie. A ci ludzie chcą uścisnąć dłoń Ameryki, a nie uderzyć ją w twarz. - Fahrhad uśmiechnął się, błyskając spod wąsów białymi, mocnymi zębami. - Uśmieje się pan, panie Burton. Ale ci mądrzy ludzie nadal wierzą, że rurociąg pobiegnie na południe. To najkrótsza droga, wie pan. Przez Iran do Zatoki. I najlepsza z ekonomicznego punktu widzenia. Ta ropa nie jest dla Europy. Wasi ludzie od ropy twierdzą, że ona będzie dla Indii, Chin, dla ekspansji na rynek azjatycki. Po co więc miałyby płynąć do Morza Czarnego? Jaki w tym sens? Czy nasze kraje muszą zrobić coś tak głupiego tylko dlatego, że garstka wczorajszych mułłów i izraelskie lobby wciąż pragnie podsycać nienawiść między nami? Czy jest coś lepszego na zawarcie pokoju niż dobry interes?

-Fahrhad, mój bracie... jeśli pozwolisz, podzielę się twoimi spostrzeżeniami z naszym ambasadorem - powiedział Burton. Ambasador znał już, oczywiście, na pamięć tę śpiewkę, a to, że Waszyngton skieruje

strategicznie ważny rurociąg na południe przez Iran było akurat tak samo prawdopodobne, jak szanse zaciągnięcia się prezydenta do armii w randze szeregowego. Ale Fahrhad, nędzny kupiec bez towaru, był irańskim dyplomatą w cywilu. Skoro amerykańskim urzędnikom zabroniono kontaktów z irańskimi urzędnikami, Teheran jak zwykle znalazł dogodny sposób przekazywania wiadomości do Waszyngtonu. Obiecanie Fahrhadowi Adjami, że przekaże ambasadorowi treść ich rozmowy było ceną, jaką Burton płacił za uzyskanie w zamian pewnych informacji. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby użył pan swoich kontaktów i spróbował ustalić miejsce pobytu Kelly Trost.

Fahrhad zgonił muchę ze swojej grudy sera i owad przeleciał w drodze do łazienki obok twarzy Burтона. Ręka Irańczyka wróciła do jego brody. - Przysięgam. W imię serdecznych stosunków z moim amerykańskim przyjacielem. Gdy tylko wrócę do Tebriz, popytam wszystkich znajomych. Na bazarach wiedzą wszystko. Jeśli Irańczyk... albo Kurd, czy jakiś Turek... tknął córkę tego senatora, natychmiast wrócę, żeby pana o tym powiadomić. A nawet lepiej będzie, gdy zadzwonię do moich przyjaciół tutaj, a oni bez zwłoki przekażą panu nowiny. - Spojrzał Burtonowi w oczy. - Domyślam się, że rząd amerykański będzie wdzięczny za dyskretną irańską pomoc w tej sprawie.

Burton dotknął ręką serca. - Do końca życia nie splcę mojego długu wdzięczności.

- Życie może być długie albo krótkie. Jak Allah pozwoli. Ma pan pociętą twarz. Powinien być pan bardziej ostrożny.

- Byłem w mieście, kiedy wybuchła bomba w banku. Trafiło mnie kilka odłamków szkła.

Ręka Irańczyka zatrzymała się na czubku brody, uśmiechnął się. - Jeśli moi informatorzy się nie mylą, nie zdążył pan nawet dokończyć deseru?

Burton nie zmienił wyrazu twarzy. Wszyscy w Baku śledzą się nawzajem.

- Widok nie był apetyczny - powiedział.

Irańczyk zgonił całą chmarę much i odkroił plaster sera nożem kuchennym. Podsunął Burtonowi pod nos prostokąt zatknięty na czubku. - Zje pan kawałek?

Hol wypełniały nędzne męskie sylwetki. Ser był smaczny, ale słony, kromka chleba, którą go zagryzł, sucha, więc Burton kupił butelkę wody mineralnej. Też była irańskiej produkcji, ale wyjęto ją z lodówki, umieszczonej we wnęce przez ambitnego sklepikarza. Z oszronioną butelką w ręce wyszedł w półmrok, kiwając głową hotelowym

ochroniarzom, dwóm młodym opryszkom w wybrakowanych mundurach, uzbrojonym w izraelskie pistolety maszynowe. Bulwarem przeszedł na nadmorską promenadę, kierując się w stronę „Charley's American Bar and Grill”, gdzie obcokrajowcy mieszały się z miejscowymi, którym zależało na ich pieniądzach.

Typowy dla sobotniego wieczoru tłum spacerował po nadmorskim parku. Grupy młodych mężczyzn w czystych koszulach przechadzały się, wyobrażając sobie o wiele więcej intymnych sytuacji, niż byłoby im w stanie sprostać. Młode kobiety - nigdy w pojedynkę - paradowały ręka w rękę, wolno przebierając nogami, za to z bystrym wzrokiem. Za nimi jak detektyw szedł ktoś starszy. Oświetlenie nad brzegiem upodabniało wolno zapadający mrok do starego wesołego miasteczka. Było nawet kilka rdzewiejących dziecińczych karuzel. Za grosze można było kupić lody, po których przez tydzień oddawało się krwawy kał albo zjeść dobry kebab, skwierczący na grillach z blachy cynowej. Starsi mężczyźni grali w szachy, ukryci w cieniu i tylko kilka małych neonów, aluzji do odległego, upragnionego życia, barwiło przerwy pomiędzy zakurzonymi drzewami. Azerowie byli dobrze wychowani, radości przeżywali do głębi, a wybuchające od czasu do czasu walki na noże zazwyczaj wynikały z jakiejś honorowej sprawy, a nie z pijaństwa. Tuż przed Wieżą Dziewicy była jedna dobra restauracja z muzyką jazzową na tyle znośną, że nie musiał jej unikać. Burton szedł przy akompaniamencie „Mood Indigo” rozlegającej się w dużych głośnikach. Pustą butelkę po mineralnej wrzucił do śmietnika. Nikomu tu nie ufał, ale skłonny był przyjąć ocenę sytuacji, którą usłyszał od Fährada. W Waszyngtonie zaraz by założyli, że za porwaniem stoi rząd Iranu. A Burton tego nie kupował. Fährad ma rację. Persowie sięgnęli finansowego dna i te brodate sukinsyny wciąż wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzą, że rurociąg zostanie skierowany na południe, przynosząc im dolce za ropę i strategiczne wpływy. Tutejsi ludzie śnili na jawie i chodzili po ruchomych piaskach. Jeśli Irańczycy biorą w tym udział, nie mogą być agentami rządowymi.

„Charley's American Bar and Grill” nigdy nie stałby się celem zamachu bombowego. Była to enklawa urządzona w podziemiach hali sportowej, teraz służącej jako siedziba amerykańskiej firmy, zajmującej się usługami związanym z wydobywaniem ropy naftowej - budowniczy platform i rurociągów, zawsze byli na wygranej pozycji bez względu na to, kto w danym momencie trzymał stery. Podobnie jak kontrolowany przez mafię punkt sprzedaży detalicznej mebli skandynawskich, wypożyczalnia wideo, sklep z odzieżą damską, specjalizujący się w ekstrawaganckiej bieliźnie, będący własnością urzędników służby bezpieczeństwa

oraz salon z luksusowymi samochodami, którego właścicielami byli podobno członkowie rodziny prezydenta. Na parkingu obok starych Wołg stały nowe Volvo, Czajki, BMW i džipy, a ochroniarzy było tylu, że starczyłoby na cały pluton. Ciężarówiec przy drzwiach wejściowych ubrany był w krzykliwą dwurzędową marynarkę w kolorze ceglстым, a pod pachą miał takie zgrubienie, że zmieściłaby się tam armata.

- Świetnie wyglądasz, Szamil - powiedział Burton.

- Mam dla pana niezłą dziewczynę - odpowiedział Szamil, ale Burton już był w środku i kierował się na schody. Już słyszał hałasy z baru - teksaski śmiech, rubaszne kawały znad Morza Północnego, paryskie obietnice i uniwersalny bełkot. „Charley's” to było „Rick's” z „Casa-blanki” lat dziewięćdziesiątych, gdzie koszulki polo zastąpiły biały garnitur Bogarta. Stali bywalcy zawierali interesy dotyczące ropy naftowej warte setki milionów zamiast grać w ruletkę za kilka franków. Opryszki z obozów rozbitych na nizinach uskarżały się na węże, a spocyny mężczyzna w garniturze od Armaniego, narzekał, że wszystkie filtry sprowadzone ekspresowo z Frankfurtu mają nieodpowiednią gęstość. „Charley's” oferował zachodnie alkohole i piwa, curry i hamburgery, a ściany pokrywały karykatury klientów. Burton też się tam znajdował. Najpierw obok Heddy, ale poprosił Charleya, rodowitego Pakistańczyka, żeby przeniósł jego rysunek na mniej eksponowane miejsce. Obsługa rekrutowała się z Hindusów, Pakistańczyków, Irlandczyków, Azerów - życzliwych, zapominalskich i skorych do flirtowania. Brak pianina rekompensowały nieco przestarzałe rockowe nagrania odtwarzane na japońskim sprzęcie. Było to miejsce, gdzie cierpliwy człowiek z odrobiną pieniędzy mógł się dowiedzieć wielu rzeczy.

Burton przecisnął się przez tłum do baru, gdzie nacierze z dużymi bicepsami i jeszcze większymi brzuchami wychylali kilka głębszych. Żaden z tych ludzi, których dewizą było „wierć aż do upadłego”, nie wspomniał o Kelly Trost, ale pewien kierownik robót przeklinał lokalne władze za kolejną podwyżkę ceł importowych na sprzęt potrzebny do eksploracji dna morskiego. Nie rozumieją, że podcinają gałąź, na której siedzą? Czy ambasador nie może z tym czegoś zrobić? W tle słychać było wycie zespołu grunge na kompakcie. Kuwejtczyk z Uniwersytetu stanu Teksas wcisnął Burtonowi piwo Tuborga do ręki, opowiadając mu smutnym głosem po raz setny, jak bardzo mu brakuje sobotnich wieczorów na Szóstej Ulicy.

- Kobiety z Austin - rozczulił się rozmówca Burtona - z tymi złotymi cholernie pięknymi włosami! Nie boją się człowieka! - Na jego

twarży pojawił się wyraz rozmarzenia. - Urodziłem się, żeby być Teksańczykiem!

Wreszcie Burton dotknął żebrami baru i spytał szefa barmanów, jakie krążą plotki na temat Kelly Trost.

- Nic sensownego, jeśli chce pan wiedzieć. - Eamon prawie krzyczał mu do ucha. - Zgwałcona przez jakąś bandę i wrzucona do rowu, tak mówią. Kto panu pociął twarz?

- Kto tak mówi?

- Głównie Bernard, małe francuskie gównno, któremu nie chciała dać. Pobożne życzenie, wie pan? Pieprzony żabojad nic nie wie. Tacy nigdy nie wiedzą. Ale sprawa jest paskudna, co? Kelly to fajna dziewczyna.

- Czy kiedykolwiek zadawała się z miejscowymi, Eamon?

Barman roześmiał się. - Taka królewna? Ucisnąć rączkę i owszem, ale żadnych słodkich buziaczków. Myślę, że nie poszłaby do łóżka nawet z Irlandczykiem, chociaż nigdy nie pytałem. Nie mój typ - wszystko bierze na poważnie. Takich miałem dosyć w starym dobrym kraju. Heddy tu nie ma, jeśli właśnie miał pan spytać. Za to pęta się tu pełno reporterów. Zadają mnóstwo pytań, a nie słuchają odpowiedzi. I nigdy nie dają napiwków. Cholerni dziennikarze.

- A Razim?

- Księżę Złodziei? Jest mi winien nowy pieprzony gaźnik, za który byłem tak głupi, że zapłaciłem mu z góry. Ale pewnie się pojawi. Wyrywę mu jaja lewą ręką.

- Dzięki, Eamon.

- Spoko, Evan. Wciąż uważam, że ma pan za dużego o piętnaście centymetrów jak na Walińczyka. A Irlandczyk najpierw musi zaciągnąć dziewczynę przed ołtarz.

- W Stanach rosną nam duże. Fujara Irlandczyka w Bostonie może mieć nawet siedem centymetrów. Co to jest: ma trzydzieści metrów i cztery zęby?

- Odchrzań się, człowieku.

- Kolejka czekająca na otwarcie pubu w Dublinie.

- Odczep się, zanim ci porachuję kości.

Burton usiadł przy stoliku, tak żeby plecami opierać się o ścianę, i zamówił serwowane tego dnia curry u Leili, tutejszej kelnerki w ostrym makijażu i niebieskich dzinsach. Już dawno temu Burton zrozumiał, że Leila nie chce flirtować, ale jest niewolnicą własnego kodu genetycznego.

Mały, kulejący mężczyzna, który zdążył już stać się maskotką międzynarodowej klienteli, dokuśtykał do stolika Burtona. Miał łysinę i poruszał się z otwartymi ustami, dlatego przypominał Burtonowi postać z obrazu Muncha pod tytułem „Krzyk”.

- Effendi - zaczął mały człowiek, zbliżając się.
- Talaat-bey - odpowiedział Burton. Prawie wypił swoje piwo .. i nagle poczuł skutki braku snu. - Usiądź, proszę.

Mężczyzna odmówił kręcąc głową, jakby to było zbyt niebezpieczne. Żył w świecie wymyślonych zagrożeń. Zamiast usiąść, obszedł stół i przysunął się do Burтона na tyle blisko, że tamten poczuł odór chorych dziąseł.

- Mam ściśle poufne informacje - powiedział w miejscowym tureckim dialekcie. - Na temat tej kobiety. Przetrzymują ją Rosjanie. Już jest w Moskwie. Zamknęli ją w swojej supertajnej podziemnej siedzibie. W tym samym miejscu, w którym trzymają maszynę do robienia trzęsień ziemi.

Burton był pewien, że mały człowieczek święcie wierzy we wszystko, co mówi. W pewien perwersyjny sposób, Talaat był papierkiem lakmusowym zdrowego rozsądku, przedstawiając najbardziej nieprawdopodobne wymysły, zdolne powstać w wyobraźni lokalnego mieszkańca. Do tego potrafił być śmieszny jak diabli. Raz, dla żartu, Burton przekazał jedną z bajeczek Talaata swoim przełożonym w wywiadzie Departamentu Obrony. Kiedy otrzymał szczegółowe pytania dotyczące historyjki Talaata, z przerażeniem odkrył, że została włączona do dziennego raportu wywiadu dla prezydenta.

- Talaat-bey, jesteś najlepszym szpiegiem w całym Baku - dokuczał mu żartobliwie Burton, wyjmując portfel.

Mały człowieczek podniósł ręce przerażony, machając nimi jak w tańcu. - Och, nie. Nie szpiegiem. Nie można tak mówić, Bey-effendi. Jestem zaledwie najniższym z twoich sług.

Burton dał mu równowartość dolara i przyglądał się, jak odchodzi kuśtykając. Zastanawiał się ile fantastycznych plotek krążących obecnie po mieście powstało w głowie Talaata.

Przy barze wzmógł się hałas. Chwilę później do baru wkroczyła kolejna legenda - Razim, który pojawił się i od razu musiał stawić czoło grupie nacierzy. Niektórym obiecał opony, innym części do helikoptera albo antyki. Razim, człowiek, który nigdy nie przestawał się uśmiechać, kryjący pod spłóviałym płóciennym garniturem potężne ciało, zapewniał teraz wszystkich, że następnego dnia ich oczekiwania zostaną spełnione. Miał prawdziwy dar ugłaskiwania ludzi, którzy dopiero co go przeklinali. Trik polegał na tym, że prędzej czy później Razim dotrzymywał obietnic. Działał na czarnym rynku, być może nieco mniej ostentacyjnie za panowania Rosjan, i to samo robił obecnie. Jego przodkowie też pewnie zajmowali się tym samym za czasów Dariusza i Kserksesa.

W zależności od tego, kogo się słuchało, Razim był, albo nieprawdopodobnie bogaty, albo ledwo wiązał koniec z końcem ubijając

nędzne interesiki. Burtona, jako jednego z niewielu cudzoziemców, zaproszono w gościnę do Razima, do skromnego domu pod miastem, gdzie jego krewni trzymali owce i lekką broń artyleryjską. Burton darzył szczerą sympatią tego błyskotliwego Azera, który uwielbiał tolerowane przez Stalina stare melodie Glenna Millera i potrafił godzinami recytować klasyczną poezję. Ale Burton nie miał pojęcia, czy Razim odwzajemnia jego uczucie, czy też w duchu nim pogardza, czy jedno i drugie. W zamian za informacje, które, zdaniem Razima, przydadzą się Ameryce w przyszłości, Burton przekazywał mu intratne zlecenia z ambasady.

Razim wiedział, że w toku jest poważna sprawa. Uwolnił się od bardziej prozaicznych spraw i skierował się w stronę Burtona. Dotarł do stolika w momencie, kiedy Leila stawiała na nim talerz z curry.

- Przynies mi wodę mineralną - powiedział do niej Burton. Kiwnął głową w kierunku nadchodzącego Azera. - I Colę dla mojego przyjaciela.

Razim nie pił alkoholu, a Burton podejrzewał, że jest religijny, chociaż nie rozpowiada o tym na prawo i lewo. Jeszcze jeden powód, dla którego Burton lubił przebywać w towarzystwie tego człowieka. Wstał i wyciągnął rękę. Razim uściśnął ją, kładąc drugą na ramieniu Burtona.

- Evan... ma pan krew na twarzy.

- Tak. Siedziałem w pierwszym rzędzie podczas wybuchu bomby w banku.

Azer ściągnął brwi. - Ale jest pan w dobrym zdrowiu?

- W doskonałym.

Razim westchnął. - Czy czasy nie są okropne? Krew na ulicach w samo południe. Mężczyźni upadli tak nisko, że porywają kobiety, których nawet nie kochają. Ale niech pan siada i je, Evan-bey. Niech pan siada, a wszystko panu opowiem.

Burton uśmiechnął się i spełnił jego prośbę. Kiedy spróbował curry, przed jego oczami mignęło wspomnienie zatechłych alejek Lahaur. Razim ulokował swoje obfite ciało na krześle, odesłał z kwitkiem jakiegoś interesanta i zaczął:

- Evan-bey, wiem, co pan sobie myśli. Jeśli się myślę, może mnie pan nazwać głupcem. Ale jestem pewien, że myśli pan sobie: „Nie trzymaliby dziewczyny blisko miejsca, w którym została pojmana. A ponieważ nie sprowadziliby jej do Baku, gdzie nie da się nic utrzymać w tajemnicy, pozostają dwie możliwości: zabrali ją na północ, w góry Kaukazu, albo na południe, na ziemie Tałyszów. Może nawet do Iranu. Tylko gdzie należy szukać w pierwszej kolejności?” Czy nie tak myśli mój przyjaciel?

Burton, przeżuając, uśmiechnął się z zamkniętymi ustami. Tak. To właśnie sobie myślał.

Razim uśmiechnął się szerzej i odsłonił złoty ząb i złote koronki. - Czyż nie znam dobrze mojego przyjaciela? A to dlatego, że myślimy podobnie. Więc powiem panu, że moim zdaniem nie wywieźli jej na północ. Dlaczego? Bo nie uważam, że porwali ją Rosjanie. Dużo mogliby zyskać, porywając taką kobietę, ale nie mają wyobraźni. Wasi rosyjscy przyjaciele to drobne złodziejaszki. Widzą tylko koniec własnego nosa. Nie mam pojęcia skąd u nich mistrzowie szachowi. - Leila przyniosła napoje i Razim natychmiast wypił połowę Coli. - Myślę, że ludzie, którzy ją zabrali to głupcy. A najwięksi głupcy, to tacy, którzy zamieniają religię w politykę i politykę w religię. Moja dusza cierpi, kiedy to mówię, ale założę się, że porwali ją ludzie, którzy błędnie interpretują islam. Niech pan poczeka, a sam się pan przekona.

- Może coś pan zje, Razim? Curry jest dziś niezłe.

Razim podziękował uprzejmym gestem, po czym dotknął brzucha tak delikatnie, jakby był zrobiony z najcieńszego kryształu. - Za dużo jem. Kocham owoce ziemi, tak jak młodzieniec kocha kobiety. Muszę bardziej uważać. - Podniósł rękę wyżej. - Serce, wie pan. Może zmusi mnie pan do wspólnych ćwiczeń? Ale o tym porozmawiamy kiedy indziej. Ta biedna dziewczyna. Pomogłem jej znaleźć baterie akumulatorowe do pojazdów misji humanitarnej, kiedy je ukradziono. - Złożył razem palec wskazujący i kciuk, robiąc z nich koło. - Nie zarobiłem na tym ani grosza, wie pan? Jak mógłbym wziąć pieniądze od kogoś, kto przybył tu, żeby nieść pomoc moim rodakom, którzy są zbyt chciwi, żeby pomagać sobie nawzajem? Jak Rosjanie nas zepsuli! Tylko ludzie z gór wciąż żyją uczciwie. - Dopił Colę i odchrząknął. - Mój przyjacielu, ja myślę tak: Najpierw trzeba sprawdzić ziemie Tałyszów. Na wzgórzach. Sam pan wie, jakie to dzikie tereny. Jest to prawie samodzielne państwo. Doskonałe miejsce, żeby ukryć dziewczynę! A w razie niebezpieczeństwa zawsze mogą ją przeprowadzić przez granicę do Iranu.

Burton dotknął ust papierową serwetką. - Nie łatwiej zabrać ją od razu do Iranu?

Razim ściągnął swoje krzaczaste brwi. - Sam się nad tym zastanawiałem. Ale myślę, że tak by się stało tylko wtedy, gdyby porywacze byli członkami tajnej irańskiej policji, a to raczej wątpliwe. Nie wydaje mi się, żeby Iran chciał teraz wchodzić w konflikt z Ameryką. A byłoby o wiele trudniej dochować tajemnicy w Iranie, gdzie wszyscy się boją, niż w Górach Tałyskich. Był pan tam. To dzikie miejsce, równie straszne co piękne.

Razim rozumował logicznie, a Burton zdążył już wcześniej dojść do podobnych wniosków. Jednak pewność siebie Razima, nasuwała Burtonowi podejrzenia, że może wiedzieć coś więcej.

-No dobrze, Razim. Powiedzmy, że zdecyduję się rozejrzeć po Górach Tałyskich. Od czego mam zacząć?

Na twarzy Razima rozlał się uśmiech. - I w tej właśnie sprawie pański brat, Razim, może się okazać pomocny. Zna pan tych ludzi. Zacofani, żyjący w klanach. Trzeba zacząć od najważniejszego człowieka, takiego, który wie o wszystkim. Takiego, który podejmuje wszelkie decyzje od małżeństw po krwawe potyczki rodzinne.

-Od którego klanu mam zacząć? - Burton wyobraził sobie wzgórze, ich niewzruszone sylwetki na wybrzeżu, na północy zielone, na południu spalone na brąz.

Razim wykonał gest, jakby wygładzał zmarszczki w powietrzu. - Och, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Musi pan zacząć od szefa szefów - hadżiego Mustafy Galibaniego.

Burton niemal poczuł, że opada mu szczeka. - Od Galibaniego? Razim, facet jest heroinowym królem.

Jego przyjacieli wzruszył ramionami i poważniejszy już wzrok utkwiał w kraciastym obrusie. - Evan-bey... ludzie wiele mówią. Kto zna prawdę? Mówię panu tylko, że musi pan zacząć od Galibaniego. On wie o wszystkim, co dzieje się od Lenkoranu po terytorium okupowane.

-Rozumiem, że pan go zna.

Razim poruszył się niespokojnie na krześle. - Człowiek interesu jak ja, spotyka wielu ludzi. Miałem przyjemność doświadczyć gościnności hadżiego Mustafy.

Burton przyzwyczał się do pokrętnego sposobu, w jaki załatwiała się interesy w tej części świata. Ale teraz był zmęczony. - Chce mi pan powiedzieć... że Galibani pragnie się ze mną widzieć? Niech mi pan to powie bez owijania w bawełnę, Razim. Jesteśmy przecież kumplami.

Azer znów przekręcił się na swoim krześle. - Evan, przyjacielu... Powiadam panu... być może tylko ten człowiek jest w stanie panu pomóc. To moja przyjacielska rada. Niewykluczone, że Galibani życzy sobie z kimś porozmawiać. I że pan się do tego najlepiej nadaje. Czas ucieka. - Teraz unikał wzroku Burтона. - Wie pan, jacy są ci ludzie. Ubijają z kimś interes, zastanawiając się jednocześnie, czy nie korzystniej byłoby ubić go z kimś innym. A lojalni są tylko względem swojej rodziny. Klanu. Obietnice składane obcym to słowa rzucane na wiatr. Być może Galibani uważa, że pan ma więcej do zaproponowania niż ci brudni porywacze. Jeśli przypadkiem znaleźli się na jego terenach.

- W porządku, Razim. Kupuję to. Rano tam pojedę. Wciąż ma rezydencję na wzgórzu nad Lerikiem? Tę, która wygląda jak forteca?

To zaskoczyło Azera. - Więc pan o niej wie?

- Boska kraina. Jedno z piękniejszych miejsc świata.

Razim znów odtajał. - Czyż nie tak, mój przyjacielu? Moja matka pochodziła z Tałyszów, wie pan? A może pan nie wie. Małżeństwo zawarte, żeby zetrzeć plamę krwi. Bardzo nietypowe.

- Bo i pan jest nietypowym człowiekiem, Razim-bey.

- Potraktuję to jako komplement.

- Taka była moja intencja. Więc niech mi pan powie. Czy on jest naprawdę hadzi?

Razim rozsiadł się wygodniej. Burton próbował spotkać się wzrokiem z Leilą, żeby zamówić jeszcze jedną Colę dla swojego towarzysza, ale kelnerka wcisnęła się pomiędzy dwóch skandynawskich biznesmenów w pomiętych garniturach.

- Czy odbył pielgrzymkę do Mekki? - Azer skierował pytanie do sufitu. - Któż to może wiedzieć? Słyszałem, że jest wyjątkowo pobożny. Ale inni twierdzą, że nigdy nie dotarł dalej niż do burdeli w Bejrucie. Przed wojną domową, oczywiście. Ale na własnych terenach jest szanowany. A rząd się go boi.

- Razim, ambasador wkurzy się jak cholera, kiedy się dowie, że jadę w góry spotkać się z Galibanim.

- Ambasador pana lubi, Evan. Tylko panu ufa. Wybacz panu. Przecież chce odzyskać dziewczynę. A oto piękna madame Heddy!

Burton podniósł wzrok.: Heddy przeciskała się przez tłum okupujący bar, jak zwykle robiąc piorunujące wrażenie na mężczyznach. Razim w żaden sposób nie mógł jej widzieć, siedząc tyłem do baru.

- Jak pan...? Poddaję się, Razim. Proszę mi to wytłumaczyć.

- Usłyszałem jej głos. Mężczyzna taki jak ja musi umieć słuchać. Pan słucha w inny sposób, Evan. Dlatego jesteśmy przyjaciółmi.

Heddy uśmiechnęła się i pomachała do niego.

- Okay, Razim - powiedział szybko Burton. - Zorganizuje pan spotkanie? Z Galibanim?

- Za pańskim pozwoleniem. Powiem mu, że się pan z nim zobaczy... na przykład jutro po południu? Jeśli pan wyjedzie odpowiednio wcześniej, będzie pan miał dość czasu, żeby tam dotrzeć. I będzie pan musiał u niego przenocować. Hadzi Mustafa jest gościnnie jak dawni mieszkańcy Gór Tałyskich. Zanim przybyli tu Rosjanie z ich świńskimi manierami. Wtedy ludzie znali swoje obowiązki.

-Ludzie nigdy nie znają swoich obowiązków – powiedziała Heddy, szybko i poprawnie po turecku. - Czy przerywam bardzo interesującą rozmowę?

Burton nieco zbyt wolno podniósł się z krzesła. - Każda rozmowa z Razim-beyem jest pouczająca - powiedział. - Wyglądasz bardzo apetycznie, Heddy.

Nie kłamał. Opalona, z jasnymi, dobrze obciętymi włosami, w krótkiej, ciemnoniebieskiej sukience, która ukazywała jej nogi i okrywała biodra.

-Myślę, że nasi przodkowie prowadziliby wojny o taką piękność - powiedział Razim, ciężko wstając i kłaniając się jej. I wtedy Burton był świadkiem, jak Razim używa swojego mózgu niczym precyzyjnego instrumentu. Azer odezwał się w te słowa: - Co za szkoda, że dwoje takich ludzi nie może być razem. Ale na mnie już czas. Evan-bey przydzielił mi wspaniałe zadanie i czeka mnie dużo pracy.

Heddy posłała obu panom uśmiech, który mówił: „Co znowu szykujecie, chłopcy?”.

Razim pożegnał się i przycisnął swoje niedogolone policzki do twarzy Burtona, w tradycyjnym geście pomiędzy przyjaciółmi. Ale, razem z ciepłym, mokrym dotykiem policzka Azera, Burton otrzymał też ostrzeżenie: - Bądź ostrożny z Galibanim - wyszeptał Razim i ciężko potoczył się do baru, gdzie czekało go jeszcze wiele interesów do załatwienia. Heddy usiadła na jego miejscu i spytała: - No dobrze, Evan. Co on ci szepnął?

Burton uśmiechnął się. - Że jesteś najładniejszą dupeczką na wschód od Malibu.

-Daj spokój.

-Ohne Ableitung.

-A wasz prezydent to wierny małżonek.

-Spokojnie, Hedwig. Bądź dyplomatyczna.

Ale jej uśmiech zniknął bezpowrotnie więc i on przestał się uśmiechać. Zaczęła coś mówić, ale przerwała. Burton wykorzystał ciszę, żeby powiedzieć: - Myślałem, że nie będziemy się już pokazywać razem publicznie. A tak przy okazji, wyglądasz świetnie.

-Och, przestań. Do diabła z tym wszystkim, Evan. Chcę cię prosić o przysługę.

-Proś.

-Wróć ze mną dziś wieczorem do domu.

Burton doszedł do wniosku, że się starzeje. Uroczą kobietą, której pożąda, zaprasza go do domu, a on chce jedynie odespać straconą noc. Pomyślał o długiej, upalnej podróży wybrzeżem, która go czeka rano. Ale powiedział tylko:

- Co jest grane, Heddy?

Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. Próbowała je powstrzymać.

- Kazali mi wracać do Bonn. Jutro. „Na konsultacje”. Nie wiem, o co chodzi, Evan. Boję się, że to Helmut coś zmajstrował. Żeby nas trzymać od siebie z daleka. Nie sądziłam, że on...

Wbrew sobie Burton objął ręką jej nadgarstek. - Pewnie jakieś standardowe dyplomatyczne gówno. Nie będzie cię tylko kilka dni. - Uśmiechnął się szczerze. - Słuchaj, potraktujmy to jak tajną misję. Możesz pojechać do Kolonii i przywieźć mi pudełko czekoladek Leonidas. Wtedy będę miał u ciebie ogromny dług.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. To poważne czekoladki. Znasz mój najmroczniejszy sekret.

Zabrała rękę. Burton nie rozumiał, o co jej chodzi. Heddy była jedną z najbardziej opanowanych kobiet, jakie znał, przynajmniej w miejscach publicznych. A teraz łzy zaczęły już spływać jej po policzkach.

- Nie chcę urządzić sceny - powiedziała. - To okropne.

- Wyjdziemy stąd?

Pokręciła głową przecząco. - To by było jeszcze gorsze. Wszyscy by zobaczyli.

- Heddy, bawiłem się dzisiaj w dwadzieścia pytań dosłownie ze wszystkimi. Jestem zmęczony, otumaniony i mam mętlik w głowie. Czy jest coś, co mi umyka w tej rozmowie?

Spojrzała na niego ciemnymi od łez oczami. Szarymi jak zimowe morza.

- Kocham cię. Do diabła z tym wszystkim, Evan. Naprawdę cię kocham. Nie chcę za niego wychodzić. I nie chcę wracać do Bonn.

- Wytrzymaj oczy i wracajmy do ciebie.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę - powiedziała. - Dobrze cię znam, widzisz.

- Wszyscy mnie dobrze znają.

Nie mogła przestać płakać. - Ja znam cię w inny sposób. Lepiej niż którykolwiek z nich. Dla ciebie nawet słucham jazzu.

- Heddy...

- Wyglądam okropnie?

- Wyglądasz pięknie. Masz tylko trochę wilgotne oczy.

- Naprawdę pójdziesz ze mną do domu? - Spojrzała na niego. Rzeczywiście wyglądała pięknie. - Spanikowałam. Bałam się, że więcej cię nie zobaczę.

- Potrzebujesz czasu do namysłu... Musisz wszystko sobie uporządkować.

Trochę zbyt mocno podniosła głos. - Nie potrzebuję czasu do namyślenia. Wiem.

-Wytrzymaj oczy i wynośmy się stąd. - Burton próbował zawołać Leile, żeby zapłacić rachunek.

Ale wieczór się jeszcze nie skończył. Przez tłum przy barze przedzierał się sierżant Spooner, niczym anioł śmierci w czasach zarazy. Był tak pełen nowin, że tylko wojskowa dyscyplina powstrzymywała go od wykrzyczenia jego tajemnicy każdej grubej rybce w „Charley's”.

Kiedy dopadł bez tchu do stolika, uznał, że można Heddy włączyć do magicznego koła tych, którzy poznają nowiny.

-Szefie... Sir... dzwoniли do ambasady... Goście, którzy porwali dziewczynę... ona żyje... mówią, że żyje i że ją mają... jakieś świry, które nazywają siebie Synami Zbawienia. Mają ją i chcą ubić interes...

Burton patrzył na niego przez chwilę, zastanawiając się, kogo dziś przyjdzie mu rozczarować. Nie miał co do tego wątpliwości. Heddy, która na to nie zasłużyła.

-W porządku - powiedział. - Siadaj, Spoon. Weź się w garść. Co te gnojki chcą w zamian za dziewczynę?

Podoficer usiadł i przybrał żalną minę.

-I tu właśnie mamy problem - powiedział.

4

- To szaleńcy. - Ambasador poprawił okulary na nosie. - Z jakiej oni są planety? - Prawie krzyczał. - Nie ma mowy, żeby rząd Stanów Zjednoczonych spełnił chociaż jedno z ich żądań.

Kandinsky został wywołany z przyjęcia i jego krawat wisiał na szyi w nieładzie, na rozpiętym kołnierzyku koszuli. Burton nigdy nie widział go tak przejętego. Ambasador spojrzał na swojego zastępcę, którego masa przygniatała biurową kanapę, a następnie przeniósł wzrok na Burtona. I nagle Kandinsky zapadł się w siebie. Oparł się zgarbiony o biurko, ukrywając na kilka długich sekund twarz w dłoniach.

Z okularami przekrzywionymi na nosie jak w kreskówce, zwrócił się do Burtona. - Tyle naszej pracy. Wszystko może pójść na marne.

- Panie ambasadorze, mam szkic oficjalnego telegramu do wysłania - powiedział Burton. - Potrzebuję tylko pańskiej zgody. - Po raz drugi wyciągnął do niego rękę z kartką. Za pierwszym razem przeszkodził mu wybuch Kandinsky'ego, który musiał dać upust frustracji.

Ambasador kiwnął głową. Jego zastępca wyciągał szyję jak mógł, próbując poznać treść dokumentu, ale z jego miejsca było to niemożliwe. Potężny mężczyzna poddał się i rzucił tylko Burtonowi mordercze spojrzenie, mówiące: „Wszystkie dokumenty przechodzą najpierw przez moje ręce”.

Kiedy ambasador szybko czytał, Burton przyglądał się staremu kazachskiemu dywanowi, który żona Kandinsky'ego wynalazła gdzieś do zaskakująco skromnego gabinetu męża. Wzór na dywanie tylko z pozoru wydawał się nieskomplikowany i krzykliwy. Wystarczyło mu się jednak przyjrzeć dokładniej i wiedzieć, czego szukać. W każdym kształcie kryły się symbole, w każdym odcieniu informacji, znaki i kody wplecione w wełnę. Burton myślał o warunkach wstępnych, których spełnienia domagali się porywacze od rządu Stanów Zjednoczonych w zamian za uwolnienie Kelly Trost. Nierealne żądania tych ludzi

wiele Burtonowi mówiły o nich samych i sprawiały, że w coraz czarniejszych barwach widział szanse dziewczyny na przeżycie. Ekstremalny charakter stawianych przez nich warunków kazał mu się zastanawiać, jaką bombę kryją jeszcze w zanadrzu. Ambasador czytał powoli. Był bardzo zmęczony. Zdjął okulary i założył je z powrotem.

-Dobry Boże, Evan. O co chodzi tym ludziom? „Synowie Zbawienia”. Czy choć przez sekundę wierzyli, że rząd amerykański zerwie wszelkie stosunki z Izraelem? Pozbędzie się go z ONZ? Albo użyje sił militarnych do wypchnięcia Ormian z Karabachu? Czy zapłaci zupełnie nieznaną „Radzie Islamskiej” odszkodowanie wysokości stu miliardów dolarów? Ci ludzie chyba sobie żartują.

-To nic więcej, tylko zwykły kawał - wtrącił Vandergraaf. - Mydlenie oczu. - Jego twarz wyglądała jak grudka wyczutej gumy. - Moim zdaniem oni nie mają nic wspólnego z prawdziwymi porywaczami.

Ambasador zignorował go i nadal wpatrywał się w Burтона znad przekrzywionych okularów. Burton pokręcił głową. - Panie ambasadorze, boję się, że oni traktują to jak najbardziej serio.

-To, że wycofamy wszystkie nasze oddziały z Bliskiego Wschodu i odbierzemy stanowiska rządowe amerykańskim Żydom?

Burton pokiwał głową. - To tylko chłopaki z meczetu na oratorskim hajcu. Nie mają pojęcia o tym, jak urządzony jest świat. Opierają się wyłącznie na wiedzy z telewizji satelitarnej i ujadających mułach. Nie są to wyżyny intelektualne. Pewnie świetnie się bawili, stawiając te żądania, jeden chciał przebić drugiego we wkurzaniu „Wielkiego Szatana”. - Zastanawiał się przez chwilę. - Nie zdziwiłbym się, gdyby ich herszt dysponował pobieżnym zachodnim wykształceniem. Akurat na takim poziomie, żeby stać się niebezpiecznym. Jak Pol Pot, który liznął tego i owego na Sorbonie. Coś w tym rodzaju.

-Panie ambasadorze - odezwał się Vandergraaf - to wszystko są czcze spekulacje. - Wychylił się do przodu i kanapa aż jęknęła z wysiłku. - Prawda jest taka, że nie dysponujemy żadnymi dowodami. Nie możemy naciskać na spust, kiedy mamy tyle do stracenia.

Kandinsky spojrzał na niego z mieszaniną irytacji i lekceważenia. - Co więc radzisz, Arthurze?

-Poczekaj trochę - odpowiedział Vandergraaf. - Niech sytuacja się rozwinie. Będziemy mieli więcej informacji.

-Nie jestem pewien, czy Kelly Trost zrozumiałaby twoją cierpliwość - powiedział Burton.

Arthur Vandergraaf chrząknął. - Spójrzmy na to z perspektywy. Panna Trost jest jedynie częścią równania. Mówimy tu o przyszłości

polityki euroazjatyckiej. - Walczył z mokrym uściskiem koszuli. -I chociaż z całego serca współczuję panie Trost i jej ojcu, moim zawodowym obowiązkiem jest zachowanie bezstronności. Jeśli te żądania dostaną się na łamy „Timesa” i „The Post”, nie mówiąc już o „The Wall Street Journal”, nasza placówka stanie się pośmiewiskiem w Waszyngtonie. Nie możemy ryzykować całej polityki z powodu jednego szalonego telefonu.

- Evan?

- Arthur może mieć rację. - Vandergraaf mrugał, ilekroć Burton nazywał go po imieniu, więc Burton chętnie z tego korzystał. - Nie ma gwarancji na tym podwórku. Ale ja stawiam na to, że telefon nie był żartem. Na tych terenach nawet przywódcy rządów mają wypaczone pojęcie stosunków międzynarodowych. Wyjątek stanowi Aliew, ale Bóg jeden wie, jak się uchował. Panie ambasadorze, potrafię sobie bez trudu wyobrazić szóstkę wiejskich fundamentalistów, którzy wmówili sobie, że mogą zmienić świat porywając córkę senatora. - Uśmiechnął się gorzko. - Założę się, że mogą nawet nie wiedzieć, co robi jej ojciec i co w ogóle znaczy „senator”. Gdzieś pewnie usłyszeli, że to córka kogoś ważnego w USA. Resztę sobie dośpiewali.

- To niedorzeczne - powiedział Vandergraaf. - Ale skoro wszyscy naprędce wyciągamy tu wnioski, pozwólcie, że podzielę się z wami moją przemyślaną opinią: To ewidentnie robota wysoko zorganizowanej grupy. Pewnie Irańczyków. Za tym stoi Teheran. Oficjalnie zatwierdzony projekt. Ten telefon to jeden wielki blef.

- Arthurze - wtrącił się Burton - jeśli okaże się, że to irański rząd przeprowadził tę tajną operację, już zawsze będę się zgadzał z twoją opinią.

Ambasador przyjrzał się uważnie obu mężczyznom. - Zatwierdzam telegram. Nie widzę innego wyjścia. Nie możemy ukrywać informacji w tej sprawie. - Skupił uwagę na Burtonie. - Ale muszę ci powiedzieć, Evan... te żądania nie wydają mi się zbyt wiarygodne. Arthur może mieć rację w tej kwestii. Niewykluczone też, że na obecnym etapie wszyscy się mylimy. W każdym razie, wyślij ten cholerny telegram. - Złożył swój podpis w górnym rogu dokumentu. - Ja jednak zadzwonię do Waszyngtonu i poprzędę go pewnymi wyjaśnieniami. Kupię nam trochę czasu. - Przenosił wzrok z jednego mężczyzny na drugiego, z okularami wciąż huśtającymi się na nosie. - A teraz panowie, musimy postanowić, co robimy dalej? - Znow zwrócił się do Burtona. - Evan, w Yevlakhu niczego nie znalazłem. Zupełna strata czasu.

Burton początkowo nie chciał zdradzać celu swojej jutrzejszej podróży, dopóki nie wróci. Łatwiej uzyskiwało się przebaczenie niż pozwolenie

na użycie nieortodoksyjnych metod w świecie dyplomacji. Tylko że Kandinsky znajdował się pod dużą presją, a to był dobry człowiek. Człowiek, który na nim polega. Ambasador musi wiedzieć, którymi drzewami potrząsają jego podwładni zanim kokosy zaczną spadać na głowy. Burton żałował jedynie, że Vandergraaf też jest w pokoju.

-Sir - zaczął Burton - jutro z samego rana jadę w głąb kraju. Dość nietypowym tropem. Sprawa jest delikatna, więc zostawię mojego szofera w ambasadzie i zabiorę ze sobą sierżanta Spoonera. Przez jakiś czas będę nieuchwytny - telefony komórkowe nie mają tam zasięgu. Jadę w okolice Lerik. Jestem umówiony na spotkanie z Mustafą Galibanim.

Mimo iż ciało Vandergraafa było bardzo uzależnione od grawitacji, Vandergraaf prawie skoczył na równe nogi. - Zaraz, zaraz. Co takiego? Żaden przedstawiciel USA nie może pozwolić na kontakty ze znanym królem narkotykowym. - Zadarł brodę, upodabniając się do Mussoliniego pozującego przed tłumem. - Galibani cieszy się najgorszą sławą w całym regionie. Nasi niemieccy sojusznicy nigdy by nam tego nie darowali. Ten człowiek wysyła z tej części świata większość heroiny, która trafia na rynek w Berlinie. Przecież oni nawet w tej chwili próbują doprowadzić do jego ekstradycji. - Usiadł z powrotem na kanapie, na twarzy miał wyraz niesmaku i pogardy. - A co, jeśli dowie się o tym prasa? Już musiałem zbyć dwóch reporterów, węszących sensację, którzy dzwoniли prosto z lotniska. Zapewniam, że to nie koniec.

Burton spojrział na Kandinsky'ego. - Postaram się być dyskretny, ale na razie, to jedyny trop, jakim dysponuję. Nie mogę obiecać, że coś z tego wyniknie, ale nie mam zamiaru siedzieć przy telefonie, nie wiedząc, gdzie jest ta mała Trost i co się z nią dzieje. - Spuścił wzrok na piękny dywan, po czym wolno podniósł głowę i spojrział ambasadorowi prosto w oczy. - Jeśli ktoś się o tym dowie, może im pan powiedzieć, że mnie pan nie upoważnił do podjęcia tej wyprawy. Zrobi mi pan wpis do akt. Ale nie siedzmy na tyłkach, kiedy Kelly Trost gdzieś tam zastanawia się, kiedy, do diabła, pojawi się kawaleria z odsieczą.

Vandergraaf się skrzywił. - Oszczędź dramatyzmu, Burton.

Ambasador podniósł rękę w geście mówiącym: „Pokój, bracia”.

-Evan - powiedział Kandinsky. - Mam w tej sprawie mieszane uczucia. Delikatnie to ujmując. Galibani to człowiek, z którym nie chcemy być kojarzeni. - Palcem wskazującym poprawił okulary na nosie. - Z drugiej strony, zgadzam się, że powinniśmy przeszukać wszystkie zakamarki. Nie zgadzam się natomiast na ten bezsens z wyprawą, do której niby cię nie upoważniłem. Jedziesz tam za moją

zgoda. - Spojrzał znad rozpadających się okularów. - I życzę szczęścia.

-Protestuję - powiedział Vandergraaf.

-Przyjmuję to do wiadomości. Powiedz mi, Evan. Tylko szczerze. Nie podejrzewasz, żeby Galibani planował cię porwać... co? Nie chciałbym mieć do czynienia z dwoma sytuacjami przetrzymywania zakładników.

Burton sam nie był do końca pewien. - Dostałem coś w rodzaju zaproszenia. Tak mi się wydaje. A mieszkańcy Gór Tałyskich poważnie traktują obowiązki gościnności. Raczej poczeka, aż wrócę do Baku, zanim zdecyduje się zrobić mi krzywdę.

-Czysty romantyzm - wtrącił Vandergraaf. - Tałyska gościnność. Galibani to bandyta i morderca.

Kandinsky wyglądał na bardzo zmęczonego. A przedstawienie dopiero się zaczynało. Odchylił się do tyłu na krześle i machnął ręką przy twarzy, jakby odganiał uprzykrzoną muchę.

-Trochę mi wstyd - powiedział ambasador, bardziej do siebie niż do pozostałych. - Powiniennem troszczyć się przede wszystkim o dobro tej dziewczyny. A łapię się na tym, że myślę o fiasku własnej linii politycznej i niewykonaniu własnych planów. Dziwne, jacy jesteśmy w gruncie rzeczy egoiści, prawda?

Senator Mitch Trost siedział w piwnicy swojego domu w Georgetown i przeglądał rodzinne fotografie. Na zewnątrz wieczór złocił już dachy budynków, ale on stracił poczucie czasu. Jakaś część jego umysłu trwała w pogotowiu na wypadek, gdyby oczekiwany gość zadzwonił do drzwi, ale reszta jego świadomości tonęła we wspomnieniach.

Kelly z przyjaciółmi z drużyny pływackiej w koledżu, z medalem na szyi. Jej kobiecość redukowało nieco intensywnie uprawiany sport, a mięśnie stanowiły zagrożenie dla mężczyzn z jego pokolenia. Młodsza Kelly w Sidwell Friends, raz skupiona, a drugim razem rozkojarzona. Na wycieczce szkolnej w Chinach, pozująca do zdjęcia z jakimś mało ważnym chłopcem na tle majestatycznych budynków. Kelly jako niemowlak, z matką kłęczącą obok, uśmiechniętą i prawie sympatyczną, podtrzymującą Kelly, która właśnie stawiała pierwsze kroki. No tak, jej matka, Janet. Ożenił się z nią, ponieważ jej ojciec był członkiem gabinetu, ponieważ była atrakcyjna, a on wtedy był o wiele ambitniejszy i bardziej naiwny niż teraz. Miał w sobie wystarczająco dużo pasji, żeby racjonalnie wytłumaczyć sobie własne wyrachowanie. Pieprzyła się na tyle dobrze, że zdołała skupić na sobie jego uwagę przez dziesięć lat. Janet, piękność, której pożąдали inni mężczyźni. Za drugim razem

poślubiła inwestora budowlanego i kolegę z klubu jeździeckiego. Wyglądała na to, że zadawała ją w łóżku.

Po rozwodzie wygrał wybory ułamkiem głosów. Ale wygrzebał się z tego. Jak ze wszystkiego w życiu.

A teraz Kelly. Dzięki Bogu, zupełnie inna niż matka, wyjąwszy miłość do koni. Kelly, która czytała i myślała o świecie, i która była głodna życia, jak jej matka pozycji w towarzystwie. Wpatrywał się w pamiątkowe zdjęcia, na których uwieczniono, jak odbiera dyplom. Miała cechy obojga rodziców. Ale jego oczy.

I jego serce. Marzył o synu i starał się o niego w późniejszych fazach małżeństwa, kochając się z kobietą, do której czuł coraz mniej, pragnąc jedynie męskiego potomka. Aż pewnej nocy, kiedy kłócili się po raz tysięczny, zrobiła błąd i zaczęła się z niego wyśmiewać, krzyżąc, że kazała sobie podwiązać jajniki od razu po urodzeniu Kelly. Wtedy ją uderzył. I to był jedyny raz, kiedy podniósł rękę na kobietę. Zrobiła z niego głupca i ukradła ponad dziesięć lat z jego życia. Teraz widywał się z Janet na gruncie towarzyskim bez żalu i nie było między nimi napięcia, kiedy ważne wydarzenia z życia Kelly stawały ich razem przed kamerami. A to zdjęcie całej uśmiechniętej trójki w Charlottesville. Matka piękna i martwa w środku, córka nie bez wysiłku przemieniająca się z chłopakowatego podlotka w kobietę, cudownie tryskająca życiem.

Przypomniało mu się, jak czytywał swojej małej córeczce bajkę o „Sowie i Kocurze”, a następnego dnia z przerażeniem słuchał jak, tańcząc przed nim radośnie, śpiewa wyuczone bez zrozumienia słowa do jakiejś dyskotekowej piosenki wychwalającej homoseksualizm.

Wreszcie rozległ się dzwonek przy drzwiach i Trost wstał. Kolana mu ścierpły od siedzenia w kucki na podłodze i po schodach piwnicznych wchodził raczej wolno, pewny, że jego gość i tak zaczeka. Potem przyjdzie Laura, zdecydowana otulić go swoją urodą. Teraz jednak jego gość był mężczyzną, którego nigdy by się nie spodziewał ujrzeć we własnym domu, i o którym do dzisiaj ranka nigdy nie słyszał.

Trost otworzył drzwi wejściowe, zaskoczony, że już zrobiło się tak ciemno. W tym dalekim kraju, w którym obcy ludzie przetrzymują, jego córkę, właśnie wstaje dzień. Nieznajomy w progu uśmiechnął się, i zaraz się zreflektował. Wyglądał tak nijako, jak tylko może wyglądać ktoś mieszkający w mieście nieznośnie nijakich ludzi. Miał około pięćdziesięciu lat, duży brzuch i wianuszek siwych włosów, okalających łysiejącą czaszkę. Należał do tych mężczyzn, którzy pocałują się niemożliwie, ale pomimo soboty i upału, ubrał się w garnitur, kontrastujący ze

znoszoną koszulką polo i spodniami khaki Trosta.

Mężczyzna wyciągnął rękę. - Bob Felsher, Oak Leaf Oil. To zaszczyt poznać pana, senatorze. Jestem pana wielbicielem.

Trost poczuł dotyk wilgotnej dłoni, która - co zanotował w myślach - prawie natychmiast zwiotczała. - Proszę wejść, panie Felsher.

-Przepraszam, że tyle to trwało, panie senatorze. Z Potomaku mam kawałek drogi. Nawet w weekendy. A potem jeszcze trzeba było zaparkować. Z tego właśnie powodu nigdy z żoną nie przyjeżdżamy do Georgetown.

-Nie patrzyłem na zegarek, panie Felsher. Wręcz przeciwnie, jestem wdzięczny, że poświęca mi pan część swojego weekendu - pan ma rodzinę?

Felsher uśmiechnął się z nieskrywaną dumą. - I owszem, mam, panie senatorze. Wspaniałą rodzinę. Wspaniałą żonę. Dwoje dzieci, których za nic bym nie oddał. Jack jest prawnikiem, a nasza Jackie studiuje medycynę. - Wtedy dopiero się zreflektował i przestał się tak szeroko uśmiechać, przypominając sobie o celu wizyty.

Trost poprowadził go schodami do oficjalnego gabinetu, w którym przyjmował gości.

-Ma pan piękny dom - powiedział Felsher. - Elegancki, to najlepsze określenie. Ile teraz kosztuje taki dom? Z półtora miliona? Niewiarygodne, prawda? Chociaż sam nie chciałbym mieszkać w centrum.

-Proszę, niech pan siada. Napije się pan czegoś?

Felsher podziękował machnięciem ręki. - Nie chcę sprawiać kłopotu. - Usiadł w ulubionym fotelu do czytania Trosta.

Senator też zajął miejsce. - Panie Felsher, miałem przygnębiający dzień. Nie będę pana nudził szczegółami, ale wygląda to tak, że nikt nie wie, gdzie jest moja córka, ani gdzie zacząć poszukiwania. Pomimo wielu dobrych intencji zostawili mnie... z niczym. - Trost uśmiechnął się, skłaniając tym samym do uśmiechu swojego gościa. - Jednak zaszły nowe okoliczności, o których pan może nie wiedzieć. Porywacze - albo ktoś kto uważa się za ich przedstawiciela - zadzwonili do ambasady i przedstawili listę osobliwych i bezsensownych żądań. - Wpatrywał się w półkę z książkami, nie mogąc w swojej bezradności znieść widoku drugiego człowieka. - Te... sukinsyny... proszę wybaczyć... oczekują od Stanów Zjednoczonych...

-Wiem - powiedział Felsher z uśmiechem. Miał uśmiech sprzedawcy oferującego solidny produkt. - Znam te żądania. Stek bzdur, moim zdaniem.

-Ale... prasa jeszcze nic...

Jego gość nadal się uśmiechał, ale mówił bardziej rzeczowym tonem. - Jak już wspominałem przez telefon, panie senatorze, mamy w tej części świata świetne kontakty. Niewiele umyka uwadze naszego człowieka, Fleminga. - Wykonał osobliwy gest, jakby wygładzał fałdy na nieistniejącym prześcieradle. - Wie pan, jak tam jest. Wystarczy tu i ówdzie posmarować, a miejscowi powiedzą człowiekowi wszystko, co chce wiedzieć.

Zaskoczony Trost wzmógł czujność i przyjął inną taktykę.

- Cóż, to dobrze. Nie będę się musiał denerwować, powtarzając te bzdury. Ale - mogę mówić panu po imieniu? - Bob, muszę pana spytać o coś wprost. Biorąc pod uwagę moją pozycję w tym mieście. - Przechylił głowę, jak artysta, oceniający perspektywę. - Jestem bardzo wdzięczny za pańską propozycję pomocy. - Nie kłamał. Zmarnował dzień na pośpieszne spotkania z nieprzydatnymi ludźmi, począwszy od generałów, a skończywszy na ponurych pracownikach Białego Domu. A prasa okazała się bezlitosna. Był tak załamany brakiem jakichkolwiek postępów w sprawie, że zadzwonił do Felsher, znalazłszy jego numer w książce telefonicznej, w nadziei, że dobrze zapamiętał nazwisko, ponieważ w złości skasował jego wiadomość nagrą na sekretarce. - Ale senatorowie z czasem stają się sceptyczni. Więc niech się pan nie obrazi na moją bezpośredniość. - Spojrzał swojemu gościowi prosto w oczy. - Co zyskuje pańska organizacja pomagając mi?

Felsher potargał swoją brodę, jakby próbował znaleźć na to - jego zdaniem uczciwe - pytanie wyczerpującą odpowiedź. - No cóż, panie senatorze, mogę odpowiedzieć na to w dwojaki sposób. Po pierwsze, szczerze chcemy pomóc. I mamy uprzywilejowaną pozycję, żeby to zrobić. Rzecz jasna, pierwszoligowy gracz, jakim jest Oak Leaf Oil, szuka okazji do okazywania swojej dobrej woli. - Zagryzł od środka policzek, co natychmiast upodobniło jego twarz w oczach Trosta do wgniecionej piłki futbolowej. - Drugi powód... cóż, jest bardziej pragmatyczny. Zainwestowaliśmy już w tym regionie mnóstwo pieniędzy. A zbliża się decyzja dotycząca rurociągu - pewnie do tej pory sporo pan o tym usłyszał. Cóż, my po prostu nie chcemy, żeby na decyzję tę miały negatywny wpływ uboczne wydarzenia - nie mówię tego z braku szacunku, proszę mi wierzyć. Chcemy jednak, żeby decyzja na temat trasy rurociągu została podjęta na podstawie przesłanek ekonomicznych - w ramach obowiązującej polityki zagranicznej, oczywiście. Nie... znieśliśmy gdyby ktokolwiek, czy to jakaś żałosna banda renegatów, czy kłopotliwy rząd wpłynął na decyzję Stanów Zjednoczonych w tej sprawie.

Trost przyjrzał się nacierzowi. Felsher miał oczy psa gończego i zuchwę obrońcy w aferze Watergate. Trost ze zdumieniem uświadomił

sobie, że jest to człowiek, który - niezależnie od sukcesów - nadal będzie wyglądał jak miernota. Co więcej, wszystkie te sukcesy buduje na bazie swojej nijakości. Nikomu nie zagrazi, a jednak przeżyje wszystkich. Podstępny skurczybyk.

- Doceniam pańską szczerłość, Bob. To zawsze najlepszy grunt do budowania nowych związków. Szkoda, że nie ma więcej ludzi w tym mieście, którzy mówiliby tak otwarcie. - Podwójny podbródek Felshera zadrzał, jakby ten szykował się do odpowiedzi, ale Trost mówił dalej: - Teraz ja powiem panu szczerze... ta sprawa z rurociągiem to było dla mnie ledwo słyszalne echo. Do wczoraj. A teraz stoi w centrum moich zainteresowań. Ale nie jestem teraz w stanie podejmować decyzji lub obiecywać czegokolwiek. Ja jestem... rozkojarzony. Delikatnie rzecz ujmując. Sercem i duszą jestem zaangażowany w odzyskanie Kelly. Mój mózg został gdzieś daleko w tyle. -

Felsher zamachał rękami. Potężnymi, grubymi rękami. - Ależ panie senatorze, nie oczekujemy od pana składania żadnych obietnic. Nic z tych rzeczy. W oficjalnych dokumentach deklarujemy się za skierowaniem rurociągu przez Azerbejdżan i Gruzję, a potem Turcję i do basenu Morza Śródziemnego. W całkowitej zgodzie z polityką przyjętą przez Departament Stanu. Wszyscy o tym wiedzą. To żadna tajemnica. Nie chcemy po prostu, żeby jakieś lokalne wydarzenia uprzedziły kogokolwiek do całkowitej słusznej decyzji. Nie próbujemy wpłynąć na pański głos. Przysięgam na Boga. Próbujemy się tylko upewnić... mieć pewność... że nie związane ze sprawą wydarzenia...

Pocił się, mimo iż dom był klimatyzowany. - Chodzi mi o to, żeby nikt inny nie próbował wpłynąć na to, jak pan będzie głosował. W przypadku wyrównanych sił...

Trost chciał wybawić tego człowieka z niezręcznej sytuacji. - Bob... zawsze starałem się być obiektywny podczas oddawania głosu. - Nawet mówiąc to, wiedział, że mija się z prawdą. Jednak chciał, żeby tak było, szczerze chciał, żeby tak było, przynajmniej w pewnym sensie.

Jego gość przysunął się do niego. - Panie senatorze, nasz człowiek na miejscu - Dick Fleming, dobry człowiek - obawia się, że to intryga jakiejś trzeciej strony, obmyślana w celu zmiany trasy tego rurociągu. - Trost widział żyłki pod oczami Felshera, zmęczenie na twarzy. - Sam pan wie, panie senatorze... kiedy w grę wchodzi kilkaset miliardów dolarów, ludzie zaczynają się chwytać rozpaczliwych metod. Każdy chce tam coś z tego mieć... Irańczycy, Rosjanie... niech panu rzuci strzałką w mapę, a na pewno trafi pan w gniazdo jakichś nacjonalistycznych spiskowców albo fanatyków religijnych czy mafii... albo wszystkich

naraz. Zupełnie jakby pan wdepnął w gniazdo grzechotników. Musimy myśleć rozsądnie.

-I - uzupełnił wyważonym tonem Trost - musimy odzyskać moją córkę.

-Bezwzględnie. Przecież o to chodzi. Bez dwóch zdań. Widzi pan, jak nasze interesy się zaciebiają? To polityka w jej najbardziej praktycznej formie. Podejrzewamy, że pańską córkę porwano, żeby zszargać opinię Azerbejdżanowi i przedstawić kraj jako wrogi i niestabilny. Żeby zmienić trasę rurociągu. Więc nam także zależy na tym, żeby pańska córka wróciła do domu cała i zdrowa. - Wolno pokręcił głową. - Los Kelly i przyszłość Oak Leaf Oil splatają się ze sobą. I zrobimy dla pana wszystko, co w naszej mocy.

Trost oparł się na fotelu i pokiwał głową. Jasne. Dlaczego nie? Nikt inny nie ma żadnego pomysłu. Sprowadźcie Kelly, a do końca świata będę głosował tak, jak chcecie. Wchodzę w to.

Wstał, zmuszając tym samym do podniesienia się z fotela swojego gościa. Senator po raz pierwszy wyciągnął rękę.

-Bob... jestem pańskim dłużnikiem. Doceniam wszystko, co jesteście w stanie zrobić, żeby pomóc mi odzyskać córkę.

Z niespotykaną intensywnością poczuł mdły uścisk wilgotnej dłoni tego człowieka. Poczuł, że coś w nim pęka. Trost puścił rękę gościa i usiadł na krześle, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zasłonił twarz najpierw jedną ręką, a potem obiema. Drżał na całym ciele. Nie panował nad sobą. Nie płakał. Czuł się zawieszony, zszokowany, wyprany z emocji. Zupełnie jakby stracił kontrolę nad swoimi mięśniami. Czuł, jak przewracają mu się wnętrzności. Po chwili, podczas której wszystko zamarło, jego gość położył mu dłoń na ramieniu. To było okropne uczucie. Senator nie mógł znieść, że ktokolwiek widzi go w takim stanie. Ale nie potrafił wziąć się w garść.

-Wszystko będzie dobrze - powiedział jego gość jak do małego dziecka. - Niech się pan nie martwi, panie senatorze. Niech pan zaufa staremu Bobowi Felsherowi.

Świat rozpadł się na kawałki i Trost nie umiał go poskładać w całość. Kształty zamazywały mu się przed oczami. Nie potrafił nawet zmusić się do milczenia przy obcym.

-Nie wiem, gdzie ona jest - powiedział Trost, obejmując się rękami i kiwając w tył i w przód. - Nie wiem, gdzie ona jest.

To było straszne. Nie spała od dwóch dni. Za każdym razem, kiedy wywalczyła sobie czyste miejsce pod ścianą, robaki zaraz ją odnajdywały. Do tego było zimno. Dzień rozdzielający dwa okresy ciemności był

brutalnie gorący, a małe okienko pod sufitem zamknięte. Kiedy temperatura zaczęła spadać pod wieczór, robactwo garnęło się do jej ciepłego ciała. Z całych sił pragnęła, żeby wstał ranek. Jej więzienie wydawało się jednocześnie halucynacją i najbardziej realną rzeczą, jakiej doświadczyła w życiu.

Jak długo jeszcze potrwa ta noc?

Pierwszej nocy kobieta, szczelnie owinięta czarną chustą, przyniosła jej owsiankę i wodę, od której Kelly rozchorowała się w ciągu kilku godzin i zanieczyściła przegrodę, gdzie skuto ją łańcuchem. Potem kobieta przyniosła wiadro na zlewki, ale Kelly nie miała czym się wycierać. Na dodatek nikt nie przychodził opróżniać tego wiadra, a brzuch bolał dziewczynę tak bardzo, że prawie nie mogła się ruszać i nie dbała już o własną nagość, kiedy rozstrojony żołądek gorączkowo domagał się kolejnego wypróżnienia. Pomiędzy atakami skurczów leżała skulona na ziemi i szlochała.

Uważała się za osobę trzeźwo myślącą i rozsądną, ale już zaczęła mieć halucynacje. Czuła na skórze robactwo, chociaż go tam nie było i ciągle jej się zdawało, że dotykają ją czyjeś ręce. Zniekształcone sylwetki ludzkie przemykały się na granicy jej pola widzenia. Yussuf, jej kierowca, leżał przed nią z odstrzelonym czubkiem głowy, ale wciąż żył i oskarżał ją o wszystko. Kiedy próbowała go dotknąć - znikał. Wyłaniała się z maligny, odurzona brakiem snu i chorobą, i znów zapadała w stan odrętwienia. Dnie były skwarnym, cuchnącym półmrokiem, a noce zimnym rynsztokiem. Była odwodniona i bała się, że straci rozum. Jednak przeważała siła zdrowego umysłu. Początkowo bała się gwałtu, ulubionego sportu kontaktowego w tym regionie, i śmierci. Jej brodaczy oprawcy wydawali się zupełnie obojętni na morderstwo, którego się dopuścili, a mimo to obchodzili się z nią z prawie wiktoriańską pruderią. Sprawili jej tylko tyle bólu, żeby jej uświadomić, że mogą ją skrzywdzić o wiele bardziej, jeśli zajdzie taka potrzeba, a potem zostawili ją sam na sam z własnym strachem. Ciało Yussufa wciąż leżało twarzą do góry na drodze, a mężczyźni przeprowadzili ponurą, dziwacznie uprzejmą, wręcz komiczną akcję, starając się wepchnąć zdrową Amerykankę, o wroście prawie stu siedemdziesięciu centymetrów do bagażnika samochodu, który był dla niej przynajmniej o połowę za mały. Wreszcie zdecydowali się ukryć ją pod kocem na tylnym siedzeniu, dając jej ostrzeżenie angielskim żywcem wyjętym z kreskówek. - Ty nie rusz. My zabić.

Wierciła się i kztusiła się pod tym kocem, wdychając zapach potu i oleju silnikowego, którym był nasiąknięty. Samochód cały czas jechał i nie zatrzymywał się przy kapryśnych blokadach drogowych, znaczących drogę każdego pracownika misji humanitarnej. Raz wypuścili ją z samochodu, żeby mogła załatwić swoje potrzeby w upstrzonej odchodami

plamce roślinności na pustyni i zorientowała się po pozycji zachodzącego słońca, że jadą na południe. W stronę Gór Tałyskich. Albo Iranu.

Dużo później samochód wspiął się po długim zboczu wzgórze przy akompaniamencie zgrzytania zmieniających biegów i wreszcie zatrzymali się. Usłyszała nowe głosy i czyjeś ręce wyciągnęły ją z samochodu, z kocem wciąż zasłaniającym twarz. Potykając się bez przerwy została wprowadzona do jakiegoś budynku, a czyjaś ręka brutalnie schylała jej głowę, ilekroć przechodzili przez drzwi. W końcu zdjęli z niej koc i zakuli ją w kajdany jak zwierzę. Jej więzienie różniło się znacznie od obozów dla uchodźców. W pustej szopie nadal śmierdziało zwierzętami. To było solidniejsze miejsce, zbudowane z kamienia, doklejone do większego budynku. Była tu nawet elektryczność. Kiedy pojawiała się zawołowana kobieta, zapalała żarówkę na suficie, której światło kłuło Kelly w oczy. W tej części świata elektryczność w oborze świadczyła o niemałym bogactwie i prawdopodobnie o bliskości miasta. Z niewyjaśnionych przyczyn ta myśl dodawała jej otuchy. Dlaczego jej to robią? Dla okupu? Z przyczyn politycznych? Z zemsty? Z tego, co wiedziała, nigdy nie porwano innego pracownika misji humanitarnej. A jej ojciec nie był osobistością rangi światowej. Jego zainteresowanie sprawami zagranicznymi sprowadzało się do wakacji z Brazylijką, która przerywała sen wszystkich domowników hałaśliwymi orgazmami i z nieprawdopodobną nonszalancją wypytywała Kelly o jej szkolnych „kochanków”.

Jej ojciec. Poruszy niebo i ziemię, żeby jej pomóc. Ta myśl przynosiła jej tylko chwilową pociechę, bo zaraz zastępowało ją poczucie słabości, frustracji i gniewu. Zawsze wszystko dotyczyło jej ojca. Nawet tym razem nie udało się jej od niego uciec. Zresztą, wcale tego nie chciała. Chciała, żeby był przy niej i nie próbowała nawet temu przeczyć. Czuła się niesamowicie samotna i odkryła, że pragnie rzeczy prostych, niezbędnych w życiu, o których wcześniej nawet nie myślała. Kochała i lubiła swojego ojca, ale musiała mieć swoje życie. Nienawidziła go przez całą dziewiątą klasę. Po tym, jak zostawił jej matkę. Ale w niewiarygodny sposób zjednywał sobie wyborców, uwodził kobiety i oswajał psy. Wszyscy podążali za nim ślepo machając ogonami. Z córkami szło mu łatwo.

Kiedy był blisko, trudno mu się było oprzeć. Kochała go i pogardzała nim, a do tego była bardzo zazdrosna. Potem była świadkiem tego, jak jej matka wychodzi za mąż za okropnego człowieka. Chucky miał imponujące ranczo, którym nie bardzo się zajmował i wykorzystywał każdą okazję, żeby zbliżyć się do swojej pasierbicy. Kiedy poskarżyła się matce, ta powiedziała: „Kochanie, on po prostu chce, żebyś

poczuła się tu jak w rodzinie”. Tymczasem jej ojciec prowadził kampanię odzyskiwania córki. Jak zawsze elegancki - jedyny mężczyzna, jakiego znała, który wygląda seksownie w muszce - ojciec traktował ją jak dorosłą kobietę, mimo że nią jeszcze nie była i rozśmieszał naśladując swoich znajomych. I pomimo ewidentnych oznak zachęty ze strony jej przyjaciółek z koledżu, które zapraszała do domu, nigdy nie spał z żadną z nich. Za to miał u niej dużego plusa. Zostali z ojcem dobrymi przyjaciółmi i wszystko byłoby w porządku, gdyby jej tak nie przytłaczał. Wciąż chciał jej pomagać, a kiedy wreszcie dawał spokój, tryliony ludzi, którzy byli jego dłużnikami albo go podziwiali, próbowali jej ułatwić życie, chociaż o nic nie prosiła. Żyła w ogromnym kokonie przywilejów, a chłopcy i mężczyźni w jej życiu nigdy nie zabawiali w nim zbyt długo. Jej ojciec był zbyt duży. Gigantyczny. Z uśmiechem Paula Newmana i dobrymi manierami, odziedziczonymi po przodkach niczym srebrne sztuce. A teraz, uwięziona w tym lochu, na myśl o nim płakała ze złości, z nadzieją i zupełnym metlikiem w głowie. Jedyną rzeczą, w której ojciec nie mógł jej pomóc, było pływanie. Wreszcie miała coś swojego. Był z niej dumny, oczywiście. Ale nie mógł ustawić wyników na zawodach. Nie mógł przestawić zegara. Nawet przegrane miały dla niej wartość. Bo należały do niej, do niej, do niej.

Leżała na ziemi, marząc o wskoczeniu do czystego basenu. Zanurzyć się w wodzie. Zanurkować, poczuć jak woda otacza jej ciało i oczyszcza je. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że w wodzie będzie bezpieczna i znów zdrowa. Po przyjeździe do Azerbejdżanu naprawdę dotkliwie odczuwała tylko brak pływania. Całe morze było zatrute, a w wodzie z kranu znajdowały się zarazki cholery. Zrzuciła z kolana robaka o jedwabistych odnóżach. Znienacka zapaliło się światło i do środka weszła znajoma kobieta. Musi być stara. Pochylona, powolna, jej najszybsze ruchy przypominały nieskoordynowane podrygi. Kelly spojrzała przerażona na czarno zawoalowaną sylwetkę idącą w jej stronę i krzyknęła: -Czego chcesz? Czego ode mnie chcesz?

Wydawało się jej, że krzyknęła. Chciała krzyknąć. W rzeczywistości wydała się sobie zaledwie cichy chrapliwy odgłos. Stara kobieta pośpiesznie postawiła na ziemi jedzenie i podreptała z powrotem. Okazało się, że miska i dzban stoją zbyt daleko od Kelly. Światło znów zgasło. Kelly próbowała dosięgnąć do wody, ale kajdany krępujące jej nogi w kostkach nie ustąpiły ani o milimetr. Wyobraziła sobie armię małych czarnych stworzeń pędzącą do jej jedzenia, oblepiającą je, wpadającą do jej wody. Poddała się, opadła na podłogę i znów się rozplakała.

Dzień nie chciał nadejść, a za każdym razem, kiedy wydawało się jej, że uda się jej zasnąć, coś ją gryzło i podskakiwała w panice. Skórę na kostkach miała zdartą do krwi. Wreszcie zaczęła wyć, wydobywając z krtani nie kończący się suchy, nosowy dźwięk. Drzwi otworzyły się i po raz kolejny boleśnie odczuła zapalenie światła. Początkowo nie mogła podnieść głowy. Złapane na gorącym uczynku robactwo rozbiegło się po podłodze. Do środka wszedł mężczyzna. Nie odzywał się, ale kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do jasności, zobaczyła, że się jej przygląda, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Podobnie jak jej porywacze, on też miał schludnie przystrzyżoną brodę i białą koszulę, zapiętą pod samą szyję. Koszula wydawała się jej najczyściejszą rzeczą, jaką w życiu widziała. Aż jej się zakreśliło w głowie. I rozplakała się jeszcze bardziej. Nigdy nie widziała tak pięknej koszuli. Mężczyzna był młody, szczupły, choć niewysoki. Miał ładne rysy, ale wyraz jego oczu przypominał jej robaki, które oblażyły ją w nocy. Nic w jego zachowaniu nie zdradzało, że w najmniejszym stopniu jest poruszony warunkami, w jakich ją znalazł.

Nagle uśmiechnął się, odstawiając małe, równe i bardzo białe zęby. Ten widok przywiódł Kelly na myśl jej własne zęby, pokryte nalotem. Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mały brązowy przedmiot. Baton Snickersa. Rzucił go między jej kolana. Chciała zachować się z godnością, odrzucić go, ale własne ręce jej nie słuchały. Zerwała opakowanie brudnymi palcami, czując obrzydzenie nawet kiedy pośpiesznie wpychała batona do ust. To był dom, to było swojskie, to było wszystko, czego potrzebowała. O niczym innym nie potrafiła myśleć. Czowała, jakby do tej pory umierała z głodu. Ale jej organizm nie przyjmował czekolady. Za wcześniej. Nie mogła go przełknąć, miała suchy język, dziąsła, gardło.

- Wody - powiedziała błagalnie, nie mogąc gryźć. Przypomniła sobie ich słowo. - Su.

Mężczyzna zrozumiał. Podsunął jej dzbanek i oboje zobaczyli miskę z owsianką, w której aż roił się od robactwa. Kelly zamknęła oczy, starając się nie wypluć czekolady.

Młody mężczyzna krzyknął jedno słowo. Kelly usłyszała kobiece imię: Yasmin. W takim miejscu brzmiało jak kiepski żart. Miał stanowczy, pełen wyższości głos, głos chłopaka z wyżyn społecznych w innej kulturze.

Ubrana na czarno kobieta weszła pośpiesznie, a on uderzył ją w miejscu, gdzie chusta zasłaniała jej policzek. Kobieta wpadła na ścianę i Kelly bała się, że roztrzaska się na kawałki jak szkło, ale starszka natchmiast wstała, jakby takie traktowanie harmonizowało z jej stylem

życia. Młody mężczyzna wydał jej serię poleceń, po czym kobieta zabrała miskę i dzbanek i wyniosła się w pośpiechu.

Młody mężczyzna natychmiast się uspokoił, jakby emocje były kwestią wyboru i powiedział po angielsku:

- To głupia kobieta. Tacy ludzie muszą mieć nad sobą kontrolę.

Wymawiał oddzielnie każde słowo, jakby recytował lekcję. Kelly wciąż nie mogła przełknąć ani wydusić słowa. Czuła, że jej wnętrzności znajdują się na granicy kolejnego skurczu, a nie chciała załatwiać swoich potrzeb fizjologicznych na oczach tego mężczyzny. Ale tylko jakaś jej część się tym przejmowała. Chciała krzyczeć na swojego oprawcę, ale była zbyt zmęczona. Jedyne na co mogła się zdobyć, to uczucie upokorzenia.

Młody człowiek wyrzucił prawą rękę przed siebie. Ten gest nie miał odpowiednika w świecie Kelly. - To złe miejsce - powiedział wolno, jakby wygłaszał wyuczoną na pamięć mowę. - Ale nasz lud cierpi przez Amerykę. Tak właśnie muszą żyć.

Kobieta wróciła z dzbankiem wody, ale bez jedzenia. Tym razem postawiła naczynie tak blisko, że prawie dotykało kolana Kelly, ukłoniła się jej szybko i uciekła do bezpiecznej strefy za drzwiami.

Kelly - wciąż kurczowo trzymając batona - chwyciła dzbanek z wodą i zaczęła pić, oczyszczając usta. Potem odetchnęła, rozlewając wodę po brodzie, szyi i klatce piersiowej. Kiedy złapała oddech, znów zaczęła pić z zamkniętymi oczami, żeby przypadkiem czegoś w niej nie zobaczyć. Czuła słodki, zateęchły smak.

Kiedy ugasiła pragnienie, zjadła batona - szybko i łapczywie. Miała wrażenie, że karmelowa konsystencja w jakiś sposób uspokoi jej wzburzone wnętrze. Bała się też, że jej oprawca zabierze jej batona, zanim ona zdąży go skończyć. Czekolada była stara i przyklejona do opakowania, a jej zapach zmieszał się z odorem jej odchodów i otoczenia. Ale zjadła go do końca.

- Widzisz, jak muszą żyć moi ludzie? - spytał młody mężczyzna, kiedy skończyła. - Tylko że oni nie mają czekolady. Nawet dla małych dzieci.

Kelly tylko częściowo słyszała jego słowa. Teraz chciała zjeść coś jeszcze, prawdziwe jedzenie. I umyć się. A przede wszystkim potrzebowała snu, spokojnego snu.

- Te okropne warunki - ciągnął jej gość - spowodował twój ojciec. To bardzo zły człowiek.

Kelly poczuła, jak włącza się jej alarm. Poczowała, że jej mózg błyskawicznie budzi się do życia.

- To przez twojego ojca chorują dzieci. To wojownik Izraela i wielki wróg Islamu. Żydowski faworyt.

Kelly nie rozumiała. Nawet nie próbowała. To musi być jakaś pomyłka. Może to wszystko jest wielką pomyłką?

- Twój ojciec jest winien ludobójstwa ludzi Islamu. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Więc zabraliśmy mu córkę.

- Proszę... nie wiem, o czym pan mówi. Mój ojciec to Mitchell Trost. On... nic nie wie o polityce zagranicznej...

Młody mężczyzna roześmiał się, krótko i pogardliwie. - Masz nas za głupców? Wiemy o wszystkim. Teraz twój ojciec musi za to zapłacić. Ameryka musi zapłacić. Koniec z Izraelem. My zaprowadzimy pokój.

Kelly szukała w pamięci jakichkolwiek powiązań ojca z Izraelem i syjonizmem. Nie wiedziała nawet, czy jej ojciec umówił się kiedykolwiek z Żydówką. Cóż, pewnie tak. Ale wolał patykowate Angielki. Rudowłose. A New Jersey to była dla niego już zagranica.

- Błagam - odezwała się. - Mój ojciec to senator Mitchell Trost. Jego obchodzą tylko dotacje federalne, związki zawodowe i takie tam. On nie ma z tym nic wspólnego.

Młody człowiek spojrział na nią z teatralną pogardą. - Wiemy wszystko. Nie okłamiesz nas. Byłem na uniwersytecie.

- Proszę - spróbowała jeszcze raz Kelly. - To jakaś pomyłka.

- Jesteś amerykańską dziwką - oznajmił jej rzeczowo mężczyzna. Odwrócił się i wyszedł.

Zapomniał zgasić światło i Kelly po raz pierwszy mogła się dokładnie przyjrzeć robactwu, z jakim dzieliła nocą swoje więzienie.

Wiedza nie zawsze jest pożądaną rzeczą.

- Przed chwilą spotkało mnie coś niezwykłego - powiedział Bob Felsher, siadając do odgrzanej kolacji. - Widziałem, jak załamał się nerwowo senator Stanów Zjednoczonych. Facet całkiem stracił nad sobą panowanie.

- To bardzo interesujące, kochanie. - Jego żona pochyliła się, żeby włożyć naczynia do zmywarki na drugim końcu gigantycznej kuchni. Gospodyni miała wolne tego dnia. Kiedy zaczęli wspólne życie, ich pierwsze mieszkanie zmieściłoby się w tej kuchni. Bez trudu.

Zjadł trochę, doceniając smak posiłku, ale zbyt zamyślony, żeby się nad tym rozwoździć, jego żona westchnęła i wróciła do uruchamiania zmywarki.

- To jest coś, nie sądzisz? - spytał ją. - Pomyśl, jak daleko zaszliśmy w życiu. To znaczy, harowaliśmy na to, Bóg jeden wie jak ciężko. Ale pomyśl o tym, Ellen. Ten dom. Dzieciaki. Wszystko. Kiedy zaczęliśmy

- czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że zajdziemy tak daleko? Co to za wspaniały kraj. - Odkroił kawałek pieczeni i umoczył go w sosie. Dobra, domowa kuchnia.

-Codziennie dziękuję za to Bogu, kochanie – odpowiedziała jego żona. - Andersonowie dzwonili, żeby spytać, czy przychodzimy do nich w sobotę.

Felsher przełknął i odpowiedział: - Lepiej pójdźmy. On ma dobre układy na Kapitolu. Ale... zastanów się nad tym przez chwilę. Ilu ludzi ma okazję zobaczyć na własne oczy, jak rozkleja się senator Stanów Zjednoczonych?

-Pewnie był zdenerwowany - powiedziała, siadając przy stole naprzeciw męża. - Wypożyczyłam film, który chciałeś zobaczyć. Ale musiałam zapłacić pełną cenę.

Kiedy skończył jeść, Felsher opłukał talerz i włożył go do zmywarki, podczas gdy jego żona poszła do przytulnego saloniku, żeby włączyć duży telewizor i włożyć kasetę do odtwarzacza wideo. To był miły zwyczaj, który sprawiał, że, zdaniem Felshera, wiodli przyjemne życie.

Oglądali „W samo południe”, jego ulubiony film. Kiedy kasetę się przewijała, objął żonę ramieniem i powiedział:

-To jest właśnie problem w tym kraju. Nikt nie chce walczyć o słuszną sprawę. Nikt nie dba o to, żeby postępować jak należy. Każdy myśli tylko o sobie.

-Prawda? - powiedziała jego żona.

Bob Felsher położył się do łóżka wyjątkowo zadowolony z siebie. Przytulił się do żony, dopasowując brzuch do jej pleców.

- Kocham cię Ellen.

-Ja też cię kocham.

Ale nie zasnął od razu. W rzeczywistości był podekscytowany jak małe dziecko. Nie tylko dlatego, że widział jak załamuje się senator. Miał coś lepszego. Bob Felsher miał tajemnicę, o której nie wiedział nikt inny w całym kraju.

5

Pewnych rzeczy się nie zapomina. W okresie poprzedzającym długą fazę zastoju wojny, kiedy armeńska ofensywa załamała kraj, Burton pełnił funkcję obserwatora na południowym froncie. Sam nie nosząc broni, patrzył jak ludzie, którzy cierpieli przez stulecia, palą miasta ludzi, za mało ważnych, żeby wcześniej wycierpieli swoje. Wyrachowany charakter aktów przemocy trawił Burтона od środka, aż poczuł, że więcej nie znieśie. Niszczyły ludzkie społeczności, rozwijające się harmonijnie przez tysiąclecia. Ormianie byli o wiele lepszymi wojownikami i nauczyli się stosować strategię, podczas gdy Azerowie pili, robili dużo hałasu i zbyt wcześnie naciskali na spust. Potem rzucali się do ucieczki. Silniejsze oddziały próbowały osłaniać uchodźców, ale wojska Karabachu poruszały się szybciej i zabijały ich, rozstrzeliwały ocalałych, dobiły rannych.

Wcześniej, kiedy przewaga była po stronie Azerów, zachowali się dokładnie tak samo w górach. Przegrupowani Ormianie przebili się na tereny nizinne, zdecydowani utworzyć strefę śmierci wokół domostw swoich przodków. Dla Burтона, który lubił i szanował Ormian tak samo jak Azerów, cała ta jatka wydawała się równie hipnotyzująca co niepożądana. Czuł się coraz brudniejszy obserwując ją, zdając sobie sprawę wbrew logice, że patrzy w lustro. Przegrana Azerów była dla niego ostatnim impulsem do zejścia z drogi, którą kroczył do tej pory.

Tego ranka jechał dość monotonną trasą. Po opuszczeniu łóżka Heddy, w którym ukradł godzinę ze swojej służby, wciąż senny Burton wdrapał się do małego łazika, za kierownicą którego siedział sierżant Spooner. W pomarańczowym świetle jechali na południe, okrążając przylądek drogą sąsiadującą z klifem wiszącym nad polami roponośnymi. Nie był to najprzyjemniejszy początek. Słynna dżungla wieńcówniczych znikła powoli, wyprzedawana na złom przez szabrowników. Jednak gleba została czarnobrazowa, skażona kilkudziesięcioletnim procesem wydobycia ropy. Nie udało się bardziej zniszczyć tej ziemi,

niż zrobili to baronowie naftowi z przełomu wieków, a po nich rodząca się klasa proletariatu. Za każdym razem, kiedy musiał jechać na południe wzdłuż pasa zniszczonych ziem, czuł ciarki na plecach.

Droga odbiła od wybrzeża, zdewastowanych pól roponośnych i cypla, następnie obniżyła się i ruszyła wzdłuż zatoki. Wznoszący się poziom wody zalał kompleksy plażowe, na mieliznach rdzewiały pawilony. Klasa średnia z miast nadal kąpała się tu w weekendy. Burton nie zanurzyłby w tej wodzie końca palców. Po stronie stałego lądu ciągnęły się białe gładkie jak prześcieradła połacie ziemi, znacząc drogę do wzgórz. Po obu jej stronach młodzi chłopcy usiłowali sprzedać worki z solą, uzbierane przez ich rodziców. Przed namiotami przy ogniskach uwijały się sylwetki ludzi szykujących śniadanie. Na południu górowała ogromna, nowa maszyneria do wydobycia ropy, złowrogim kształtem rysująca się na tle ziemi i morza.

Kiedy skończyły się połacie soli, pod wymarłymi wzgórzami oczom ukazywało się cmentarzysko sprzętu wojskowego. Niektóre transportery i czołgi nosiły ślady kul, ale większość maszyn niszczała, ponieważ rekruci nie wiedzieli nawet, że co jakiś czas trzeba sprawdzić olej, a ich oficerowie byli zbyt zajęci zwalczaniem siebie nawzajem, żeby się tym przejmować. Sprzętu nadającego się do naprawy wystarczyłoby dla pułku i kilku rezerwowych batalionów wygłodniałej armii, ale Azerowie woleli zostawić wszystko na pastwę rdzy pod nadzorem dwóch śpiących chłopców. Raz, kiedy Burton przyjechał tu, żeby policzyć pojazdy, ponieważ wywiad Departamentu Obrony utrzymywał, że należą do gotowego do walki oddziału, przygotowanego do rozpoczęcia kontrofensywy, jakiś dzieciak w mundurze i z karabinem, wystrzelił do niego serię, po czym naprzykrzał mu się o papierosa, zadowolony, że wykonał powierzoną mu misję.

Potem były dziesiątki krytych wagonów towarowych zamieszkałych przez uchodźców. Stały na bocznicach, obwieszane sznurkami z praniem. W całym kraju rozrzuconych było około miliona uchodźców, ludzi naznaczonych niesłychanym fatalizmem i cierpliwością, czekających dzień po dniu na cud, który pozwoli im wrócić do domów, do ich pól melonów i stad. Początkowo Burton często się przy nich zatrzymywał, słuchał historii ich życia. Aż poczuł, że więcej już nie zniesie. Zamiast przyzwyczaić się do cierpienia, zawstydział go teraz każdy jego odruch obojętności wobec ludzkiego nieszczęścia. Już się nie nadawał do tej pracy, stracił dystans i efektywność, a tego ranka uważał się za wyjątkowo bezużyteczną jednostkę, chowającą się za rutynę i ograniczenia wpisane w jego stanowisko. Prawie się cieszył, że córka Trosta

wpakowała się w kłopoty. Taka sytuacja, chociaż skomplikowana, dawała mu jasny cel, którego tak potrzebował.

Pewnych rzeczy się nie zapomina. Burton nigdy nie zapomni pewnego popołudnia, kiedy po raz pierwszy zaczął sobie uświadamiać, że chce wystąpić z wojska. Oddziały Karabachu wypchnęły jednostkę, z którą przebywał z przydrożnego miasta na granicy irańskiej. Nie wymagało to zresztą z ich strony wielkiego wysiłku, ponieważ Azerowie przyzwyczaili się do otrzymywania cięgow i zazwyczaj brali nogi za pas na dźwięk pierwszych strzałów. Nie była to jego walka, ale Burton schowany za dżipem, wstydził się za uciekających oficerów o okrągłych ze strachu oczach, których podkomendni rzucili broń na ziemię, żeby szybciej biec. Wysoce ustosunkowany pułkownik, który wiecznie narzekał, chociaż sam nie posiadał żadnych kwalifikacji, zatrzymał się za pagórkiem, kilometr od ostatnich zabudowań. Zależało mu na tym, żeby zgromadzić wokół siebie i swoich zdobywcy wystarczającą ilość oddziałów do ochrony. Teraz pozował na bohatera, ponieważ Ormianie nigdy nie podejmowali pościgu, zanim nie zrównali z ziemią zdobytych pozycji. To była wojna amatorów, przedkładających nienawiść nad skuteczność.

Burton leżał na porośniętym szorstką trawą stoku wzgórza, którego piaszczysta gleba, aż roiła się od mrówek i obserwował zagładę miasta przez lornetkę z radzieckich rezerw. Ormianie rozstrzelali zdrowych mężczyzn w wieku poborowym, przy okazji bijąc lub strzelając do przypadkowych mieszkańców miasta, sparaliżowanych błyskawicznie przeprowadzonym atakiem. Strzały słyhać było wyraźnie, natomiast odgłos ludzkie przypominały raczej pomruki, tłumione odległością i warkotem wojskowych pojazdów. Burton leżał na ziemi i patrzył na bezgłośnie otwarte usta błagających o litość, zanim spadały na nich razy kolb karabinów. Dostrzegł pierwsze płomienie podkładanego ognia, czarny dym zasnuł niebo. Widział już wcześniej takie rzeczy, ale nigdy nie miał tak dogodnego punktu obserwacyjnego.

Grupa mężczyzn w czarnych mundurach wpadła do domu na skraju miasta, wyważając drzwi. Wyrzucali przez okna krzesła, sprzęt domowy i części ubrań, opróżniając dom jak kieszeń. Potem wyprowadzili z niego siłą siwego mężczyznę, popychając go kolbami i lufami karabinów. W jego niemym filmie żołnierze śmiali się przesadnie, ale nie udało mu się dostrzec wyrazu twarzy starca. Wtedy jeden z żołnierzy wyprowadził z domu za włosy młodą dziewczynę. Burton do dzisiaj nie potrafił określić jej wieku. Na oko dawał jej dwanaście lat. Może była starsza, tylko niewysoka. W każdym razie wystarczająco młoda. Poznawał to po niezdarności jej ruchów. Stary mężczyzna wznioł rękę

do nieba, jakby błagał Boga o litość. Duży wojskowy but powalił go na ziemię. Żołnierze nawet nie rozebrali dziewczyny - obydwie strony wstydyły się nagości. Po prostu położyli ją na ziemi z zadartą spódnicą i porwaną bielizną i gwałcili po kolei. Za każdym razem, kiedy jeden z nich kończył, dziewczyna próbowała się zasłonić, przewracając na bok, ale następny mężczyzna przyciskał ją brzuchem do skrzynki albo rozpląszczał na zakurzonej ziemi. Burton patrzył na to i nie robił nic, mając tysiąc wymówek, a lornetka zadrżała mu tylko raz, kiedy ostatni żołnierz skończył i strzelił dziewczynie trzykrotnie w brzuch. Nie chciało im się nawet dobijać starca. Niedługo potem Ormianie postali serię z moździerza na pobliskie pole i azerbejdżański pułkownik uznał, że najwyższy czas wznowić wycyfywanie się. Zaprośił Burтона do swojego dżipa i poczęstował brandy z prywatnego zapasu.

Skruszony Burton często przywoływał w pamięci obraz tej dziewczyny. Nie miała rysów twarzy, ale wymyślił je sam. Widział jej ciemne, rozsypane luzem włosy, potargane przez żołnierzy, jej gołe nogi, chude jak patyczki i maleńkie czarne buciki. Widział wygięte plecy leżących na niej żołnierzy, ze spodniami opuszczonymi do kolan. I widział siebie międyz nimi.

Początkowo starał się zracjonalizować swoje odkrycie, uzbroić się lekcjami z historii. Wiedział, że ludzie zawsze będą prowadzić wojny i że uczciwe społeczeństwa muszą być przed nią chronione. Dopiero po roku spojrzął w oczy prawdzie, którą poznał już tego popołudnia: nie potrafił już traktować żołnierki jako uczciwego zajęcia. Nie dla siebie. Można być uczciwym żołnierzem tylko do momentu, w którym człowiek uświadomi sobie, co w rzeczywistości oznacza służba w wojsku.

I chociaż nie potrafił już uciec od tej nowo nabytej świadomości, nie robił nic znaczącego w tej sprawie. Zamiast wystąpić z wojska, postanowił odsłużyć dwadzieścia lat, żeby otrzymać należną mu emeryturę. Krwawe pieniądze. Przed jego oczami rozciągała się ścieżka pielgrzyma, i wmawiał sobie, że potrzebuje pieniędzy na dalszą drogę i nie może ze wszystkiego zrezygnować. W rzeczywistości czuł się zagubiony. Wiedział, że w oczach innych wygląda na człowieka, który dokładnie wie, czego chce. We własnych oczach wyglądał na głupiego i nie wiedzącego nic poza tym, że nie chce już być częścią przemocy, bez względu na to, jaki kod czy tradycja ją uszlachetnia. Podpułkownik Evan Burton czuł się jak jeden z tych gwałcicieli. Jeden z gloryfikowanych bandytów, którzy nurzali swoje ręce we krwi i wycierali je flagą.

- Czy mogę zadać panu osobiste pytanie, sir? - spytał sierżant Spomer. Z zamkniętymi oknami przejechali przez gęstą chmurę z

gigantycznej cementowni, wznoszącej się na porośniętej karłowata roślinnością pustyni, pod niebem zabarwionym lekko na zielono.

Burton odkręcił okno i wpuścił do środka gorące powietrze. - Nie wiem, dopóki go nie usłyszę. - Był pewien, że chodzi o Heddy. Spooner miał do niej słabość i zawsze znalazł sposób, żeby zacząć rozmowę na jej temat, kiedy razem podróżowali.

-No... ja nie wiem... wie pan, szefie. Nie wyobrażam sobie, że ta pańska dziewczyna wyjdzie za tego całego ambasadora. Naprawdę zamierza to zrobić?

Wjechali do przydrożnej wioski, gdzie dzieci oglądały świat zza drewnianych bram. Na trasie do Iranu prawie każda rodzina prowadziła usługi dla kierowców ciężarówek w barkach ze sklejki ustawionych przy szosie. Wypaczone ze starości lodówki, zbieleiałe jak kości stały w słońcu, zasilane prądem z drutów elektrycznych wiszących nad głową. Papierosy, napoje i piwo w puszkach. Rozpuszczone słodycze i chleb. Handel na dużą skalę.

-Słysząc takie plotki - powiedział wolno Burton. - To będzie bardzo udane małżeństwo.

Spooner wydał z siebie pogardliwe burknięcie. - Niech pan da spokój. Ten gość wygląda na takiego, co nie skapował, że jego jaś może służyć do czegoś więcej niż sikania.

-Helmut Hartling to ceniony dyplomata.

-Szkoda takiej wspaniałej kobiety. Jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Burton uśmiechnął się pod wąsem, pewien, że Heddy nie da sobie zrobić krzywdy, chociaż nie dałby głowy, że będzie szczęśliwa.

Paręset metrów przed nimi za chybotliwym blatem obłożonym czymś fioletowym stała kobieta.

-Myślisz, Spooner, że to winogrona?

-Te owoce kiedyś pana zabiją - powiedział mu podoficer. Ale zjechał z drogi, zadowolony z tradycyjnego przebiegu ich wspólnych wypraw. Zawsze kiedy podróż dotyczyła jakiejś poważnej sprawy, zaczynał się „Burton and Spooner Show”. Burton odgrywał rolę pana Klub Sportowy, a Spooner czekał na swoją kolej. W drodze powrotnej, po załatwieniu sprawy, Burton prowadził i zatrzymywał się tu i ówdzie, żeby Spooner mógł kupić zimne piwo od jednego z islamskich handlarzy, dla których religia przerodziła się w zbiór przesądów i serię ćwiczeń fizycznych.

Winogrona były duże i ciemne, pękające od soku, cierpkie w smaku. Sprzedająca je kobieta, uśmiechnęła się do nich, nie kryjąc potężnego brzucha pod kolorową cygańską spódnicą. Mały chłopczyk dokazywał

przy jej nodze, goły od pasa w dół. Burton ustalił cenę, potem spytał, czy może zmyć z nich kurz. Poszedł za kobietą na podwórze pełne kur oraz starych części od maszyn i tam czekał, aż kobieta nabierze wody ze studni. Zanurzył kiść razem z rękami w przyjemnym chłodzie i zabrał mokre winogrona do samochodu, zostawiając po sobie dróżkę pogubionych gron. Oderwał gałązkę ciężką od owoców i poczęstował partnera, ale Spooner skrzywił się i przejechał dłonią po krótko obciętych włosach.

- Ta woda skręciłaby mi kichy na tydzień. Nie wiem, jak pan to robi, szefie.

- Przyzwyczaiłem się. - Wjechali z powrotem na dwupasmówkę łączącą różne światy: Moskwę i Teheran. - Człowiek jest w stanie przyzwyczaić się prawie do wszystkiego. To dobre i złe nowiny.

- Wracając do tematu. Chodzi mi o to... powiem szczerze. Uważam pana i Heddy za parę. I to udaną. Pan wywołuje uśmiech na jej twarzy, a tego chce każdy mężczyzna dla swojej kobiety. - Winogrona były słodkie z gorzkimi pestkami i soczystym miąższem. Tak, pomyślał Burton, a ja nawet nie mogę z nią porozmawiać. I wiem o niej rzeczy, których ty się nigdy nie dowiesz.

- Heddy jest świetna, Spoon. Niestety myli to, czego chce z tym, czego potrzebuje. Z czasem zrozumie, że byłem największym rozczarowaniem jej życia.

- Ja i tak uważam, że pasujecie do siebie.

- To jak z jazzem. Jest nieuchwytny. Było, minęło. Na pewno nie chcesz trochę winogron?

Spooner potrząsnął głową przecząco - był typem południowca, o kościstej twarzy, złym uzębieniu, z rodzaju tych, którzy niejednemu dowódcy utrudnili drogę do kariery. - Pamięta pan ostatni raz? Jak się dałem panu namówić na tego melona? O mało nie wykorkowałem. Mniejsza z tym. Pan na serio? Chodzi mi o wystąpienie z wojska. Nie zmienił pan zdania?

- Wciąż to powtarzam, ale żyjemy w czasach niedowiarków.

Duża, irańska ciężarówka prowadzona przez brodatego kierowcę w czapce wyprzedziła chłopca na osiołku.

- Niech mi pan to wyjaśni raz a dobrze. No bo przecież pan mógłby zrobić karierę. Wszyscy tak mówią. Awansować na generała.

- W oczach Boga jesteśmy tylko pyłem, Spoon. Chcesz Colę? - Burton sięgnął do tyłu pomiędzy siedzenia do małej lodówki, w której trzymali napoje na drogę.

- Poczekał jeszcze. Wie pan, nie mogę pana rozgryźć. Za cholerę. Ma pan tę przepiękną dziewczynę, gotową skoczyć za panem w ogień.

A pan zwyczajnie odchodzi. I karierę, za którą inni oficerowie wbiliby sobie noże w plecy - przepraszam za wyrażenie. A pan i to chce zostać w diabły. Chodzi mi o to, co pan dalej zrobi ze swoim życiem?

Burton uśmiechnął się, rozbawiony celnością pytania. Wjechali do miasta, w którym krzyżowały się drogi i kanały irygacyjne. Wielki, rozpadający się dworzec autobusowy zmniejszał optycznie domy z ogrodami pełnymi warzyw i owoców. Za miastem czeka ich długi pustynny odcinek, z szarymi wzgórzami od zachodu. Potem zbliżą się do wody, dzięki czemu zazielenia się wsie i domy staną się większe i częstsze, a wzgorza zmienią się w górską ścianę, przez którą kiedyś kroczyły równoległe w wybrzeżem armie nomadów, a teraz jeździły ciężarówki.

-Co zrobisz z moim życiem? - spytał Burton, smakując pytanie niczym owoc. - Mówiłem ci już, Spoon. Po prostu sobie pójdę. Zarzucę plecak na ramię i pójdę. Jestem wędrowcem.

-Niech pan da spokój, sir. Musi pan mieć jakiś plan. Dorośli faceci nie robią takich rzeczy.

A ja właśnie zrobię, pomyślał Burton. Praca w różnych zakątkach świata pozwoliła mu odłożyć sporo pieniędzy, miał też dobrze zainwestowaną gotówkę i emeryturę wynoszącą mniej więcej połowę dotychczasowych zarobków. Starczy mu na bardzo długą podróż. Zdaży się przekonać, czy uda mu się dowiedzieć czegoś nowego. Był na tyle dojrzały, żeby zdawać sobie sprawę, że człowieka może olśnić zarówno w McDonalddie jak i w Tybecie. Ale powiedział sobie, że nie oczekuje spektakularnych olśnień. Pragnął jedynie trochę lepiej zrozumieć świat i żyjących w nim ludzi, łącznie ze sobą. Chciał się przekonać, czy diabeł naprawdę tkwi w szczegółach.

-Posłuchamy muzyki? - spytał Burton, który nie miał ochoty na dalszą rozmowę. Spooner miał dobre intencje. Był młodszy o pięć lat, ale wyglądał i zachowywał się jak dziesięć lat starszy od Burtona. Jak każdy dobry podoficer chciał dla swojego oficera wszystkiego co najlepsze, i żeby jego przełożony był najlepszy we wszystkim. Burton cenił tego człowieka i dbał o niego. Ale istniały sprawy, których nie potrafił określić słowami.

-Rzeczywiście, chyba czas na muzykę. Burton wyjął monetę. - Co wybierasz?

-Orzeł.

Wyszła reszka. - Wygrałeś - skłamał Burton.

-Steve Earle.

-Dobra.

Burton pochylił się do brązowej torby pełnej kaset, ukrytej pod siedzeniem. Spooner zamontował sprzęt stereo w ten sposób, że kolumny

były ukryte przed oczami złodziei, a magnetofon można było w każdej chwili schować pod siedzeniem na czas postoju. Spooner był fanem muzyki country, jak niemal każdy sierżant, ale szczęśliwie lubił też nowoczesne country i starą muzykę, szczerą aż do bólu - a nie tylko masówkę z Nashville. Obydwaj zjechali świat wzdłuż i wszerz, słuchając Johny'ego Casha i miłosnych piosenek Johna Coltrane'a, podczas gdy wokół toczyły się wojny.

-Gitarowe miasto - podśpiewywał Spooner, uśmiechając się i dodając gazu. Ale kiedy piosenka dobiegła końca, sierżant ściszył muzykę.

-Więc... pan już ma jakiś plan, sir? Żeby odbić dziewczynę? Galibanemu? Zakładając, że to on ją więzi, oczywiście.

Burton prychnął krótkim śmiechem. - Jezu, Spooner. Ja nie tylko nie mam planu, ale nawet zielonego pojęcia.

-Myślałem, że wie pan coś i nie mówi. Pan już taki jest, wie pan?

Burton dalej uśmiechał się. Ale nagle zrozumiał, dlaczego myślał o tej zgwałconej na froncie dziewczynie. Stanowiła część obaw, jakie żywił w stosunku do Kelly Trost.

Zupełnie, jakby czytał w jego myślach, Spooner odezwał się. - Muszę panu powiedzieć, sir, że martwię się o tę dziewczynę. To dobry dzieciak. I, szczerze mówiąc, zawsze wyglądała mi na taką, co rzucałaby mężczyzn na kolana, gdyby się jej tylko zechciało. Boję się, żeby się to dla niej źle nie skończyło.

-Pięć punktów karnych za seksizm, Spooner. Twoje współczucie nie powinno rosnać proporcjonalnie do atrakcyjności ofiary.

Spooner uderzył ręką o kierownicę, grając na zwłokę. - Czy to nie brednia stulecia? Jakby nie było naturalniej bardziej żałować Michelle Pfeiffer niż jednej z tych lesbijskich profesorek? Ludzkiej natury nie da się zmienić, szefie. Nawet jak się ustali prawa. Całą kupę praw. Chodzi mi o to, że skoro Bóg nie chciał, żeby niektóre kobiety podobały nam się bardziej, to dlaczego stworzył brzydsze i piękniejsze?

Szosa skręciła ostro na pustynię, nad głowami zwisały linie wysokiego napięcia. Dopiero za godzinę wrócą w pobliże morza.

-To ci się wydaje sprawiedliwe, Spoon? Że wygląd człowieka decyduje o jego życiu?

Sierżant zrobił taką minę, jakby Burton chciał mu sprzedać muła przebranego za konia. - Tak jakbym ja był Bradem Pittem. Od kiedy to życie jest sprawiedliwe? - Potrząsnął głową. - Cała ta gadka o feminizmie. Jakby można było zmusić faceta, żeby chciał coś, czego nie chce. Niech mi pan powie, czemu ci wszyscy pisarze i reszta wymyślili całą tę teorię, że zwykli ludzie są czemuś winni? - Odchrząknął. - Zresztą, do

diabła z nimi. Według mnie mężczyźni i kobiety i tak będą robić dzieci i mieć z tego dużo radochy. Nieważne, co piszą w książkach.

Sierżant Spooner, pomyślał Burton, to skórka od banana, na której intelektualiści niezadowoleni z boskiej burleski, przewracają się, od kiedy pierwszy artysta namówił pierwszą kobietę na pozowanie nago do obrazka na ścianie w jaskini. Jednak Spooner był czymś więcej niż zwykłym mężczyzną. Sierżant zorganizował ochotniczą pomoc przy ambasadzie dla sierocińca i pracował tam jak wół, kiedy tylko miał wolną chwilę. I chociaż wizerunek twardego, karnego sierżanta pasował do niego jak para starych dżinsów, nie było w nim podłości. Po prostu cierpiał na męską niemożność przyznania się do aktów dobrego serca.

Sierżant podgłośnił muzykę i zaraz znów ją ściszył.

- Sam nie wiem - powiedział. - Może i jestem pies na piękne kobiety. Może jestem głupi, stronniczy, zacofany i tak dalej. Ale ta sprawa z córką Trosta nie daje mi spokoju. Przecież ona chciała pomóc tym ludziom. Pewnie - nie bardzo wiedziała, jak i czasem zadzieriała nosa. Ale próbowała pomóc, na litość boską. A oni porywają ją i robią z nią, Bóg wie co. Coś tu jest nie w porządku. - Twarz Spoonera stężała. - Niech ten dzieciak przeżyje i wybije sobie z głowy cały ten bunt, który przechodzą dzieciaki w jej wieku. Po prostu chce, żeby żyła. A czuję się bezradny i bezużyteczny i głupi jak but, wie pan?

Tak. Burton wiedział.

Najmłodszy syn hadżiego Mustafy Galibaniego - szczęśliwy dowód jego nieustającej potencji - biegł do ojca z miną pełną zachwyty i strachu zarazem. Szerokie spodnie pulchnego chłopczyka matka przywiązała w talii płataniną supłów, dlatego poruszał się niezdarne i daleko mu było do najmniejszych chociażby objawów męskości. Dziecko rozłożyło rączki i z piskiem, przywarło do uda ojca.

Galibani poklepał małego po głowie i położył mu rękę na ramieniu. Kosteczki dziecka wydawały się kruche, niewinne, delikatne i Galibani zdecydował, że taki pobieżny gest to za mało. Podniósł chłopca silnymi rękami, z zadowoleniem czując, że mały sporo waży. Niedługo chłopiec będzie za duży, żeby go podnosić, a on sam stanie się na to za stary. Syn zmężnieje na tyle że podniesie ojca. Ta myśl napełniła Galibaniego sentymentalnym smutkiem.

- Dobrze już, dobrze - powiedział mężczyzna. - Co się stało? Gdzie jest Baba? Powinieneś być z Baba.

-Baba jest niedobry. - Skrzywił twarzyczkę na wspomnienie niedawnej przykrości.

Galibani uśmiechnął się. - Dlaczego Baba jest niedobry? Myślałem, że Babę lubisz najbardziej zaraz po mnie!

Jego syn potrząsnął głową. - Baba jest niedobry. Baba jest zły. Nie lubię go już. Dostanę Snickersa?

Galibani zaczynał się trochę niepokoić. Baba chłopca, jego opiekun, nie powinien spuszczać małego z oczu. Nigdy. A tymczasem nigdzie go nie widać. Galibani nie lubił takich niespodzianek. Lubił wielkie wyzwania, ale małe problemy doprowadzały go do szału.

-Nie jadłeś nic solidnego. Jak mogę dać synowi Snickersa, skoro jeszcze nie zjadł nic porządnego?

Chłopczyk uśmiechnął się. - Ty możesz wszystko! Każdy tak mówi!

Aha, pomyślał Galibani. Może zostanie politykiem. Chłopiec wiedział, co powiedzieć, równie dobrze jak mądra kobieta. Postawił syna na podłodze i wziął go za rękę, pochylając się. - Gdzie jest Baba?

Chłopiec wskazał ręką duży telewizor i odtwarzacz wideo, które zajmowały dużą część ściany w pomieszczeniu, które służyło Galibanemu za gabinet i pokój do przyjmowania gości. - Chcę zobaczyć jeszcze raz „Króla Lwa”.

-Któregoś dnia ty będziesz królem lwów. A teraz... powiedz mi, gdzie jest twój Baba?

-Baba jest niedobry. Chcę Snickersa.

Pytanie Galibaniego nie wymagało już odpowiedzi. W drzwiach pojawił się opiekun małego z wyrazem pokory na twarzy.

Chłopiec poszedł za wzrokiem ojca, a potem pociągnął go za palec. - Baba powiedział, że zamknie mnie w zagrodzie dla osłów. Powiedział, że tam jest zła pani, która mnie pożre.

Galibani patrzył na starca, a tamten zrozumiał, że zrobił coś złego. Miał garb i groteskowo spuchnięte ucho, a teraz pochylał się bardziej niż zwykle.

-Ściskasz mnie za rękę. - Chłopiec zaczął płakać.

Galibani znów wziął syna na ręce. Uciszejąc go, zaniósł go przez pomieszczenie do jego opiekuna.

- Zabierz go do matki. Potem wróć tutaj. Natychmiast.

Przeżalenie odbiło się w oczach opiekuna. Tak. Wiedział, że zrobił coś złego. A ten, kto powiedział temu człowiekowi o dziewczynie, też zrobił coś naganego. Odpowiedzą za ten zły czyn.

Galibani nie miał czasu na pomniejsze zdrady. Było południe, a Amerykanie pojawią się tu lada chwila, chociaż podejrzewał, że podjechanie na wzgórze zajmie im godzinę lub dwie. Myślał - myślenie

uczyniło go wielkim - ale jeszcze nie skończył. Sprawy, nad którymi się zastanawiał, były skomplikowane, a należało wyciągnąć z nich jak najwięcej korzyści dla siebie. Był pewien, że co najmniej dwie z zaangażowanych stron będą mu za to wdzięczne. Ale błędem było łapanie zbyt wielu srok za ogon. Pojawił się przerażony starzec. Miał grubo ciosaną, szczerą twarz, ale Galibani wiedział, że nikomu nie można ufać bez końca. Ich wiarygodność można było sobie zapewnić tylko przez kombinację strachu i poczucia obowiązku.

- Zdejmij koszulę - rozkazał Galibani.

Trzęsąc się mężczyzna spojrział na niego, odwrócił wzrok i wypełnił rozkaz.

- Zagnij róg dywanu. Dalej. Nie podchodź do telewizora. - Mały człowiek rzucił mu ostatnie rozpaczliwe spojrzenie i otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Tutaj. Przed stołem. Na kolana.

Ponownie mały człowiek posłuchał.

- Połóż obie ręce na stole. - Galibani zdjął pasek i owinął kłamię wokół zaciśniętej pięści. Ciężar srebrnych ćwieków ciągnął pas do ziemi.

- Proszę... - powiedział klęczący mężczyzna - ...ja nie chciałem nic złego, wasza Ekscelencjo...

Siła pierwszego uderzenia pchnęła mężczyznę twarzą do przodu na podłogę.

- Wstawaj - powiedział spokojnie Galibani. - Na kolana. Nie dotykaj dywanu. Kto powiedział ci o dziewczynie?

Kulący się mężczyzna podniósł się ze swojego madejowego łoża. - Bey-effendi... wszyscy wiedzą... nawet we wsi...

Tym razem Galibani uderzył go mocniej, aż pod garbem pojawiła się krew. Galibani zawsze był miłosierny w stosunku do kalek i niešťczęśliwych. Pomagał im otwarcie, tego nawet zabrał do swojego domu. Teraz zarzucał sobie głupotę. Dusza tego człowieka jest pewnie tak samo zdeformowana jak jego ciało. Być może Allan chciał, żeby go ukarał. A kimże on jest, żeby sprzeciwiać się woli bożej?

Mężczyzna znów znalazł się na podłodze, ale Galibani nie czekał. Uderzył go po raz trzeci, rozkoszując się pracą mięśni. Podniósł rękę aż nad głowę i zamachnął się, wprawiając w ruch całe ciało. Skóra wylądowała na ciele starca z hukiem wystrzału. Wtedy usiadł na karku opiekuna swojego syna. Mały człowiek osłaniał rękami twarz i głowę, skamłając o litość. Galibani, który nienawidził słabości, uderzył go jeszcze dwukrotnie.

- Kto ci powiedział o dziewczynie?

Mężczyzna rozpląkał się jak kobieta. - Yasmin - powiedział, szlochaniem zniekształcając imię. - Yassminn.

- Wstań. Wynoś się stąd. Nie zalej swoją brudną krwią dywanu.

Mężczyzna oddalił się drobnymi kroczkami, ściskając koszulę w rękach i jęcząc. Całe plecy miał błyszczące od krwi.

Hadzi Mustafa Galibani przyswoił sobie religię i związane z nią słownictwo w użytecznym stopniu - zgodnie z duchem czasu. Dumny był z faktu, że kontempluje Allacha i Proroka, Pokój z Nim, czasem przez całe godziny, chociaż w rzeczywistości śnił na jawie nad otwartym Koranem. Nie dotarł do Mekki, ale był aż w Abu Dhabi w interesach i schlebiał mu tytuł, który ofiarowano mu po lekkich naciskach z jego strony. Świat się kręci, zmieniają się ośrodki władzy i bogactwa, a on w ciągu ostatnich trzech lat zbudował meczety w trzech największych wsiach, które do niego należały. Uważał się za człowieka, którego życie płynie w zgodzie z prawdziwą religią i rozkoszował się wymierzaniem sprawiedliwości swoim ludziom bardziej niż kiedykolwiek. Czas pokazał, że jego czyny, nawet te podczas ery radzieckiej, bardzo zadowalały Allacha. W pewnym sensie, Allah zawsze był przy nim i prowadził jego dłoń.

Oczywiście, służba dowiedziała się o dziewczynie. I wieś. Co za głupiec z niego! Chciwość nawet potężnych mogła doprowadzić do upadku! Nie chciał tutaj przetrzymywać dziewczyny, instynkt podpowiadał mu, że to błąd. Ale podjął pośpieszną decyzję, obawiając się, że jeśli osobiście nie przypilnuje porwanej, ci szaleńcy nadużyją jego gościnności i ochrony, po czym zostawią go z niczym. Obietnice to słowa rzucane na wiatr. A religijni radykałowie to bluźnierczy durmie. Zostawieni sami sobie, roztrwoniliby owoce własnych wysiłków, podczas gdy on - hadzi Mustafa Galibani - widział dziesięć sposobów na wykorzystanie porwania tej młodej kobiety. Roześmiał się na głos. Nawet nie wiedzą, kim ona jest.

To głupcy, a głupcy zawsze są niebezpieczni.

Tego ranka wrócił po dwudniowej podróży w interesach - niezbyt udanej zresztą - z Lenkoran i z oburzeniem odkrył, w jakich warunkach przetrzymywano dziewczynę. Kazał ją wykapać, ubrać w czyste rzeczy i przyzwyczajenie traktować. Nazywali siebie religijnymi ludźmi, a traktowali ładną dziewczynę jak najgorsze zwierzę - co się mogło skończyć nie tylko niepotrzebną zemstą, ale i obniżyć jej wartość przetargową. Fanatyków należy pilnować z odbezpieczonym pistoletem w kieszeni. Hadzi Mustafa Galibani zamierzał wyciągnąć olbrzymie korzyści z dostarczenia tej dziewczyny odpowiednim ludziom w odpowiednim czasie. A na razie niech radykałowie - którzy wypacali nauki Proroka,

Pokój z Nim - zapłacą za to, co zrobili. Możliwości były nieograniczone. Każdy chciał tę dziewczynę. On zaś okazał się na tyle mądry, że wykorzystał nadarzącą się okazję. Ta myśl sprawiła mu przyjemność, chociaż przebieg dzisiejszego dnia rozgoryczył go trochę. Co będzie, jeśli któryś głupiec chłapnie coś przy Amerykanach? Ten człowiek z ambasady - Burton - miał opinię inteligentnego. Być może zaproszenie go tutaj to błąd? A co, jeśli będzie zmuszony go zabić? Gościa we własnym domu? Czyżby był zbyt niecierpliwy? Myśl, że się pomylił, rozwścieczyła Galibaniego. Stał ręką wilgoć z paska, zapiął go i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju. Wmawiał sobie, że musi się upewnić, czy jego instrukcje dotyczące dziewczyny zostały wprowadzone w życie. Jednak naprawdę chciał się jej jeszcze raz przyjrzeć. Przypominała mu Sharon Stone. Nie była, oczywiście, tak piękna jak aktorka, ani tak wyrafinowana, ale nawet brudna i zaniedbana, wciąż była młoda, zachodnia i bardzo jasnowłosa. Galibani nigdy nie posiadał blondynki z Zachodu, jedynie fałszywe rosyjskie blondynki, które okazywały się tak czarne jak ich dusze. Wiedział, że byłby wystarczająco męski dla zachodniej kobiety, gdyż wszystkie one pragnęły tylko brutalnego seksu, a ich słabi mężczyźni nie mogli ich utrzymać w ryzach. Najbardziej złościł go fakt, że przetrzymywana przez niego dziewczyna - choć bardzo młoda - musiała mieć już wielu kochanków. W swej mądrości hadzi Mustafa Galibani uważał, że film „Nagi instynkt” idealnie uosabia zepsucie Zachodu. Kobiety nie trzymane silną ręką, zmieniają się w wygodniałe bestie, niewolnice własnej żądzy, zbyt słabe, żeby się oprzeć ciągłemu swędzeniu ciała. Galibani, co prawda, nigdy nie dotarł nawet na zachód od Kijowa, ale dobrze wiedział, że wszystkie kobiety w Europie i Ameryce zdradzają swoich mężów, tarzając się w rozpuście. Wszystkie filmy z Sharon Stone dokładnie to pokazywały, a on sprowadzał ich pirackie kopie z Istambułu lub Warszawy, kiedy tylko pojawiały się u handlarzy. Jednak najbardziej lubił „Nagi instynkt”. Było nie do pomyślenia, że kobieta może sobie tak dogadzać. Bezwstyd aktorki, jej nieczysta uroda kazały mu zasłaniać oczy z przerażenia. Oglądał ten film ponad dwadzieścia razy. Galibani maszerował przez labirynt pomieszczeń domu, który zbudował własnym wysiłkiem i sprytem. Ochroniarze, krewniacy, służba... wszyscy uskakiwali mu z drogi, widząc, że jego dzień nie rozpoczął się zbyt dobrze. Otwierał drzwi i zatrząskiwał je z hukiem, odsłaniał kotary i przeklinał opór powietrza. W końcu dotarł do niskiego korytarza, ze spiżarniami po obu stronach. Niedbale oheblowane drzwi prowadziły do tylnego pastwiska, dogodnego dla trzymania zwierząt zimą i jednocześnie pełniącego funkcję jednego z kilku wyjść awaryjnych wykorzystywanych przez Galibaniego

w sytuacjach alarmowych. Na krześle w końcu korytarza siedział mężczyzna z rozwichrzoną brodą, na kolanach trzymając Kałasznikowa. Młodszy siedział nieopodal na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Też miał brodę, ale zarost na twarzy miał skrupulatnie wygolony. Jego uwagę przykuwał Koran o wytłaczanych okładkach. Kiedy zobaczyli Galibaniego, zerwali się na równe nogi, otwierając usta w zdumieniu.

Galibani rozepchnął ich na boki, chociaż nawet ich nie dotknął. Czytelnik Koranu zaczął protestować, ale zanim znalazł odpowiednie słowa, Galibani pchnięciem otworzył drzwi prowadzące do tylnej szopy, w której więziono dziewczynę.

Siedziała w okrągłej wannie, a Yasmin polewała wodą jej białą skórę ramion. W momencie, kiedy Galibani wszedł do pomieszczenia, stara kobieta upuściła dzbanek, który roztrzaskał się o ziemię. Cofnęła się o krok, zasłaniając ręką usta.

Nagość dziewczyny była niesamowita. Próbowwała wstać, zasłonić się, lecz upadła do płytkiej wody, zasłaniając piersi i twarz. Ale Galibani wszystko widział, tę szokującą błądź, połyskującą błądź i kolor.

Wtedy stracił kontrolę nad sobą. Odwrócił wzrok od dziewczyny, ale szybko zrobił kilka kroków do przodu chwycił Yasmin, zdrażynię, starą dziwkę, kłamczynię. Kość w ręce starowinki wydawała mu się krucha jak sółka. Wrzasnęła, kiedy ją złamał. Dziewczyna też krzyknęła, a za jego plecami rozległy się wzburzone głosy mężczyzn. Ignorując je Galibani wyprowadził kobietę za złamaną rękę na korytarz. Tam bił ją pięściami i kopał, kiedy upadła, a potem przycisnął ją do ziemi nogą. Dysząc ciężko, podniósł ją do góry, tylko po to, żeby znów upadła na ziemię pod jego ciosami. Połamał jej kości w wielu miejscach i nie krzyczała już, a z trudem chwytiała powietrze. Młodszy mężczyzna próbował go powstrzymać, co go zdumiało i rozwścieczyło jeszcze bardziej. Galibani odepchnął go jednym ruchem, wrzeszcząc przekleństwa. Okraczył kobietę, zdzierając sobie przy tym skórę z kolan, złapał ją jedną ręką za głowę i zaczął nią uderzać o ziemię. Już nie wymierzał kary starej dziwce służącej, bił wiele kobiet, wszystkie kobiety, swoją żonę, niedostępne aktorki, dziewczynę w wannie. Pochylił się i rycząc gardłowo złamał kobiecie kark. Kość zatrzęszczała i pękła, ze staruszki uszło życie. Uderzył ją z rozpędu jeszcze dwa razy o ziemię i wyprostował się, dysząc i powoli zdając sobie sprawę z tego, co zrobił.

Stara kobieta służyła w jego rodzinie od wielu lat. To był zły koniec. Ale to nie jego wina. Sama zgotowała sobie taki los. Kobiety zawsze tak robią. To podstępne potwory. Podniósł ręce, a potem wzrok w

stronę nieba, ale zobaczył jedynie pajęczynę w rogu sufitu.

Usłyszał łkanie nadchodzące jakby z innego świata. Powoli dotarło do niego, że to dziewczyna. Której nagość widział na własne oczy. Pamiętał ją dokładnie. Jędrne mięśnie i skórę. Piękny kolor. Włosy aktorki. Twarzy nie pamiętał.

Gwałtownie odwrócił się do dwóch mężczyzn należących do grupy fanatyków, głupców, którzy to wszystko zapoczątkowali.

-Przykryjcie dziewczynę. Dajcie jej jakieś ubranie. Przynieście dla niej łóżko. - Myślał przez chwilę. - Przywiążcie ją do niego. Zakneblujcie jej usta. Dopóki nie powiem inaczej.

Młodszy mężczyzna, który przedtem czytał Koran, zaczął coś mówić, ale powstrzymał się.

Galibani wyszedł z korytarza, skrupulatnie omijając zmasakrowane ciało. Wrócił do domu i opadł na duży fotel, schowany za okazałych rozmiarów biurkiem. Dopiero wtedy zauważył, że ręce ma poplamione krwią. Wylał je o boki ciemnych spodni. I krzyknął. Nawet nie sformułował konkretnego słowa, a i tak w drzwiach pojawił się natychmiast przerażony służący.

-Przyprowadź mi mojego syna - krzyknął Galibani. - Przyprowadź mi mojego syna!

To straszne, jaki los zgotowała sobie ta stara kobieta. Coś takiego nie powinno się było zdarzyć. Nie w jego domu.

W drzwiach pojawił się malec, a za nim zgarbiony Baba. Chłopczyk zachichotał, z dwoma palcami w buzi. Zupełnie jakby był jedyną osobą w całym domu, która nie miała świadomości tego, co się stało. Albo jakby wiedział, że nie musi się niczego obawiać. Nigdy.

-Zostaw go - powiedział Galibani kalekiemu mężczyźnie.

Ze strachem w oczach opiekun opuścił pokój.

Galibani uśmiechnął się i rozpostarł ramiona, przekręcając się na swoim fotelu. Chłopiec roześmiał się i biegiem pokonał dzielącą ich odległość. Obsypali się nawzajem pocałunkami, a ręce, które przed chwilą dokonały straszego czynu, teraz gładziły włosy, ramiona i plecy chłopca. Galibani kazał małemu zamknąć oczy, potem sięgnął do szuflady biurka i wyjął stamtąd jeden z opakowanych w brązowy papier batonów wielkości pudełka naboju.

-Otwórz oczy - polecił ojciec.

Mały chłopiec klasnął w ręce i porwał przysmak. - Sniikers - powiedział. Ojciec pomógł mu zerwać opakowanie i posadził go na blacie biurka.

-Teraz pooglądamy sobie film - powiedział. - Razem obejrzymy piękny film.

Chłopczyk nawet na niego nie spojrzał.

Wprawnym ruchem Galibani włączył telewizor, przestawił z odbioru z satelity na odtwarzacz wideo i włożył kasetę. Nie była przewinięta do początku, ale to nie miało znaczenia. Ojciec i syn znali fabułę na pamięć. Galibani podkręcił głośność dźwięku, ale nie na tyle, żeby nie słyszeć nadjeżdżającego samochodu i usiadł z powrotem, przytulając syna do piersi, podczas gdy malec zdążył już usmarować buzię oraz swoją i ojca koszulę czekoladą. Kiedy smakołyk się skończył, Galibani przytulił chłopca mocno do siebie, policzkiem do policzka, ale malec zaczął narzekać na jego kłujące wąsy, więc znów przytulił go do piersi. Oglądali cudnie kolorową bajkę o Alladynie, a ojciec poczuł łzy w oczach, zastanawiając się nad okrucieństwem życia, perfidią ludzką, przemijaniem śmiertelnych przyjemności, syn zaś się śmiał i tak razem oczekiwali przyjazdu Amerykanów.

6

Heroina zbudowała domy na obrzeżach Lenkoran. W centralnej części portu panoszyła się radziecka architektura, podczas gdy ocalałe kolonialne budynki rozpadały się w porośniętych paprocią, bocznych uliczkach. Lecz tylko biedacy, głupcy albo ludzie uczciwi, co zazwyczaj wychodzi na jedno, musieli znosić upał jak na targu niewolników w centrum miasta. Nastąpiła era przedmieść.

Daleko za hałaśliwym bazarem, wzdłuż drogi wznosiły się dwupiętrowe domy. Zamiast kwiatów rosły tam warzywa - pamiątka po chudszych czasach - ale obok rowów nawadniających połyskiwały nowe BMW. Za czasów ich dziadów lwy szukały tu pożywienia. Teraz błaszane dachy przypominające spódnice z błyszczącej koronki, upodabniały domy do pagód, a przestronne, chłodne werandy utrzymywały we wnętrzach temperaturę zmierną.

Spooner zatrzymał się przy straganie przydrożnego piekarza, który oferował okrągłe lavash prosto z pieca. Kiedy dziupla wspiął się po zarośniętych jak dżungla polanach w stronę wzgórz, obaj mężczyźni odrywali nasiąknięte tłuszczem, jeszcze ciepłe kawałki ciasta, krusząc sobie na kolana i pobudzając apetyt. Mijali wioski, do których nie dotarł jeszcze dobrobyt i gdzie starzy, obdarci mężczyźni w turbanach wolno szli po obu stronach drogi. Dzika roślinność rzedła z każdym zakrętem, aż otoczyły ich pierwsze łąki, a przy drodze pojawiły się małe kolorowe kwiaty.

- Przegryziemy coś? - spytał Spooner.

Trasa zawiodła ich do kępy drzew wciśniętych w zagłębienie góry i tam się zatrzymali na porządny posiłek. Poniżej drogi do wąwozu wpadł strumień, a przy nim dokazywały dzieci z pobliskiego gospodarstwa, rozpryskując wodę na wszystkie strony. Dwaj mężczyźni usiedli w cieniu, słysząc bzyczenie setek owadów. Każdy z nich zagłębił się w swoich myślach i odzywali się tylko po to, żeby odkroić kawałek białego sera lub poprosić o podanie pomidora z torby, pachnącego tak intensywnie jak bukiet róż. Pieczywo było jeszcze ciepłe i przepyszne, a woda mineralna z samochodowej lodówki doskonale gasiła pragnienie.

Na ramieniu Burtona przysiadł podłużny, zielony owad i po chwili zerwał się do lotu, z ogrodu na wzgórzu przyglądała im się jakaś kobieta. Koniec posiłku oznaczał, że powinni się zbierać do dalszej drogi, ale obaj wyczuwali, że u celu nie czeka ich nic przyjemnego.

- Wie pan, szefie - odezwał się wreszcie Spooner - te zadrapania na twarzy upodabniają pana do Indianina na wojennej ścieżce.

Burton uśmiechnął się. - Kto wie, czy na niej nie jesteśmy.

Spooner rozejrzał się wokół leniwie. - Swoją drogą, piękne miejsce. Zwłaszcza niebo.

Burton pokiwał głową. - Wyżej jest jeszcze ładniej. - I znów zmienił się w oficera służbistę. - Na koń, przyjacielu.

Dzicip zbudowany tak, żeby radził sobie na radzieckich parodiach dróg, wspiął się jak muł, niechętnie, ale uparcie. Przydrożne drzewa rosły coraz rzadziej, a łąki pokrywały bardziej strome tereny. Wioski, które mijali, miały kwadratowe domy o małych oknach. Mieszkańcy przez lata nauczeni byli ostrożnie podchodzić do przejezdnych, tylko dzieci na dźwięk samochodu wybiegały zza ogrodzeń. Bez względu na płeć, dzieci miały włosy ostrzyżone jak rekruci. Co odważniejsze zamachały, a żołnierze odmachali z dobrotliwymi uśmiechami. Wysoko nad drogą, tuż pod szczytami, letnie chałupy pasterzy poobwieszane były sznurami z praniem. Za doliną, w zupełnie innym świecie, kobieta w chuście z wiadrami na nosidłach szła stromą ścieżką w dół do ukrytego strumienia. Po godzinnej wspinaczce krętą drogą widok za ich plecami zaczął falować, aż zamazał się w gorącym powietrzu nad Lenkoran i morzem. Za następnym zakretem rozpostarł się przed nimi widok rozległych ziem i nieba.

Spooner instynktownie zdjął nogę z gazu. Masyw pomarańczowych skał pomiędzy niższymi szczytami na wprost wskazywał Iran, krajobraz przemytników. Po prawej wzgórza opadały, ustępując miejsca wsiom i wąwozom. Stada pasły się w słońcu, a na horyzoncie widniała pustynia. Po lewej przed ich oczami rozciągały się góry, gęsto porośnięte drzewami. Efekty promieni słonecznych i wiatru widać było gołym okiem. Wszystkie północne stoki zieleniły się pięknie, podczas gdy południowe były wyschnięte i spalone na wiór. Na pierwszym planie do stoku wzgórza tuliło się miasto Lerik. Skupiska przygranicznych, rozklekotanych, buzujących życiem budynków, typowych dla krajów, w których imperialna biurokracja cierpi na brak gotówki, należały do poszczególnych rodzin. Ponad miastem wznosił się kompleks budynków z dużym domem, zajmując większą część szczytu wzgórza. Budynki zewnętrzne otaczała czterometrowa ściana.

Siedziba Galibaniego. Burton widział ją już z drogi, ale do tej pory nigdy nie zaproszono go do środka. Wjechali do miasta. Dzieci dokażywały na ulicach, a kobiety ugiwały się pod ciężarem drewna na opał albo niosły na głowie kosze melonów. Starsze kobiety w ubraniach tak czarnych jak dusza prawnika, zatrzymywały się, żeby popatrzeć na ludzi, którzy nie pasowali do ich ulicy. Ubranie młodszych kobiet było kolorowe, chociaż znoszone, i kojarzyło się Burtonowi z sukniami kurdyjskimi, tyle że było cieńsze i wygodniejsze. Samochód hałaśliwie przemierzał ulice. Młody mężczyzna w znoszonym garniturze pomachał im, podczas gdy jego towarzyszka dokładniej zasłoniła twarz czarczafem. Z balkonu rzeźnika zwisały płyty mięsa, a policjant, który na tym terenie nie miał żadnej władzy, zmrużonymi oczami otaksował przybyśców, jakby chciał przynajmniej ich przekonać o dostojności swojego munduru. Znów zaczęli się wspinać, mijając ostatnie zabudowania, wypielęgowaną winorośl i ligustrę, aż dotarli na ziemię niczyją, pomiędzy miastem a sanktuarium Galibaniego.

Przy blokadzie drogowej strażnicy uzbrojeni w broń maszynową i złe maniery zażądali dokumentów. Burton i jego sierżant pokazali im wydane przez ambasadę dyplomatyczne przepustki, ale nie zgodzili się dać ich strażnikom do ręki. Strażnicy nie chcieli ich przepuścić, aż Burton powiedział im w swoim szorstkim tureckim, że jest osobistym gościem hadziego, i że nie pozwoli szargać swojej godności w ten sposób oraz, że zaraz zawróci i pojedzie sobie. Oczywiście strażnicy dobrze wiedzieli, kogo się spodziewać. Prawie nie spojrzeli na przepustki. Nieustępliwość i żądania były częścią rytuału, niekończących się psychologicznych przepychanek o dominację, tak endemicznych w tej części świata jak pasożyty przewodu pokarmowego.

Strażnicy posłali im niewinne uśmiešky na zgodę. Burton dał im dwie paczki amerykańskich papierosów, które trzymał w samochodzie na takie okazje. Spooner wrzucił drugi bieg i pochylił się w stronę kierowcy, jakby chciał pomóc samochodowi pokonać stromiznę drogi.

- Mam tylko nadzieję - powiedział sierżant - że w czasie drogi powrotnej też będą się uśmiechać.

Kelly walczyła, kiedy próbowali ją związać. Gdy zauważyła, że nie oddają ciosów, szarpała się jeszcze gwałtowniej, kopała i biła pięściami. Strażnicy - młody, który pouczał ją na temat niesprawiedliwości, i starszy - myśleli, że poradzą sobie sami, ale szybko zostali zmuszeni do wezwania pomocy. Pojawiło się dwóch następnych mężczyzn, od których czuć było bydlę. Początkowo niewiele z nich było pożytku,

ponieważ bali się jej dotknąć, a potem zaczęli ją chwycić nieco zbyt entuzjastycznie. Kopnęła jednego z nich w twarz, raniąc go w wargę, a on rewanzował się jej tak, żeby inni nie zauważyli. Kolejny etap jej niewoli zaczął się wraz z pojawieniem się dwóch nieznanych Kelly kobiet, które przyniosły jej szerokie spodnie i luźną koszulę. Nadal czuła się chora. Przemoc, której była świadkiem, przeraziła ją. Kręciło się jej w głowie, kiedy się ubierała i podskakiwała na jednej nodze, wkładając spodnie. Niechcący spojrzała na korytarz, tam gdzie w kałuży krwi leżało nieruchome ciało starej kobiety. Wrzasnęła. Kiedy wrócili mężczyźni, znów zaczęła wrzeszczeć, zasłaniając się najlepiej jak umiała, a młody mężczyzna, który znał angielski powtarzał: - Nie ma strachu, proszę, nie ma strachu.

Już ubrana, przykucnęła w kącie pokoju. Czuła mdłości i węzeł w żołądku. Kobiety wniosły drewniane łóżko, z plecionym wypełnieniem. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami mężczyźni przyglądali się niezdatnym wysiłkom kobiet. Wreszcie udało się im przykryć łóżko pasyastym, miękkim materacem. W pomieszczeniu umyto podłogę przed jej kąpielą, a teraz myto ją ponownie, co tylko wznieciło więcej duszącego kurzu i zmusiło małe żyjątka do migracji. Nic nie było tu czyste. Zmyto podłogę, ale nadal była okropnie poplamiona od wymiocin Kelly. Pomieszczenie jednak nabrało nieco schludniejszego wyglądu. Starszy strażnik zaaprobował sprzątanie mruknięciem, a młodszy powiedział coś, czego Kelly nie zrozumiała, po czym wszyscy wyszli i została sama. Przez cudowny, napawający nadzieją kwadrans Kelly siedziała na łóżku, owładnięta niespodziewanym uczuciem szczęścia. Zaczęła sobie wyobrażać, że od tej pory zaczą ją lepiej traktować. Wtedy wrócili mężczyźni z kilkoma kawałkami sznurka, który mógł być używany do krępowania bydła.

Kelly krzyknęła „nie!” tak głośno, jak tylko mogła, ale w gardle znów miała sucho i udało się jej tylko cicho zachrypieć. Mimo to, znalazła w sobie świeży zapas sił, zupełnie jakby choroba postanowiła zrobić przerwę. Wyplątała się z węzłów, jakie jej oprawcy zawiązali wokół jej nadgarstków i kostek u nóg, podniosła się, ale natychmiast popchnięto ją z powrotem na łóżko. Uderzyła się łokciem o framugę, ale nie przestała walczyć. Wreszcie rozciągnęli ją na pogniecionym materacu, skrupulatnie przywiązując jej ręce i nogi do czterech rogów łóżka. Czuła jak sznur wpija się w jej kostki i tak już zdarte do krwi od kajdan, w które była zakuta przez dwa dni.

- Sukinsyny - powiedziała. - Pieprzone, brudne sukinsyny. - Nie rozumieli jej, a ona wbrew własnej woli zaczęła płakać. Znów obudził się

w niej strach przed gwałtem, ale szybko zorientowała się, że zanim przywiązalıby ją do łózka, wcześniej zdjęliby jej te bufiaste spodnie. Chociaż czuła się prawie jak zgwałcona. Tak właśnie wyobrażała sobie gwałt. Znalazła się przez nich na poziomie nieznanego dotąd bezradności. Obawiała się, że nadal nie panuje nad czynnościami fizjologicznymi, a teraz nie będzie nawet w stanie skorzystać z wiadra ani odgonić robactwa. Po co, do cholery, umyli ją, skoro robią coś takiego? Załamała się. Po raz pierwszy zupełnie straciła nadzieję. Kiedy jej oprawcy wyszli z pomieszczenia, jej twarz wykrzywił grymas płaczu i zaczęła powtarzać: - Tatusiu... proszę... tatusiu...

Od płaczu zaczęło jej cieknąć z nosa, a nie mogła go ani wydmuchać, ani wytrzeć, więc zaczęła się lekko krztusić, myśląc „proszę, nie pozwólcie mi tak umrzeć... proszę, niech mi ktoś pomoże”. Rozpłakała się, aż poczuła, że nie może już więcej płakać i czekała na zdradę własnego ciała albo na pojawienie się robaków, które odkryją jej bezradność.

Z uczuciem strachu przypomniała sobie człowieka, który wpadł do pomieszczenia, i który wydawał się tak zdumiony widokiem jej nagiego ciała. Zabił starą kobietę. Bez powodu. Jak śmierć może być tak nieważna dla tych ludzi? Przed uprowadzeniem uważała się za osobę doświadczoną, której trudno byłoby czymś zaimponować, a teraz coś straszego przytrafiło się jej z każdą mijającą godziną. Ten świat był niewiarygodnie różny od opisu, jaki otrzymała na jego temat w czasie swojej edukacji. Z tego, co się dowiedziała, tutejsza ludność jest w głębi duszy dobra, tylko należy ją wyzwolić spod panowania zachodnich mocarstw lub tajemniczych dyktatorów, a kobiety niebawem staną się niezależne i wzniosą się ponad nieszczęścia spowodowane kreowaniem historii przez mężczyzn. Ten duży człowiek zabił staruszkę bez ostrzeżenia i chwili wahania. Łatwość, z jaką można tu stracić życie, wciąż do niej nie docierała tak, jak informacja o złamanej kończynie długo nie dociera do świadomości. Łatwość, z jaką zadawało się tu śmierć, była dla niej nie od zaakceptowania, a dla jej profesorów nie do pomyślenia. Czuła się, jakby całe życie ją okłamywano.

Młody mężczyzna, który mówił po angielsku, pojawił się z nienacką i stanął z jednej strony łózka. Przyglądał się jej. Uśmiechnął się, ukazując, idealne białe zęby, a ona nie mogąc znieść tego widoku, odwróciła wzrok.

- Nie bój się - powiedział z fałszywą łagodnością. - Proszę. Nie jesteśmy zwierzętami. - Wyjął chustkę i wytarł jej usta i nos.

Kelly, nienawidząc się za to, znów zaczęła płakać.

-Nie jesteśmy zwierzętami - powtórzył młody człowiek, jakby chciał sam siebie o tym przekonać. Potem zwinął chustkę i zatkał Kelly usta. Mimo jej szaleńczych sprzeciwów udało mu się zawiązać jej końce z tyłu jej głowy.

-Teraz musisz być cicho - powiedział. A potem pogładził ją po włosach.

Abbas próbował wrócić do czytania Koranu, ale nie mógł się skupić. Nie przestawał myśleć o dziewczynie. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie kobiety z Zachodu to przekłete dziwki, ale zastanawiał się, czy nie udałoby się nauczyć tej jednej o wielkoduszności Allana i wsplaności życia wiedzionego zgodnie z Prawami Proroka, Pokój z Nim. Może ta dziewczyna nie jest aż taką dziwką. Walczyła z mężczyznami jak lwica. Może nie miała aż tylu kochanków. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak naucza dziewczynę wymaganych norm zachowania.

Potem jego myśli poszły innym torem i poczuł, jak narasta w nim gniew. Galibani to pies. Popełnili błąd robiąc interesy z takim człowiekiem. Naprawdę nie był hadzi, a tylko zwykłym złodziejem i wyzyskiwaczem biednych, nienawistnym w oczach Proroka. Jego bezczelność była nie do zniesienia. Co gorsza, Abbas zdawał sobie sprawę, że on i jego partner - analfabeta z karabinem, są w zasadzie takimi samymi więźniami jak dziewczyna.

Kiedy nadejdzie rewolucja Słowa, wszyscy Galibani zapłacą. Rewolucja w Iranie była niedoskonała, zhańbiona korupcją, ale wiele ich nauczyła. Trzeba zabić wszystkich wrogów prawdziwej religii. Nie wolno iść na kompromis, nie wolno się z nimi układać. Trzeba zabić ich wszystkich. Następna rewolucja zadowoli Allacha.

Znów myślami wrócił do dziewczyny. Teraz, kiedy została umyta, wyglądała o wiele lepiej i domyślał się, że zadbana i w odpowiednim ubraniu mogłaby być urocza. Może wcale nie jest dziwką. Może nawet zachowała dziewictwo. Postanowił, że nigdy nie pozwoli Galibanemu jej tknąć.

Było to, oczywiście, żenujące. Upokarzające. Ich kontakt w Baku zmylił go co do roli ojca tej dziewczyny, z powodów, których Abbas wciąż nie mógł pojąć. Tego dnia rano telefon dzwonił dwukrotnie, za każdym razem połączenie zostało przerwane, aż wreszcie otrzymał streszczenie artykułów dotyczących senatora Mitchella Trosta w międzynarodowej prasie. Amerykanin nie był wielkim syjonistą, ani człowiekiem dysponującym nieograniczoną władzą, co gwarantował im porywacz dziewczyny. Jest jednak wystarczająco potężny, a Ameryka jest winna. Będzie musiał zapłacić za powrót córki. Zmusi Amerykę do zapłaty. Ameryka będzie musiała zapłacić za swoje straszne czyny

wobec dzieci islamu i zaprzestać satanistycznego ludobójstwa. W każdym razie, według Abbasa, ich „wielki przyjaciel” okłamał ich. O czym jeszcze nie mówił prawdy? Co jeszcze odkryją? Może ten człowiek to agent CIA albo rosyjskiego wywiadu? Kiedy nadejdzie rewolucja, jego też zabiją. Ich „opiekun” w Baku zasługuje na śmierć nawet bardziej niż Galibani.

Abbas nie wiedział jednak do kogo innego mógłby się zwrócić. W ciągu dwóch ostatnich dni prawie wszyscy pozostali uczestnicy porwania wycofali się, a ich obietnice i deklaracje odwagi okazały się bez pokrycia. Źle to załatwili. On źle to załatwił i teraz sam niewiele się różni od więźnia.

W poczuciu bezradności znów wrócił myślami do dziewczyny, przywołując obraz jej nagości, bezwstydnie ogolonych włosów, białe podobne do dwóch chmur piersi. Koran osunął mu się z rąk na kolana i zamknął się. Oczywiście znał kobiety. Przecież jest mężczyzną. Ale żadna kobieta nigdy nie przychodziła do niego z własnej woli. Jeżdżąc do Francji z heroiną zatrzymywał się ze swoimi towarzyszami w tureckich burdelach i w Teheranie płacił za spotkania niejednej kobiecie, kiedy uczył się na uniwersytecie. Dwukrotnie musiał się przez nie leczyć. We Francji też miał kobietę, Marokankę. Myślał, że chce z nim pójść, bo go pożąda. Skończyło się na kłótni z jakimś mężczyzną uzbrojonym w nóż.

Marzył, że ratuje Kelly Trost znad przepaści grzechu, a ona kładzie mu u stóp swoją dozgonną wdzięczność. Mężczyzna nigdy nie mógłby się, oczywiście, ożenić z taką kobietą. Ale, być może, mogliby przeżyć wielką miłość, taką, której nie sposób się oprzeć, taką, jaka jest opisywana w starych poematach. Może przeżyliby razem taki poemat. Przypomniał sobie dotyk jej włosów i zadrżał.

- Prawdziwy zaszczyt dla moich skromnych progów! Prawdziwy zaszczyt! - wykrzyknął Galibani. Ukłonił się lekko, kiedy Burton wysiadł z dżipa, a następnie wyciągnął rękę w zachodni sposób. Pot nadał jego wąsom antracytowy połysk. Przewyższał o głowę zwykłego Tałysza, miał klatkę piersiową jak wół, a ręce wielkości rękawic bokserskich. Ubrany był w przyciasną koszulę z poliestru, która w czasach Związku Radzieckiego mogłaby uchodzić za modną, i marynarkę, a do tego luźne spodnie, noszone przez mieszkańców gór. Przez szpary między guzikami koszuli wystawały czarne włosy. Podskakując w sportowych butach z importu, gospodarz wzmocnił uścisk lewą ręką i Burton zauważył na nadgarstku mężczyzny duży zegarek Breitlinga. Połyskiwało złoto, a po obu stronach bransoletki wystawały kępki włosów. - Witam w moim domu!

Ścisnął rękę Burtona na tyle mocno, żeby zademonstrować swoją siłę, po czym uwolnił jego rękę, zignorował Spoona i szybko obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni. Powiedział coś w lokalnym dialekcie. Za jego plecami płątał się mały chłopczyk, teraz podbiegł do Galibaniego, śmiejąc się radośnie.

- To - powiedział Galibani - jest mój najmłodszy syn! Duma mojego życia. Wie pan, że mam wiele wnucząt, pułkownika Burton? Czternaścioro wnucząt! Przysięgam! A jednak spłodziłem jeszcze synka. Czyż to nie cud?

- Inszallah - odpowiedział Burton. - Upodobni się do swojego ojca i góry będą drżały pod jego stopami.

Gospodarz roześmiał się gromko. Ale prawda była taka, że zdaniem Burtona, chłopiec zupełnie nie przypominał Galibaniego. Heroinowy król południowego Azerbejdżanu wziął Burtona pod ramię, tak że Burton poczuł koński pot.

- Jestem bardzo rozczarowany. Powiedziano mi, że pan już jadł! Na polance, w tym pięknym miejscu, schowanym od drogi. Zranił pan moje uczucia! Jak ja bym pana nakarmił! Kazałem zabić najlepsze jagnięta! A mój amerykański gość zadowolił się samym chlebem i serem. Dziś wieczorem będziemy jedli jagnięta.

Dziecko biegło za nimi, zawiedzione, że ojciec je teraz ignoruje. Niektórzy mieszkańcy domu mieli na sobie zachodnie ubrania, podczas gdy inni trzymali się tradycyjnych górskich strojów. Nie widać było żadnej broni, ale Burton podejrzewał, że nie trzeba by długo szukać.

- Czy moi goście życzą sobie odpocząć na osobności? Czy wasz pojazd potrzebuje benzyny? Czy wasz pokorny gospodarz może cokolwiek dla was zrobić?

- Hadzi Mustafa - powiedział Burton. - Nie pragnę niczego więcej jak zaszczytu spędzenia z panem trochę czasu. Mój towarzysz i ja zjedliśmy skromny lunch, ponieważ wiedzieliśmy, że obiad będzie prawdziwą ucztą.

Galibani znów się roześmiał, a jego syn pociągnął go za spodnie. Nagle potężny człowiek porwał chłopca w ramiona i zaczął go podrzucać ku uciesze piszczącego malca. Był to nie lada pokaz siły, gdyż chłopiec musiał sporo ważyć.

- Ale, pułkowniku Burton, pan podobno nie ma żony. Musi się pan ożenić! Znajdę panu żonę. Żonę odpowiednią dla amerykańskiego pułkownika. Trzeba mieć synów. Każdy mężczyzna musi mieć synów. Zdrowy syn raduje Allacha. To najlepsza rzecz na świecie.

Galibani nagle znudził się zabawą i postawił małego na ziemi, oddając pod opiekę garbatego starca. Mężczyzna poruszał się skulony jak chory dżokej.

Galibani poprowadził ich pod ocieniony markizą stół, na którym stały butelki i szklanki. Kiwnął ręką na Spoona. - Pański kierowca też musi się czegoś napić. Czy on nie jest oficerem?

-Amerykańscy sierżanci są wyżsi rangą od rosyjskich oficerów - powiedział Burton, a jego gospodarz zatrząsł się od śmiechu.

-Mówiono mi, że ten człowiek pracuje ku czci Proroka w sierocińcach Baku.

-Pańska siatka wywiadowcza działa bez zarzutu.

-Jestem dumny goszcząc takiego człowieka. Na moich ziemiach będzie równie ważny jak generał.

Spooner podszedł do nich.

-Sierżant Spooner, hadzi Mustafa Galibani, król wszystkiego w zasięgu oka - przedstawił się Burton po angielsku, ale Galibani wyczuł sens i uśmiechnął się.

Galibani wziął do jednej ręki butelkę brandy, a do drugiej białe gruzińskie wino. - Co sprawi moim gościom większą przyjemność? - spytał.

-Poproszę odrobinę wina - powiedział Burton, a Spooner zawtórował mu kiwnięciem głowy.

-Wiecie - zaczął Galibani - nie mogę pojąć tych religijnych szaleńców. - Przełał wino w pierwszej szklance i zamruczał coś do siebie. - Jestem człowiekiem głębokiej wiary, rozmyślającym nad prawdami swojej religii i wielbiącym słowo Proroka, Pokój z Nim. Ale w Koranie nie ma zakazu picia wina. To jest dar od Allacha. Wino jest wychwalane przez wszystkich wielkich poetów naszej historii...

-Wino jej ust jest jak wino z dobrej ziemi - zacytował Burton - obydwu przybliżają pijącego do Boskości.

Galibani uśmiechnął się, choć Burton wątpił, żeby tamten rozpoznał autora. Mężczyźni wypili toast za dozgonną przyjaźń narodów Tałyszów i Amerykanów. Galibani pił wino jak kieliszek taniej whisky. Dolał trunku gościom, a swoją szklankę napełnił brandy. Burton zaproponował toast.

-Za wielką szlachetność Tałyszów, którzy nigdy nie dopuściliby, żeby niewinnej kobiecie stała się krzywda.

Oczy Galibaniego błysnęły, zanim wypił. Kiedy odstawił opróżnioną szklankę, powiedział: - To był bardzo dobrze pomyślany toast, pułkownika Burton. Ale mówiono mi, że jest pan bardzo sprytny.

-W pańskiej dziedzinie jestem największym z głupców.

Galibani roześmiał się znowu. Jego śmiech pełnił rolę interpunkcyjną, w podobny sposób jak inni kiwają głowami. Wziął Burtona pod ramię. - Pański sierżant musi nam wybaczyć, ale uważam, że powinniśmy

porozmawiać na osobności. Proszę za mną. Pokażę panu piękno tej ziemi.

Stary herszt poprowadził go przez drzwi w murze otaczającym dziedziniec i dotarli do zagrody, gdzie pasły się szlachetne konie. Na tej wysokości wiatr wiał prosto z płuc Boga, był chłodny i przepojony zapachem koni. Mimo oślepiającego słońca powietrze chłodziło ręce i spocone pachy Burtona. Strażnik otworzył im drzwi w zewnętrznej ścianie i wyszli na łąkę, która przywiodła Burtonowi na myśl wspinaczkę w Alpach. Poznał Niemcy i ich przygraniczne góry jako porucznik, potem znów jako kapitan i razem z Heddy dwukrotnie spędzali tam wakacje, ostatnim razem wspinając się aż do Austrii, wysoko ponad Scharnitz, gdzie można było kochać się wśród jodeł.

Ochroniarze z karabinami podążali za nimi, zachowując odpowiedni dystans, obserwując otoczenie, jakby w trawie czaili się zamachowcy. W kilka minut dotarli do szczytu wzgórze i Galibani zatrzymał się, czekając aż jego gość stanie obok.

- Myślę, że tak musi być w niebie - powiedział Galibani, zagarniając ręką krajobraz od irańskiego masywu, którego kolory zmieniały się z szarego w jasnofioletowy zgodnie z ruchem słońca, przez odległe równiny, aż po jego lasy, łąki i góry o wyfysiałych od silnego wiatru szczytach. Był to krajobraz z rodzaju tych, które mają za dużo elementów. Pozostawało jedynie chłonąć jego wspaniałość. - Był pan kiedyś w piękniejszym miejscu?

Nie. Burton widział wiele pięknych miejsc, od Himalajów po Wielki Kanion, a nigdy nie widział tak zachwycającego ludzkie oko krajobrazu. Po stoku, niczym chmura, która opadła na ziemię poruszało się stadko owiec, gdzieś w dali postukiwały wiadra na wodę. Ziemia i niebo wydawały się złączone w długim, wolnym tańcu. To było piękne, surowe miejsce, a tysiące najeźdźców zalewały je krwią. Nie mówiąc słowa Galibani zaczął wracać, przez szczyt i w dół do doliny, gdzie dużo niżej droga wiła się w kierunku Lerik. Burton szedł za nim, przypominając sobie inne miejsca i dawno zapomniane kobiety, ale wrócił niepokój o porwaną dziewczynę i nastrój prysł. Nie mógł się doczekać rozmowy na temat Kelly Trost, ale wiedział, że Galibaniego nie można popędzać. Herszt chciał porozmawiać. Po to go przecież tutaj zaprosił. Ale Galibani zacznie mówić w wybranej przez siebie chwili.

Starszy mężczyzna zwolnił, ponownie zachęcając Burtona, żeby się z nim zrównał.

- Myślę, że może pojedę do Ameryki. Słyszałem, że Ameryka to piękny kraj.

-Niektóre miejsca są piękniejsze od innych. Dla mnie tu jest pięknie. - Znow zaczął recytować: - „Człowiek zawsze będzie kochał jałowe wzgórza, na których się urodził”.

- Czy urodził się pan na jałowych wzgórzach, pułkowniku Burton?

Burton uśmiechnął się na wspomnienie soczystozielonych lat w północnej części stanu Nowy Jork, o głębokich, zimnych jeziorach. - Nie, hadzi. Tam jest bardzo zielono. Są dobre gospodarstwa i wzgórza miękkie jak ciało kobiety.

- A co to za stan?

- Nowy Jork.

Galibani skrzywił się, jak ktoś, kto zjadł złą ostrygę. - Ale Nowy Jork to miasto. Mówiono mi, że to okropne miejsce, chociaż bardzo bogate.

-Są dwa Nowe Jorki, hadzi. Jest Nowy Jork, do którego ludzie przyjeżdżają robić pieniądze i zdobywać reputację, i jest Nowy Jork, do którego przyjeżdżają ludzie, żeby się kochać. Ja jestem synem drugiego z nich.

-Być może odwiedzę ten drugi Nowy Jork. Gdzie wszyscy się kochają. Przyjadę do pana po wizę.

-Spodobałaby się panu Arizona. Wielu mogłoby się z tym nie zgodzić, ale ja uważam Arizonę za najpiękniejszy stan.

-A Kalifornia? Wszystkie gwiazdy filmowe tam mieszkają. Tam musi być najpiękniej.

Burton pomyślał o złotych kobietach, które myślą tylko o złocie i o mężczyznach, których nie można brać poważnie. - Kalifornia to odrębny świat.

-Myślę, że Kalifornia bardzo by mi się spodobała. Chciałbym spotkać waszą Sharon Stone. Dziś wieczorem obejrzymy film na wideo.

-Ze wszystkich kobiet na świecie - powiedział Burton - najbardziej chciałbym teraz spotkać Kelly Trost. Nasza zagubiona przyjaciółka musi być bardzo wystraszona. Mogę tylko mieć nadzieję, że jest w dobrym zdrowiu.

Burton nie mógł sobie odmówić wykorzystania okazji do rozpoczęcia tego tematu i zauważył natychmiastową zmianę nastroju Galibaniego. Herszt odkładał rozmowę na później, być może nadal rozważał swoje stanowisko. Zapłonął gniewem, ale szybko się opanował. Mąnewr się udał.

-Na pewno - powiedział Galibani. - Jest w dobrym zdrowiu, jeśli porwał ją człowiek z tych ziem. My, Tałysi, nie krzywdzimy kobiet. - Przerwał i Burton wyczuł kolejną falę złego humoru. - Ale nie wydaje mi się, żeby moi ludzie byli w to zamieszani. Wiedziałbym o tym.

- Pan wie o wszystkim, co się tu dzieje, hadži.

- Prawie o wszystkim, prawie o wszystkim. Ale... niech pan posłucha, mój przyjacielu. Słyszałem o tym... nieszczęściu. I pomyślałem sobie „Hadži Mustafa, musisz pomóc. To kwestia honoru. Córka wielkiego Amerykanina, młoda dziewczyna, która przyjechała tu, żeby pomagać ludziom, została uprowadzona przez bandytów, morderców czy nie wiadomo kogo”. Więc natychmiast powiedziałem, że chcę z panem porozmawiać. Jednak mam problem: nie wiem, jak mógłbym najlepiej pomóc.

- Najlepiej byłoby znaleźć dziewczynę. Uwolnić ją.

Galibani pokiwał głową. - Tylko że według mnie sprawa jest wyjątkowo skomplikowana. Wymaga dużych nakładów i stwarza wiele niebezpiecznych sytuacji. - Przerwał i spojrzał Burtonowi prosto w oczy. Mimo iż Burton miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, starszy mężczyzna i tak patrzył na niego z góry. - Jestem starym człowiekiem i, Inszallah, niegłupim. Stawiłbym dla Ameryki czoło tym niebezpieczeństwom. Ale muszę zadać sobie pytanie: „Hadži Mustafa, jakim niebezpieczeństwom Ameryka stawiałaby czoło dla ciebie?”.

- Każdy, kto znajdzie tę dziewczynę, zaskarbi sobie wdzięczność Stanów Zjednoczonych.

Galibani uśmiechnął się i podjął wędrówkę w dół. Łąka leżała na bardzo spadzistym terenie, a trawa była mokra, ale herszt kroczył w swoich Reebokach z niezachwianą pewnością siebie.

- A czym jest wdzięczność w dzisiejszych czasach? Cóż ona znaczy, mój przyjacielu? Niech pan dobrze mnie zrozumie – nie mówię o pieniądzach. Pieniądze są tak nieistotne jak żdźbła trawy. Ale pozwoli pan, że zapytam... co pan sądzi o niepodległym państwie Tałyszów? Jesteśmy ludem uciskanym. A w naszym morzu jest ropa. Co wasz prezydent pomyślałby o niepodległym państwie Tałyszów?

Prawda jest taka, pomyślał Burton, że nasz prezydent nigdy nie słyszał nawet o narodzie Tałyszów, a sekretarz stanu zemdlełby na wieść o jeszcze jednym oderwanym państewku w rejonie Morza Kaspijskiego, dokładnie na granicy z Iranem, och, i dowodzony przez Heroinowego Króla. Zaświtało mu w głowie, że ma szansę zmienić bieg historii i przy okazji zmienić życie Drew MacCauleya w koszmar, ale podejrzewał, że Tałyszom podobnie jak Azerom i Amerykanom jest lepiej tak jak jest.

- Myślę, że to interesująca koncepcja, która wymaga dalszych przemyśleń - powiedział Burton, wchodząc najlepiej jak umiał w rolę pracownika Departamentu Stanu. - Ale mogą być pewne problemy.

Najwyraźniej Niepodległy Kraj Tałyszów był tylko mrzonką, ponieważ Galibani zgodził się z nim. - Tak, byłyby problemy. Może to alternatywa na przyszłość. Ale... jest inna sprawa. Wielki rurociąg. Rucociąg, który będzie transportował ropę przez Gruzję i Turcję do morza. Czy musi biec tak nierozsądną trasą?

-Trasa nie została jeszcze do końca ustalona - powiedział wolno Burton.

-Doskonale! Widzi pan, ja uważam, że to byłoby niemądre. Czy nie rozsądniej byłoby poprowadzić ten rucociąg przez kraj Tałyszów, a potem przez Iran do morza?

-Cóż... taka trasa też była brana pod uwagę. Ale Stany Zjednoczone i Iran nie są w przyjacielskich stosunkach.

-Ale to nic. Nic! Irańczycy zrobią wszystko dla pieniędzy. Znam ich. Im też zależy na wielkim rucociągu.

-Hadzi Mustafa... nie chcę pana okłamywać. Stany Zjednoczone nie zgodzą się na to, żeby rucociąg biegł przez Iran.

Zeszli jeszcze niżej, a herszt stracił humor. - No dobrze. Ale mógłby biec przez Armenię. Proszę się nie martwić o Azerbejdżan. Tałyszowie i Ormianie mogą zostać przyjaciółmi. Tędy dałoby się przeprowadzić rucociąg.

A stąd prosto przez ziemię niczyją pełną spalonych wiosek i zniszczonych pól uprawnych, pomyślał Burton. Prosto przez strefę wojenną. Jasne. Gdzie mamy podpisać?

-To bardzo interesujący pomysł. Przekażę go naszemu ambasadorowi.

-To dobrze. Jest jeszcze jedna sprawa. Poza rucociągiem, który przyniósłby moim biednym ludziom bogactwo, Ameryka mogłaby mi pomóc z tymi cholernymi Europejczykami. Przysparzają mi samych kłopotów. Zwłaszcza Niemcy. Oskarżają mnie o straszne rzeczy, o produkowanie narkotyków i przemykanie ich do innych krajów. Usiłują skrzywdzić mnie, niewinnego człowieka...

-Hadzi Mustafa, chodzą plotki... być może powinien pan dołożyć starań, żeby potwierdzić swoją ogólnie znaną uczciwość.

-Plotki! I tylko to mają, ci Europejczycy. To mali ludzie. Mali ludzie wierzą w plotki. Hadzi Mustafa Galibani jest biznesmenem, ojcem dla swoich ludzi. Proszę spojrzeć. - Machnął przed siebie ręką. - Gdzie tu mak? Co pan widzi? Owce. To biedne ziemie. Biedne i piękne. Powiem panu prawdę. Całe te narkotyki to problem Europejczyków. Nie przeczę, że ten czy ów zły Tałysz od czasu do czasu handluje narkotykami. Ale to Europejczycy ich potrzebują. A to nie problem Ameryki. Wasze narkotyki nie pochodzą stąd, ani z Iranu, ani nawet z Afganistanu. Czy Europejczycy to wasi przyjaciele? To nic więcej jak słabeusze i prostytutki.

Mówię panu, jeśli chcą, żeby zniszczyły ich narkotyki, popełniają grzech, ale to ich grzech. To nie mój problem. Ani Ameryki.

-Tylko że... nie bardzo rozumiem, jak Ameryka mogłaby panu pomóc.

Galibani zatrzymał się i zamachał rękami. - Przecież to wasi poddani. Robią, co im każecie. Ameryka mogłaby powiedzieć Niemcom i pozostałym: „Skończcie z tymi kłamstwami na temat naszego przyjaciela hadżiego Mustafy. To dobry człowiek. Przestańcie go karać za uczynki, których nie popełniłby nawet za sto lat!”

-Moim zdaniem - powiedział Burton - nie ma się pan czego obawiać. Europejczycy są więźniami własnych praw. Nie mogliby ukarać niewinnego człowieka.

Galibani jednym gestem pozbył się myśli o Europejczykach. -Ale rozumie pan moje kłopotliwe położenie, pułkownika Burton? Chcę pomóc Ameryce. Ale w czym Ameryka mogłaby pomóc mnie?

To, w rzeczy samej, było bardzo trafne pytanie. Żaden podręcznik ani szkolenie w wywiadzie Departamentu Obrony nie przygotowały Burтона na rozwój ostatnich wypadków. Trzeba było samemu prowadzić politykę ze skrzyżowanymi na szczęście palcami i przymkniętymi oczami. A czasem trzeba było postępować wbrew sobie.

-W porządku - powiedział Burton. - Powiem panu, co jestem w stanie zrobić. Co mogę panu obiecać. Osobiście poinformuję pana, jeśli Niemcy lub ktokolwiek inny zacznie zacieśniać wokół pana pętlę. Jeśli będą mieli jakiegoś asa w rękawie. Nie, zrobię nawet coś lepszego. Nie wspominałem o Rosjanach. Oni też się na pana szykują. To prawda. Wiem, że ma pan w Moskwie protektorów. Ale nie każdemu Rosjaninowi podoba się ogromna liczba narkomanów wałęsająca się po Arbacie. - Podniósł rękę. - Nie ma nawet znaczenia, czy to prawda czy fałsz. Rosjanie są zdania, że dostarcza pan większą część heroiny, która do nich dociera. Zabiją pana, jeśli nadarzy im się odpowiednia okazja, hadzi. Chociaż nie wydaje mi się, żeby teraz przedsięwzięli jakieś wyjątkowe środki w tym kierunku. Mają pełne ręce roboty w górach. Ale ten dzień nadejdzie. Ja mogę trzymać ucho przy ziemi i dać panu ostrzeżenie. Wtedy w błyskawicznym tempie jestem w stanie pana stąd wydość i załatwić panu wizę do każdego kraju, w którym nie słyszeli o słowie „ekstradycja”. Jeśli dostarczy mi pan dziewczynę.

Zbliżali się do drogi. Kradziona wojskowa ciężarówka wypełniona skrzyniami, niedbale tylko odmalowana, z jękiem pięła się w górę. Jedną z bocznych dróg do Iranu przez Lerik, od wieków wykorzystywana była do przemytu.

-To wszystko - powiedział Galibani - może nigdy się nie zdarzyć. A co, jeśli uda mi się wam pomóc, dostarczyć dziewczynę... a sam nigdy nie będę potrzebował waszej pomocy?

Burton uśmiechnął się skąpo. - Wtedy, hadzi Mustafa, obaj się przekonamy, że Allah spogląda na pana z góry z uśmiechem. No i spełniłby pan dobry uczynek.

Galibani kiwnął głową, ale po jego minie widać było, że jest rozczarowany i nie do końca przekonany. Ale zamierzał się nad tym zastanowić.

-To jest to, co chciałem panu pokazać - powiedział Galibani ożywionym głosem. Wskazał ręką w kierunku fontanny, zbudowanej przy drodze. Mozaika na fontannie przedstawiała twarz prezydenta Aliewa, i wyglądała jak zrobiona z kolorowych kamieni zabranych z akwarium. Podobieństwo było jednak uderzające.

-Ja to zrobiłem - powiedział herszt. - W uznaniu dla heroicznego czynów naszego prezydenta, mojego dobrego przyjaciela. Zapłaciłem artyście, który przyjechał z Tbilisi.

Rozbawiony Burton powiedział: - Przed chwilą rozmawialiśmy o niepodległym ludzie Tałyszów. Sam pan mówił, że jesteście uciskani.

Galibani nabrał wody w ręce i napił się. - To wyjątkowa woda. Musi pan spróbować. Zimna z natury. Pochodzi z serca góry.

Burton pochylił się i zanurzył dłoń. Woda rzeczywiście była zimna i wspaniale smakowała. To była kraina ukrytych skarbów.

-Prezydent Aliew to wielki człowiek. - Galibani podjął temat. - Gdyby nie był prezydentem, popierałby niezawistość Tałyszów. Serce mi to podpowiada. W każdym razie, prezydent to król naszych czasów. A to zawsze dobra rzecz postawić pomnik królowi.

Burton znów się napił, rozkoszując się słodyczą wody. Prawdopodobnie jest czysta. Na wyższych terenach można było bezpiecznie pić z bystrzejszych źródeł.

-Proszę za mną - powiedział Galibani. - Musimy wracać. Zapraszam na ucztę, jeśli przyjmie pan moją skromną gościnę. Na pewno niczego panu nie zabraknie.

Skinąwszy głową, Burton dopasował swoje kroki do rytmu marszu starszego mężczyzny. Nie ma wyjścia, trzeba przez to przejść. Wybuch złości tylko by mu zaszkodził.

-Muszę zadać panu trudne pytanie - powiedział Galibani. - Proszę. Kto pana zdaniem jest piękniejszy - Sharon Stone czy Kim Basinger? Uważam, że „Nagi instynkt” i „Dziewięć i pół tygodnia” za najlepsze filmy w historii. Ale która z nich jest piękniejsza?

Burton prawie wybuchnął śmiechem na myśl o konkursie piękności między dwiema aktorkami, tutaj, w takiej dziczce. Który film jest gorszy?

Trudno powiedzieć. Jednak ta właśnie część jego kultury budziła największą emocje w pozostałych częściach świata.

-Ja wolę raczej kobiety typu Juliette Binoche – odpowiedział mu Burton.

Ale herszt nie żartował. Stał wyprostowany w swoich sportowych butach, a wiatr targał jego rzadniejące włosy i klapy marynarki. Niemal ponuro Galibani powiedział:

-Chciałbym posiąść taką kobietę chociaż raz w życiu.

7

Heddy opuściła lotnisko Kolonia-Bonn w taksówce, która w rzeczywistości nie była taksówką. Nie podała szoferowi żadnego adresu, a on o nic nie pytał. Wszystko było jasne, dobrze zaplanowane i tak precyzyjne, geometryczne i potwornie nudne jak migający przed oczami krajobraz i bryły budynków mieszkalnych otaczające autostradę. To była niedziela w Niemczech, dzień niemal jak spędzony w celi. Od przyjazdu czuła się tak, jakby wyssano z niej całą krew.

Przynajmniej pogoda dopisuje. Słońce obdarzyło kraj wyjątkowym aktem łaski i rozwiało się nawet kilka chmur na południu nad Ardenami. Przejechali mostem nad brązowymi, potyskliwymi wodami Renu. Stare miasto pięknie prezentowało się na tle rzeki na zielonych wzgórzach upstrzonych rezydencjami. Czuła się jak w domu - bezpiecznie, swojsko i uderzająco samotnie. Samochody jechały gładko i zgodnie z przepisami, czujni kierowcy przemykali od jednych świateł do następnych, zdecydowani wycisnąć cały sok, który winien im był przepracowany tydzień. Znała tych ludzi, ich zwyczaje i uprzedzenia określające ich życie. Pogardzała nimi, oczywiście, zgodnie z duchem czasu, wyśmiewając w gronie koleżanek i inteligentnych mężczyzn „Herr Meiera”, ale nigdy nie odżegnywała się od swoich korzeni. Teraz czuła się tu jak cudzoziemka, jednocześnie uprzywilejowana i jak rozbitek wyrzucony na brzeg, oceniając swoją spuściznę oczami ukochanego mężczyzny.

Kierowca skręcił w jedną z dróg wyjazdowych z Bonn i zobaczyła czyste, jednakowe ulice. Wjechali do dzielnicy, w której identycznie białe domy z otoczonymi murem ogrodami stały naprzeciwko rzędów podmiejskich rezydencji. Pokryte kocim łbem uliczki huczały pod oponami samochodu. Mignął jej przed oczami cieszący się złą sławą dom, w którym starzejący się generał zastrzelił kochankę o lewicowych poglądach, a potem popełnił samobójstwo.

Zawsze była praktyczna, a swoje życie zbudowała na chorobliwej wręcz ambicji, którą skrupulatnie ukrywała, i na umiejętności bystrego

myślenia i ciężkiej pracy. Wierzyła, że podejmowała słuszne decyzje, a jej życie osobiste było nieskrępowane i przyjemne. Jej kochankowie należeli do klasy ważnych mężczyzn, zazwyczaj starszych od niej i uznanych w swoich dziedzinach. Nigdy nie podniecały jej wakacyjne romanse, ani związki z seksownymi, niezbyt bystrymi mechanikami samochodowymi. Potem poznała Evana, którego początkowo zaliczyła w poczet niewinnych, słodkich i niewymagających Amerykanów. Z czasem przekonała się, że zupełnie nie zna się na mężczyznach, i nie zna siebie samej oraz że namiętność nie tylko istnieje, ale i uzależnia jak narkotyki.

Jakaś jej część żałowała, że w ogóle go spotkała. Zniszczył tak wiele, zaczynając od spokoju jej umysłu. Helmut, z drugiej strony, był partnerem o jakim marzyła: uznanym, z doskonałymi manierami, i bogatym w ten pewny siebie sposób, który dziedziczy się przez pokolenia. Zadzwoił do służby w swoim domu w Bad Godesbeg, żeby przygotowali go dla niej, i żeby nie musiała zatrzymywać się w hotelu. Jutro obudzi ją zapach kawy podanej w srebrnej zastawie Jugendstil w sypialni z widokiem na Ren. Poza tym ma jeszcze dom w Hamburgu, z biedermeierowskimi wnętrzami i ogrodem, w którym pewien poeta zastrześlił się z miłości podczas epidemii cholery.

Chociaż Heddy utrzymywała, że jest z Hamburga, tak naprawdę Hedwig Seghers urodziła się w Bremie, monotonnym, mglistym i zbudowanym z cegły mieście. Jej rodzina koczowała tam tylko do czasu, aż jej ojciec dostał awans i przeniesienie do siedziby floty handlowej w nizinnym Hamburgu. Górowała intelektem nad resztą rodziny, co w połączeniu z dyscypliną pozwoliło jej wkroczyć w świat Grosse Freiheit bez groźby wywrotki. Jej rodzinny, anonimowy dom klasy średniej stał niecały kilometr od rezydencji Helmuta, ale równie dobrze mógł znajdować się w czasach jej młodości za oceanem.

A teraz dostała zaproszenie do środka. I chciała tam wejść. Jedyne, co ją powstrzymywało, to idiotyczne, nierozsądne, śmiechu warte zadurzenie w mężczyźnie, który właściwie wcale jej nie chce, przynajmniej nie tak, jak ona pragnie jego. Kłamie, i dobrze o tym wie. Zadurzenie dawno już przeminęło. Teraz kochała tak, jak kocha się w książkach, które chciwie pochłaniają rozczarowane życie kobiety w pociągach. Helmut jest wspaniały i idealny, i nigdy nie zaskoczy jej w zły ani dobry sposób. Evan to... Evan. Niewykłuczone, że położą go w grobie wciąż biednego jak student i być może nigdy nie znajdzie odpowiedniej osoby do ulokowania swoich uczuć, i zawsze będzie pół kroku przed nią. Nawet nie chodzi o seks. A raczej nie tylko o seks. Już po kochaniu się

dalej chciała być blisko niego, co nie zdarzało się jej w przypadku innych mężczyzn. Chciała z nim być, dotykać go niewinnie, oddychać tym samym powietrzem co on. Myślała o nim, kiedy niby-taksówka wjechała w aleję i pomiędzy dwa skrzydła pomalowanej na czarno metalowej bramy, która otworzyła się automatycznie.

Nikt nie wyszedł z budynku, żeby ją przywitać, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Taksówka czekała z wyłączonym silnikiem, a ona poszła ścieżką okoloną późnymi letnimi różami i dopiero wtedy dostrzegła strażników ukrytych między drzewami. Drzwi otworzyły się, zanim nacisnęła dzwonek i zobaczyła przed sobą znajomą, uśmiechniętą twarz.

-Fraülein Seghers - powiedział mężczyzna - jak cudownie znów panią widzieć.

-Nie zachowuj się jak dupek, Oskar - odpowiedziała mu Heddy. Kiedyś byli kochankami, pracując razem na placówce w Budapeszcie. Romans rozczarował ich sobą nawzajem. - O co tu chodzi?

-Wejdz. Usiądź. Dowiesz się. - Poprowadził ją do salonu. Wiele razy odwiedzała ten dom, odbierając instrukcje albo biorąc udział w dyskusjach, ale tym razem czekała na nią niespodzianka. Wśród drogich, surowych w kształcie mebli, tuż pod obowiązkowym obrazem, z którego wyśmiewałby się Evan, czekał jej szef.

Jej prawdziwy szef. Wielki szef.

-Herr Minister - powiedziała, tracąc na moment rezon. - Przepraszam, ale...

-Nie ma za co, naprawdę nie ma za co. - Mężczyzna uśmiechnął się tak, jakby pozował do okładki magazynu. - Bardzo proszę, Fraülein Seghers, niech pani usiądzie ze mną na chwilę. Potem wyślemy panią na spotkanie z pani nieznośnymi kolegami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Heddy usiadła, żałując, że nie zatrzymała się na lotnisku, żeby się uczesać i doprowadzić ubranie do porządku. Nie wiedziała o co chodzi, ale miała kilka podejrzeń i była pewna, że to coś ważnego. Minister ma lepsze rzeczy do roboty, niż uczestnictwo w powitaniu wracającego z zagranicy agenta niższego szczebla i to w niedzielne popołudnie.

Minister był, rzecz jasna, zachwycony perspektywą jej małżeństwa z Helmutem Hartlingiem. Nie można byłoby wymyślić lepszej przykrywki, prawdziwy dar od Boga. Kto wie, pomyślała, może chodzi właśnie o to. Myśl, że praca mogła łączyć się z jej życiem osobistym, napełniła ją gniewem, którego nie poczułaby rok temu.

-A więc - zaczęła Heddy - wezwanie do powrotu nie jest...?

-Nie jest rutynowe - dokończył za nią minister. - Bynajmniej. Tym razem nie przyjechała pani na zwykłą kontrolę. Nie, nie. Osobiście zleciłem wezwanie pani do kraju. Delikatna sprawa. Nie chcemy ujawnić pani tożsamości. Szczególnie teraz byłoby to niepożądane. - Machnął ręką, jakby strząsał niewidoczne okruszki i Oskar wyszedł z pokoju, delikatnie zamykając szklane drzwi za sobą.

Heddy spojrzała na mężczyznę. Był dobrze, choć konserwatywnie ubrany, a Heddy, która wiedziała bardzo wiele o męskim rynsztunku, gotowa była się założyć, że garnitur miał od Zechbauera, koszulę van Laacka, a francuski krawat wybrała mu żona. To był mundurek klasy, do której teraz należy. Helmut, z drugiej strony, szył sobie garnitury w Londynie, a koszule - i to w tuzinach - w Hongkongu. Bawełna, z której je szyto, była tak delikatna, że nie można ich było krochmalić, więc Helmut zmieniał je dwa, czasem trzy razy dziennie. Oto świat, do którego została zaproszona.

-A teraz, Fraülein Seghers... chodzi o dość skomplikowaną sprawę, i bardzo delikatną. Mówię o porwaniu tej dziewczyny, córki amerykańskiego senatora. Bardzo smutne. Bonn pragnie uczynić wszystko, żeby pomóc w jej powrocie do ojca, to oczywiste. Pani... przyjaciel, ambasador, otrzymał odpowiednie instrukcje. Bardzo dobry człowiek. To, oczywiście, pani wiadomo. Ale to tylko dyplomata. A myślę, że zgodzi się pani z opinią, że dyplomaci z definicji mają ograniczone możliwości. Nie chodzi mi o intelekt, oczywiście.

Minister poprawił swoją i tak prawie doskonałą pozę. Na stole przed nim stała niewielka, zielona, opróżniona do połowy butelka wody mineralnej i szklanka. Spojrzał na nie i odwrócił wzrok, nie zadając sobie trudu, żeby spytać ją, czy się czegoś napije. Helmut nigdy nie popełniłby takiego nietaktu, pomyślała, nawet gdyby był kanclerzem, a ona gosposią. Ale minister pochodził z innej klasy społecznej. Rozumiała to.

-No dobrze... - kontynuował minister. - Gdyby chodziło jedynie o dziewczynę, sprawa byłaby dość prosta. Niestety, jej przypadek wiąże się z innymi kwestiami. Z rurociągiem oczywiście. I z naszymi stosunkami z Iranem. - Pochylił się w jej stronę, rujnując wypracowaną pozę. Prawie dało się słyszeć trzeszczenie szwów w jego ubraniu. - Chcielibyśmy, żeby ta dziewczyna wróciła do ojca. To jasne. Ale są różne sposoby, na które można to zrobić. - Westchnął. - Po pierwsze... uważamy, że porywacze mogą mieć powiązania z pewnymi elementami w Iranie. Pewnie nieoficjalne. Nieusankcjonowane na najwyższych szczeblach.

Jednak dla naszych amerykańskich przyjaciół takie rozróżnienie nie ma znaczenia. Waszyngton jeszcze się nie otrząsnął po tym małym spięciu z Teheranem, a wielu ludzi zza oceanu widzi korzyści polityczne w kontynuacji tej kłótni. Nie będę się rozwodził nad żydowskim lobby.

Pochylił się jeszcze bliżej i Heddy poczuła się niepewnie. - Ale do rzeczy. Jeśli porywaczami okażą się rzeczywiście Iranczycy albo ludzie w jakikolwiek sposób powiązani z Iranem, możemy się spodziewać ze strony Waszyngtonu jeszcze więcej nonsensownych zachowań. Znow usłyszymy żądania europejskiego bojkotu Iranu. A to jest, oczywiście, absolutnie wykluczone. Niemożliwe z punktu widzenia niemieckiej ekonomii. Ale pani to wie. Nie chcemy być zmuszeni do dokonywania wyboru pomiędzy prowadzeniem interesów ze Stanami Zjednoczonymi, a prowadzeniem interesów z Iranem. To właściwie żaden wybór. Ostatnio z Waszyngtonu nie można się spodziewać rozsądnych posunięć. Niesamowita naiwność w stosunku do świata - chociaż kanclerz dobrze się bawi na obiadach w Białym Domu. Mniejsza z tym. Chodzi o to, że Amerykanie są w stanie narobić nam wszystkim sporo szkód.

Minister upił łyk wody mineralnej i znow nie zaproponował Heddy nic do picia. Spod czarnych krzaczastych brwi wpatrywały się w nią oczy, nie widzące nic, co nie dotyczyłoby bezpośrednio ich właściciela. - Po drugie - ciągnął, podnosząc dwa palce - Rosjanie coś szykują. Ludzie o mentalności pastuchów i krwawych ambicjach. Zaledwie kilka godzin po porwaniu dziewczyny linia telefoniczna pomiędzy rosyjską ambasadą w Baku a Moskwą była cały czas zajęta. I chociaż, powiem szczerze, zmuszeni jesteśmy opierać się na domysłach, wzmożona aktywność nie jest przypadkowa. Mój najlepszy analityk jest przekonany, że coś szykują. Co dokładnie, nie wiemy... ale ten region bez wątpienia stanowi obszar ich zainteresowań. Według mnie, nasi rosyjscy przyjaciele chcą pierwsi odnaleźć dziewczynę. Albo po to, żeby oddać ją ojcu z dobrej woli i udowodnić, że Azerbejdżan jest zbyt niespokojny na puszczenie przez jego terytorium rurociągu, w porównaniu z błogosławionym spokojem południowej Rosji. Nie wspominając o Czeczenii. - Spojrzał na Heddy tak intensywnie, jak doktor badający pacjentkę. - Albo po to, żeby ją skrycie zabić i udowodnić wspomnianą tezę. Tylko mocniej.

Położył ręce na kolanach, jakby chciał wstać, ale tego nie zrobił. Popołudniowe słońce przebiło się przez zasłony i zalało pokój złotymi promieniami. - Jesteśmy mocno zaangażowani w całe to Schweinerei. I chociaż nie oponujemy przeciwko wielu trasom rurociągów, musimy mieć pewność, że przynajmniej jeden z większych będzie prowadził z

Kaukazu przez Turcję. To kwestia stabilizacji. I korzyści ekonomicznych. Rurociąg może potem biec przez Azerbejdżan, następnie pewnie przez Gruzję - chociaż na dłuższą metę nie wykluczyłbym Armenii - ale wyjście musi być przez Turcję. Niestety, przy obecnych problemach z prawami człowieka, Bonn nie może zbyt mocno popierać Ankary. Czy pani mnie rozumie, Fraülein Seghers?

Kwestie polityczne były jasne. Nie musieli ściągać jej do Bonn tylko po to. Nadszedł jednak czas na prawdziwy powód tego spotkania. Czuła to.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - spytała.

Na twarzy ministra na krótką chwilę zawitał blady uśmiech. Potem schylił się i podniósł grubą aktówkę stojącą przy krześle i oparł ją o jej but.

- W środku jest milion dolarów amerykańskich. Natychmiast po powrocie do Baku skontaktuje się pani z generałem Hamedowem. Przekáže mu pani, że jego niemieccy przyjaciele chcieliby mieć pewność, że, po pierwsze, porywacze, kiedy zostaną zdemaskowani, nie będą mieli żadnych powiązań z Iranem. Sugerowałbym raczej, żeby okazali się rosyjskimi bandytami. Martwymi rosyjskimi bandytami. Po drugie, najlepiej gdyby dziewczynę odnalazły lojalne siły azerbejdżańskie, a nie Rosjanie. Zresztą, sam Hamedow dojdzie do takiego wniosku. Mam tylko jedno pytanie: - W jakim stopniu nasz przyjaciel obecnie współpracuje z Rosjanami?

- Hamedow współpracuje ze wszystkimi.

Minister kiwnął głową. - Tak, cóż... powie pani też generałowi Hamedowowi, że kiedy wypełni nasze polecenia, dostarczy mu pani jeszcze cztery miliony dolarów osobiście albo zostaną wpłacone na jego konto w Luksemburgu. Podejrzewam, że ta suma go zadowoli.

- To wszystko? - spytała Heddy.

Minister zaprezentował jej kolejny fałszywy uśmiech. - Właściwie nie. Proszę się odprężyć, Fraülein Seghers. Napije się pani wody mineralnej? Coś mocniejszego?

- Nie, dziękuję, Herr Minister.

- No dobrze. Pani ma, jeśli się orientuję, bliskiego przyjaciela. Podpułkownika Burtona z ambasady amerykańskiej. To prawda?

Mnóstwo nieokreślonych do końca myśli przeleciało przez głowę Heddy i ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że słyszy w myślach własne słowa: - Tylko mi powiedz, żebym od niego odeszła, a wyjdę z tego pokoju.

Ale minister zaskoczył ją. - To nasz łut szczęścia. Zazwyczaj nie śledzimy życia prywatnego naszych pracowników. Przynajmniej nie bez

wyraźnej potrzeby. I tylko w zakresie rutynowego sprawdzenia ich przeszłości. Ale ten człowiek, Burton, ma nieprzyzwoicie dobre powiązania. Byłbym rozczarowany, gdyby pracownik z pani możliwościami nie wykorzystał takiej znajomości. - Minister machnął ręką. - Znam pani teczkę. Dwa profesjonalne życia, obydwaj doskonale kontrolowane. Tylko patrzeć, a zostanie pani ambasadorem. I to w dobrej ambasadzie. Pani jest nadzieją jutra, wie pani?

- Czego pan ode mnie oczekuje? - spytała Heddy. Ale nie tak mocnym głosem, jakiego się po sobie spodziewała.

- Bezpośredniość. To mi się podoba - skłamał minister. Widziała, że kłamie i nie dba o to, że ona widzi jego kłamstwo. - Dołoży pani wszelkich starań, żeby podpułkownik nie był tym, który uwolni dziewczynę. A przynajmniej nie w taki sposób, który... naraziłby na szwank politykę naszego rządu.

- Przecież ja nie mam wpływu na jego zachowanie, my nie...

- Tak. Zdaję sobie sprawę, że ustaliliście coś w rodzaju separacji. To niewątpliwie na dłuższą metę okaże się dla pani korzystne. Nie można łapać kilku srok za ogon. Ale, przynajmniej na jakiś czas, myślę, że lepiej byłoby utrzymywać ten związek. - Miał taką surowość w spojrzeniu, której nigdy by się po nim nie spodziewała. - Zrobi pani wszystko, co konieczne. Och, zdajemy sobie sprawę, że nie może pani kontrolować jego posunięć. Ale... może pani na nie wpływać. A przynajmniej będzie nas pani informować o jego krokach.

- To nie ten rodzaj związku - powiedziała otwarcie Heddy. - On nie zwierza mi się z tych spraw, on...

- Więc niech pani przemieni to w taki rodzaj związku - powiedział sucho minister. - On prowadzi bardzo niebezpieczną grę i chcemy mieć pewność, że nie zrobi sobie krzywdy. W tamtej części świata dzieją się straszne rzeczy. - Minister znów zaprezentował jej swój obrzydliwy uśmiech. - Oskar! - zawołał. - Rozumiem, że zna pani Oskara Schiele - powiedział minister. - Teraz jest moim osobistym asystentem.

Za szklanymi drzwiami pojawił się jej były kochanek i otworzył je. W szklanych szybkach odbiło się światło słoneczne.

- Herr Minister!

. - Przynies nam ten drobny prezent. Z lodówki.

- Tak, Herr Minister.

- Podobno pani... przyjaciel... spotkał się z Galibanim - powiedział wolno minister, odwracając się do Heddy. - Widzi pani, pomimo całej tej pustej gadaniny o prawości, Amerykanie gotowi są układać się z samym diabłem, kiedy im to pasuje. Galibani... mam jeszcze jedną radę

dla naszego przyjaciela, Hamedowa. Gdyby dowiedziono, że Galibani odpowiada za porwanie... i gdyby okazało się, że nie żyje... Bonn nie byłoby rozczarowane. - Ściągnął usta tak, że wyglądały jak wyschnięta skórka owocu. - Niewiele możemy zdziałać przeciwko niemu, opierając się na naszych prawach. Bez współpracy Azerów. A nawet przy ich pomocy, ale myślę, że pani się zgodzi, że po Galibanim nikt nie będzie płakał.

Znów pojawił się Oskar z małą zwiniętą reklamówką. Położył ją na stole przed ministrem i znów wyszedł. Wolno, jakby się budząc, torba rozwinęła się.

Miała logo Leonidasa, belgijskiej firmy produkującej czekoladę.

-Jutro rano poleci pani z powrotem - powiedział minister - a chcieliśmy mieć pewność, że zawiezie pani prezenty. Jeśli się nie mylę, podpułkownik Burton prosił o nie? Nieprzyzwoicie drogie, wie pani. Tu jest cały kilogram.

Heddy poczuła, że traci kontrolę nad mimiką. Tak jak nad własnym życiem. Minister uśmiechał się dalej, drapieżnym uśmiechem człowieka, który w najmniejszym stopniu nie jest zakłopotany. Wreszcie Heddy odezwała się:

-Wy... pan... podsłuchiwałeś w moim mieszkaniu...

Minister pokiwał głową. - Tak, Fraülein Seghers. I nie jest mi obojętne pani zażenowanie. Dlatego proszę, żeby zadała pani sobie pytanie, dlaczego przyznajemy się do tego przed panią. A tak przy okazji... Oskar dostarczy do willi ambasadora Hartlinga jeszcze jeden prezent, który zabierze pani ze sobą. Kilka najnowszych płyt jazzowych. Podpułkownik Burton jeszcze ich nie ma i na pewno się ucieszy. A pani chce okazać mu przywiązanie. Liczą się właśnie takie drobne gesty, wie pani.

-Ty sukinsynu - powiedziała Heddy głosem małej dziewczynki. Mało jej brakowało do rozplakania się, ale nie chciała dać się aż tak poniżyć. Pomyślała o stu powodach do wstydu. O wszystkich sekretach w jej życiu, z których ją odarto.

-Proszę mi wybaczyć - powiedział minister - ale czeka mnie przyjęcie. Drętwa impreza w ambasadzie, ale dzięki niej mogę się wyrwać w niedzielę z miasta. A pani koniecznie musi wziąć się w garść. Na spotkanie z kolegami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jestem pewien, że będą domagać się szczegółów dotyczących wydarzeń w Baku. A humory będą mieli nieco zwarzone, tracąc wolny weekend.

Podniósł się, gotowy do wyjścia, pragnąc uciec, korzystając ze zdumienia Heddy. Lecz ona, mimo wszystko, myślała trzeźwo. Zanim wyszedł szklanymi drzwiami, rzuciła mu ostatnie pytanie.

-Niech pan poczeka - powiedziała. - A co z dziewczyną? Ona będzie wiedziała, kto ją porwał. Jak możemy udawać, że to Rosjanie, skoro zrobił to ktoś inny? Ona opowie...

Krzaczaste brwi ministra nawet się nie uniosły. - Jest pani inteligentną kobietą - powiedział.

Kiedy potrawy na stole zaczęły stygnąć, Galibani rozkazał muzykom, żeby zegrali coś żywszego. Pochylili się nad swoimi sfaitygowanym instrumentami z gorliwością harcerzy rozpalających ognisko za pomocą patyków. Tancerki patrzyły do góry, z uśmiechami przyklejonymi do twarzy, a muzycy do dołu, w nieustającej czujnej pozie wieśniaków pod pańskim wzrokiem. Galibani przyglądał się im na zmianę, uderzając małą butelką wódki o stół. Jego żołnierze pochłaniali jedzenie, wypychając żołądki, a ich herszt bełkotał po rosyjsku do swoich gości, zapominając, że Burton mówi po turecku i nie pochodzi z Moskwy ani odchodzącego w przeszłość aparatu państwowego.

Bankiet był karykaturą dawnych lepszych dni, kiedy gościnność była szczerą, a ta sama muzyka poruszała serce. Teraz wszystko odchodziło w niepamięć, kroki taneczne były nie do końca wyuczone i niedbałe, muzyka ograna, gościnność jak ze słabej sztuki i żaden nawiedzony znawca kultur ani antropolog nie daliby rady tego uratować. Antena satelitarna zdobywała świat, a Burton pogodził się z takim stanem rzeczy.

Prawie nie tknął swojego drinka, bardziej niż zwykle zdumiony, jakie ilości alkoholu (począwszy od brandy, a skończywszy na wodzie kolońskiej) potrafią w siebie wlać sieroty po byłym Związków Radzieckim. Spooner, siedzący obok niego, szedł za jego przykładem, próbując wszystkiego po trochu i wtapiając się w tłum pijących na umór mężczyzn. Ale wieczór był długi i Burton i tak zdołał wypić już tyle wina, słodkiego szampana, brandy i wódki, żeby czuć szum w głowie.

Wreszcie tancerki wyszły. Rozległ się basowy głos bardziej głośniejszy niż melodyjny. Galibani i jego klan nagrodzili go oklaskami. Wybrali się w małą podróż w czasie i bas pragnąc przedłużyć swój sukces zaśpiewał „Podmoskowskije Wiecziera”, które bez wątpienia wykonywał przez dziesiątki lat dla członków partii. Burton klaskał gorąco z litości, przez co nagrodzono go rosyjskojęzyczną wersją „Getting sentimental over you”. Po tej piosence Galibani wstał. Utrzymał się na nogach, ale jego ciało nie było w stanie zrobić nic więcej. Spojrzał na Burтона oczami pełnymi łez.

-Stare czasy odchodzą - powiedział w ojczystym języku. - Co można na to poradzić? Nasi ojcowie byli gigantami... dziadowie królami...-

a my kim jesteśmy? Stare czasy to były dobre czasy.

Herszt burknął coś w dialekcie i Burton stracił wątek, ale dwóch ludzi natychmiast się podniosło.

- Coś panu pokażę - oznajmił Galibani. - Nadszedł czas na pojedynek. Przekonamy się, kto jest lepszy.

Burton nie wiedział, czego się spodziewać. I nie czuł się w swojej najlepszej pojedynkowej formie. Ale nie zamierzał się wycofać z niczego z wyjątkiem pistoletów. Przeanalizował szybko, czy Galibani chce go tylko zastraszyć czy lekko zranić, żeby pokazać swoją siłę.

Ocenił swoje szanse. Ludzie z klanu herszta są o wiele bardziej pijani, ale to oznacza większą odporność na ból. I będzie im zależało na zachowaniu twarzy w obecności starego hadźiego. Z drugiej strony, Burton wiedział, jak się bronić - prawdopodobnie lepiej, niż Galibani się spodziewa - i gotów był zrobić krzywdę każdemu, kto podniesie na niego rękę.

Wstał, chociaż ilość wypitego alkoholu ciągnęła go w dół, i spojrzął na herszta odważnie. Ale Galibani miał coś innego na myśli. Zarzucił ramię rzeźnika na szyję Burтона, obdarzając gościa gorzelnianym oddechem i wyprowadził go zza stołu, pomiędzy uskakującymi na boki członkami klanu. Herszt kiwał się na boki, jakby jego rezydencja była statkiem płynącym po morzu, a Burton dopasował się do jego rytmu, o mało nie wybuchając śmiechem na myśl o rządzie tańskich bandziorów robiących falę na stadionie. Przecisnąwszy się przez drzwi zasłonięte tandetną, połyskliwą tkaniną, wkroczyli do królestwa, gdzie spotykały się Wschód i Zachód.

Pomieszczenie wyglądało jak skrzyżowanie biura, pokoju gościnnego i centrum rozrywkowego. Krzesła w europejskim stylu stały niczym zdezorientowani goście wśród puszystych dywanów i poduszek. Na biurku pokrytym szlachetnymi perskimi rzeźbami stała plastikowa lampa, którą ktoś równie dobrze mógł wygrać na strzelnicy. Jednak bezsprzecznie centralne miejsce zajmował ogromny ekran, otoczony odtwarzaczami wideo, wzmacniaczami i głośnikami.

- Teraz przekonamy się, kto jest lepszy - zawył Galibani. - Teraz ocenimy!

Jego ludzie, a wśród nich Spooner, wślizgnęli się do pokoju, niczym eunuchy w służbie nieobliczalnego sułtana.

- Teraz rozwiążemy ten problem! - ciągnął herszt. - Która jest lepsza? Która jest piękniejsza? Sharon Stone czy Kim Basinger?

I tak właśnie zrobili. Obydwa filmy nie trwały jednak długo, ponieważ Galibani był obojętny na losy Mickeya Rourke'a i Michaela

Douglasa. Herszt siedział na plastikowym krześle tak blisko ekranu, że musiały go boleć oczy, z pilotem niczym magiczną różdżką w dłoni. Przewijał film, zatrzymując w chwilach, kiedy aktorki były w bieliźnie lub rozebrane.

- Moim zdaniem Sharon Stone jest zbyt piękna – powiedział Galibani ze swojej pozycji strategicznej. - Jest jak królowa Tamara, strącająca mężczyzn z wież swoich zamków. Wielu mężczyzn bałoby się jej. - Ton głosu herszta dawał jasno do zrozumienia, że on się do takich nie zalicza. W prawie całkowitej ciemności oczy jego wojowników błyszczały, kiedy wzdychali z przerażenia i żądy.

Burton wiedział, że zabiliby każdą ze swoich krewniaczek, która w najmniejszym stopniu zachowałaby się w podobny sposób, ale uderzyło go, że Sharon Stone wysyła dokładnie taką wiadomość, na którą czeka większość mężczyzn na świecie: że kobiety to nienasycone szatany, które chcą być wykorzystywane, kontrolowane, posiadane, ale absolutnie nie szanowane. Najbardziej podobało im się, że z Sharon Stone i podobnym do niej kobietami nie trzeba silić się na rozmowę, uczucia ani nic, co opóźniałoby przejście do sedna. Madonna była w tym genialna. Amerykańska armia to pestka w porównaniu z amerykańskimi blondynkami podbijającymi świat. Reprezentowały doskonałą broń psychologiczną: rozrywkowe, nieodparcie kuszące swoje ofiary i prowadzące ich do zguby.

Kiedy seans dobiegł końca, w pokoju zapanowała melancholia podobna tym, które pojawiają się po stosunku miłosnym.

- Jak człowiek może zdecydować? - westchnął Galibani, głosem przepełnionym teatralnym dramatyzmem. - To nas przerasta...

Burton czuł obrzydzenie do całej sytuacji. Chciało mu się pić i spać. To już nawet przestało być śmieszne. Nagle uderzyła go myśl, że stracił cały dzień i całą noc, a Galibani równie dobrze mógł nic nie wiedzieć, podczas gdy Kelly Trost przechodzi piekło w piwnicy domu w jakiejś cholernej wiosce. Zakładając, że wciąż żyje. Alkohol pogłębiał jego poczucie kłębki, nieodpowiedniego zabrania się do sprawy, podjęcia błędnych decyzji. A szybko przewijane sceny z filmów jedynie go zasmuciły. Czuł się skalany własną bezmyślnością. Czekala go jeszcze jedna niespodzianka. W jego pokoju. W świetle lampy siedziała na łóżku młoda kobieta o niemal ładnej, szczupłej twarzy. Skoczyła na równe nogi, kiedy wszedł, ale po chwili niepewności, na jej twarzy pojawił się wyraz niewątpliwej ulgi i uśmiechnęła się, odsłaniając złoty ząb. Nie mówiła ani po rosyjsku, ani po turecku. Znała tylko lokalny dialekt, który przeszedł tyle zmian, aż stał się niezrozumiały dla ludzi z zewnątrz. Kiedy nie uczynił żadnego ruchu, żeby ją objąć, najwyraźniej

straciła pewność siebie i szybko się odwróciła, żeby się rozebrać. Jakby się przygotowywała na nieuniknioną karę. Burton dotknął jej, ale tylko po to, żeby ją powstrzymać. Słyszał o tym zwyczaju, nadal szeroko praktykowanym wysoko w górach po stronie irańskiej, gdzie feudalni właściciele ziemscy decydowali nawet o pogodzie. Kobieta musi być młodą żoną z najniższej warstwy klanu, wezwaną przez herszta dla zaspokojenia potrzeb jego gościa. Miał tu do czynienia z jednym z tych dziwów, które nie pozwalają podzielić ludzkości na jasne kategorie. Gdyby Burton podszedł to tej kobiety w ciągu dnia, a nie był jej wcześniej przedstawiony, i uczynił najdrobniejszy gest lub odezwał się choć słowem, jej mąż by go zabił, a przynajmniej próbował, dopóki sam by nie zginął. A jego bracia i kuzyni kontynuowaliby wendettę. Natomiast wola herszta miała moc woli bożej. Takiego czynu nie zaliczało się do zdrady, ponieważ w ogóle się go nie brało pod uwagę. Zostanie zapomniany, schowany, zakopany w ziemi i życie będzie dalej biegło swoim torem.

Burton żałował, że nie znają wspólnego języka. Wtedy starałby się jej wytłumaczyć, że uważa ją za bardzo atrakcyjną, ale nie tknie jej, bo ma zasady. Skłamałby, że ma żonę, w której jest zakochany do szaleństwa. Płatałby się, ale próbowałby zachować w tej sytuacji resztki ludzkiej przyzwoitości. Skończyło się na tym, że wskazał jej ręką łóżko, ponownie powstrzymał przed rozebraniem się i pozwolił jej położyć. Zajął miejsce obok niej, też nie zdejmując ubrania i leżał tak, gapiąc się w sufit. Nie odeśle jej, bo wprawi w zakłopotanie wszystkich, którzy mieli z tym coś wspólnego. Trzeba będzie przebrnąć przez tę noc, jak przez trudny bieg z przeszkodami.

Kiedy zgasił światło, dotknęła jego ramienia, a on odnalazł jej dłoń i ścisnął ją lekko, po czym puścił. Zastanawiał się, co ona myśli, czy uważa go za impotentą, czy siebie za mało atrakcyjną albo godną pożądania. Przegrywając z kobietami z jego świata. Znow żałował, że nie ma dla niej słów, uświadamiając sobie, jak wiele znaczy dla niego porozumiewanie się z innymi i jak dalece nie rozumie świata karykaturalnych kobiet, wysysających dolary z mężczyzn tej kurczącej się planety. Prawda była taka, że chciał się z nią kochać. Z czystej żądzy, ale nie robi tego. Kobiety innych mężczyzn, nawet wrogów, są nietykalne. A on nie ma najmniejszego zamiaru przyjąć takiego подарunku od miejscowego tyrana, handlującego heroiną mordercy.

Znow pomyślał o Kelly Trost, nie potrafiąc dokładnie odtworzyć szczegółów jej twarzy, a potem przypomniał sobie gwałt oglądany przez lornetkę i poczuł, że trudno jest żyć uczciwie, nie odżegnując się od rasy

ludzkiej. Trudno się dziwić, że święci uciekali na pustynie.

Wreszcie zmorzył go sen. Raz ocknął się z pozbawionego obrazów koszmaru, wyrwany ze snu zrodzonym przez jego wyobraźnię słabiotkim głosem, krzyczącym po angielsku „Pomocy”. Poderwał się na łóżku, a kobieta leżąca obok jęknęła, nie budząc się i otoczyła go ramieniem, tak jak to pewnie robiła z mężem. Krzyk ze snu wydawał się bardzo rzeczywisty i Burton przez dłuższą chwilę leżał zdezorientowany, wsłuchując się w ciszę wielkiego, martwego domu. Ale wołanie się nie powtórzyło. Było pewnie jedynie wytworem jego podświadomości. Po jakimś czasie znów zasnął i tym razem spał twardo.

Kelly usłyszała muzykę. Zdumiało ją, że gdziekolwiek na świecie może grać muzyka w takim momencie. Poczowała ucisk w gardle i wystraszyła się, że udusi się przez knebel w ustach. Stłumiona, ale niewątpliwie egzotyczna muzyka, należała do rodzaju tych, które jeszcze niedawno prawie się jej podobały, w myśl jej przekonań, że należy doceniać zdobycze innych kultur. Teraz każdy dźwięk brzmiał jak syk węża.

Muzyka doprowadzała ją do rozpacz. Podświadomie zakładała, że nawet dla porywaczy jej los musi być najważniejszą rzeczą na świecie. A oni słuchają sobie muzyki. Może nawet się bawią. Wibracje wytwarzane przez instrumenty i biegnące przez cały dom, aż do jej więzienia, były nie do zniesienia. Próbowwała się podnieść, ale bezskutecznie. Nie nawidziła bezradności, budowała w sobie siłę na sprzecznie wobec słabości. Zrozumiała jednak, że walczyła przede wszystkim z własnym ojcem. Z jego przytłaczającymi, nieprzewidywalnymi przejawami troski. Jako osoba dorosła, uważała się za wolną od przejawów słabości, krępujących innych ludzi. Widziała siebie jako weterana, który niejedno w życiu przeszedł. A teraz załamała ją muzyka, głos śpiewający niezrozumiałe słowa w rytm melodii. To ojciec zawsze zmuszał ją do walki. Za początek odkrycia własnej tożsamości uważała eliminacje do drużyny pływackiej w dziewiątej klasie: koścista, nerwowa dziewczyna, której rodzając się dopiero kobiecość tłumił w dużym stopniu czepek pływacki i okularki. Cicho szła z szatni w stronę basenu, kiedy usłyszała głos ojca dochodzący z gabinetu trenerki. Nawet tak pozbawiony kobiecych kształtów dzieciak jak ona doskonale czuł, że barwa jego głosu to zmora dla wszystkich kobiet. To umiejętnie urabianie trenerki, uzyskiwanie niewypowiedzianej obietnicy, że Kelly zostanie przyjęta do drużyny.

Nigdy nie czuła takiego gniewu. Do tego popołudnia nie wyobrażała sobie, że można być tak wściekłym. Jej pływanie należało tylko

do niej, tylko ona miała na niego wpływ, a teraz ojciec wszystko zepsuł, odebrał jej nawet to. Dotarła do basenu płonąc z wściekłości i uzyskała drugi najlepszy wynik w stylu klasycznym w historii szkoły. Zanim skończył się sezon pobiła trzy szkolne rekordy. Jej ojca rozpierała prawdziwie ojcowska duma, a mimo to Kelly zastanawiała się, czy w rzeczywistości nie jest rozczarowany jej niezależnością. Było w nim coś takiego, że Kelly miała ochotę szczerzyć na niego zęby.

Dziewiąta klasa była oczywiście fatalnym czasem. Z wielu powodów. W dodatku ojciec nie zdołał jeszcze na dobre zawitać w jej życiu. Ale czuła, że robi postępy, kiedy przestał mówić do niej „moja mała klacz”, i ochrzcił ją „barakudą”.

Potrafił jednak napędzić człowieka stracha. Na uniwersytecie marzyła o zakwalifikowaniu się do drużyny olimpijskiej, ale była na tyle dojrzała i rozsądna, żeby odpowiednio wcześniej uświadomić sobie, że nie jest dostatecznie dobra. Niestety, w chwili słabości, wywołanej jedną z ukartowanych przez ojca rozmów od serca, wspomniała mu o tym i potem żyła w strachu, że i to będzie próbował jej załatwić. Podejrzewała, że tak bardzo można nienawidzić tylko tych, których kocha się naprawdę głęboko i chce się posiadać na wyłączność. Z czasem zrozumiała wiele spraw i ostatnio doszła do wniosku, że i ona nie jest bez winy. Nawet jeśli zadawnione uczucia gniewu i zazdrości wciąż w niej tkwiły, nie były już tak silne. Jej ojciec naprawdę został jej przyjacielem, chociaż i tak musiała na niego uważać. Przy akompaniamencie torturującej jej uszy muzyki, Kelly próbowała ustalić, która może być godzina, wyobrażając sobie, co robi jej ojciec i mając nieomal matczyną nadzieję, że nie martwi się o nią za bardzo. Co dziwniejsze, nie posiadałaby się z radości, gdyby ojciec we własnej osobie wyłamał teraz drzwi i przybył jej na ratunek. Ten jeden raz gotowa była przyjąć od niego każdą pomoc. Ale zdawała sobie sprawę, że jest starszy, niż jest gotowa przyznać, węższy w ramionach, słabszy i samotny. Ta obezwładniająca świadomość sprawiła, że jedyne czego pragnęła to nie przysparzać mu kłopotów. Chciała, żeby był szczęśliwy i nie czuł w stosunku do niej rozczarowania.

W końcu muzyka ucichła i została sama w ciemnościach ze swoimi strachami i sznurkiem, ocierającym się o skórę rąk i nóg niczym owa-dzie odnóży. Stary dom żył własnym życiem, skrzypiał i wydawało się jej, że słyszy jakieś ruchy na piętrze. Walczyła z sennością, albo tak się jej wydawało, tak jak walczyła wiele razy w życiu.

Obudziło ją skrzypnięcie otwieranych drzwi. W zupełnych ciemnościach usłyszała pospieszne kroki i poczuła na sobie czyjeś ręce.

Wieczorem Heddy wezwała taksówkę do willi swojego narzeczonego i pojechała do Kolonii. Zapłaciła horrendalny rachunek, ale zrobiła to chętnie, traktując go niczym swoistą pokutę. Wysiadła przy głównym dworcu kolejowym, opustoszałym o tej porze, nie licząc kilku bezdomnych pijących z jednej butelki i niewiarygodnie chudego chłopca o zielonych, postawionych na sztorc włosach. Z zachodu dotarły nad miasto chmury, zabierając ostatnie promienie słońca. Szła po chodniku, stukając wysokimi obcasami. Poczynając od odbudowanej katedry, w której Burton pocałował ją, nie zważając na powagę kościoła, podczas jednych z wakacji, które spędzali razem, zaczęła odwiedzać miejsca, gdzie spędzili wspólne chwile. W sercu czuła pustkę.

W drodze nad Ren minęła muzeum sztuki, które zbudowano zgodnie z powojenną modą na brzydotę. Zaczęło mżyć. Nie miała parasolki, ale było jej wszystko jedno, więc jedynie podniosła kołnierz wiatrówki. Patrząc na rozciągające się przed nią szare wody Renu poczuła, że nadejście jesieni to kwestia paru godzin. Muzeum należało do jednej z najważniejszych świątyni ich związku. Burton był podekscytowany jak małe dziecko, prowadząc ją do holenderskiego pejzażu, płótna, które mijala dziesiątki razy, nie zwracając na nie uwagi. Początkowo nie potrafiła zrozumieć jego entuzjazmu, ale on nie przestawał mówić, żywiej niż miał to w zwyczaju i wreszcie pojęła, o co mu chodzi. Mówił przystępnie, przenosząc wzrok z obrazu na nią, jakby się bał, że ucieknie. Zrobił taki ruch ręką, jakby odsłaniał kurtynę wiszącą przed obrazem, żeby i ona mogła go zobaczyć, i był taki otwarty i pozbawiony czujności, że aż poczuła ukłucie w sercu. Żałowała, że nie może być taka i przyłączyć się do jego entuzjazmu nad mało ważnym obrazem w deszczowy dzień. Żałowała, że nie potrafi widzieć rzeczy tak jak on.

To właśnie było w nim wyjątkowe - potrafił patrzeć. Spoglądał na świat bez uprzedzeń i snobizmu, biorąc go takim, jakim jest. Przez chwilę i ona tak patrzyła. Burton pożyczył jej oczy artysty, jakiejś mało ważnej postaci, która nie mogła pozwolić, żeby ludzie zapomnieli ten szczególnie szelest zielonych gałęzi pewnego nieistotnego popołudnia. Obraz olejny przedstawiał dziewczynę w białym czepku, zajętą swoimi obowiązkami, która przyciągnęła uwagę guzdrzącego się jeźdźca. Promień słońca odbijał się w rękojeści jego szpady. W oknie chaty widać było starą kobietę, zamiatającą podłogę, a w oddali widniały wieże miasta. Był to zwyczajny widoczek, a mimo to niewypowiedzianie piękny, jeśli poświęciło się trochę czasu i spróbowało zobaczyć to, co

widział jego autor. Przez chwilę Heddy czuła ciężar chmur, opierających się o ciemne drzewa, chłód ich cienia i wilgoć powietrza, intensywność światła. Wystraszyło ją to i rozgniewało nieco, że mężczyzna u jej boku może oglądać świat z taką intensywnością każdego dnia, podczas gdy ona nie widzi nic.

We włoskiej restauracji zjedli późny lunch, uzupełniony butelką białego wina i poszli brzegiem rzeki, gdzie zrekonstruowano zniszczone bombardowaniem stare miasto, a on cieszył się jej ciałem z entuzjazmem nastolatka. Nie wytrzymali do czasu, aż wrócą do wynajętego apartamentu w Bonn, więc wynajęli za niebotyczną sumę pokój w hotelu i kochali się aż do bólu, a ona nadal nie chciała przestać. Potem leżeli obok siebie przy otwartych oknach z widokiem na brązowe wieże katedry, górujące nad dachami miasta i strzegące go przed złymi mocami.

Mokre włosy przykleiły się jej do twarzy, ale Heddy dalej szła brzegiem rzeki. Białe statki spacerowe podskakiwały na falach, a samotna barka węglowa pruła wody rzeki, łamiąc odwieczne prawo wieczornego niedzielnego wypoczynku. Spoglądając w drugą stronę w uliczki z zamkniętymi bierstube i kontenerami na śmieci, nie potrafiła myśleć o nikim innym, tylko o mężczyźnie, którego kocha.

Czując deszcz na wargach prawie się uśmiechnęła, kiedy przypomniało się jej, gdy któregoś razu wróciła do swojego mieszkania w Baku i znalazła go tam, jak czekał na nią, siedząc tyłem na łóżku, w samej koszulce z krótkim rękawem i słuchał jakiegoś nawiedzonego zespołu jazzowego, grając na niby na saksofonie. Na jej widok uśmiechnął się szeroko i bezwstydnie, a ona uświadomiła sobie, jak bardzo się różni od niej i podobnego jej świata i omal nie załkała.

Helmut siedział prosto i słuchał kwartetów smyczkowych. Olśniona wspomnieniami Heddy wydawała się sobie płytka, bardzo niemiecka i skazana na wstrzemięźliwość. Kocha Burtona, pogodziła się z tym, ale to wszystko jest urządzonym na własny użytek pożegnaniem. Ponieważ wiedziała, że go nie wybierze. Zrobi to, czego od niej chcą i wyjdzie za Helmuta, z którym przeżyje dobre, pełne sukcesów życie, ponieważ tak właśnie urządzony jest świat. Są ważniejsze rzeczy niż последние holenderskie pejzaże.

8

Oburzenie zaczęło ustępować, kiedy Trost jechał w niedzielne popołudnie w korku samochodów George Washington Parkway. Jego telefon domowy mógł równie dobrze widnieć na ścianie jakiejś publicznej toalety, a ostatnim z rozmówców, którzy zajęli mu cały dzień, była jakaś czarownica z Departamentu Sprawiedliwości, która ostrzegała go, żeby „tym wszystkim” nie dał opozycyjnej partii okazji do osłabienia antyterrorystycznej postawy rządu.

Czując jak gniew ustępuje miejsca smutkowi, Trost wyprzedził miniwana prowadzonego przez kobietę, która musiała zjeść tyle kalorii, że starczyłoby ich na wykarmienie średniej wielkości kraju Trzeciego Świata. Podczas minionej nocy Laura okazała się cudowna pod każdym względem. Doszedł do wniosku, że należy się jej więcej niż on jej daje. Zaliczała się do ginącej klasy tych wspaniałych kobiet, które rozumiały, że świat nie jest tak uporządkowany, jak przedstawiają go profesorowie i ideologowie. Na tym polegał problem ze zgorzkniałymi młodymi pracownikami Białego Domu - nie przestawali się dziwić, dlaczego świat nie aportuje na ich rozkaz. Rzeka przebłyskiwała spomiędzy drzew, a on wyobraził sobie Laurę w pozycji półleżącej, jej kasztanowe włosy, białą skórę i seksowny głos, akcent, wyczuwalny nawet w momentach namiętności. Trost miał nadzieję, że Kelly kiedyś stanie się taką kobietą jak Laura. Nie chodziło mu o seks, chociaż lubił myśleć, że w tych sprawach jest realistą. Chciał raczej, żeby jego córka potrafiła wysławiać się pełnymi zdaniem, żeby wchodziła do pokoju i opuszczała go z gracją, żeby brała świat na poważnie, ale bez absurdalnych oczekiwań. Chciał, żeby jego córka stała się kobietą, która potrafi bez złośliwości wyśmiewać się z niedostatków rasy ludzkiej, i która nie traktuje każdego mężczyzny jak potencjalnego gwałciiciela.

Pokolenie Kelly najwyraźniej postanowiło pozostać zgorzkniałe, niedokszałcone, ślepe na piękno i pozbawione radości. Młodzi ludzie, zatrudniający się w Białym Domu jako stażyści, wydawali się uzależnieni

od nijakości i sztucznej intensywności, a w rzeczywistości zaprzeczali istnieniu własnych, ludzkich pragnień. Nie potrafili się rozeźmiać bez zastanowienia, nawet wyprawa do sklepu spożywczego przybierała formę kruczaty.

Trost wjechał na drogę prowadzącą na Beltway, kierując się na północ przez most. Bob Felsher zadzwonił zaraz po telefonie kobiety z Departamentu Sprawiedliwości. Mimo tej kłopotliwej sceny z poprzedniego wieczoru, Felsher prosił go - a wręcz go błagał - żeby przyjechał do jego domu, gdzie ma spotkać się z kimś, kto jest w stanie odnaleźć jego córkę, ale kogo najlepiej będzie poznać na neutralnym gruncie.

Zaciekawiony, ale ostrożny Trost powiedział mu, że oddzwoni. Wtedy skontaktował się telefonicznie ze znajomym senatorem, który specjalizował się w kwestiach energetyki. Spytał go, czy Felsher jest znany w tych kręgach.

- Bob Felsher? - spytał go senator po zwyczajowych zapewnieniach współczucia. - Do diabła, facet jest w porządku. Wystrzegaj się lunchu. Zorganizuj to tak, żebyś mógł się stamtąd wynieść w każdej chwili. Gość jest prawdopodobnie największym nudziarzem w tym mieście. - Jego kolega zachichotał. - Prawdę mówiąc, trudno go wyczuć, Mitch. To nie jest typowy rekin żerujący na Ulicy K. Aż dziwne, że pracuje dla Oak Leaf Oil. Ale bądź dla niego miły, słyszysz? Ludzie z Oak Leaf Oil płacą ogromne sumy na kampanie wyborcze.

- Można mu ufać? Czy jest wiarygodny?

Kolega Trosta wybuchnął śmiechem. - Cóż, sumki wpływają regularnie. Powiedziałbym, że jest na tyle wiarygodny, na ile to jest możliwe w tych okolicach.

- Marna pociecha.

- Bardzo mi przykro z powodu Kelly. Jeśli mogę coś zrobić, Mitch, prosz o wszystko...

Trost skrzył na zjazd do Potomaku i w niecałą minutę przedmieścia zastąpiło aroganckie bogactwo. Jako nastolatka Kelly jeździła nad Potomakiem konno z przyjaciółką, która później umarła z przedawkowania w Vassar. Zastanawiał się, czy Kelly kiedykolwiek próbowała jakichś narkotyków, ale potem odrzucił taką możliwość. Pływanie było dla niej zbyt ważne. Napawał go dumą fakt, że nie poddała się tak szybko, jak wielu uprzywilejowanych rówieśników, że posiadała wewnętrzną dyscyplinę i energię, żeby przetrwać. Bardzo chciał porozmawiać z nią przez telefon, usłyszeć jej głos. Felsher mieszkał na końcu uliczki żywcem wziętej z okładki kolorowych czasopism. Jego dom nie należał do najbardziej wulgarnych, ale pomarańczowa cegła nie wyglądała najlepiej. Na półkolistym podjeździe stały dwa samochody, Lexus i

przysadzisty Buick na dyplomatycznych numerach rejestracyjnych. Nafciarz wyskoczył z domu, jakby nasłuchiwał za drzwiami odgłosu silnika wozu Trosta.

-Miło pana znowu widzieć, panie senatorze - powiedział z uśmiechem. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że uśmiech jest tu nie na miejscu i spoważniał. Złączył dłonie ruchem, który upodobił go w oczach Trosta do grabarza. Trost znał ten typ: impuls, żeby się uśmiechnąć, po którym natychmiast następował akt samokrytyki. Można się było założyć, że czytuje poradniki psychologiczne. - Proszę wejść. Nie zajmujemy panu wiele czasu.

Nafciarz ruszył przodem. Kiedy Trost wszedł do domu, domyślił się, że Felsher go kupił, a nie zbudował. W pokojach, w których dominowało solidnie wykonane drewno, stały meble kojarzące się Trostowi z umeblowaniem bliźniaków z lat siedemdziesiątych: proste kanapy z drewnianymi oparciami, które naśladowały połysk plastiku, ryciny przedstawiające Paryż, które można było spotkać na wyprzedażach, wiklinowy stół do kawy z małymi szufladkami. Trost prawie się zde-rzył z siwą kobietą niosącą tacę przyozdobionych krakersów, które wyglądały jakby je ktoś wyniósł z klubu brydżowego. Był pewien, że to służąca, ale Felsher przedstawił ją jako swoją żonę. Kobieta wpadła do najbliższego pokoju i po chwili pojawiła się z powrotem już bez tacy.

-Sama już nie wiem, co robić - powiedziała i znowu zniknęła. Felsher zatrzymał się w wejściu do biblioteki, w której było trochę książek i tuziny tautońskich posążków przedstawiających dzieci z nieproporcjonalnie dużymi głowami.

-Panie senatorze - powiedział Felsher - chciałbym panu przedstawić generała majora Kulikowa, attache wojskowego ambasady rosyjskiej. Generale Kulikow, proszę poznać jednego z naszych największych senatorów, Mitchella Trosta.

-Jestem zaszczycony - powiedział Rosjanin. - To dla mnie wielka przyjemność.

-Usiądźmy - powiedział Felsher. - Proszę się częstować.

Trost wiedział, że powinien intensywnie myśleć, ale był zbyt zmęczony. I przypuszczał, że na tym etapie nie zaszkodzi mu spotkanie z Rosjaninem. Cholerny Drew MacCauley byłby zachwycony.

-Generał Kulikow ma dla pana nowiny - powiedział Felsher. - Cóż... nie chcę, żeby pan się zbyt wiele spodziewał, ale chyba coś mamy. Generale?

Rosjanin był szczupłym mężczyzną o sylwetce kadeta, co zupełnie nie zgadzało się z wyobrażeniem Trosta o rosyjskich generałach. Miał niebieskie spodnie, a jego koszula, właściwie wszystko było z nią w

porządku, po prostu wydawała się być źle wybrana w dobrym sklepie. Generał miał zimnoniebieskie oczy i rumianą cerę człowieka spędzającego większość czasu na świeżym powietrzu, a nie pijaka.

-Panie senatorze - zaczął Rosjanin, akcentując każdą sylabę ze szkolną powagą. - rząd rosyjski jest... poruszony, jeśli można tak to ująć, pańską sytuacją. Uważam, że to przerażające. Ci ludzie z południa...

Wyrażenie przywiodło Trostowi na myśl Laurę, która pochodziła z samego serca Wirginii.

-...ci ludzie z południa nie są zbyt cywilizowani. - Na ustach Rosjanina pojawił się skąpy uśmiech. - Wiem, że w czasach istnienia Związku Radzieckiego miało miejsce wiele złych rzeczy. Ale pewnie pan nie wie, że przez wiele lat utrzymywaliśmy na południu pokój. - Wykonał ruch głową jakby salutował. - Azerbejdżan... nigdy nie istniał taki kraj. To było miejsce, do którego nikt nie chciał jeździć. Teraz mają tam wolność, która nie jest niczym więcej jak czystą iluzją i rząd, który jedynie udaje rząd. Jak to się stało, że pana nieszczęsna córka musiała tam pojechać?

Właśnie, pomyślał Trost, jak to się, kurwa, stało? Przechodź do rzeczy, człowieku.

-Widzi pan - ciągnął attache - naszym zdaniem, ten rząd nie utrzyma się przy władzy. Dokoła panuje anarchia. Ropa nie jest bezpieczna. I żaden rurociąg nie będzie tam bezpieczny. Pańska córka nie jest tam bezpieczna.

Felsher natychmiast dostrzegł nastawienie Trosta. Przerwał głosem jak ze szkółki niedzielnej. - Generale Kulikow, wiem, że senator pragnie usłyszeć nowiny o swojej córce.

Generał pokiwał głową. - Tak. Oczywiście. Musiałem jednak zrobić wprowadzenie. - Spojrzał na Trosta arktycznymi oczami. - Chyba wiemy, kto porwał pańską córkę. To islamscy terroryści. Zamierzamy ją dla pana uratować.

Podczas śniadania Burton jeszcze raz w skrócie przedstawił swoją sprawę. Galibani, na gigantycznym kacu, wyglądał jak chory niedźwiedź, potężną ręką wypychając do ust kozi ser i oliwki. Herszt nie umył się ani nie ogolił. Burton, rześki pomimo źle przespanej nocy, uważnie dobierał słowa.

-Stany Zjednoczone... będą niezmiernie wdzięczne za pańską pomoc w odzyskaniu córki senatora Trosta. Z drugiej strony, mogą panu zaręczyć, że każdy, kto ją skrzywdzi zostanie złapany i ukarany. Amerykanie są pamiętliwi - skłamał. - Ale pomagamy tym, którzy pomagają nam.

Galibani skrzywił się i z jego wąsów posypały się kawałeczki sera. - Szach Iranu pomógł Ameryce. A teraz jego syn jest żebrakiem.

Jakby na podkreślenie tych słów, dokładnie w tym momencie do pokoju wbiegł syn Galibaniego, w towarzystwie garbatego opiekuna, człowieka, na twarzy którego odbijały się wszystkie nieszczęścia tego świata. Chłopiec wcisnął się obok siedzącego ojca, przywołując na twarz herszta pierwszy uśmiech dnia.

- Chcę, żeby to było jasne - mówił dalej Burton. - Stany Zjednoczone nie będą znały litości, rozprawiając się z porywaczami. Zwłaszcza jeśli dziewczyna zostanie w jakikolwiek sposób skrzywdzona.

Galibani przestał się uśmiechać. - Czemu pan mi to mówi? Nic nie wiem na temat tej dziewczyny. Pragnę jedynie pomóc przyjacielom. Ale Ameryka odpycha moją dłoń.

Burton odważnie spojrział w przekrwione oczy swojego gospodarza. - Ameryka... chce odzyskać Kelly Trost.

Ale herszt odpowiedział wymijająco: - Wszyscy chcemy, żeby się odnalazła... same kłopoty... w takich czasach żyjemy...

Burton opuścił posiadłość Galibaniego, zabierając ze sobą obraz gospodarza machającego mu na pożegnanie - gest ten przypominał faszystowski salut - i trzymającego na lewym ramieniu pucołowatego chłopca.

Spooner niewiele się odzywał podczas drogi do Lenkoran, a i Burton nie był w nastroju do rozmowy. Na obrzeżach miasta natknęli się na grupę ponurych mężczyzn skupionych wokół zepsutego autobusu, w którego wnętrzu za brudnymi szybami siedziały kobiety w czarczafach. Kiedy droga zbliżyła się do grzbietu wzgórza, Burton zauważył na północnym zachodzie cztery helikoptery, tak daleko, że nie było słycać warkotu śmigieł. Wyglądały na Mi-2, etatowe maszyny o zadartych nosach, wykorzystywane w czasach imperium sowieckiego, ale Burton nie umiał dokładnie określić odległości. Diabli wiedzą, jakie mają zadanie, a nawet do kogo należą. Region był pełen wojska, etnicznych bojówek i aż nadto uzbrojonych bandytów. Wszyscy mieli tyle broni z nadwyżek upadłego Związku Radzieckiego, ile udało im się ukraść albo zdobyć za łapówki.

Spooner zahamował przed kozłem stojącym na środku drogi, stanowiącym bardziej palący problem niż helikoptery, a Burton musiał wysiąść, żeby namówić zwierzę do powrotu na pole.

Krajobraz zielenił się drzewami, ograniczającymi coraz bardziej pole widzenia. Powietrze gęstniało z każdym zakrętem w dół. W niedługim czasie znaleźli się na przybrzeżnej równinie, gdzie słońce paliło

blaszane dachy, wyciskając pot z pasażerów samochodu, pomimo otwartych okien. Kiedy Lenkoran zamienił się w smużkę na horyzoncie, zmieniły się też zasady. Zupełnie jakby wyjechali bramą z więzienia.

-Sir, musi mi pan coś powiedzieć - odezwał się Spooner. - Czy wczoraj w nocy czekała na pana w pokoju kobieta?

-Aha.

-I?

-I co?

-No wie pan.

-Nie.

-Och.

-A ty?

-Co ja?

-Zakładam, że u ciebie też była kobieta - powiedział Burton.

-Tak.

-Czy ja w ogóle chcę znać szczegóły?

-Jasne. To znaczy, ja też nic nie zrobiłem. - Spooner potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć resztek senności. - Mowy nie ma. Nawet próbowałem ją odprawić, ale nie chciała. Nie podoba mi się zbytnio, jak tutaj traktują kobiety. Więc spałem na podłodze. Niewygodnie jak cholera. To znaczy, położyłbym się do łóżka tylko, żeby się tam przespać. Ale wie pan, jak jedno prowadzi do drugiego. Do tego chrapała. Chyba powinna wyciąć migdałki.

-Wiesz... - Burton odezwał się po chwili - rzeczy, które fascynują człowieka w młodości, stają się niesmaczne, kiedy się dorasta.

-Święta prawda. Spał pan z nią w jednym łóżku?

-Aha.

-I naprawdę nic z tych rzeczy?

-Naprawdę.

Spooner gwizdnął. Była to osobliwa, ale niewątpliwa oznaka podziwu. - Myślałem, że pan to zrobi, chociażby po to, żeby się przekonać, jak to jest. Coś w rodzaju badań.

-Przykro mi, że cię rozczarowałem.

-Och, nie, pan mnie nigdy nie rozczarowuje, sir. Tylko czasami zaskakuje. Myślę o panu trochę tak, jak o tych brytyjskich oficerach w filmach na kanale dla dziadków. Jak w Gunga Din.

-W Gunga Din nie było oficerów.

-Wie pan, o co mi chodzi.

-Wiem.

Przejechali obok bazaru. Burton zatrzymał się tu podczas ostatniej podróży na wybrzeże i rozczarowany znalazł na nim jedynie plastikowe lalki z włosami w kolorze blond, turecką bieliznę, stare części samochodowe i

tanie dywany robione mechanicznie, które zniszczyły miejscową tradycję pięknych ręcznych splotów.

Spooner zatrzymał się przy zaśmieconej kępie drzew, która służyła za publiczną toaletę. Obydwaj mężczyźni ostrożnie przeszli piaszczyste miejsce do parkowania, gdzie zatrzymało ich tylko spotkanie z węzłem zawieszonym pomiędzy dwoma pniami. Kiedy załatwili swoje sprawy, wrócili do dżipa, próbując dostosować się do obezwładniającego upału.

-Cała ta brudna sprawa z dziewczyną zaczyna mnie męczyć - powiedział chrapliwym głosem Spooner. Usiadł za kierownicą, chociaż teraz Burton miał prowadzić. - Nawet mi się śniła wczoraj w nocy. Dziwna sprawa. Miałem jeden z tych snów, kiedy nie wiadomo, czy człowiek już się obudził, czy nie. Aż mnie to wyrwało ze snu. - Prze-rwał z ręką przy kluczykach w stacyjce. - Mógłbym przysiąc, że słysza-łem, jak jakaś kobieta krzyczy po angielsku „Pomocy”.

Był to jeden z tych rzadkich momentów w życiu Burтона, kiedy do-stał gęsiej skórki. Wpatrywał się oszołomiony w zanieczyszczony gaj i widział tylko swoją głupotę.

-Chryste - powiedział. - On ją trzyma w domu.

-Będzie niebezpiecznie, Spoon. To nie są przelewki.

Sierżant zrobił minę w stylu Johna Wayne'a. - Do diabła, za to nam płacą.

-Nie. Za to nam nie płacą. Marne szanse na zwycięstwo. Mogą nam obu ustrzelić tyłki albo zrobić coś o wiele gorszego od śmierci.

Spooner posłał mu nieugięte spojrzenie. - Sir, nie wróć do Baku jak jakiś pieprzony mięczak na państwowej posiadce, kiedy wiem, że trzymają tam dziewczynę. - Splunął, ale obaj mieli tak sucho w ustach, że gest miał czysto symboliczne znaczenie. Sierżant uderzył rękami o kierownicę. - I pomyśleć, że siedzieliśmy tam jak dwa palanty, jedliśmy, piliśmy i bawiliśmy się w towarzystwie króla porno, podczas gdy ten dzieciak myślał, że cały świat o niej zapomniał albo ma ją gdzieś.

-Dobra, partnerze - powiedział Burton.

Pułkownik schylił się i zdjął deskę pod tablicą rozdzielczą po-magając sobie nożem armii szwajcarskiej. W sytuacjach awaryjnych można było ją zerwać, ale Burton cieszył się, że ma do zrobienia coś, co wymaga koncentracji. Wiedział, że powinien obmyślać plan działania, ale zupełnie zawodziła go wyobraźnia w przypadku dwóch facetów pochodzących ze złej strony kuli ziemskiej, którzy mają się niepostrze-żenie wślizgnąć na strzeżony przez setkę ludzi z Kałasznikowami teren

w biały dzień, odnaleźć dziewczynę i wydostać ją stamtąd bez pomocy brygady antyterrorystycznej. Podejrzał, że zdecyduje się na pierwszą myśl, która mu przyszła do głowy, a mianowicie: podjedzie pod główną bramę, wyłoży karty na stół i zażąda wydania dziewczyny. Na pewno nie zwróci się do miejscowej policji, nawet gdyby się okazało, że wyjątkowo nie śpią. Od razu zadzwoniliby z ostrzeżeniem do Galibaniego i dziewczyna zniknęłaby szybciej niż kongresman ze zbyt chudym portfelem. Wykręcił ostatnią śrubę, zdjął deskę i sięgnął po dwa przyklejone taśmą dziewięciomilimetrowe pistolety Makarowa z zapasowym magazynkiem dla każdego, które zdołałyby zaledwie zlikwidować małego pudełka, pod warunkiem, że dostałby pomiędzy oczy. Ale nawet one były pogwałceniem prawa. Kandinsky był dobrym ambasadorem, ale w swoich uprzedzeniach w stosunku do broni palnej reprezentował stanowisko rasowego członka Departamentu Stanu i zabronił wszystkim swoim pracownikom noszenia broni. Burton jako realista postanowił, że zatrzyma broń w ukryciu na wypadek sytuacji awaryjnych.

Przejechali Lenkoran po raz trzeci i Spooner wjechał na górską drogę z taką prędkością, na jaką pozwalał mu dżip. W parowie, w którym poprzedniego dnia jedli lunch, przy strumieniu bawiły się dzieci. Nieco dalej stał ten sam zepsuty autobus, a mężczyźni nadal majstrowali coś przy silniku. Ciemne twarze odprowadziły wzrokiem dżipa. Po drugiej stronie wąwozu, na stokach wzgórz, pasły się owce.

Wszystko wyglądało zwyczajnie, dopóki nie dotarli do Lerik. Minęli fontannę z mozaiką twarzy prezydenta Aliewa ujętą z profilu, a kiedy wzięli ostatni zakręt, Burton wiedział już, że coś się stało, zanim zrozumiał to, co pojawiło się przed jego oczami.

Miasto rozciągało się na stoku wzgórza, jak zwykle, a nad nim widniała rezydencja, którą niedawno opuścili. Ale nie tak wyglądała, kiedy z niej wyjeżdżali. Lerik też zmieniło się do tego stopnia, że głęboką dolinę wypełnił chłód, wyczuwalny w powietrzu i tak rzeczywisty jak uderzenie pięścią w nos, choć nie potwierdzony namacalnymi dowodami. W połowie drogi Burton zrozumiał, co się zmieniło. Nie było żadnych oznak życia. Żadnego ruchu. Nawet owce zniknęły z pastwisk. Spooner zredukował biegi, kiedy z przydrożnego rowu wypadł pies i popędził przez pole, jak by go ktoś gonił.

- Zatrzymaj wóz na chwilę - powiedział Burton.

- Białe człowiek bardzo mądry - odpowiedział mu Spooner. Jednak ton jego głosu nie był wesoły. Typowy wisielczy humor.

Cokolwiek się działo, nie wyglądało na nic dobrego. Siedzieli w dżipie na jałowym biegu, twarzą w twarz z wymarłym miastem.

Nie mogli pojąć, co się stało. Nie da się ewakuować mieszkańców w tak krótkim czasie. Odjechali stąd zaledwie przed trzema godzinami. Ludzie muszą tu gdzieś być.

-Hej, szefie - powiedział sierżant, patrząc zmrużonymi oczami przez przednią szybę. - Niech pan rzuci okiem na niebo nad domem Galibaniego.

Niebo było czyste i niebieskie jak na folderze reklamowym biura turystycznego. Jednak kiedy się przyjrzeni dokładniej, dostrzegli, że powietrze nad dachem jest nieco bardziej rozgrzane niż wskazywałaby na to odległość i temperatura. Zupełnie jakby ktoś nie zagasił ognisk w obozowisku.

-Ruszaj - powiedział Burton.

Nie można było dotrzeć do rezydencji nie omijając strefy buforowej miasta. Spooner jechał uliczkami i brał ostre zakręty z prędkością około czterdziestu kilometrów na godzinę, na tyle prędko, żeby umknąć przed większością problemów, ale na tyle wolno, żeby móc w każdej chwili zahamować. Burton odbezpieczył pistolet, ale trzymał go w ukryciu przed niepożądanym wzrokiem za drzwiami dżipa.

-Jezu - powiedział Spooner. - Wygląda to tak, jakby porwali ich kosmici.

-Są tutaj - odpowiedział mu Burton. - Schowani pod łózkami. - Wszystkie okna wzdłuż kolein, które udawały główną drogę, miały pozamykane okiennice, a na kilku drzwiach wisiały solidne żelazne kłódki. Kupcy, wybierający się na miejscowy bazar, nie uciekli w popłochu, lecz dokonali chłodnej kalkulacji i postanowili porządnie pozamykać interesy. To znaczyło, że problem dotyczył wyłącznie rezydencji na wzgórzu, ale był na tyle poważny, żeby zagrozić okolicznym mieszkańcom. Na drugim końcu miasta, gdzie droga zaczynała się ostro wspinać na wzgórze w stronę fortecy Galibaniego, Spooner ponownie zatrzymał dżipa i zaciągnął hamulec ręczny. Spojrzał na Burtona.

O co chodzi, do cholery? To nie może być akcja rządowa - musieliby nadjechać drogą, więc minęliby ich ze Spoonerem, wracając stamtąd. Druga z dwóch możliwych dróg dojazdowych to był osławiony szlak, ciągnący się z Iranu, a Irańczycy od zawsze skrupulatnie przestrzegali suwerenności Azerbejdżanu, z obawy przed uwikłaniem się w konflikt w Karabachu, przed gniewem Rosjan i przed własną azerską mniejszością. Więc, co to jest, do cholery? Atak bandytów? Kłótnia wewnątrz klanu? Komandosi, który przedostali się tam wzgórzami? Najłatwiej było się tam dostać z powietrza...

Burton uderzył czołem w tablicę rozdzielczą.

-Kurwa mać - powiedział. - Niech to wszyscy diabli. Kurwa, kurwa, kurwa...

-Co?

-Pieprzone helikoptery.

-Jakie helikoptery?

-Te, które widziałem. Leciały nad wąwozem.

-Ja nie widziałem żadnych helikopterów - powiedział Spooner. - Nic pan nie mówił.

-Tuż przed tym pieprzonym kozłem. Jezu, jestem głupi jak but. - Uderzył kolbą pistoletu o deskę rozdzielczą.

-Ostrożnie z tym gnatem, szefie. Podjął decyzję. - Ruszamy, partnerze.

-Na wzgórze?

-Na wzgórze.

Wyglądało na to, że punkt kontrolny w połowie drogi do rezydencji jest opuszczony. O mało nie wjechali w to, co zostało ze strażników pełniących służbę. Ciała obydwu mężczyzn były poszatkowane czymś, co wyglądało na pociski z działka kalibru 20 mm. Spooner zwolnił, instynktownie wzbraniając się przed przejechaniem po zwłokach, tak jak koń staje dęba przed grzechotnikiem.

-Jedź - powiedział Burton. - Teraz to już nie ma znaczenia.

Ściana w rezydencji została przebita w kilku miejscach, a brama wjazdowa wysadzona w powietrze. Rakiety i działka obrotowe, domyślił się Burton. Nie można tego nazwać chirurgiczną operacją. Szczyt wzgórza śmierdział tak, jakby go obsypano siarką.

Kim był napastnik?

Co z dziewczyną?

Wejście zagradzały gruzy i płątanina skrwawionych ciał. Facetom nie zadrżały palce na spustach, pomyślał Burton. Wyobraził sobie, jak znad najbliższego szczytu wyłaniają się helikoptery i lecą prosto do celu. Trzydzieści sekund przed lądowaniem otworzyli ogień. Spooner znowu zahamował. - Mam przez to wszystko przejechać?

Burton zaprzeczył ruchem głowy, żałując, że nie potrafi szybciej analizować. - Nie. Nie możemy ryzykować przebicia opony. Kto wie, czy nie będziemy musieli szybko się stąd wydostać.

Spooner zatrzymał samochód po jednej stronie drogi, jakby nie chciał blokować nieistniejącego ruchu. - Wyłączyć silnik?

-Tak. Jezu. Zostań przy dżipie.

Sierżant spojrział na niego z wahaniem. - Lepiej nie, szefie. Tam się pewnie przyda panu osłona.

-Racja. Chodźmy.

Wysiedli z samochodu i natychmiast instynktownie przykucnęli, zgodnie z żołnierskim szkoleniem, ale poza kilkoma ciekawskimi ptakami nikt nie dawał znaku życia. Burton szedł przodem, omijając zwłoki. Nie było żadnych rannych. Wewnętrzny dziedziniec połyskiwał złotawo od setek łusek pocisków. Ściana głównego budynku była przebita w dwóch miejscach. W jednym musiało się palić. W dziurze widniały dwie przednie nogi łóżka, zawieszono go w porannym powietrzu pod niebezpiecznym kątem. Było to stare mosiężne łóżko, rosyjska spuścizna, różniące się od niższych, prostszych łóżek używanych przez miejscową ludność.

-Pójdę przodem - powiedział Burton, pokazując ręką przeciw legły koniec dziedzińca. - Sprawdzę wejście.

Spooner kiwnął głową. Na tle zniszczeń rezydencji, rosyjski pistolet w ręce sierżanta wyglądał jak zabawka. No, dobrze. Burton przebiegł przez dziedziniec, spodziewając się strzałów. Ale bał się na zapas. Cała siedziba była martwa. To się czuło. Pułkownik skrył się w głównym wejściu do domu i przywarł do ściany, a potem wszedł do środka i ukucnął w pozycji obronnej z pistoletem uniesionym nad głowę.

Tuż obok jego kolan leżało trzech zabitych mężczyzn. Tych zastrzelono dwa razy, jakby raz było za mało. Burtonowi wydawało się, że rozpoznaje jednego z mężczyzn z wczorajszego przyjęcia, ale nie mógł być pewien. Przy zwłokach leżały Kałasznikowy i Burton podniósł najbliższej leżącego, sprawdził, czy jest sprawny i ile ma naboju w magazynku. Broń była z jednej strony pomazana krwią. Jeszcze nie zdążyła zakrzepnąć i ubrudziła mu koszulę tuż nad spodniami. Burton spokojnie zabezpieczył swój pistolet, włożył do kieszeni spodni, a potem wyczyścił karabin chusteczką. Plamy krwi na ubraniu i rękach przyprawiły go o lekkie mdłości, ale dzięki zdobytej broni poczuł się o wiele bezpieczniejszy. Chociaż zabitym mężczyznom nie na wiele się ona przydała. Wyszedł z powrotem na zewnątrz i zamachał do Spoonera. Sierżant przebiegł przez odkryty teren zygzakami, jakby prezentował rekrutom taktykę walki ulicznej. Kiedy razem z Burtonem znaleźli się w ukryciu, powiedział: - Niezły gnat, szefie. Jest ich tam więcej? Jezu, wszystko z panem w porządku?

-Co?

-Ma pan krew na ubraniu.

Burton powędrował oczami w dół za spojrzeniem Spoonera. Plamy na brzuchu.

-Kałasznikow był troszkę zabrudzony.

Spooner rozejrzał się wokół. - Cóż, ci co to zrobili, na pewno nie są zbieraczami broni. Zostawili tu cały arsenał. - Spojrzył na Burtona. - Przylecieli po dziewczynę, prawda?

-Na to wygląda. To nie mógł być zbieg okoliczności. Handel heroiną ma swoje plusy i minusy.

-Powiniennem być wcześniej coś powiedzieć - odezwał się Spooner rozżalonym głosem. - O tym, że słyszałem czyjś głos. - Przeglądał broń leżącą wśród ciał.

-Tak. Ja też powiniennem być o tym wspomnieć - zgodził się z nim Burton. - Obydwoj powinniśmy byli o tym wspomnieć. A wtedy zdążylibyśmy akurat na tę akcję i teraz siedzielibyśmy na chmurce. - Skrzywił się. - Zapomnij o tym, partnerze. Mamy cholernego farta.

-Ale ona nie.

Coś w tonie głosu Spoonera, przyciągnęło uwagę Burtona i spojrzął na swojego towarzysza. Przybladła twarz, drgające mięśnie. Burton rozpoznał te symptomy. Spoonera opanowywał jeden z tych emocjonalnych momentów, które paraliżują człowieka w najmniej odpowiedniej chwili. Burton nie mógł go teraz stracić. Prawda była taka, że sam się bał jak cholera. I naprawdę nie wiedział, co robić.

-Daj spokój - powiedział do sierżanta, klepiąc go mocno po ramieniu. - Jeszcze się wykażemy. Ale teraz musimy się stąd zabierać, zanim miejscowi nas zlinczują.

Niestety, to akurat okazało się dosyć trudne. Przede wszystkim chodziło o środki bezpieczeństwa: jak wejść do pomieszczenia, w którym wciąż może się ukrywać przerażony człowiek z palcem na spuście? Sam dom zresztą to był prawdziwy labirynt: zaułki, zakamarki, korytarze, chłodne piwnice. Wszystko muszą posprawdzać. Zaczęli od pomieszczenia, w którym Galibani przyjmował gości. Herszt użył przewróconego biurka jako ostatniej osłony. Wyglądało na to, że napastnicy wrzucili najpierw jeden lub dwa granaty, zanim wpadli do środka, strzelając z broni maszynowej.

Galibani leżał na brzuchu, odwrócony do nich twarzą o wykrzywionych ustach. Tulił do siebie ciało syna, któremu odstrzelono pół głowy. Garbus leżał zwinięty w kłębek u stóp swego pana. Wielki telewizor roztrzaskał pocisk, a taśmy wideo pokrywały całą podłogę, niektóre rozwinięte, inne wciąż w pudełkach, stanowiąc unikalną mieszankę filmów pornograficznych, akcji i produkcji Disneya. Przy drzwiach leżała piracka kopia „Alladyna”.

Kiedy to zobaczyli, obydwaj zamilkli na jakiś czas. Natknęli się na zabite kobiety w kuchni, spiżarniach, sypialniach, ukryte w szafkach, z których sączyła się krew. W korytarzach i przylegającej do budynku stodole, która spełniła rolę ostatniego przyczółka, znaleźli martwych mężczyzn z bronią, a jednego z brudną szmatą w ręku. Zabito też bydło i konie.

Wreszcie, na końcu podziemnego korytarza w tylnej części głównego budynku natknęli się na uzbrojonego mężczyznę, z wyglądu bardziej podobnego do mudżahedina niż tańskiego bandyty. Siedział w półmroku pod ostatnimi drzwiami.

Burton prawie do niego strzelił.

Mężczyzna jednak już nie żył. Siedział prosto z otwartymi oczami, przybity do krzesła serią kul. Burton zrozumiał. Adrenalina działała zarówno na mięśnie, jak i na umysł. To doskonałe miejsce na przetrzymywanie więźnia.

Poszedł przodem długim korytarzem, kopniakami otwierając kolejno wszystkie drzwi, za którymi znajdowały się tylko worki ze zbożem i przestarzałe narzędzia rolnicze. Wreszcie ostatnie drzwi prowadziły przez kupę gnoju na łąkę. Spokojny, zielononiebieski świat zewnętrzny zaszokował Burtona. Kiedy podszedł do martwego strażnika, z twarzy mężczyzny poderwał się rój much. Burton gestem nakazał sierżantowi, żeby został na zewnątrz. Teraz liczyło się tylko jedno: nie chciał znaleźć za tymi drzwiami nieżywej dziewczyny. Pocać się tak intensywnie, że czuł własny odór, uderzył podeszwą buta w drewno.

Drzwi nie były zamknięte i prawie się przewrócił, kiedy się otworzyły. Odzyskał równowagę i z sercem walącym w piersi wycelował przed siebie broń. Pomieszczenie okazało się puste. Burton odetchnął, jakby zbyt długo wstrzymywał powietrze. Żadnej krwi na podłodze. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Zobaczył łóżko, ze sznurkiem przywiązanym do jego drewnianych nóg. Materac był poplamiony. Podbiegł do niego, próbując rozpoznać kolory plam. Potem schylił się, powąchał go i aż go odrzuciło. To tutaj. Tu ją trzymali. Gotów był ręczyć głową. Potem zobaczył kajdany przymocowane do ściany.

-Spoon - zawołał Burton. - Chodź tutaj.

Sierżant wetknął głowę przez niskie wejście i rozejrzał się, marszcząc nos.

-Śmierdzi jak w wychodku.

-To z wiadra. A łóżko jest całe zabrudzone.

-Krwia?

-Nie. Była chora.

-Nie ma krwi?

-Nie ma.

-Więc ją zabrali - powiedział sierżant. - Kimkolwiek są.

Z uczuciem ulgi, ale i porażki, dwaj żołnierze, którym się nie udało, wrócili przez dom pełen zwłok i wyszli na światło dzienne. Na ścianach budynku zaczęły się już zbierać większe ptaki. W dole wzgórze rozległ się warkot zapuszczanego silnika.

-Czas się stąd zbierać - powiedział Burton.

Ale sierżant zatrzymał się jeszcze na chwilę, przyglądając się zniszczeniom na dziedzińcu po raz ostatni. Widok sprawił, że zeszywniały mu mięśnie twarzy.

-Chryste - powiedział. - Cholerna jatka.

-Przyzwyczajaj się do nowego porządku świata - powiedział mu Burton. Spooner przyjechał na Kaukaz, kiedy wojna weszła w fazę stagnacji i nigdy czegoś takiego nie widział.

Sierżant nie mógł tego pojąć. To był bardzo zły dzień dla dobrego człowieka. Oparł się dłonią na ramieniu Burtona, a ten poczuł, że jego podwładny się trzęsie.

-Kto to zrobił? Kto, na Chrystusa, robi takie rzeczy? Niech mi pan powie. Nie musieli tego robić.

-To Specnaz - odpowiedział mu spokojnie Burton. - Tylko oni zabijają wszystkie żywe stworzenia.

9

W rezydencji w sąsiedztwie domu, przydzielonego Burtonowi przez ambasadę, trwało przyjęcie. Dom należał do gangstera, którego brat piastował fotel ministra handlu. Jego przyjęcia były nieprzewidywalne i przerywane strzałami z pistoletów - częściej na wiwat, ale zdarzały się też posyłane konkretnej osobie. Rankiem następnego dnia Burton często widywał opuszczające dom kobiety: rosyjskie dziwki, z wyzywającymi makijażami, i azerskie dziewczęta, te ostatnie szły boso po wyboistej drodze, a buty na wysokich obcasach niosły w rękach, żeby ich nie poniszczyć. Azerki wydawały się zawstydzone, chociaż starały się sprawiać wrażenie, jakby im na niczym nie zależało. Natomiast Rosjanki sprawiały wrażenie, że jedno porządne beknięcie oczyści ich system trawienny. Poniedziałkowa noc niepostrzeżenie ustąpiła miejsca wtorkowemu porankowi, ale Burton usłyszał muzykę, od razu kiedy wjechał na swoją ulicę. Sprzęt stereo gangstera grał stary przebój Bee Geesów z ogarniętej mrokiem przeszłości krainy muzyki dyskotekowej.

Zaparkował sfatygowaną Ładę, którą wjechał do miasta, założył stalową laskę na kierownicę, zamknął samochód, włączył alarm i zamknął drzwi od garażu na dwa zamki. Kiedy szedł do domu z aktówką w rękę, do jego uszu dobiegły charakterystyczne odgłosy bójki - ktoś dostawał cięgi tuż za murem, oddzielającym jego dom od posiadłości gangstera. Burton pomaszzerował dalej, w przeświadczeniu, że jak na jednego zmęczonego człowieka dość ma kłopotów. Niemniej pasywność w obliczu przemocy zawsze sprawiała, że czuł się jak dziwka. Selektywna interwencja, powiedział do siebie. Jestem niedoścignionym wzorem pracownika, trzymającego się wytycznych pieprzonej polityki zagranicznej.

W ambasadzie panowała nerwowa atmosfera, ponieważ Kandinsky otrzymywał coraz gwałtowniejsze ponaglenia od Drew MacCauleya z Waszyngtonu, który oczekiwał jakichś rezultatów poszukiwań, a Vandergraaf najpierw się przeraził, a następnie nie chciał przyjąć do wiadomości nowin Burtona o zaangażowaniu Rosjan w tę sprawę. Linia

polityczna departamentu, a więc i MacCauleya, zakładała, że Rosjanie to bohaterowie pozytywni, bez względu na fakty, przemawiające na ich niekorzyść. Burton jednak nie ustępował, chociaż w pewnym momencie poczuł się dość niewyraźnie, kiedy sobie uzmysłowił, że w kieszeni spodni wciąż ma zakazany pistolet. Zastanawiał się, czy go widać. Ambasador nic nie mówił, ale mógł się po prostu ociągać z odpowiednim komentarzem. Jeszcze jeden problem nie był mu potrzebny. Cała sytuacja wzmogła tylko jego niechęć do zabawy z pistoletami. Jednak nadszedł czas na przedyskutowanie poważniejszych spraw i trzeba było przedstawić swoją opinię. Tylko Rosjanie mogli przeprowadzić atak na rezydencję Galibaniego. I pomimo że wiele stracili z dawnej świetności, wciąż jedynie oni spośród regionalnych graczy dysponują odpowiednimi środkami do przeprowadzenia takiego najazdu. I jest cholernie prawdopodobne, że to Rosjanie przetrzymują teraz dziewczynę. Chyba że wacha już kwiatki od spodu. Na tyłach też wzmożono działania. Kiedy on i Spooner wrócili do strefy cywilizowanej, określanej zasięgiem pola aktywności telefonów komórkowych Baku, natknęli się na kolumnę wojskowych ciężarówek z oznaczeniami jednego z pułków ochraniających pałac prezydencki. Konwój kierował się na południe. Tymczasem zaden członek azerbejdżańskiego rządu nie odpowiadał na telefony.

Ambasador zaczął rozmawiać przez telefon, podczas gdy Burton redagował oficjalny telegram, co niebawem okazało się dość skomplikowanym zajęciem, ponieważ musiał odpowiadać na telefony na bezpiecznej linii z Waszyngtonu, gdzie urzędnicy wrócili właśnie za biurka po przerwie na lunch. Z gotowym dokumentem Burton udał się do gabinetu ambasadora, gdzie zastał go, poprawiającego okulary na nosie i krzyczącego na oddalonym od niego o tysiące kilometrów Drew MacCauleya.

- Nie zamierzam kłamać - upierał się ambasador.

Burton napisał raport najlepiej jak umiał, obiektywnie i precyzyjnie. Jednak Vandergraaf miał zastrzeżenia do niemal każdego słowa. Ambasador musiał pełnić rolę rozjemcy i rozmowa zrobiła się nieprzyjemna. Wszyscy odczuwali skutki stresu, a Vandergraaf umiał wykorzystać ich obawy na swoją korzyść. Raport, który w końcu sformułował Kandinsky, był o wiele ostrożniejszy, niż życzyłby sobie tego Burton i otrzymał klasyfikację „Tylko dla twoich oczu” do Drew MacCauleya.

Nikt nie był usatysfakcjonowany, a ambasador zakończył kłótnię słowami:

- Wyślij już ten cholerny raport. Jutro podamy więcej szczegółów.

Zanim Burton wyszedł z ambasady, spróbował wykonać kilka rozmów telefonicznych: do swojego odpowiednika w ambasadzie rosyjskiej, do generała Hamedowa i kilku innych miejscowych kontaktów. Niestety, miasto wyglądało na objęte kwarantanną. Po drodze do domu przejechał obok ambasady rosyjskiej, żeby sprawdzić, czy palą się w niej światła, ale budynek był cały czarny. Burton był wykończony i prowadził bardzo ostrożnie, a w myślach układał listę urzędów, do których uderzy z samego rana. Jednocześnie próbował odsunąć od siebie obawy, że Kelly Trost nie przeżyła ataku Rosjan. Najgorsze teraz jest to, że dziewczyna prawdopodobnie wie za dużo. I porywacze mogą poczuć, że są w pułapce. Zwłaszcza, jeśli to Rosjanie, zbyt głupi, żeby oddać ją natychmiast i zgarnąć śmietankę za akt dobrej woli. Wykończony brakiem snu o tak późnej porze, Burton poczuł, że obniża mu się próg odporności. Myśl o utraceniu dziewczyny była bardzo rzeczywista i przerażająca, szczególnie w jego spowolnionym, ponurym i ogarniętym pesymizmem umyśle. Chciał zakończyć karierę w wojsku małym zwycięstwem dla ludzkości. Kelly Trost była priorytetem dla każdego, a za miesiąc zapomną ją wszyscy z wyjątkiem rodziny. Kiedy Burton otwierał drzwi wejściowe do swojego domu, ciszę nocy przeszła seria z Kałasznikowa - impreza w domu obok nabrała tempa.

Gospodyni zostawiła kilka zapalonych świateł i jego siedziba upodobniła się do sanktuarium. Fort Burton - oddany walce o demokrację, prawa człowieka i jazz. Jego ciało odzyskało na tyle sił, żeby przypomnieć sobie o podstawowych potrzebach. Do kuchni wchodziło się z przedpokoju, więc wyjął z lodówki naczynie z zapiekаныmi bakłazanami. Usiadł przy kuchennym stole i zaczął jeść zimne danie, mocząc kawałki chleba w zastygniętej oliwie. Przyszła poczta dyplomatyczna i jego aktówka pęczniała od listów, ale był tak skonany, że nie chciało mu się nawet sprawdzić nadawców. Zamknął oczy, przeżuwał i starał się o niczym nie myśleć, ale był tak zmęczony, a jednocześnie podekscytowany, że w głowie kłębiły mu się zarówno złe, jak i dobre pomysły, nad którymi nie miał siły zapanować. Pragnął snu, ale podejrzewał, że może mieć problemy z zaśnięciem.

Po co Rosjanom dziewczyna? Wciąż był wstrząśnięty krwawą łaźnią w rezydencji Galibaniego. Bez adrenalinowego filtra, wspomnienia zamiast blaknąć, stawały się coraz bardziej rzeczywiste.

Ambasador zgodził się, żeby zagrał czarny charakter i następnego dnia rano Burton zamierzał urządzić najdziksza scenę, jaka kiedykolwiek miała miejsce w ambasadzie rosyjskiej. Nie-proletariusze wszystkich krajów łączcie się. Gdzie nasza amerykańska dziewczyna, Iwan?

Burton otworzył oczy i zapatrzył się w naczynie z bakłażanami. Wyglądały jak wnętrzości, które wylały się z czyjegoś rozprutego żołądka.

Nie potrafił wybaczyć tego morderstwa. Nawet w przypadku takiej świni jak Galibani. Na świecie jest zbyt dużo zabijania i trzeba coś z tym zrobić. Wiedział, że zachowuje się jak naiwniak, ale przestał się tym przejmować. Za dużo cholernego zabijania. Krew na rękach każdego mężczyzny, kobiety i dziecka. To się musi skończyć. Burton wstał. Ostatnie spojrzenie na bakłażany przyprawiło go o mdłości. Nie zdobył się nawet na to, żeby wstawić naczynie z powrotem do lodówki. Niech karaluchy sobie podjedzą. Ofiara dla świętego Franciszka. Z pełną butelką wody mineralnej i swoją aktówką, powlókł się do salonu, a stamtąd w stronę schodów. Muzyka za ścianą ucichła, a jej miejsce zajęła niekończąca się miejscowa piosenka, śpiewana gardłowo przez jedną z kobiet.

Burton nagle zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Ktoś siedział w wysokim krześle w pograżonym w ciemności pokoju obok. Stylowy fotel kupił na pchlim targu, i był on tak brzydki, że aż piękny, hojnie wyposażony w aksamit i orientalne rzeźbienia, które mogły zostać wykonane na życzenie jednego z nacierzy rządzących Baku na przełomie wieków. Krzesło stało tyłem do salonu i widać było jedynie białą rękę na jednym z oparć, bladą w świetle koloru melasy. Wzrok Burтона przykuło lekkie poruszenie palców. Wstał cicho, ściskając w rękę pistolet, którego jeszcze niedawno chciał się pozbyć. Dźwięk odbezpieczanej broni zabrzmiał w ciszy jak grzmot piorunu. Jego obecność nie była tajemnicą, ale starał się postępować zgodnie z zasadami wpojonymi w wojsku, gdzie każdy spóźniony gest stanowił karę za nieuwagę. Omiótł wzrokiem otaczającą go ciemność, gotowy na spotkanie z innymi ludźmi w jego domu, zaskoczony, że wcześniej nie wyczuł ludzkiej obecności. W tych sprawach zazwyczaj nie zawodził go instynkt. Osobliwa rzecz: ręka na oparciu nadal nie przypominała ludzkiego ciała.

Burton zadrżał i ruszył do przodu.

Czas na zabijanie?

Ostatnio wszystko zdawało się obracać wokół zabijania.

Czy intruz ma w drugiej ręce pistolet? Czy inny pistolet jest wyceLOWANY w jego plecy?

Czując zapach śmierci z rezydencji Galibaniego, podszedł do oparcia krzesła z pistoletem gotowym do strzału. Kiedy znalazł się o trzy kroki od mebla, uskoczył w bok, z linii ewentualnego strzału i krzyknął:

- Wstawaj! Już.

Z krzesła podniósł się powoli siwowłosy mężczyzna w garniturze. Jeszcze zanim się odwrócił, Burton rozpoznał w nim niemieckiego ambasadora.

-To dla mnie bardzo... trudne - powiedział ambasador głosem zdecydowanie słabszym, niż ten, którego używał na przyjęciach.

- Niemniej, nie miałem innego wyjścia. - Stał w smudze światła padającego z salonu, patrząc oczami różowymi jak łośoś z puszki. Nawet z takiej odległości czuć było jego oddech zaprawiony alkoholem. - Proszę, niech pan nie wini gospodyni. Byłem bardzo natarczywy. - Prawie uśmiechnął się. - My, Niemcy, mamy to we krwi.

-Napije się pan czegoś, panie ambasadorze?

Kiedy człowiek nie wie, co robić, proponuje drugiemu drinka. Burton bał się tego, co miało nastąpić. Złapał się na tym, że gestykuje z pistoletem w rękę, więc zabezpieczył go i niezdarnym ruchem wepchnął do kieszeni. Ambasador wyglądał jakby go napadł z bronią sam pan Bóg.

-Może szklaneczkę amerykańskiej whisky. Jeśli to nie za duży kłopot.

Burton cofnął się do salonu, mając nadzieję, że gospodyni była na tyle uczciwa, że nie wysączyła całego alkoholu. Burton nie pijał do lustra i serwował alkohol, tylko kiedy zapraszał kogoś na obiad. W barku zastał same resztki, które zniknęły stopniowo bez jego pomocy. Teraz znajdowała się w nim opróżniona do połowy butelka Unicum, jakiś owocowy likier spreparowany przez kuzyna kuzyna przyjaciela i resztki gruzińskiego koniaku.

-Może być brandy, panie ambasadorze? Obawiam się, że miejscowej produkcji.

-Bardzo dziękuję. I myślę, że w takich okolicznościach nie musi się pan do mnie zwracać per panie ambasadorze. Wystarczy - panie Hartling.

Burton o mało nie wybuchnął śmiechem, w obliczu wzorcowej niemieckości tego człowieka, ale udało mu się przybrać dyplomatyczny wyraz twarzy. Nalał mu do lampki podwójną porcję dumy Tbilisi.

-Proszę - powiedział Burton, przechodząc przez pokój i wyciągając rękę z brandy. - Niech pan siada. Jestem zbyt zmęczony, żeby stać. - Zaświecił lampkę na stole.

Obydwoj mężczyźni usiedli. Ambasador posmakował brandy, skrzywił się, po czym wychylił lampkę do dna. Z pustą koniakówką w rękę zamachał, otworzył usta, ale nie mógł wymówić słowa. Wyglądał tak żałośnie, że Burton odwrócił wzrok na dłuższą chwilę, przyglądając

się ogłupiałej ćmie szamoczącej się wewnątrz abażuru lampy.

-To takie trudne - powiedział ambasador. I znów zapadł w milczenie.

Burton nie lubił go i zarazem było mu go żal. Potrafił przewidzieć przebieg małżeństwa ambasadora i Heddy tak dokładnie, że aż było mu niedobrze. Nieuniknione zdrady Heddy. Jej wyrachowana dyskrecja. Odkrycia i kłopotliwe sytuacje. Rozczarowanie, potem smutek, zapisujące się na starzejącej się twarzy ambasadora. Pogodzenie się z sytuacją. Błędne koło. Jej obłudne przywiązanie, gdy on będzie leżał na łożu śmierci.

-Pułkownik Burton... Hedwig Seghers i ja zamierzamy się po brać. Zakładam, że pan o tym wie.

Burton kiwnął głową.

-Myślę - podjął starszy mężczyzna - że to dla Heddy wielka szansa na szczęśliwe życie. Nie chcę być nietaktowny... ale ja mogę wiele dać takiej kobiecie. Tak wiele. Rzeczy, których człowiek... na pana stanowisku nie mógłby...

-Nie stać mnie na nią. Zrozumiałem.

Ambasador postawił szklankę na podłodze i podniósł ręce jakby bronił się przed niewidocznym wybuchem. - Proszę, niech pan się nie obraża. Ja tylko myślę, że musimy szczerze porozmawiać na ten temat. Dla dobra Hedwig.

-Nie czuję się obrażony - powiedział Burton. Zraniony prawdą, pomyślał, ale nie obrażony. Jeszcze nie. - Jestem realistą.

-Widzi pan? - Mężczyzna się rozjaśnił. - O to właśnie chodzi. Musimy być w tej kwestii realistami. Tak, moim zdaniem, będzie dla wszystkich najlepiej.

-Następna sprawa?

-Oczywiście rozumiem, dlaczego pan może pociągać Heddy. Nie jestem naiwny. Jako młody mężczyzna, pan też ma jej wiele do zaofiarowania. Nie wiem, jak to delikatnie ująć...

-Heddy lubi się pieprzyć. Zapewne zdążył pan to zauważyć.

-Cóż... to pewnie amerykański sposób na określenie tego typu spraw. Muszę przyznać, pułkowniku Burton, że uważam takie...

-Heddy i ja skończyliśmy ze sobą, kolego. To wspinała kobieta i nie zrobię niczego, co mogłoby zepsuć jej przyjęcie weselne. - Spojrzał na starszego, młodszego mężczyznę. Ambasador niespodziewanie wydał mu się co najmniej tak odrzucający jak Galibani. Cywilizacja, pieprzyć to, pomyślał Burton.

-Ale...

-To twoja dziewczyna, Helmut. Dostarcz jej rozrywki, a odpłaci ci się z nawiązką. A teraz, jeśli skończyliśmy już, jestem bardzo zmęczony.

- Burton oparł ręce na kolanach, żeby łatwiej mu było wstać. Zmęczony wojownik, pomyślał, i ulubiony błazen wszystkich dokoła. Nie wyobrażał sobie, jak Heddy może być szczęśliwa z taką szmatą. Czy chociaż odrobinę zadowolona.

Ambasador podniósł się lekko, machając gorączkowo rękami. - Proszę, musimy porozmawiać. Jeszcze nie omówiliśmy najważniejszej kwestii. Bardzo pana proszę.

Burton zastanawiał się, czy ten człowiek nie zamierza mu zaproponować pieniędzy. Nigdy wcześniej nie uderzył ambasadora, ale wyglądało na to, że każdy powinien zrobić to przynajmniej raz w życiu. Usiadł z powrotem, widziany czystą ciekawością.

- Pułkowniku Burton... to bardzo delikatna sprawa. Dla nas obydwu. A przede wszystkim, dla Hedwig. Muszę pana prosić, żeby zwolnił ją pan z wszelkich zobowiązań wobec pana.

Burton nie rozumiał.

- Proszę - powiedział ambasador - niech pan nie udaje. Nie jestem głupi. Zdaję sobie sprawę, że zwerbował ją pan do pracy na rzecz amerykańskiego wywiadu.

Burton nie wiedział, co powiedzieć. Pomysł był zbyt szalony. Pewnie, że wypytał ją o to i owo, kiedy leżeli razem w łóżku. Ale nigdy nawet nie brał jej pod uwagę jako kandydatki na szpiega.

- Nauczyłem się już rozpoznawać ten wzór, wie pan - ciągnął ambasador. - Sprawy, których nie potrafiła wyjaśnić. Spotkania, na które nie wyraziłem zgody. Domagam się, żeby ją pan od tego zwolnił i zniszczył wszystkie dowody. Jeśli pan to zrobi, nie złożę noty protestacyjnej do pańskiego rządu. Nic się nie wydarzy. Zapomnimy o tym. A co najważniejsze, Heddy nie stanie się żadna krzywda. Dołożę wszelkich starań, żeby nikt nie odkrył jej tajemnicy. Raz w życiu, niech pan się zachowa jak dżentelmen, pułkowniku Burton.

Burton wstał. - Posłuchaj, sukinsynu, nigdy nawet mi nie przyszło do głowy, żeby zrobić z Heddy szpiega. To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. - Przestał zaciskać dłonie w pięści, ale był to triumf jego silnej woli. - A teraz wynoś się z mojego domu i daj mi się wyspać.

Ambasador też wstał. Kiwał się na boki jak marynarz w starej kreskówce. - Pan nie jest dżentelmenem. Pan próbował zniszczyć tę wspańiałą kobietę. Wiem, co się tu dzieje. Wiem, gdzie ona chodzi, żeby dla pana szpiegować. Pan jest typowym amerykańskim kłamcą i prostakiem.

Drzwi przy kuchni otworzyły się i zamknęły. Burton zamknął je na klucz. Tylko dwoje innych ludzi miało klucze. A Spooner nie wszedłby bez pukania.

Obydwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem, a Burton pomyślał: Zasłużyliśmy sobie na to. Usłyszał znajome odgłosy, energiczne kroki i z korytarza rozległ się głos Heddy. - Evan? Nie śpisz jeszcze? Evan?

Pojawiła się w świetle salonu, zrzucając letni płaszcz przeciwdeszczowy i ukazując zieloną jedwabną koszulę nocną na ramiączkach. Biel jej nóg błysnęła w świetle lampy.

Na jej twarzy pojawił się najpierw wyraz przerażenia. Ale nie trwał długo. Burton i ambasador zobaczyli kolejno: strach, rozczarowanie, złość... nienawiść... wyrachowanie. Nikt nie odezwał się ani słowem, kiedy z powrotem nakładała płaszcz na piękne ramiona i zapinała pas w talii. Patrzyła częściej na ambasadora niż Burtona, a oczy zwężyły się jej, jakby celowała z pistoletu. Burton potrafił ją wyczuć i wiedział, że szuka słów, które będą raziły bardzo głęboko. Trzymała się prosto, arystokratycznie, ale niewidzialna Heddy szamotała się wściekle. Kiedy przemówiła, brzmiała tak, jakby odczytywała apel poległych.

- Helmut - powiedziała. - Co za brak taktu.

Para narzeczonych zaczęła na siebie krzyczeć. Ambasador płakał, straszył ją i błagał jednocześnie. Po chwili osłupienia Burton zdał sobie sprawę, że nie jest dla nich niczym więcej jak tylko meblem i wyszedł z domu, na podwórze wypełnione głosami z przyjęcia obok. Noc przespał na tylnym siedzeniu samochodu.

Prawda jest taka, że trzydzieści pięć tysięcy istnień ludzkich nie ma większego znaczenia. Ich śmierć to, oczywiście, prawdziwe nieszczęście. Doprawdy nieodżałowana strata, choć nieco kłopotliwa. Tylko że zmarli nie byli Amerykanami. W większości nie mieli również żadnego wykształcenia. Drugoplanowi aktorzy w historycznym widowisku. Tragiczne. I tak dalej. Ale mężom stanu nie wypada się mazać. Rosjanie narobili bałaganu w Czeczenii. Takie są fakty. Drew MacCauley musiał wykorzystać cały swój spryt i serdeczną przyjaźń z prezydentem, żeby cała sprawa nie została zbyt nagłośniona. W efekcie, udało mu się jednak zachować jego linię polityczną w stosunku do Rosji.

Zostawmy ocenę historii.

A teraz to. Kandinsky próbuje go sabotować. Bez wątplenia. Facet się wynarodowił. Typowy przykład zasiedzenia. Ambasador, który nie widzi nic poza własnym zapomnianym małym kraikiem. Ten człowiek nie ma pojęcia o strategii, a co za tym idzie żadnych perspektyw w przesyłnym Departamencie Stanu. Vandergraaf też go rozczarował. Słabszy. Pozwolił, żeby jakiś wojskowy błazen wziął cały cyrk w swoje ręce. Pentagon nigdy nie uwolnił się od irracjonalnej nienawiści w

stosunku do Rosjan. Generałowie zawsze wtrącają się do polityki. A teraz nadszedł jeszcze ten niedorzeczny raport na temat rosyjskiej masakry dokonanej na obywatelach Azerbejdżanu. Wśród których najprawdopodobniej znajduje się ta mała Trost. Wszyscy przeciwnicy Rosji i krytycy rządu w Moskwie natychmiast wykorzystają taką sytuację dla swoich celów. Byłoby naprawdę lepiej, pomyślał MacCauley, gdyby tę dziewczynę zabili na samym początku. Oczywiście, to byłaby tragedia. A on absolutnie nigdy nie życzyłby nikomu śmierci. Tylko że teraz wojsko próbowało przejąć kontrolę.

Drew MacCauley potrafił rozpoznać spisek. Wojskowi próbują wykorzystać sprawę Kelly Trost, żeby zwrócić wpływowego ambasadora przeciwko założeniom polityki zagranicznej rządu. Wyrachowanie takiego postępowania oburzało go do żywego.

Zadzwoniła jego sekretarka. - Przyszła panna Rains. Mam ją wprowadzić?

- Nie. Jeszcze nie. Dam ci znać kiedy.

Znów pochylił się nad telegramem, leżącym na biurku. Vandergraaf przynajmniej dopilnował, żeby wiadomość była przesłana jako poufne. Chociaż powinien był zdusić całą sprawę w zarodku. A teraz pojawił się jej zapis. I trzeba podjąć jakieś kroki. Chyba że dziewczyna pojawi się na horyzoncie. MacCauley nie wiedział, co robić. Nie chciał, żeby mu zarzucono zatajenie informacji, ale ujawnienie jej da początek niekończącej się serii pytań i oskarżeń, które mogą zagrozić jego polityce w stosunku do Rosji. Akurat kiedy udało mu się skierować ją znów na właściwe tory. Rozejrzał się po swoim gabinecie, jakby odpowiedź ukryta była w jednym z tym obrazków, na których czarownica zmieniała się w piękną dziewczynę, kiedy patrzyło się na niego pod nieco zmienionym kątem. Solidne drewno, ciemne meble, malarstwo na dobrym poziomie. Odpowiednie miejsce do opracowywania linii politycznej. Uszlachetnione obfitością książek, wypełniających półki i zalegających na podłodze. W ostatnich czasach zrobiło się ich za dużo, co mogło spowodować efekt przeciwny do zamierzonego. Każdy prosił go o komentarz na obwołutę albo o recenzję. Rzecz jasna, nie miał na to zbyt wiele czasu. Czytywał natomiast recenzje innych. Niewiele rzeczy w życiu sprawiało mu taką przyjemność, jak krytyczna recenzja książki przyjaciela.

Istniał jeden sposób na wyjście z całej sprawy obronną ręką i uratowanie linii politycznej. Dziewczynę trzeba znaleźć. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin. A nawet prędzej. Zanim ten nonsens na temat udziału Rosjan stanie się ulubionym tematem w mediach. Nie ma czasu do stracenia. Vandergraaf ostrzegł go, że dziennikarze już zaczynają się

zbierać przed ambasadą. MacCauley coraz nienawistniej myślał o senatorze Troscie, jakby ten człowiek celowo zaaranżował porwanie własnej córki, żeby zaszkodzić wizerunkowi rywala. Trost to nikt więcej jak tylko żałosny kobieciarz wagi piórkowej, jeden z tych stronniczych prostaków, wzbudzających pogardę u bardziej odpowiedzialnych polityków. Jeśli Trost pozna treść raportu, na Kapitolu poleje się krew.

Wszystko to wydało się Drew MacCauleyowi okropnie niesprawiedliwe. Nawet prezydent jest ostatnio trochę zbyt miękki. Ci mali ludzie wywierają na niego wpływ, dysponując pobieżną wiedzą na temat Rosji i historii. Ten człowiek jest wyjątkowo niestały w poglądach. Jest taki od czasów studenckich, kiedy dzielili pokój w akademiku: niesłowny i niechlujny. Zawsze zostawia po sobie małe śmierdzące kupki, które inni muszą po nim sprzątać, jak po chorym szczeniaku. Jedno, co u niego nigdy nie zawodzi to ambicja. I jego fatalny gust do kobiet. Jest błyskotliwy, to prawda. Doskonale wyczucie teatru. MacCauley pysznił się tym, że jako pierwszy dostrzegł możliwości drzemiące w przyszłym prezydencie. Pomijając tę jego oślizgłą naturę południowca rodem z osiedla przyczep. Cóż by to była za tragedia, gdyby po tylu latach jego wysiłków, jego misji cywilizowania, ten oto człowiek, pod wpływem jakiegoś sondażu, odwrócił się plecami do starego przyjaciela i odebrał mu szansę odzyskania dla europejskiej cywilizacji kraju Tołstoja i Czajkowskiego.

Siedząc za wielkim drewnianym biurkiem, którego sobie zażyczył w gabinecie, MacCauley doświadczył jednego z tych przeblysków geniuszu, które tak w sobie podziwiał: Czy nie dałoby się wykorzystać jakoś Czajkowskiego do pozyskania poparcia środowiska gejowskiego dla większego zaangażowania rządu w jego prorosyjską politykę? Gość był takim samym przebiezańcem, jak trzyrubłówka, udająca pieniądze, tak czy nie? Może by tak zasponsorować oficjalnie jakiś festiwal? Albo coś w tym guście? Co za szkoda, że Bernstein już nie żyje. Środowiska biznesmenów mogłyby dać na to fundusze. Stanowczo warto się nad tym zastanowić. Trzeba to omówić ze specami od kultury. Jak już załatwi tę sprawę z Trostem.

MacCauleya zawsze zadziwiało, o ile inteligentniejszy jest od całej reszty Departamentu Stanu. Prezydent będzie go musiał uczynić sekretarzem w drugiej kadencji. Nie będzie miał innego wyjścia. To naturalnie, będzie wymagało zgody Senatu.

Zadzwoił do swojej sekretarki. - Lydia, połącz mnie jeszcze raz z ambasadorem Kandinskym. Obudź go. Nic mnie to nie obchodzi. Tak. Na bezpiecznej linii. I przyslij tu Rains. Potem zadzwoń do mojej żony

i pani Graham. Powiedz im, że spóźnię się na kolację pół godziny.

Analityk weszła do gabinetu z gracją wołu roboczego, którym w istocie była. Córka śmieciarza w prowincjonalnym barze. Skąd departament bierze tych ludzi? Czy nasz kraj aż tak bardzo zбочzył z kursu?

- Proszę siadać, panno Rains. Tutaj, jeśli łaska.

Usiadła. Miała zaniedbane, oklapnięte pod koniec dnia włosy i nieodpasowaną sukienkę. Nawet prezydent by na nią nie spojrział, a MacCauley był świadkiem, jak facet rzuca tęskne spojrzenia co ładniejszym jałówkom.

- No dobrze - odezwał się MacCauley. - Najpierw najważniejsze. Senator Trost nie kontaktował się już z panią, jak rozumiem?

Potrząsnęła przecząco. - Nie, sir. I...

- To dobrze. Dam pani dobrą radę, panno Rains - Ginny, zgadza się? Spróbuję podzielić się z panią moim wieloletnim doświadczeniem.

Kobieta podniosła na niego wzrok.

- Nie można ufać takim ludziom jak Trost. Jasne, sprawiają wrażenie przyjacielskich i szczerych. Dlatego właśnie udaje im się przekonać szarych obywateli, żeby na nich głosowali. Lecz naszym obowiązkiem jest wznieść się ponad prywatne interesy i dbać przede wszystkim o dobro departamentu. Nie uważa pani?

Młoda kobieta pokiwała głową, lecz była to dość chłodna reakcja. Dobry Boże, młodzi nie mają w sobie żadnej pasji. Jakie życie czeka tę kobietę? Gdzie podział się cały żar?

- No dobrze - podjął MacCauley. - Powiedziano mi, że bardzo dobrze się pani spisuje w swojej nadzorczej funkcji. Ma pani przed sobą wspaniałą przyszłość w departamencie, Ginny. Ale musi pani dbać o dobro departamentu. Chodzi o wzajemne zaufanie. - Ku jego niezadowolenu, twarz kobiety pozostała obojętna. Jako były dziennikarz, pochlebiał sobie, że umie czytać w ludzkich myślach. Ale ta dziewczyna jest nieprzenikniona. Albo nic w sobie nie kryje.

- Przejdźmy do sedna - powiedział. - Do pogłosek na temat Rosjan, zabójstw oraz rzekomego przetrzymywania przez nich panny Trost.

- Wciąż czekamy na raport, sir.

MacCauley uśmiechnął się. - Nie będzie żadnego raportu. A raczej, już był. Tylko dla moich oczu. W ambasadzie już się wystraszyli całego tego nonsensu. Nie chcą później odpowiadać za nieodpowiedzialne posunięcia. Jakiś wojskowy typek urwał im się ze smyczy. I sama pani widzi, jak to się kończy.

- Burton - powiedziała młoda kobieta.

-Co?

-Podpułkownik Burton. Przedstawiciel wojskowy. Przed chwilą rozmawiałam z nim przez STU.

MacCauley zrobił dobrą minę do złej gry. - Tak. Zgadza się. Jeśli dobrze pamiętam, chwaliła go pani wczoraj wieczorem. Senator zaczął dzielić pani entuzjazm. To było... nierozsądne, nie uważa pani? - Uśmiechnął się. - Czyż nie my nadajemy się najlepiej do tej roboty?

-Burton zna kraj - odpowiedziała. - Region. Ludzie traktują go tam poważnie.

-Bzdura. Nikt nie bierze wojskowych poważnie. Z wyjątkiem innych wojskowych. A oni się nie liczą, Ginny. Proszę mi jednak powiedzieć, co miał pani do przekazania ten człowiek?

Zdała mu relację z rozmowy. Jej informacje pokrywały się z treścią raportu, a nawet dowiedziała się trochę więcej. MacCauley przeraził się. Chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby usunięcie wojskowych z wszystkich ambasad. Same z nimi kłopoty. Ich żony za dużo mówią, kiedy stoją w powitalnym rzędzie, a do tego nie umieją się odpowiednio ubrać.

-Kto jeszcze o tym wie?

Młoda kobieta pomyślała chwilę, zakładając kosmyk włosów za ucho. - Dwoje moich ludzi. Nie mieliśmy czasu na dokładną analizę. Na dole zrobił się kompletny dom wariatów.

MacCauley usiadł głębiej w fotelu. Poklepał blat biurka. - Wie pani do kogo należało to biurko? Przedemną? Kto był jej pierwszym właścicielem?

Patrzyła na niego, czekając na odpowiedź.

-Cordell Hull. Właśnie on. Wielki człowiek. Człowiek, który potrafił dochować tajemnicy. Umiał kształtować linię polityczną schowany za kurtyną. Wiedział, co należy zrobić. Nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Więc... chcę, żeby pani poszła i porozmawiała z dwójką tych pani podwładnych. Proszę im powiedzieć, że Rosjanie nie mogli brać w tym udziału, to kompletna bzdura. Nie wolno im z nikim rozmawiać na ten temat. Absolutnie z nikim.

-Nie uważam, że to bzdura - odpowiedziała. Zdumiewające - mysz przemówiła.

MacCauley wyprostował się na fotelu. W pierwszym odruchu chciał jej porządnie zmyć głowę - w końcu jest nikim, w każdej chwili można ją zastąpić. Ale czasy są niebezpieczne. Oparł się o biurko Cordella Hulla - któregoś dnia, tego był pewien, ludzie zaczną je nazywać biurkiem Drew MacCauleya - i przybrał ojcowski, jak mu się wydawało, wyraz twarzy. Choć jest oczywiście za młody na ojcostwo. Za młody, za wysoki, i w ogóle „za”.

-Panno Rains, myślę, że znam Rosjan. W końcu to ja przełożyłem „Pamiętniki Kosygina”. Spędziłem w Moskwie całe miesiące. Poza tym prezydent ma do mnie zaufanie. Powierzył mi to stanowisko, żebym zapoczątkował nową erę. A więc, chociaż szanuję oczywiście pani zdanie, w tej kwestii będę nieprzejednany. Rosjanie nie brali udziału w tej sprawie. A jeżeli nawet, to tylko, żeby pomóc. I nikt w tym budynku nie piśnie ani słowa o udziale Rosjan. Nikomu. Nawet senatorowi Stanów Zjednoczonych. - Uśmiechnął się. - Ma pani przed sobą wspaniałą przyszołość. Ale wystarczy jeden błąd - jedno słowo na temat tego nonsensu - a pociągnę panią do odpowiedzialności. Osobistej. Czy pani...

W tym momencie zadzwonił duży szary telefon, stojący na komodzie za biurkiem. MacCauley odkręcił się razem z fotelem i podniósł słuchawkę.

-Tak. Połącz go. Halo? Tak. W porządku. Ja zacznę. - Wcisnął guzik zabezpieczający linię przed podsłuchem i czekał aż ostrzegawczy sygnał ustąpi miejsca potwierdzeniu. - Słuchaj, Kandinsky. Ma pan czterdzieści osiem godzin, żeby znaleźć tę dziewczynę. Całą i zdrową. - Podobała mu się stanowczość we własnym głosie. W takich przypadkach człowiek musi być twardy. Spojrzał na zegarek, jakby znajdujący się na drugim końcu linii Kandinsky mógł zobaczyć ten gest. - Czterdzieści osiem godzin i ona ma być w drodze do domu. Albo spotka to pana. I odzyskaj kontrolę nad podwładnymi, człowieku. Koniec z niedorzecznymi depeşami na temat Rosjan. Ani słowa o tym. A przede wszystkim, niech pan usunie stamtąd tego wojskowego wicherzyciela. Rozumiemy się?

Wirginia Rains wychowała się w małym miasteczku w Wisconsin, i od kiedy pamięta, marzyła, żeby się stamtąd wyrwać. Uczyła się w Stanford na częściowym stypendium, a dyplom robiła w Georgetown. Zdała egzamin na oficera służb zagranicznych i do tej pory zdążyła pełnić służbę w trzech krajach, a w przerwach pracowała w Waszyngtonie. Niezameżna i samotna, wierzyła w swoją pracę - w równym stopniu lubiła ją, co nie znosiła, lecz wiedziała, że nie potrafiłaby zajmować się w życiu czymkolwiek innym. Dlatego decyzja, którą podjęła, nie należała do łatwych.

Wierzyła Burtonowi. Nawet biorąc poprawkę na słabość, jaką żywiła do niego - uczucie, którego on nawet nie zauważał, ani tym bardziej odwzajemniał - była przekonana, że to człowiek uczciwy i że rzetelnie przedstawił w raporcie to, czego był świadkiem. Wiedziała też, że Drew MacCauley jest głupcem. Przepracowała w Moskwie dwa lata i jej kontakty nie ograniczały się do kółka intelektualistów i partnerów do tenisa podobnych do MacCauleya.

Przyjaciół prezydenta czy nie, ten człowiek odbierał wolność jednemu nowo odzyskującemu niepodległość krajowi po drugim, oddając je z powrotem Rosjanom, a ona była tego świadkiem i zachowywała milczenie, a tym samym pracę.

Na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze i bywały dni, kiedy chciało się jej krzyczeć ze schodów Kapitolu, że to co jej kraj robi w byłym Związku Radzieckim jest złe, złe, złe. Nie chodzi tylko o dyplomację i traktaty, a nawet o ropę. Chodzi o ludzi. O dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, którym dopiero co udało się uciec od niewolnictwa, tylko po to, żeby Drew MacCauley oddawał ich z powrotem w ręce Rosjan. Chciała coś z tym zrobić, przeciwstawić się. Ale powtarzała sobie, że jest zbyt nieważna, żeby dokonać zmian, że nikt by jej nie słuchał i jedynie straci pracę. A bez niej reszta życia wydawała się jej beznadziejnie szara i pusta.

Ale sprawa Trost przepełniła czarę. Nie będzie już przymykać oczu. Logicznie rzecz biorąc, jedna porwana dziewczyna nie znaczy tyle co losy narodów. Tylko że było coś tak do głębi nieuczciwego w ukrywaniu informacji na jej temat przed jej własnym ojcem, bez względu na to, czy pracował jako senator, czy ustawiał towary na półkach w supermarkecie, że Ginny Rains nie mogła tego znieść. Uśmiechnęła się na myśl o własnym nieszczęściu. Może, mimo wszystko, jej miejsce jest w Wisconsin. Może nie jest wystarczająco twarda na Waszyngton. A może wcale nie jest tego wart.

Wciąż słyszała głos Burтона w słuchawce, zniekształcony elektronicznie, lecz rozpoznawalny: „Rosjanie zabili tam wszystkie żywe stworzenia, Ginny. Oprócz dziewczyny. Ona zniknęła”.

Jeśli zrobili to Rosjanie, świat ma prawo o tym wiedzieć. Jeśli Rosjanie pojмали dziewczynę, jej ojciec ma prawo o tym wiedzieć. Ginny Rains spędziła w Waszyngtonie siedem lat i w nagłym przeblysku zrozumiała, że nadszedł czas, żeby nawet tak mało licząca się osoba jak ona zrobiła to, co należy zrobić.

Burton obudził się obolały. W Ładzie niewygodnie się nawet siedzi, spanie zaś wymaga chyba genialnej znajomości geometrii. Na dodatek dopadły go komary. Zesztywniały wyszedł z garażu i powłókł się w kierunku domu. Wychudzony kot obrzucił go zdziwionym spojrzeniem i uciekł. Śsiadująca z jego posesją rezydencja była zamknięta na glucho jak trumna, i Burton miał cały świat dla siebie.

Kiedy zaczął się przeciągać, nerki upomniały się o swoje prawa. Przejechał rękami po twarzy i włosach, zdzierając kawałki strupów z rozcięć na czole i policzkach. Nie najlepszy moment w życiu.

Spojrzał na zegarek. Szósta trzydzieści. Miasto wciąż było ciche, a nawet dało się wyczuć zapach morza, przebijający się przez smród ropy i spalin. Zamknął oczy, rozkoszując się powietrzem. Może ten dzień będzie lepszy.

Potrzebny mu lepszy dzień.

Drżącą ręką, czując ból w krzyżu, Burton otworzył drzwi do domu. Mądrzejszy i odważniejszy człowiek wyrzuciłby przedstawienie pod tytułem „Heddy i Helmut” na ulicę i spał we własnym łóżku. Ledwo zdążył uchylić drzwi, a uderzył go zapach zwiędłych kwiatów i zepsutej wody. Zignorował go i skierował się do kuchni, żeby zaparzyć kawę i ukoić bolące nerki.

Zapiekane bakłażany z poprzedniego wieczoru zmieniły się w ru-chliwy, żywy organizm. Czując jak żołądek pochodzi mu do gardła, wrzucił wszystko do plastikowej torby, a potem stał pozostałych gości ze stołu. Zrobił sobie kawę, używając do jej zaparzenia butelkowanej wody. Kiedy się parzyła, poszedł do toalety, a następnie do jadalni.

Śmierdziało w niej paskudnie. Zwiędnięte płatki na stole wyglądały jak zwiędnięte płatki na stole. Nawet nie próbował ponownie uchwycić chwili piękna z poprzedniego wieczoru. Z drugiej strony, smród prawdopodobnie nakłonił jego nieproszonych gości do spędzenia nocy w przynajmniej jednym z ich własnych łóżek. Był prawie pewien, że poza nim nie ma tu innej żywej istoty. Z wyjątkiem stworzeń, które zbiegły się do bakłażanowej zapiekanki.

Płytko oddychając przez usta, Burton wszedł do salonu i włączył płytę Milesa Davisa. „In a Silent Way.” Na tyle głośno, żeby muzyka rozlegała się w całym domu. Wziął do ręki lampkę, z której ambasador pił poprzedniego wieczoru, ale odstawił ją na stół w jadalni. Zwiędnięte kwiaty i śmierdząca woda są ważniejsze. Z Milesem wędrującym po gamie jak patrol zwiadowczy, Burton wylał zawartość flakonu do sedesu, spuścił wodę, a oślizgłe łodygi zabrał do kuchni, gdzie zostawił worek na śmieci pełen żywych stworzeń. Wyniósł worek na dwór, umył ręce i napił się kawy, wdychając jej zapach z kubka trzymanego blisko przy twarzy. Dolał sobie i słuchał jak Miles gra na trąbce, jakby wkładał kobiecie rękę pod sukienkę. Burton poszedł w kierunku schodów, żeby się umyć i zacząć wyglądać jak człowiek.

Schody też nastreczały pewnych trudności. Nietypowe zeszytowanie nie chciało ustąpić. Jeszcze kilka lat temu zniknęłoby bez śladu wraz z pierwszym łykiem kawy. To kolejny argument za pożegnaniem się z mundurem. Mimo iż starał się utrzymywać ciało w dobrej kondycji, nie prześcignie zbyt wielu dwudziestolatków na dystansie trzech kilometrów. Żołnierka jest dla młodych.

Dla dzieciaków tak nabuzowanych energią własnych ciał, że nie muszą myśleć. Dla dzieciaków nie mających pojęcia, jaki naprawdę jest świat.

U szczytu schodów zatrzymał się.

Wydawało mu się, że coś usłyszał.

Dźwięk nie powtórzył się.

Ruszył w głąb korytarza i zobaczył czyjś elegancki garnitur, wiszący na drzwiach sypialni. Drzwi były nie domknięte.

To tyle, jeśli chodzi o starą szkołę dobrych manier, pomyślał Burton. Zastanawiał się, jak się dostać do swojej szafy. Nie miał ochoty zobaczyć Heddy w ramionach jej beznadziejnego narzeczonego. Mogli przynajmniej skorzystać z pokoju gościnnego. Och, do diabła z nimi. Burton postanowił odłożyć na bok wszelkie ważne decyzje. Przede wszystkim - prysznic. Pieprzyć ich. Niewrażliwe sukinsyny.

Szwaby. Emocjonalne karły. Co do jednego. Burton starał się zachowywać trochę głośniejszy, żeby mieli czas się obudzić i włożyć na siebie swoje cholerne ubrania. Czuł, że jest zły, wręcz złośliwy, a do tego bolał go plecy. Jednak jego egoizm zniknął bez śladu, kiedy otworzył drzwi od łazienki. W wannie leżał bezwładnie Helmut Hartling. Wolno przekręcił głowę i spojrzał na Burтона nieprzytomnym wzrokiem. Miał bardzo bladą twarz, ale woda zabarwiona była na różowo, a z nadgarstka zwisającego znad krawędzi wanny na podłogę kapłała krew.

10

Żeby zostać attache wojskowym, należy odbyć szkolenie w bazie Sił Powietrznych Bolling, skrawku cywilizacji pomiędzy Potomakiem a nieurodzajnymi terenami okolic Waszyngtonu. Większość zajęć odbywa się w wielkim, nieprawdopodobnie brzydkim budynku, w którym ukrywa się przed przyszłością wywiad Departamentu Obrony. Niektóre zajęcia odbywają się w centrach handlowych, gdzie można ćwiczyć inwigilację albo na torach wyścigowych, na których poznaje się techniki ucieczki samochodem. W ramach kursu je się posiłek w Aleksandrii, we francuskiej restauracji, której właścicielka uczy, jak używać noża do ryb. Wszystkie agencje federalne, których to dotyczy, opisują człowiekowi jakie są wspaniałe.. Gra się również z podziałem na role, żeby uniknąć międzykulturowych nieporozumień. Kurs kończy się z podstawową znajomością protokołu i papierkowej roboty oraz wiedzą na temat kraju, w którym będzie się pełnił służbę, pozwalającą podejmować odpowiednie kroki w zakresie swoich obowiązków. Jednak w żadnym momencie takiego szkolenia, instruktorzy nie mówią ci, co powinieneś zrobić, kiedy znajdziesz ambasadora obcego kraju, a jednocześnie narzeczonego twojej kochanki, wykrwawiającego się na śmierć w twojej wannie.

-Lass mich sterben - pisnął ambasador głosem torturowanej myszy. Burton zrobił mu opaski uciskowe na rękach z kawałków własnej bawełnianej koszulki. Ambasador bronił się słabo i ochlapał swojego wybawcę wodą i krwią. Miał srebrnobiałą cerę przypominającą kolorem smalec i niewyćwiczone ciało. Łzy wolno zebrały się w oczach ambasadora i spłynęły mu po policzkach. - Ach, lass mich sterben.

-Sterben mój tyłek - odpowiedział mu Burton. Mściwym szarpnięciem zacisnął drugą opaskę, a potem otarł sobie wodę i krew z twarzy. - Tylko spróbuj umrzeć, a zabiję cię.

-Es ist alles vorbei...

-Zamknij się wreszcie, dupku.

Burton pobiegł do sypialni. Pościel nie była pomięta. Podniósł słuchawkę i wtedy zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, do kogo zadzwonić. Przez chwilę brał pod uwagę możliwość ubrania ambasadora w szlafrok i odwiezienia go do kliniki azerbejdżańskiej, znajdującej się u stóp wzgórza. Ale skandal byłby nieunikniony. Nie dbał o własną reputację - zresztą Azerowie, których znał, przyznaliby mu punkty za odwagę - ale nie może tego zrobić ambasadorowi, nawet po tym wszystkim. Skrzywdzenie ambasadora równałoby się skrzywdzeniu Heddy.

Zadzwonił do Kandinsky'ego i obudził go.

-Sir - powiedział Burton. - Mam złe nowiny...

Kandinsky zgodził się, żeby natychmiast przysłać do domu Burtona pielęgniarkę z ambasady. Kończąc, ambasador powiedział: - Jezus, Evan. Czy to muzyka? Słuchasz teraz muzyki?

Miles wygrywał na trąbce melodię zdolną otworzyć żyły.

Burton wrócił do łazienki, żeby się upewnić, że ambasador jeszcze żyje i czy nie zdjął sobie opasek. Ambasador zadowolala się jednak jęczeniem. I był jak najbardziej żywy. - ...sterben... die Liebe meines Lebens... - Burton zaczął podejrzewać, że całe zajście to tylko chore przedstawienie.

-Jesteś - powiedział mu Burton - najbardziej kłopotliwym, pieprzonym gościem stulecia. - Potem zbiegł ze schodów, żeby wyłączyć wieżę. Na dole nadal czuć było smród z kwiatów od Heddy.

Próbował do niej zadzwonić, ale w jej apartamencie nikt nie odbierał telefonu. Zadzwonił do niemieckiej ambasady. Oficer na służbie odebrał telefon, ale jeszcze się tam nie pojawiła. - Ist doch früh - poinformował Burtona. - Ruf mai urn zehn Uhr zurüćk. - Mężczyzna miał taki głos, jakby Burton wyrwał go z drzemki pod koniec zmiany.

Potrzebuje jej pomocy. A przede wszystkim, ambasador potrzebuje jej pomocy. Burton nie miał pojęcia, gdzie ona się może podziewać o tak wczesnej porze.

Gabinet generała Hamedowa śmierdział jak zapchana rura kanalizacyjna. Wentylator zostawił na ścianie rdzawą wodę, zanim został wyłączony, a w powietrzu unosił się dym z wczorajszego papierosa.

-W torbie znajdzie pan milion dolarów amerykańskich - powiedziała Heddy. - Wszystko, o co proszą moi rodacy to, żeby Mustafa Galibani nigdy nie eksportował heroiny... ani niczego innego. Żeby nigdy nie był w stanie eksportować takich rzeczy do Niemiec.

Hamedow uśmiechnął się z pewnością siebie, której Heddy nie rozumiała. Był nieogolony i wyglądał trochę obco w mundurze, który rzadko kiedy chciało mu się zakładać. Wziął torbę dotykając jej ręki, a potem bez słowa odwrócił się do sejfu za biurkiem. Ukucnął i sapiąc ciężko przekręcił tarczę numerową. Kiedy drzwiczki się otworzyły, generał wrzucił torbę do środka i z rozmachem zamknął sejf.

Nadal się uśmiechając, usiadł o jedno krzesło bliżej Heddy niż przedtem. Prawie stykali się kolanami i do nosa Heddy dotarł zapach jego rozrywek z minionej nocy. Udając, że szuka sobie wygodniejszej pozycji, odsunęła się od niego najdalej, jak to było możliwe bez zmieniania krzesła.

- Moja droga przyjaciółko - powiedział Hamedow - przysięgam pani, że ten człowiek - Galibani - już nigdy nie sprawi wam kłopotów. Nigdy. - Mówił po angielsku, jakby ciął mięso tasakiem. Dobrze się bawił. - Galibani to już trup. - O mało nie wybuchnął śmiechem. - Mój niemiecki przyjaciel każe mi go zabić - strzelił z palców - i już jest trupem. Dla was zrobię wszystko. - Przynurzył się bliżej.

- Nie powiedziałam, że ktoś ma zostać zabity - sprzeciwiła się Heddy, przerażona wizją prawnych konsekwencji, nagłówków w gazetach i zrujnowanego życia. Sprawy i tak miały się nie najlepiej. Kiedy wyszła z domu Burtona, Helmut krzyknął za nią, że nie jest nikim więcej jak amerykańską dziwką. A Burton gdzieś zniknął. - Nigdy nie prosiłam, żeby pan kogoś zabił. Ja tylko...

Hamedow roześmiał się głośno, teatralnie, a jego oddech uderzył ją jak odór trupa. - Wy, Niemcy, jesteście tacy sprytni... bardzo sprytni. Wszystko jak w zegarku co? Mówicie coś, ale wcale tego nie mówicie. Co za dyplomacja. - Klepnął ją w kolano, i przez chwilę trzymał ciężkie palce na jej nodze. Klasnął w dłonie, wciąż uśmiechnięty. - Ale to nie ma znaczenia. Obiecuję pani, że Galibani to już trup. - Zachichotał, jakby jakiś duch znów szepnął mu do ucha coś śmiesznego.

Heddy czuła, że czegoś tu nie rozumie, ale nie miała pojęcia, co to może być. On się z niej śmieje. Zastanawiała się, czy coś przypadkiem nie wydarzyło się podczas jej nieobecności. Ledwo co wróciła ostatnim samolotem, po dwóch przesiadkach. Natychmiast pojechała do swojego apartamentu, założyła na siebie nieodpowiednie ubranie i udała się do domu Burtona. Podążyła za głosem serca.

Powtarzała sobie, że powinna przedtem wpaść do ambasady. Dowiedzieć się, co zaszło podczas jej nieobecności. To minimum profesjonalizmu. Tylko że musiałaby odpowiadać na pytania. A wożenie ze

sobą pieniędzy było nieprzyjemne i męczące. Żałowała, że nie udało się jej porozmawiać z Burtonem. I kochać się z nim. Chciała być gdziekolwiek indziej, tylko nie tutaj. Po pokoju latała mucha otumaniona brakiem tlenu.

Wiedziała, że musi załatwić sprawę do końca. To, co miała przekazać, przyprawiało ją o mdłości. W takim samym stopniu jak Hamedow. Z tym swoim alkoholowym oddechem, potem i za ciasnym mundurem.

- Mam wrażenie, że to nie wszystko, droga przyjaciółko - powiedział Hamedow, czytając jej w myślach. - Ale pani nie chce o tym mówić. Czy Niemcy pragną, żebym zabił kogoś jeszcze?

Heddy podskoczyła, jakby generał oblapił ją obiema rękami. Lecz on jedynie siedział, uśmiechał się i patrzył na nią jak na dziwoląga.

- Nie - odpowiedziała Heddy. - Tylko... chodzi o tę dziewczynę. Amerykankę. Tę, która została porwana.

- O pannę Kelly Trost.

- Tak.

Nie jestem w stanie tego zrobić, pomyślała. Nie dam rady.

- Dlaczego interesuje was panna Trost? Wzbudziła pani moją ciekawość.

- Dostanie pan więcej pieniędzy - powiedziała gwałtownie Heddy. Miała wrażenie, że rozszczepiła się na dwie osoby: jedna mówiła, druga słuchała z obrzydzeniem. - Naszym zdaniem nagroda powinna być współmierna do wykonanego zadania. I szczodra. Chcemy jedynie... dobra Azerbejdżanu. Nic nie może zbrukać wizerunku waszego kraju, jako stabilnego... i odpowiedniego miejsca na rurociąg naftowy. To leży w naszym wspólnym interesie, widzi pan.

- Moja droga przyjaciółko. A jeśli porywacze, ci bandyci, to naprawdę moi rodacy? W dzisiejszych czasach...

- Nie. Porywacze muszą się okazać Rosjanami. Na przykład rosyjskimi bandytami. Albo rosyjskim wojskiem. Ale Rosjanami. Tylko Rosjanami. - Spojrzała mu w oczy i zobaczyła własne odbicie, przypominające małe, wystraszone zwierzątko. - Dostanie pan dużo więcej pieniędzy.

Hamedow przestał się uśmiechać. Byli sami w pomieszczeniu, ale on przysunął się do niej, jakby oboje brali udział w jakimś spisku. - Myślę, że Rosjanie bardzo się rozgniewają. Ale... być może porywacze to w istocie Rosjanie. Któż to wie? - Na jego twarz znów wypełził uśmiech, upodabniając jego usta do robaka wijącego się w promieniach słońca. - Oczywiście, nie robię tego dla pieniędzy. To mój obowiązek jako patrioty.

Dobry Boże, modliła się Heddy, niech to się już skończy. Spełniłam swój obowiązek. Pozwól mi odejść. Nie modliła się od czasów dzieciństwa.

Ale Hamedow był szybszy od Boga. Wstał. Zapatrzył się przez brudne szyby, z rękami założonym na plecach, przez co jego mundur wyglądał tak, jakby zaraz miał pęknąć w szwach i pogubić wszystkie guziki. Miał profil starego boksera.

-Oczywiście, z dziewczyną będzie pewien problem - powiedział.

-Nie widzę, dlaczego miałby to być jakiś problem - skłamała Heddy.

Hamedow uśmiechnął się z wyższością, odwracając się do niej nieznacznie. - Całe mówienie bez mówienia. Wy Europejczycy. Wie pani, że dziewczyna stanowi problem. Jeśli bandyci, którzy ją porwali to nie Rosjanie. Chyba nie jest taka głupia, żeby nie zauważyć różnicy. Powie wszystkim prawdę.

-Będzie szczęśliwa, że odzyskała wolność - powiedziała Heddy. Zabrzmiało to głupio.

Hamedow machnął na nią ręką, zde gustowany. Wyczuwała, że udało się jej nieprzyjemnie zaskoczyć tego człowieka, a nie sądziła, że potrafi to zrobić. Spodziewał się po niej czegoś lepszego. Po niej i jej rodakach.

-Pani... chce, żebyśmy zabili dla was tę dziewczynę. - Spojrzał na nią z góry. Heddy, zaabsorbowana własnymi uczuciami, teraz zauważyła, że mężczyzna nie patrzy już tak pewnym siebie wzrokiem. - Jeśli nie wybrała odpowiednich porywaczy. Jeśli jest niewygodna.

-Nie musicie jej zabijać - powiedziała Heddy. Dziwka mówiąca: „kocham cię”.

Hamedow wyjął z paczki papierosa, nie zadając sobie trudu, żeby ją poczęstować. Zapalił go. Zaskoczona Heddy zauważyła, że trzęsą mu się ręce.

-Ile? - spytał.

-Cztery miliony.

-Dolarów amerykańskich?

-Tak.

Kiwnął głową. - Zobaczą, co da się zrobić. - Potem spojrzął na nią. - Ale musi to pan powiedzieć.

-Co?

-Niech mi pani powie, żebym zabił dziewczynę.

-Nigdy nie mówiłam...

Skoczył w jej stronę, jak napastnik, zatrzymując się tuż przed jej krzesłem.

-Niech to pani powie! - krzyknął.

Głos szaleńca. Świeży pot na czole. Wielkie ręce nie mogły się doczekać, żeby kogoś chwycić.

-Niech pan zabije dziewczynę. Jeśli pan będzie musiał.

-Nie. Nie jeśli będę musiał. - Jego gniew wyglądał na najszczerze uczucie, jakie u niego widziała.

-Niech pan zabije dziewczynę.

-Niech pani to powtórzy jeszcze raz, żeby to do mnie dotarło.

-Niech pan zabije dziewczynę. I zaaranżuje to tak, żeby wyglądało na sprawkę Rosjan. Zapłacimy panu.

Heddy była pewna, że zaraz zwymiotuje. W żołądku wszystko się jej przewracało. I chciała być sama, żeby się rozplakać. Nie należała do płaczkliwych kobiet, a wyglądało na to, że zdarzy się jej to po raz trzeci w ciągu kilku dni. Sprawy wymykają się jej spod kontroli.

Hamedow odwrócił się od niej. Podeszedł do biurka i stanął przy nim, opierając się rękami o blat. Pokręcił głową nad swoimi myślami.

Na pożegnanie powiedział: - Niech pani pozdrowi ode mnie swojego przyjaciela, pułkownika Burtona.

Rosyjski attache znał cel wizyty. Zazwyczaj Swiridow miał mnóstwo na głowie i lubił, kiedy jego goście czekali. Tym razem jednak wybiegł aż do budki strażników, żeby przywitać Burtona. Rosyjski pułkownik miał wymizerowany wygląd księdza, który dopiero co wrócił z Syberii. Całą noc na nogach, domyślił się Burton. I to nie na przyjęciu. Żadne tam pogaduszki przy alkoholu. Ale w biurze też go nie było.

Burton poczekał, aż znajdą się w gabinecie Swiridowa, w samym sercu ambasady. Rosjanin zamknął drzwi i Burton przypuścił atak.

-Gdzie ona jest? Czy nic się jej nie stało?

-Pułkowniku Burton, niech pan usiądzie. Bardzo proszę.

-Gdzie jest dziewczyna, do cholery?

-Jaka dziewczyna? - Rosjanin wyglądał dokładnie jak chłopiec z chóru kościelnego, przyłapany na kradzieży w sklepie.

-Nie wciskaj mi kitu, Mitia. Nie wciskaj mi żadnego kitu. Powiedz mi po prostu, gdzie trzymacie Kelly Trost, skurczybyki. A potem zapewnij mnie, że jest cała i zdrowa, gotowa wracać do tatusia.

Attache wyprostował się, jakby ktoś go obraził na potańcówce. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Burton huknął pięścią w jego biurko, tak że podskoczyły na nim wszystkie przedmioty. - Widziałem cholerne helikoptery - krzyknął. -

Widziałem cholerne oznakowanie. Nawet nie pofatygowaliście się, żeby zakryć flagę i numery boczne.

Kłamał. Helikoptery znajdowały się w tak dużej odległości, że Burton nawet nie miał pewności, co to był za typ. Ale gotów był się założyć, że attache nie dysponuje wystarczającą ilością szczegółów, żeby odkryć jego blef.

Swiridow uniósł ręce do góry w geście przerażenia. Prosił o ciszę. Błagał o nią.

-Niech pan nie krzyczy. Proszę... ambasador...

-Pieprzyć cholernego ambasadora. Gdzie jest Kelly Trost?

-Proszę, niech pan usiądzie. Musimy porozmawiać. Musimy pomóc sobie nawzajem.

-Niech pan mówi - powiedział Burton. Ale usiadł. Zauważył, że od ostatniej wizyty Swiridow powiesił na ścianie nową mapę. Wciąż widać było zgięcia.

Mapa Baku.

Rosjanin przysunął swoje krzesło blisko Burтона. Kiedy się odezwał, jego głos nie brzmiał głośniej niż szept.

-Nie mamy tej dziewczyny.

-Gówno prawda.

Rosjanin znów uciszył go gestem. Swiridow miał pod oczami worki, które przypominały stare opony. Bez wątplenia ostatnio musiało mu brakować snu. Cóż, pomyślał Burton, no to jest nas dwóch. On sam umył się i ogolił nad zlewem na parterze, zostawiając niemieckiego ambasadora pod opieką pielęgniarki i Kandinsky'go. Kandinsky powiedział mu bez ogródek, że będzie musiał opuścić kraj. Burton skłamał, łamiąc własne zasady i powiedział ambasadorowi, że jest bliski rozwiązania sprawy, i że wylatując zabierze ze sobą Kelly Trost. Po prostu potrzebuje jeszcze trochę czasu. Kandinsky potrząsnął głową, ale wyraz twarzy miał mniej zdecydowany niż słowa. - Drew MacCauley chce, żebyś dziś się stąd wyniósł. Mogę to przeciągnąć do jutra. Ale żadnych więcej kombinacji. Znajdź tę dziewczynę. - Ambasador poprawił okulary na nosie i odwrócił się do swojego chorego z miłości kolegi. Na koniec rzucił przez ramię. - Dookoła pełno prasy. Liczą na skandal. Trzymaj się od nich z daleka, Evan.

Oczy Swiridowa wyglądały jak dwie mapy Marsa. - Nie mamy tej dziewczyny. Przysięgam. Przyznaję, że zorganizowaliśmy ten atak. Ale chcieliśmy jedynie pomóc.

-Zabiliście wszystko, co się ruszało w rezydencji i przyległych budynkach. Pozabijaliście dzieci, nawet cholerne kozy.

Rosjanin pokręcił głową. - Nie chcieliśmy tego. To spadek po Czechenii. Specnaz już nie chce ryzykować. Nie mamy nad nimi kontroli. Nie powiedzieli nam, że zrobią coś takiego.

-Zwal winę na Kaina. Wystarczy, że mi powiesz o dziewczynie. Wiem, że ją macie, Mitia.

Twarz Swiridowa przybrała inny wyraz. Pojawiła się na niej pewność siebie, prawie duma, przebijająca zza maski zmęczenia i strachu. - Nie. To kłamstwo. Nie możesz tego wiedzieć. Bo my jej nie mamy.

-Więc wacha kwiatki od spodu? Daj spokój.

Rosjanin spuścił wzrok. - Nie wiem, gdzie ona jest.

Potem spojrział na Burtona. - Szczerze. Nikt nie wie. Zniknęła, zanim pojawił się na miejscu Specnaz. I to wszystko... to wszystko na nic.

-Czystaja skazka.

-Nie! Eta prawda. Absolutnaja prawda. - Attache poprawił cieniutki krawat koloru jego wojskowej koszuli. - Próbowaliśmy odbić dziewczynę. Myśleliśmy, że to będzie dla nas szansa, żeby pokazać, że Azerbejdżan nie potrafi się sam rządzić. Że tylko Rosjanie są w stanie zaprowadzić tam porządek. Miała być podarunkiem dla jej ojca, senatora. Dla waszego kraju.

-Z dobroci serca.

-Nie. Z powodu tego rurociągu. To żadna tajemnica. Uważamy, że nierozsądnie postępujecie budując tu rurociąg. Rosja to jedyny bezpieczny teren. Ale nie chcieliście słuchać. A my chcieliśmy wam tego dowieść.

Burton znów uderzył w blat biurka, ale tym razem nie tak mocno. Starał się szybko myśleć, ale jego mózg pracował na zwolnionych obrotach. - I tak uważam, że to wy ją macie. Więc nie próbuj robić ze mnie idioty. - Najgorsze było to, że instynkt podpowiadał mu, że zdenerwowany jak diabli Rosjanin, mówi prawdę. Był jednak zbyt zmęczony, żeby to analizować. Wykończony i zdeustowany, zmienił pozycję i kątem oka znów zobaczył nową mapę. - To najlepsza mapa Baku, jaką kiedykolwiek widziałem - masz jeszcze jedną?

Attache obrócił się gwałtownie. Spojrział na mapę i na jego twarzy ponownie odbił się wyraz zdenerwowania. Po chwili wstał i poszedł na koniec gabinetu. Tam usiadł na krześle, przez co zmusił Burtona do przeniesienia wzroku z mapy na niego.

-Musimy współpracować - powiedział Swiridow. - Żeby rozwiązać problem tej dziewczyny. Myślę, że jedyne wyjście to pracować razem.

-Nie jestem przyzwyczajony do ścisłej współpracy z ludźmi, którzy szlachtują kobiety i dzieci w biały dzień - powiedział Burton.

Attache spojrział na niego niedowierzająco. - Takie rzeczy się zdarzają, Evan. Dobrze o tym wiesz. Świat jest pełen przemocy.

- Okaż mi trochę dobrej woli. Powiedz mi coś, czego nie wiem. Najpierw chciałeś mi wcisnąć stuprocentowe kłamstwo, teraz zszedłeś do jakichś pięćdziesięciu procent. Ułatw mi życie.

Rosyjski pułkownik podniósł ręce w błagalnym geście. - Proszę. Musisz mi uwierzyć. To dla nas wyjątkowo niefortunna sytuacja. Nie chcemy teraz żadnych kłopotów.

- Teraz? W przeciwieństwie do jutro? Albo wczoraj?

Attache odwrócił wzrok. - Nie chcemy kłopotów. Nadeszły ciężkie czasy. Kiedy Rosjanie i Amerykanie się kłócą, te czarne tyłki mogą nas wystrychnąć na dudka.

Burton wstał. - Jeśli nie dowiedziecie, że się mylę, będę musiał założyć, że to wy przetrzymujecie dziewczynę. Mam na to dowody, kolego. - Pokręcił głową z udawanym żalem. - Poczujesz jak ziemia pali ci się pod stopami, Mitia. Osobiście. Zamierzamy przekonać mafię naftową, że to wasza wina, jeśli stracą ten rurociąg. Przybędzie ci kilku interesujących przyjaciół. - Przyglądał się jak na zdesperowanej twarzy Rosjanina pojawia się przerażenie. Potem stanowczym krokiem poszedł w kierunku drzwi.

Attache wyszedł za nim na korytarz, wołając: - Evan, proszę. Nie mamy tej dziewczyny. Mówię ci szczerze.

Nawet kiedy strażnicy zaalarmowani hałasem podeszli, żeby eskortować Burtona do wyjścia, Swiridow dalej za nim szedł, rozkazując im go nie dotykać i traktować z szacunkiem, na przemian krzycząc na podwładnych i błagając Burtona, żeby był rozsądny.

Zamiast udać się prosto do ambasady niemieckiej, Heddy najpierw pojechała do swojego apartamentu. W gabinecie Hamedowa spociała się jak mysz. Chciała jeszcze raz wziąć prysznic. I włożyć czyste ubranie. Ale wiedziała, że pewnych rzeczy nie da się zmyć pod prysznicem.

Co ja zrobiłam? - pytała sama siebie. Co ja zrobiłam?

Nie próbowała nawet odpowiedzieć na to pytanie. Jej myśli krążyły od Hamedowa i brudnych sprawek, które ich teraz ze sobą łączyły, do płaczącego Helmuta. Jednocześnie bała się, że go straciła i nie potrafiła sobie wyobrazić życia przy jego boku. Zachowała się głupio i dziecinnie, zostawiając go w ten sposób.

Pomyślała ze strachem o Burtonie. Bała się, że on jakimś cudem dowie się, co zrobiła, że Hamedow zdradzi ich tajemnicę. Albo ją sprzeda. Zrozumiała, że złożyła swój los w ręce azerskiego generała. I w ręce ludzi z Bonn i Pullach, którzy nie dorastali do jej oczekiwań i przeraścili je zarazem. Najgorsze było to, że oni dokładnie wiedzieli, co robią. Wszystkie jej plany spaliły na panewce. Zaparkowała częściowo na chodniku przed swoim budynkiem i obserwowała przejeżdżający z

dużą szybkością sznur samochodów. Dotknęła twarzy i zdała sobie sprawę, że płacze.

-Evan - powiedziała.

Może on nigdy się nie dowie. Kto wie, czy nie zostało im jeszcze kilka wspólnych chwil. Wydawało się jej, że metodycznie i rozsądnie pogodziła się z jego stratą, ale teraz czuła się jeszcze gorzej na samą myśl, że już nigdy się do niego nie przytuli, niż kiedy obiecała generałowi zapłatę za zabicie niewinnej dziewczyny. Otworzyła drzwiczki od samochodu, żeby zwymiotować, ale w gardle miała sucho, nie licząc smaku żółci. Rozpędzony kierowca skręcił ostro, żeby ją wyminąć, obijając się o przeciwległy krawężnik wąskiej ulicy. Zatrąbił i zniknął. Z pochyloną głową zobaczyła wojskowe buty, jakie czasem nosił Evan, i usłyszała głos, mówiąc po angielsku:

-Powinna pani bardziej na siebie uważać, panno Seghers.

To był sierżant, który pracował dla Evana. Spooner. Sprawiał wrażenie, że przynosi złe nowiny.

Burton prawie zasnął, czekając na swój lunch. Było jeszcze wczesnie i jedyną klientelę w „Charley's” stanowili siedzący przy jednym stoliku robotnicy z platformy i trzech nowych gringos w ubraniach khaki, zapewne dziennikarze. Narzekali jeden drugiemu na warunki panujące w hotelu i na to, że lokalne władze prawie nie znają angielskiego. Kelnerka obsługująca lokal miała na sobie czarne dżinsy, które obciskały ją bardziej niż rajstopy. Trochę zbyt długo wpatrywała się w rozcięcia na twarzy Burtona, ale z przyzwyczajenia i tak próbowała flirtować, zanim przekonała się, że myślami Burton znajduje się gdzie indziej.

Chciał, żeby to Rosjanie mieli Kelly Trost. Liczył na to, że ją mają i oddadzą w dobrym zdrowiu. Nawet gdyby mieli się tym chełpić. Zależało mu jedynie na tym, żeby była cała i zdrowa. Miał wrażenie, że przygląda się sobie przez weneckie lustro i widzi nieznanego, który zaczyna traktować swoją pracę jak obsesję. Poza tym, szczęśliwe zakończenie dałoby mu czas na spakowanie się przed opuszczeniem kraju. W takim wypadku ukradziono by mu tylko połowę dobytku na statku, ale nie straciłby wszystkiego. Jego fonotekę trzeba będzie wysłać pocztą. Azerowie ukradną mu, rzecz jasna, wieżę stereo, ale ją da się odkupić. Miejscowych interesują tylko błyszczące, nowoczesne towary, które można podłączyć do prądu albo szybko sprzedać. Historia nie jest wartością stałą, tego nauczyli się w czasach Związku Radzieckiego.

Do restauracji weszła rozwścieczona, chuda Angielka, klnąc na czym świat stoi. Usiadła przy stole z dziennikarzami i dobitnym głosem

zażyczyła sobie piwo. Burton żałował, że poznał Heddy od strony, którą zaprezentowała poprzedniego wieczoru. Wciąż miał w uszach jej ataki na ambasadora, upokarzające słowa, dobierane z chirurgiczną precyzją. Czy mężczyzna i kobieta są w stanie naprawdę się poznać? Pomijając kilka intymnych szczegółów?

Zbaczasz z drogi, kolego. Obie ręce z powrotem na kierownicę. . Miał nadzieję, że dziewczyna jest u Rosjan - cała i zdrowa - We zaczynał w to wątpić. Swiridow bał się, że Burton zada mu nieodpowiednie pytanie.

I co teraz? Żołądek palił go od kawy, głodu, dyskusowania, zmar-twień i złości. Jego zniekształcone postrzeganie rzeczywistości kojarzy-ło mu się z uczuciem, jakie człowiek ma pod koniec manewrów na poligonie, kiedy udaje się wraz z innymi oficerami, że w czasie wojny nikt nie potrzebuje snu. Nie był w najlepszej formie do podejmowania decyzji dotyczących życia i śmierci. Myślał tylko o tym, żeby od nowa zacząć pielgrzymkę od drzwi do drzwi, zebrząc o okruchy informacji, nie mając w zamian wiele do zaoferowania. „Dobra wola Stanów Zjed-noczonych”. Nie zapłaciłby nią nawet za swój lunch. Kelnerka przynio-sła mu mielonego kotleta z baraniny, a do tego frytki i butelkę wodni-stego ketchupu „Made in Europa”. Powrót do domu będzie miał swoje dobre strony. A do emerytury przeczeka prawdopodobnie na jakiejś cichej posiadce. Oddelegują go pewnie do DIA na ostatnie miesiące, żeby pisał raporty, których nikt nie czyta.

Pierwszy kęs obudził jego głód. Jadł niechlujnie, co poprzedniego dnia wprawiłoby go w zakłopotanie. Kelnerka, ukształtowana przez miejscową tradycję, patrzyła na niego z aprobatą. Najpierw odwiedzi Hamedowa. Zobaczy, co kombinuje ten szczywany lis. Potem... może pojedzie do obozu w Sumgait. Porozmawia z współpracownikami dziewczyny z misji humanitarnej. Zacznie od początku. Poszuka oczy-wistych śladów, które inni przegapili. Gdyby mógł zrobić jedną rzecz, która liczyłaby się do końca życia, chciałby znaleźć Kelly Trost. Jasno-czerwona kropla keczupu kapnęła mu na spodnie khaki, na dolną kie-szeń, w której nosił telefon komórkowy. Burton zapewnił spodniom pierwszą pomoc i skończył jeść. Wziął do ręki pęk serwetek i zostawił na stole pieniądze za posiłek wraz z napiwkami. Wychodząc, zatrzymał się, żeby porozmawiać z barmanem, który właśnie zaczął wycierać drewniany blat mokrą szmatką.

- Ładne strupki. - Barman spojrzał na Burtona. - Znalazłeś wreszcie swoją Kelly?

Burton potrząsnął głową przecząco. - Byłem w głębi kraju. Co ga-dają na mieście?

-Och, porwana przez pieprzonych Marsjan. Gównu wiedzą. Plotki nie warte splunięcia. - Wskazał ręką dziennikarzy, którzy pili i szeptali zawzięcie między sobą. - I te durne pytania, jakie zadają. Jakbym ukrywał tę dziewczynę za barem, na litość boską. - Zachnął się. - Nawet nie słuchają odpowiedzi. Zachowują się jak żebracy. Siedzą tu od otwarcia, a żałują każdego pensa. - Wrzucił szmatkę do zlewu. - Nic nowego o twojej Kelly, Evan, przyjacielu.

Burton odczytał aluzję w odpowiedzi barmana. W „Charley's American Bar” zawsze gra się w trzydzieści pytań. - A o czymś innym?

Eamon wzruszył ramionami. - Miejscowi stawiają bagnety na broń. Jak w pieprzonym Belfaście, co?

-Widziałem wczoraj wieczorem kilka oddziałów jadących na południe.

-Zgadnij, kto wczoraj pracował do białego rana. Stary Torgut, Shylock z Mekki.

Torgut Keyseri handlował walutą. Czarnorynkowe stawki, tylko duże ilości.

-Na dolary?

-Nie, na pieprzone rupie.

Burton kiwnął głową. Kiedy sytuacja polityczna się zaognia, każdy natychmiast wymienia lokalną walutę na dolary. - Jaka stawka?

-Gówniana.

-Dzięki.

-Hej, Evan. Wiesz, czemu walijskie pułki zawsze mają angielskich oficerów?

-Nie.

-Bo kolonialne oddziały potrzebują białego dowództwa. Hej, masz krew na spodniach.

-Keczup. Dzięki.

Ściskając w rękę pęk serwetek, Burton poszedł do toalety, żeby wyczyścić spodnie. Ubikacje w „Charley's” były fatalne, trzeci świat dla bogaczy; zbudowane na potrzeby hali sportowej na górze. Przynajmniej miały bieżącą wodę. Kiedy człowiek jest zmęczony, popełnia błędy, powiedział sobie. Wylewasz na siebie ketchup i nie potrafisz myśleć.

Baku zmienia się w żółwia i chowa do skorupy.

Reperkusje po Kelly Trost? Reakcja na śmierć Galibaniego? Kolejna zapomniana ofensywa obudziła się w górach?

Burton zdawał sobie sprawę, że powinien zbierać strzępki informacji, skąd tylko się da, pisać depesze, śledzić konwoje. W rzeczywistości był jednak zbyt zmęczony, żeby samemu prowadzić samochód, ale

potrzebował Spoonera w ambasadzie, a w obecnej sytuacji nie ufał żadnemu z miejscowych kierowców. Tylko ja i moja Łada, pomyślał.

Samokrytycznie spojrzął na plamę na spodniach khaki. Nie ma nawet odwagi, żeby wrócić do domu i się przebrać. Bał się, że Kandinsky zostawił niemieckiego ambasadora w jego łóżku, że będzie tam Heddy i że zrobi się paskudniej niż w burdelu na wyspie trędowatych.

Jadąc samotnie windą, tarł udo, drąc chusteczki na strzępy i rozmawiał sam ze sobą.

- Heddy... mogłaś się lepiej spisać.

Myślał, że jest sam, ale się mylił. Mały Talaat, azerbejdżańska wersja Petera Lorre i kaukaski król plotek pojawił się w lustrze, o głowę niższy od Burtona, mimo że Amerykanin pochylił się nad pobrudzoną nogawką spodni.

- Znalazłem pana, Burton-effendi.

Nie mam na to czasu, pomyślał Burton. Ani czasu, ani cierpliwości. Nie dzisiaj.

Skracając cały ceremoniał, Burton wyjął portfel, żeby dać Talaatowi pieniądze, za które będzie mógł sobie kupić szaszłyk u jednego z ulicznych sprzedawców. Ale mały człowiek delikatnie ścisnął ręką jego nadgarstek. Według miejscowych zwyczajów, oznaczało to wyjątkowo poważną i niecierpiącą zwłoki sprawę.

- Proszę. Musi mnie pan wysłuchać.

- Czy nie moglibyśmy porozmawiać później, Talaat-bey? Karzeł przestąpił z nogi na nogę i wzmocnił uścisk. Zupełnie jakby trzymało się papugę na ramieniu.

- Proszę, Burton-effendi. Pan jest moim wielkim przyjacielem, najlepszym z ludzi. Muszę panu pomóc. Proszę. Zajmę chwilę.

Burton wyprostował się. Doszedł do wniosku, że zachowuje się jak świnia. Oczywiście, że znajdzie minutę dla tego biednego, starego dziwaka: to przecież był on, gdyby nie łaskawość kodu genetycznego, narodowości, wykształcenia i osobowości.

- Mów, mój przyjacielu. Proszę. Podziel się ze mną swoimi wiadomościami.

Uśmiech zabłysnął na chwilę na twarzy małego człowieka. Jego oczy przypominały Burtonowi małe kulki, którymi w dzieciństwie chciał go zainteresować ojciec.

- Myli się pan, co do Rosjan, Bey-effendi. Oni nie mają dziewczyny. Dziewczyna jest tutaj. W Baku.

Strażnik w holu Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie chciał wpuścić Burtona do środka. Był to chłopiec z rejonów wyżynnych, nowy w

mieście i w nowym mundurze, a Burton ledwo rozumiał jego dialekt. Mundur chłopca nie tylko był nowy, ale i nieprawidłowy. Zwykli strażnicy, z których większość znała Burtona z widzenia, nosili szare mundury. A chłopiec miał na sobie luźny mundur polowy w kolorze musztardy, przez ramię zaś przewieszono starego Kałasznikowa.

Jakieś zamieszki w ministerstwie? Zwolniono kogoś ze stanowiska? Kolejny zamach? Burton znów czuł, że zbyt wiele spraw dzieje się zbyt szybko. Teraz prawie przez cały czas miał takie wrażenie.

- Posłuchaj - powiedział Burton wolno i stanowczo - przyszedłem się zobaczyć z generałem Hamedowem. Rozumiesz?

Chłopak spojrzał na niego beznamiętnie. - Nie ma przepustki, nie wejdzie do środka.

- Żołnierzu, chcę podejść do tego biurka i zadzwonić do gabinetu generała Hamedowa.

Obok chłopaka zaczęło się zbierać więcej młodych mężczyzn w musztardowych mundurach.

- Nie ma przepustki, nie wejdzie do środka.

Burton pokazał mu kartę akredytacyjną, wydaną przez rząd Azerbejdżanu. Chłopiec obejrzał ją dokładnie, trzymając obiema rękami. Burton podejrzewał, że nie umie czytać. Po krótkiej chwili oddał dokument, z zakłopotaną, ale nieprzejednaną miną. Nic nie powiedział, ale dalej blokował wejście.

- Czy mógłbyś zadzwonić do gabinetu generała Hamedowa i powiedzieć mu, że podpułkownik Burton chce się z nim widzieć? W przeciwnym razie, sam tam pójde.

Wolno chłopiec zdjął z ramienia karabin i wycelował go w brzuch Burtona. Burton zastanawiał się, czy młody żołnierz kiedykolwiek z niego strzelał. Trzymał broń dość nieporadnie. Ale jego determinacja nie podlegała dyskusji.

Z bocznego korytarza wyszedł podoficer i spytał, czego Burton sobie życzy. Był bystrzejszy i mniej niewzruszony niż szeregowiec, co dało Burtonowi cię nadziei.

- Przyszedłem się zobaczyć z generałem Hamedowem - powiedział rozkazującym tonem. - Dajcie go do telefonu.

Nazwisko generała odniosło pożądany skutek. Podoficer przemówił do chłopaka tak ostro, jakby go uderzył w twarz i lufa karabinu przestała celować w ciało Burtona. Następnie podoficer podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Ale nic do niej nie powiedział. Chwilę później wrócił do Burtona, ze zmienionym wyrazem twarzy.

- Telefon nie działa. Bardzo mi przykro.

-W porządku - odpowiedział Burton. - Zawołaj oficera. Jakiegokolwiek oficera. - Spojrzał na zegarek z przesadnym niepokojem i skłamał: - Mam spotkanie z generałem Hamedowem i już jestem spóźniony.

Podoficer skinął głową i zniknął w korytarzu, z którego przyszedł. Wokół Burtona zebrało się teraz trzech żołnierzy. Żałował, że nie ma przy sobie papierosów, żeby ich poczęstować. Chociaż sam nie palił, zazwyczaj nosił przy sobie jedną lub dwie paczki Marlboro, kiedy był w terenie, żeby przełamywać lody z wartownikami i tego typu ludźmi. Dzisiaj jednak improwizował.

-A więc - zaczął Burton w swoim potocznym tureckim – długo jesteście w Baku, chłopcy? - Rozejrzał się po przestronnym, obskurnym holu.

-Dopiero od wczoraj wieczór - odezwał się jeden z chłopców. Burton kiwnął głową. - Długa podróż?

Żołnierz skrzywił się. - Od samego Gyandzha. Sukinsyny nie zatrzymały się nawet, żebyśmy mogli się wysikać. Próbował pan kiedyś sikać z ciężarówki? Wszystko chłapie z powrotem na człowieka.

-Długo jesteście w wojsku?

Pojawił się major w mundurze schludniejszym niż jego podkomendni. Przystojny, ale bardziej podobny do mieszkańców północnych Indii niż Kaukazu. Podbiegł do Burtona, po drodze zapinając pas. Wydawało się, że czaszkę ma za małą w stosunku do reszty ciała.

-Bardzo przepraszam. Ma się pan spotkać z generałem Hamedowem? Żołnierze nie zrozumieli. Bardzo mi przykro. Myślałem, że wszyscy przybyli już na spotkanie. Nie wiedziałem. Inaczej nigdy bym nie zszedł ze stanowiska. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Burton natychmiast ruszył w stronę głównego korytarza.

-Jestem spóźniony - skłamał ponownie. Nawet nie dzwonił do Hamedowa, bojąc się, że generał go odeśle z kwitkiem. Tymczasem wyglądało na to, że trafił w dziesiątkę. - Mówicie, że wszyscy już są?

-Tak - potwierdził oficer, próbując dotrzymać Burtonowi kroku. Burton liczył na to, że major wymieni jakieś nazwiska.

-A spotkanie jest w gabinecie generała Hamedowa? Tak jak mi mówił? - Kłamczuchu, zaraz nos ci urosnie jak u Pinokia, mówił sobie w duchu.

-Tak, tak. Wszyscy już są.

-Jesteście z Nachiczewanu, tak? Poznałem po akcencie.

-Ach, tak - powiedział z dumą major. - Z tej samej wioski, co generał Hamedow. Ale nie jesteśmy spokrewnieni.

-Ale wasza jednostka jest z Gyandzha?

Major wzruszył ramionami. - Żołnierz pełni służbę, gdzie mu każą.

-Gyandzha to fascynujące miejsce. - To prawdopodobnie było największe kłamstwo, jakie Burton do tej pory powiedział. Gyandzha, której dni świetności dawno już się skończyły, była ohydny, przemysłowym miastem, produkującym głównie bezrobocie i przestępstwa. Wspinali się po schodach do gabinetu Hamedowa. - Miasto Nizami, poezji i róż. Przypuszczam, że generał tu pana sprowadził, żeby mieć do dyspozycji oddziały, którym może zaufać.

-Tak, tak. Czasy są bardzo niebezpieczne. Generał wezwał nas zupełnie niespodziewanie. Jak pan widzi, moi ludzie nie ukończyli jeszcze szkolenia. Rekruci nie są jeszcze gotowi, ale reszta batalionu jest bardzo dobra.

-Też przyjechali? - Burton starał się, żeby pytanie brzmiało na zadane mimochodem. Nie zostało wiele czasu. Od gabinetu Hamedowa dzieliło ich tylko kilka kroków.

-Tak, ale czekają pod miastem. Na wypadek kłopotów.

Przed drzwiami gabinetu Hamedowa stało dwóch wartowników z Kałasznikowami. Burton, który doskonale wiedział, że jest w tym miejscu niepożądaną osobą, spodziewał się, że w każdej chwili jego blef zostanie odkryty i wyprowadzą go z budynku na muszce.

Żałował, że nie uprzedził Spoonera ani ambasadora, dokąd się wybiera. Telefon komórkowy w jego kieszeni był w tej chwili niewiele wart.

Major wydał krótki rozkaz strażnikom i zeszli im z drogi. Jeden z nich nawet otworzył Burtonowi drzwi. Ten major, pomyślał Burton, będzie miał bardzo krótką karierę. Prawie przebiegł przez zewnętrzne biuro. Nie było tam więcej straży, jedynie zaskoczona sekretarka w mundurze. Burton gwałtownie otworzył drzwi do gabinetu, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

W gabinecie, nad mapą rozłożoną na stole konferencyjnym stał Hamedow w otoczeniu najbardziej niedobranej kompanii jaką Burton w życiu widział. Był tu Swiridow, rosyjski attache, pochylony nad mapą obok Dicka Fleminga, Gnidy Naftowej. Fahrad Adjami, irański szachraj od kupna i sprzedaży obrócił się właśnie do nieznanego Burtonowi, niskiego mężczyzny, który bez wątplenia był Ormianinem. Ci ludzie na co dzień niewiele mają ze sobą wspólnego, a Ormianin - jeśli faktycznie nim był - ryzykował życie pojawiając się w tym kraju, a co dopiero w siedzibie tajnej policji.

Do Burtona nie dotarło jeszcze, co widzi, ale wiedział, że nie jest to przeznaczone dla jego oczu. Gdyby istniał bezpieczny sposób wyniesienia

się stąd, wycofałby się, zamknął za sobą drzwi i rzucił się do ucieczki. Twarz Hamedowa pociemniała. Fleming natomiast zbladł. Twarz Ad-jamiego nie zmieniła się zupełnie. Rosyjski attache wyglądał, jak dziecko przyłapano z ręką w pudełku z ciastkami, a Ormianin był po prostu zdumiony. Burton miał cichą nadzieję, że nie widać po nim za bardzo strachu. Hamedow odzyskał panowanie nad sobą. - Ach, pułkownik Burton, co za miła niespodzianka. Obawiam się, jednak, że przychodzi pan nie w porę. Mam gości.

-Niech mi pan powie o dziewczynie, to sobie pójdę.

Hamedow uniósł brew. - Nie pasują do pana złe maniery, Evan.

Burton przyjrzał się po kolei wszystkim twarzom. Powoli przy-chodzili do siebie po chwili zaskoczenia i widać było, że nie życzą mu za dobrze.

-Miałem nadzieję, że coś pan słyszał. - Burton próbował ukryć drżenie głosu.

Hamedow jednak wyczuł strach w jego głosie. Uśmiechnął się. - Będę w kontakcie. Ale uważam, że powinien pan już iść. - Przeniósł wzrok na majora i spojrzał na niego surowo. -Wyprowadź naszego go-ścia z budynku. A potem wróć do mojego biura.

Żarty się skończyły. Burton zastanawiał się, czy Hamedow zastrzeli majora, czy tylko podda go torturom, bez względu na to, czy pochodzą z tej samej wioski czy nie. Podejrzewał, że majorowi chodzą po głowie podobne myśli. Major rozumiał, że popełnił wielki błąd. Żeby go na-prawić, wyjął pistolet z kabury.

-To nie będzie konieczne - powiedział mu Hamedow, z trudem pa-nując nad tonem głosu. - Pułkownik Burton nie będzie robił trudności. - Odwrócił się do Burtona. - Prawda, Evan? A wracając do sprawy, bar-dzo przejmujemy się losem tej dziewczyny. Zrobimy wszystko, żeby pomóc.

-Doceniam każdą pomoc - odpowiedział Burton. Przez chwilę pa-trzył Hamedowowi prosto w oczy, po czym odwrócił się gwałtownie, szykując się do wyjścia. Przyszło mu do głowy, że jeśli uda mu się wyjść z poczekalni, będzie miał pięćdziesiąt procent szans na wydosta-nie się z budynku.

Rzucił okiem na mapę, leżącą na stole. Taką samą, jaka wisiała w gabinecie rosyjskiego attache. Przedstawiała Baku. Generał szykował zamach stanu.

Burton szedł głównym korytarzem, w eskorcie dwóch strażników z biura Hamedowa, a za nim podążał major Mała Głowa. To był najdłuższy spacer w jego życiu.

Nie mógł uwierzyć, że Hamedow wypuści go stąd żywego, po tym, co zobaczył. Chyba że sprawa jest już na tak zaawansowanym etapie, że generał nie sądził, by Burton albo ambasador amerykański mogli w jakikolwiek sposób wpłynąć na jej bieg. Gdyby nawet prawda wyglądała właśnie tak, Burton, mimo wszystko, widział za dużo. Na korytarzu nie było specjalnie gorąco, a jego ubranie zdążyło już przesiąknąć potem. Konstelacja aktorów w biurze nadal nie układała mu się w logiczną całość. Wiedział jednak, że ją rozpracuje. Tyle innych spraw nagle zaczęło nabierać sensu. Jak oddziały ochrony prezydenta wysłane na południe poprzedniego wieczoru. I przejęcie ministerstwa przez oddziały z górzystych rejonów kraju. Hamedow pozbywał się ze stolicy oddziałów lojalnych obecnemu rządowi, korzystając z nieobecności prezydenta. Aliew przebywał w Azji Środkowej na konferencji WNP i wracał dopiero jutro.

Godzina zero nastąpi dzisiejszej nocy.

Jedna myśl gonila drugą. Nawet najazd na rezydencję Galibaniego mógł być częścią większego planu. Czy porwanie w jakiś sposób wiązało się z zamachem stanu? A co ta gnida, Fleming, ma wspólnego z całą sprawą? Ropa, to jasne. Ale gdzie tu haczyk? Czy on nie był też po stronie Aliewa? A Ormianie, na litość boską? No, mądralo, połał się w tym wszystkim.

Major nadepnął Burtonowi na piętę, drobnostka, może nawet przypadek, ale Burton znów poczuł, jak bardzo major chce się z nim policyć. A nawet zabić go. Mężczyzna bał się po prostu popełnienia kolejnego błędu. Burton nigdy nie widział człowieka tak wystraszonego, a zarazem tak wściekłego, jak major w obecności Hamedowa. Teraz szedł tuż za nim, tak blisko, że Burton niemal czuł jego gorący oddech na karku. Ale nie rozległ się dźwięk odbezpieczenia broni i nie spadła na niego niczyja pięść.

Może zadziałała stara dobra, amerykańska magia. Może Hamedow, mimo całej swojej brawury, nie chce ryzykować zrobienia krzywdy amerykańskiemu oficerowi. Nawet jeśli nie ma tu przyjaznych Burtonowi świadków. Istniała, oczywiście, realna szansa, że nie chce, żeby pozostali mężczyźni z gabinetu byli świadkami podobnego aktu i nie mieli go czym szantażować w przyszłości. Hol na końcu korytarza wydawał się być nieznośnie daleko. W korytarzu śmierdziało, a Burton zastanawiał się, czy to przypadkiem nie zapach jego własnego strachu. Po przejściu holu zostanie jeszcze dziedziniec, a potem ulica. Będzie musiał dojść za róg. Pół przecznicy do miejsca, gdzie zaparkował. Mogą, rzecz jasna, wpakować mu kulkę, kiedy wsiądzie już do samochodu. Ale każdy krok zbliżał go do bezpieczniejszej strefy.

A swoją drogą, ciekawe, jak można wyczuć cudze uczucia. Zupełnie jakby wskakiwało się w parę czyichś dżinsów. Major Mała Głowa z całego serca pragnął wpakować mu kulkę w potylicę. Stłuc go na kwaśne jabłko kolbą pistoletu. Przed lub po pociągnięciu za spust. Chciał go zniszczyć.

Tuż przed dotarciem do prawie bezpiecznej strefy holu, w korytarzu zagrział czyjś potężny głos.

- Stać.

Hamedow. Burton próbował się obrócić, chciał stanąć twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem, a nie dostać w plecy jak gangster spisany na straty. Ale wartownicy przytrzymali go tak, że nie mógł się ruszyć.

Kroki generała dudniły w korytarzu. W tym czasie major przysunął się do Burtona i wyszeptał mu do ucha: - Jeśli przeżyję, znajdę cię i zabiję.

Będiesz musiał ustawić się w kolejce, pomyślał Burton.

Kroki zbliżyły się. Burton czekał na cios. Albo na kulkę.

- Zostawcie go mnie - rozkazał Hamedow.

Wartownicy odsunęli się. Szybko. A za nimi - z wyraźnym ociąganiem - major. Burton odwrócił się. Generał szarpnięciem odpiął koszulę przy szyi, uwalniając potężną szyję. Twarz nadal miał czerwoną. I spoconą. Ale i on wyglądał na zmęczonego. A w rękę nie trzymał broni. Generał wepchnął Burtona do jednego z gabinetów, przekleństwami wyganiając na zewnątrz dwie przerażone sekretarki. Zatrzasnął drzwi i natychmiast zaczął strzelać kostkami palców.

- Evan. Niech pan mnie posłucha.

Co tylko chcesz.

- Jesteś człowiekiem z wywiadu. Wiesz, co widziałeś. Albo niedługo to zrozumiesz. Ale nie sądzę, żebyś rozumiał Azerbejdżan.

Zgadłeś, pomyślał Burton. Nogi miał jak z gumy, zupełnie jak te wystraszone ludziki z kreskówek. Odwaga zależy w cholernie dużym stopniu od okoliczności, pomyślał.

- Evan... mojemu narodowi potrzebny jest pokój. A pokoju nie ma. Musimy zawrzeć pokój z Rosjanami, z Irańczykami. I, choć boli mnie serce na samą myśl, z Ormianami. Ropa nic nie znaczy, jeśli nie ma pokoju.

- Jestem za pokojem w stu procentach - powiedział Burton.

- Nie wierzysz mi.

- Wszyscy mężczyźni w twoim gabinecie to wrogowie twojego kraju. Może z wyjątkiem Dicka Fleminga, który jest wielofunkcyjnym pasożytem.

-Wrogowie się zmieniają. A ludzie gotowi są na wiele dla pieniędzy.

-Azerbejdżan wybrał już prezydenta. Uznawanego przez Stany Zjednoczone.

Hamedow uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową. - Masz odwagę, żeby mówić mi to prosto w twarz. Wiesz, że mógłbym cię teraz zabić. I nikt by mi tego nie udowodnił. Ameryka by o tobie zapomniała.

To gorzka prawda, pomyślał Burton. Próbował sobie wyobrazić stojącego przed nim człowieka jako przywódcę kraju. Było to nieprzyjemne, ale możliwe. W większości poznanych przez Burto-na krajów, władzę sprawowali podobni ludzie. A nawet gorsi, skoro już o tym mowa.

-Czego pan ode mnie oczekuje?

-Niech pan zapomni to, co pan tutaj zobaczył. Na jakiś czas. Niech pan nie idzie z tym do swojego ambasadora.

-To mój obowiązek. Wie pan o tym.

-Dlaczego? Niech pan porozmawia ze mną jak mężczyzna, a nie wojskowa marionetka. Niech mnie pan przekona, że wasz rząd pragnie dla mojego kraju demokracji. - Machnął ręką w stronę umownego Waszyngtonu. - Ropa, Evan. Ameryka chce naszej ropy. Jesteście tacy sami jak cała reszta. A ja dam wam tę ropę. Widział pan Fleminga.

-Muszę donieść o tym amerykańskiemu ambasadorowi. To mój obowiązek.

Generał machnął ręką znużony. - Obowiązki... to skomplikowana sprawa. Niech mnie pan posłucha, Evan. Jeśli nie liczy się pan z rzeczywistością, to co z dziewczyną? Panną Trost? Widzi pan? Wystarczy, że wymawiam jej imię, a pan zmienia się na twarzy. Zależy panu na niej i wcale się pan z tym nie kryje. Niestety, jest pan w tym odosobniony, mój przyjacielu. Ona stała się ciężarem dla zbyt wielu ludzi. Większość z nich uważa, że byłoby lepiej, gdyby dziewczyna już nie żyła.

-To groźba?

Hamedow uśmiechnął się, jakby miał do czynienia z miłym, ale opóźnionym w rozwoju dzieckiem. - Oczywiście, że to groźba. Bardzo niechętna. Jak inaczej mogę sobie z panem poradzić? Zachowuje się pan jak święty głupiec. Niech mnie pan posłucha. Znajdę dziewczynę. To tylko kwestia czasu. Wie pan, że mam ludzi w całym kraju.

-Nie domyślił się pan, że jest w domu Galibaniego.

-Jest pan pewien? - Generał uśmiechnął się. - Jest pan pewien, że się nie domyśliłem? Rosjanie są tacy niezdarni, tacy głupi. Wszystko

zepsują. Ale do rzeczy, Evan. Obiecuję, że dostanie pan tę dziewczynę. A moja propozycja jest jasna. Jeśli pójdzie pan do ambasadora... jeśli narobi mi pan kłopotów... Pozwolę, żeby inni się nią zajęli. Czekają w kolejce, jak Rosjanie po darmową wódkę. Nie musiałbym nawet ruszyć palcem.

-A jeśli zapomnę, o tym, co zobaczyłem?

-Oddam panu dziewczynę. Przysięgam. Znajdę ją i oddam panu. Żywą. Po załatwieniu sprawy. - Na twarzy miał wyraz szczerego smutku. Albo smutku, który tylko wyglądał na szczerzy. - Evan, rozmawiam z panem jako przyjaciel. Dlaczego pan nie wierzy, że chcę zostać pańskim przyjacielem? Nigdy z własnej woli nie skrzywdziłbym tej dziewczyny.

-Blefuje pan.

-Tak? - Hamedow pokręcił głową, jakby w głębokim żalu. - Jak mam pana przekonać? Czy pan mnie wreszcie wysłucha? Powiem panu, co wiem. Dziewczyna została porwana przez islamskich fundamentalistów. Idiotów. Szaleńców. Amatorów. W rzeczywistości nic o niej nie wiedzieli. I wydawało im się, że zawarli układ z naszym przyjacielem, Galibanim. Ale coś poszło nie tak. Może wystraszyła ich pańska wizyta, tego nie wiem. W każdym razie, młody człowiek zabrał stamtąd dziewczynę, kiedy jeszcze spała z kobietą, przyslaną przez Galibaniego. Moi ludzie dotarli za nimi aż do wioski przemytników na granicy z Iranem.

-Może jest teraz w Iranie. W takim wypadku nic już nie możemy zrobić.

Hamedow pokręcił głową. - Próbowali przedostać się przez granicę, ale musieli zawrócić. Oddziały Irańczyków w takiej ilości, że starczyłoby na dwie dywizje, przeczesują ten teren w poszukiwaniu dziewczyny. Dwie dywizje, Evan. Każdy chce ją dostać. Córkę senatora. Nie, oni nadal przebywają w Azerbejdżanie. Odnajdę ich. A jeśli pan zachowa się jak mój przyjaciel, oddam dziewczynę panu i tylko panu. A tak przy okazji, jest chora.

Wszystko to brzmiało prawdopodobnie.

-Dogadamy się, Evan? Jak przyjaciele?

-Skąd mogę wiedzieć...?

Generał uśmiechnął się. - Zazwyczaj myśli pan szybciej, przyjacielu. Czy to nie oczywiste? Będę potrzebował przyjaźni Ameryki. Po tym jak zniszczę tę waszą „demokrację”. - Roześmiał się głośno. - Pan się nawet nie domyśla, jak przeprowadziliśmy ostatnie wybory. Wybory, których wy Amerykanie, tak bardzo pragnęliście. Nie ma pan nawet pojęcia. Kiedy wszyscy międzynarodowi obserwatorzy pili na umór i zabawiali się z dziwkami. - Zacisnął dłoń na bicepsie Burtona. Bardzo mocno. - Myślę, że byłoby dobrze, gdybym zmanifestował mój szacunek

dla prawa i porządku. Jednym z moich pierwszych oficjalnych posunięć byłyby odnalezienie i uwolnienie dziewczyny. To, oczywiście, wymagałoby dobrej woli wszystkich zainteresowanych stron. Ale warto byłoby to zrobić, ze względu na Amerykę.

- Ten scenariusz... - powiedział Burton - prawie dowodzi, że to pan stoi za jej porwaniem.

Hamedow zachichotał. - Myślenie Persa. We wszystkim węszy pan spisek. Azerbejdżan to skomplikowane miejsce. Chociaż podoba mi się pańska teoria. A teraz, może pan zafunduje sobie mały odpoczynek. Słyszałem, że odwiedziono już niemieckiego ambasadora do jego siedziby. - Otworzył Burtonowi drzwi, ale zatrzymał go w środku spojrzeniem, którego Burton nie potrafił określić inaczej niż udręczonym. - Niech pan mnie posłucha, Evan. Mój przyjacielu. Bo tylko mnie może pan zaufać.

Generał Hamedow uważał, że udało mu się odebrać oręż Burtonowi, co byłoby najkorzystniejsze dla wszystkich zainteresowanych stron, z Burtonem włącznie. Ale cała sprawa napełniała go smutkiem. Szczerze lubił Burtona i wołałby ubić z nim interes, uczynić go współnikiem. Ale Burton wszystko zawsze utrudnia.

Burton to dżigit, wojownik ze starych legend, człowiek honorowy, szlachetny i absurdalnie odważny. Lecz ich czas minął bezpowrotnie, jeśli kiedykolwiek istniał. Jeśli wszystkie pieśni i historie nie są stekiem kłamstw. Wtargnięcie Amerykanina na spotkanie było bardzo niepokojące. Zwłaszcza dla jego pozostałych uczestników, którzy nie chcieli wypuścić Burtona żywego z budynku. Szczególnie Flemingowi zależało na tym, żeby się go pozbyć. Samotny głos Hamedowa uratował Burtona przed natychmiastową egzekucją. Ale pozostali mieli więcej racji, niż był im skłonny przyznać. Jego szacunek i sympatia dla Burtona przyćmiewała jego osąd. Nie da się ukryć, że Burton jest nieprzewidywalny. Z tą swoją fanatyczną uczciwością. Amerykanie w rodzaju Burtona kojarzyli się Hamedowowi z religijnymi fundamentalistami z Iranu. Nie chcą iść na kompromis nawet w najdrobniejszych sprawach, odmawiając zaakceptowania świata takim jakim jest. Hamedowowi udało się jedynie kupić Burtonowi trochę czasu, a i to przy wykorzystaniu siły swojego autorytetu do maksimum. Teraz Burton sam musi utrzymać się przy życiu. Budził w nim litość, co jeszcze bardziej go do Burtona zbliżało. Obydwaj cierpieli przez zdradę. Burton, który zawsze miał kobiety na zawołanie, budząc tym zazdrość innych. A jak został zdradzony! Kobiety mają słabe dusze i nie wolno im ufać. Ta Niemka to potwór. Przeraziła go jej bezwstydnosc, jej głód krwi, brak wrażliwości na

okrucieństwo. Była zdenerwowana, ale bezlitosna. Kobiety potrafią być wyjątkowo podle! Niemniej, Hamedow był przekonany, że potrafi ją kontrolować. Niemcy zmiękli, potrzebowali innych do zabijania na ich zlecenie. Fraülein Seghers nigdy nie zdobyłaby się na pociągnięcie za spust. Lecz wszystkie te okoliczności były niepokojące, zewsząd groziło im niebezpieczeństwo, jawne lub ukryte. Dlatego po końcowym zawiązaniu planów działania na dzisiejszy wieczór i zakończeniu spotkania, Hamedow zadzwonił do swojego najważniejszego sponsora.

- Vandergraaf - powiedział do słuchawki mężczyzna.

Kiedy Hamedow podał swoje nazwisko, dyplomata powiedział: - Niech pan poczeka, muszę zamknąć drzwi.

Hamedow opowiedział mu, co się stało, pomijając szczegóły dotyczące dziewczyny.

-To podstępny sukinyś - powiedział Vandergraaf. - Doniesie o wszystkim Kandinsky'emu. A ten głupiec zadzwoni do Waszyngtonu.

-Mówił pan, że Waszyngton nie stanowi problemu.

-MacCauley nie stanowi problemu. Popiera nas w stu procentach. To znaczy, nie zwracałem mu głowy szczegółami. Ale Drew wie, że Azerbejdżan potrzebuje zdrowszych stosunków z Rosją. Jest nawet gotowy przymknąć oko na kontakty z Irańczykami, jeśli tylko nie wskoczycie z nimi do łóżka.

-A inni będą robić problemy?

-Cóż... można powiedzieć, że sekretarz stanu bierze demokrację i prawa człowieka trochę zbyt dosłownie. A prasa może manipulować faktami.

-Tu jest teraz dużo dziennikarzy. Z powodu panny Trost.

-Proszę się nie martwić. Pomogę panu ich skołować.

-Co?

-Niech się pan nie przejmuje prasą.

-Zajmie się pan nimi? Ameryka mnie poprze?

-Po kilku tygodniach. Kiedy opadną emocje. MacCauley wszystko załatwi, kiedy tylko przeanalizuje sprawę. Ale nie możemy robić szumu zawczasu. Rozumie pan?

Hamedow milczał przez chwilę.

-Halo? - ponaglił go Vandergraaf.

-Co to znaczy? Że popełniłem jakiś błąd? Powinienem był uwięzić Burtona na tę noc? Co pan próbuje mi powiedzieć, Arthurze?

-Mówię - odrzekł dyplomata - że są większe zmartwienia niż podpułkownik, któremu nie można ufać.

-Co mam zrobić? - Hamedow nienawidził rozmów z dyplomatami, ale byli równie niezbędni jak kobiety. - Nie może pan powstrzymać Burtona przed wygadaniem się przed ambasadorem?

-Burton - odezwał się Vandergraaf po chwili milczenia - się nie liczy.

-Co?

-Posłuchaj mnie, Hamedow. Burton się nie liczy. Nikt nie będzie za nim tęsknił. Zajmij się tym. Rozumiesz?

Teraz Hamedow zrozumiał.

-A co z dziewczyną? - spytał dyplomatę.

-Przebrzmiała sprawa. Wszystko mi jedno. Tylko niech się pan upewni, że nie zwałą winy na pana, do cholery. Mam dużo pracy.

Hamedow był szokowany. Czy perfidia ludzi z Zachodu nie ma granic? Wiedział, co mówią o nim i jego rodakach. Ale czy jego ludzie są aż tak źli? Czy ludzie z Zachodu nie znają pojęcia lojalności?

Pomysł zabicia Burtona jest wstrętny i pozbawiony sensu. Liczył na to, że Vandergraaf będzie bronił swojego rodaka, stanie po jego stronie, zażąda jego nietykalności, żeby Hamedow mógł powiedzieć swoim kolegom, że ma związane ręce i że Burtonowi nic się nie może stać. Znów rozgniewał go jego brak zdolności przewidywania i zrozumienia tych ludzi. W jakich innych kwestiach błędnie ocenił Vandergraafa? Hamedow zdecydował, że Burton zostanie zabity tylko w ostateczności. A teraz widział już, że tak się może zdarzyć. Nie sprawi mu to jednak przyjemności. Gdyby istniał sposób na utrzymanie Burtona przy życiu, Hamedow na pewno by z niego skorzystał. Spróbuje go znaleźć. Chyba że Burton sam zdecyduje o swoim losie. A znając Amerykanina, Hamedow nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Oczekiwał strasznej konfrontacji. Po raz pierwszy Hassan Hamedow zmuszony byłby zrobić coś dla siebie nienawistnego. Dziewczyna to już inna sprawa. Nie życzył jej śmierci, ale nie liczyła się. Szczerze pragnął oddać ją Burtonowi, żeby zyskać wdzięczność Ameryki. Niestety, wygląda na to, że te drzwi zostały zamknięte. Potrzebuje poparcia Vandergraafa i zrobi prawie wszystko, czego tamten od niego zażąda. Hamedow z goryczą pomyślał o miękkim ciele i twardym sercu tego człowieka. Vandergraaf przypominał mu eunucha z haremu. Jak to się stało, że musi polegać na ludziach wzbudzających jego najmniejszą sympatię? Generał pragnął lepszego obrotu spraw, ale nie widział takiej możliwości. Cóż, jeśli mimo wszystko trzeba będzie zabić dziewczynę, umrze ona z własnego wyboru, podobnie jak wiele innych osób. Upozoruje to tak, żeby zabójstwo wyglądało na robotę ludzi prezydenta. Do diabła z Niemcami. I ich

szatańskimi kobietami. Rosjanie są bliżsi i o wiele potężniejsi. Więc do diabła z Niemcami i ich czterema milionami dolarów. Cztery miliony nie będą miały znaczenia. Za kogo oni go biorą? Za drobnego gangstera? Może i jego chcieliby się pozbyć w następnej kolejności.

Jeszcze im pokaże. Im i całemu światu.

Samotny generał zagłębił się w fotelu i zapatrzył w dal. Na progu wielkości jego dzień miał smak popiołu. Ciemna strona ludzkości wprawiała go w konsternację.

11

Bob Felsher siedział nad bardzo wczesnym śniadaniem w „International House of Pancakes” i pozwalał, żeby stygło. Danie było smaczne, ale nowiny odbierały mu apetyt. Generał major Kulikow z rosyjskiej ambasady, usadowiony po drugiej stronie stolika, miał na sobie ubranie z rodzaju tych, które żona Felshera dawno już oddała na cele dobroczynne, żeby mogli to sobie odpisać od podatku. Rosjanin jadł łączywie, mówił z pełnymi ustami i, ogólnie rzecz biorąc, nieprzyjemnie było na niego patrzeć. Właśnie powtórzył, przeżuając jednocześnie: - Co za rozczarowanie. Plan mieliśmy świetny, ale dziewczyny już nie było. Nasi żołnierze przeszukali dokładnie całą rezydencję, a to zawodowcy, jeśli chodzi o akcje specjalne. - Podniósł do ust widelec z plackiem wielkości małego bochenka chleba. - A mimo to, nie udało się nam jej znaleźć. W tej kwestii panują sprzeczne opinie. Ale wszystko będzie dobrze. - Spojrzał na Felshera oczkami drobnego przestępcy, wprowadzając go na salę sądową.

Felsher nadal miał problemy ze zrozumieniem angielszczyzny generała. Zresztą, nacierz nie lubił załatwiać interesów z cudzoziemcami i czarnymi. Lubiał jasne sprawy. Krętactwa nie znosił. Teraz z trudem próbował zrozumieć słowa zniekształcone ustami pełnymi placka.

-Znajdziemy tę dziewczynę - podjął temat Kulikow. - Hamedow ją dla nas znajdzie. Chociaż, według mnie, z nim trzeba zawsze uważać. Ale może i my ją znajdziemy. - Wziął głęboki oddech, jakby tempo jedzenia zabrało mu tlen. Felsher zauważył, że wzrok mężczyzny jest o wiele mniej stanowczy niż jego słowa. - Wszystko będzie dobrze.

Do ich stolika podeszła kelnerka z dwoma dzbankami z kawą.

-Dolać wam, chłopcy?

Generał energicznie pokiwał głową. Felsher ledwie tknął swoją kawę.

-W takim razie - odezwał się Felsher, kiedy kelnerka się oddaliła - niech wszystko skończy się szybko. - Rozejrzał się po lokalu, a następnie

pochylił się nad stołem. - Akcja ratownicza miała stanowić dla Hamedowa sygnał do rozpoczęcia jego działań. Zaprowadzenia tam prawa i porządku. Nie dopuszczenia do anarchii. A teraz jaki znajdzie pretekst?

Generał ponarzekał przez chwilę na uciskający ich rząd i sytuację uchodźców, ale były to wykręty i obaj o tym wiedzieli. Felsher z żalem spojrzął na swój talerz: puszysty omlet z ketchupem i podwójną porcją bekonu. Takie marnotrawstwo. Zazwyczaj miał apetyt jak na mężczyznę przystało i doceniał wartość porządnego amerykańskiego jedzenia. Tego dnia nie mógł się jednak zmusić, żeby podnieść widelec do ust.

- Posłuchaj mnie - powiedział Felsher tonem, którego używał tylko w stosunku do swoich podwładnych. - Po pierwsze, ty jesteś odpowiedzialny za odnalezienie dziewczyny. Taki był układ. Odzyskać dziewczynę, żeby znów znalazła się pod naszą kontrolą. Wy mieliście się tym zająć. - Przyjrzał się generałowi. Mężczyzna wyglądał na pokonanego. Zły znak. I cholernie przedczesny, chyba że nie ma żadnej woli walki. Nigdy nie przypuszczał, że Rosjanie tak łatwo się poddają. - Chyba nie próbujecie się wycofać, co?

Generał o mało nie wypluł jedzenia na stół: - Nie, nie. Nie. Robimy wszystko. Wszystko co w naszej mocy. Tej dziewczyny po prostu nigdzie nie można znaleźć. Popołniono wiele błędów. Lepiej, żebyśmy wszystko zrobili sami. Fundamentalisci są nieprzewidywalni, nie powinniśmy byli pozwolić...

- Znajdźcie ją.

- Tak, tak. Ale myślę, że to trochę potrwa.

- Czy Hamedow może opóźnić zamach stanu?

Generał wyglądał na udręczonego. - To byłoby wyjątkowo trudne. Oddziały już wyruszyły. Myślę, że on wiele naobiecował różnym ludziom. Nie może zawieść pokładanych w nim nadziei. A prezydent wraca już jutro. Potem trzeba będzie czekać może i całe miesiące. - Spojrzął na zegarek, blaszaną zabawkę, kupioną najprawdopodobniej od ulicznego handlarza. - W Baku niedługo zapadnie noc. Według mnie już za późno, żeby to zatrzymać.

- Cóż, w takim razie cholernie źle to będzie wyglądało, kiedy Kelly Trost znajdzie się - martwa - po zamachu stanu, nie sądzisz? - Felsher nie lubił przeklinać, ale był wyjątkowo rozgniewany. Generał zrzucił na niego całą odpowiedzialność. To Dick Fleming powinien był, jako pierwszy, podać najnowsze wieści. Wiadomość o tym, że atak się nie powiódł z ust Rosjanina rozwścieczyła go prawie tak jak wizyta tych naiwniaków z kontroli skarbowej.

Potrzebuje czasu do namysłu, musi zebrać nowe siły, zmienić taktykę.

Generał zwolnił tempo jedzenia. Prawdopodobnie dlatego, że na jego talerzu niewiele już zostało. - A może... a może by tak przeprowadzić ten zamach stanu bez dziewczyny. Ja myślę, że my jej nie potrzebujemy.

Felsher przewrócił oczami. - Niki, chłopcze, już o tym rozmawialiśmy. Wyjaśniłem ci, że potrzebujemy wsparcia senatora Trosta na Kapitolu. Wszystko się na tym zasadza. A żeby uzyskać po zamachu poparcie Kongresu, musimy zdobyć głosy wszystkich kongresmanów, którzy nie mają pojęcia, gdzie leży Azerbejdżan i o co w tym wszystkim chodzi. A to, między nami mówiąc, odnosi się niemal do wszystkich członków Kongresu. - Zacisnął pięść, demonstrując siłę. - Mitch Trost potrafi ich pozyskać. Chcemy, żeby amerykański Kongres z ulgą przyjął zmianę reżimu. W przeciwnym wypadku znajdziemy się na muszce zwolenników demokracji i praw człowieka. Musimy tak to zorganizować, żeby ludzie uznali Hamedowa za zbrodniarza, restauratora prawa i porządku. Masz syrop na koshari. Tu, przy kieszeni.

Generał spojrzał w dół z zalem.

- I nie mazgaj mi się tutaj - powiedział Felsher. - Myślałem, że jesteście twardzielami. - Jeszcze raz rozejrzał się po lokalu. Zaspani kierowcy ciężarówek, robotnicy i starcy cierpiący na bezsenność. Kelnerka obsługiwała klientów w przeciwnym końcu pomieszczenia. - Dziewczyna musi się znaleźć. Albo skończą się pieniądze. I mówię tu również o twoim osobistym wynagrodzeniu, Nick.

Generał wyglądał jak pijak w łzawej fazie upojenia alkoholowego. Kiwnął głową, potem kiwnął jeszcze raz, ale oczy wciąż miał utkwione w resztkach jedzenia na talerzu.

- Myślę, że najbardziej nie rozumiem Hamedowa - powiedział Felsherowi. - Może zbyt długo jestem oficerem. Ale nie rozumiem, jak człowiek jest w stanie w taki sposób zdradzić swoją ojczyznę. Rurociąg, ropa... to ich jedyna przyszłość. A Hamedow z tego rezygnuje... na naszą korzyść... nie potrafię tego zrozumieć.

Felsher uśmiechnął się. Teraz poczuł pewniejszy grunt pod nogami. - Nick, według moich szacunków cały ten biznes... ropa, rurociąg, opłaty użytkowników... przyniesie zyski rzędu osiemdziesięciu, jeśli nie stu miliardów w ciągu następnych piętnastu lat. Taka suma wystarczy, żeby kupić niejednego Hamedowa.

Rosjanin przeniósł wzrok na pełen talerz Felshera.

- W każdym razie - ciągnął nafcierz - Hamedow reprezentuje typ międzynarodowy. W tym mieście pełno takich. Spotkałem go tam i powiem ci, że nie zjesz w tamtym mieście takiego śniadania jak tutaj. Ale Hamedow - ten człowiek pragnie władzy. Chce być szefem. Lubi

pieniądze, nie da się ukryć. Jednak przede wszystkim chce być wielkim szefem.

Rosjanin pokiwał głową, choć nadal z melancholią na twarzy. Felsher chciał go jakoś ożywić.

- Myślę, że jesteście bardzo sprytni - powiedział generał. Może nie powinniśmy wam ufać. Nadal nie rozumiem, dlaczego chcecie, żeby rurociąg biegł przez mój kraj, a nie przez Azerbejdżan. Wszyscy myślą, że jest odwrotnie.

Tak, potwierdził w duchu Felsher, wszyscy myślą odwrotnie. - Nick - powiedział, czując, że wraca mu apetyt - cały świat chce ubić interes na tym południowym szlaku. Każdy z wyjątkiem Armii Zbawienia. Ale Oak Leaf Oil to jedyny koncern, który podpisał umowę na nowy rurociąg biegnący przez Rosję. Dzięki waszemu premierowi, który ma głowę do interesów. Jeśli rurociąg powstanie wzdłuż południowego szlaku, będziemy zmuszeni podzielić się nim z innymi. - Zastanawiał się, czy mogliby mu podgrzać jedzenie na talerzu. Nie znosił żadnego marnotrawstwa. - A Oak Leaf Oil niczym nie lubi się dzielić.

Począł aż sens jego wypowiedzi dotrze do generała i pochylił się nad stołem. - Posłuchaj mnie, Nick. Postawiłeś mnie w niekorzystnym położeniu. Pozwalając, żeby dziewczyna wymknęła się wam w taki sposób. Zakładając, że Hamedow dziś wieczór wykona swój ruch.

- Znajdziemy tę dziewczynę.

- Tak. Wiem, że znajdziecie. Ale... rozumiesz, w jakiej się znalazłem sytuacji?

Rosjanin wpatrywał się w niego tępym wzrokiem pijaka.

- Teraz nie mamy wyboru - powiedział Felsher. - Nie możemy sobie pozwolić na kompromitację. Musimy zwalić winę za klęskę w poszukiwaniach Kelly Trost na obecny rząd, a nie na rząd Hamedowa. Ona nie może się pojawić zniechęta. Za późno na to.

- Ale... mam ją znaleźć, tak?

- Znajdź ją. Dyskretnie, Nick. A potem spraw, żeby ponownie zniknęła. Tym razem na dobre.

Generał wyglądał na zdumionego. - Ale Hamedow mógłby ją przecież przekazać...

Felsher podniósł rękę jak policjant, kierujący ruchem. - Za późno. To by było zbyt skomplikowane. Cała sprawa ciągnie się już za długo. A my w obecnej sytuacji nie damy rady ustalić, ile wie ta dziewczyna. To miała być szybka robota, Nick. Ale wy chłopcy straciliście piłkę.

Rosjanin przyglądał mu się zdziwiony. - Nie chcesz chyba...?

-Myślę, że wyraziłem się jasno. I tak zrobił się już za duży bałagan. Nie mamy wyjścia. Problem musi zniknąć. Na zawsze.

-Ale... a jak ktoś się dowie...

-Twoim zadaniem jest upewnić się, że nic takiego się nie stanie. - Felsher oparł się na krzesło. - Cóż, uważam, że to załatwi sprawę, zgodzisz się ze mną? - Dał znak kelnerce, żeby przyniosła rachunek. Postanowił pozbyć się Rosjanina i samemu wrócić tu na spokojne, obfite śniadanie. Nie podobał mu się bieg rzeczy, ale można go jeszcze naprawić. Trzeba tylko wyraźnie widzieć cel.

Jakiś mężczyzna siedzący dwa stoliki dalej, otworzył „Washington Post” na pierwszej stronie i jeden z nagłówek przykuł uwagę Felshera. Zanim kelnerka zdążyła do nich podejść z drugiego końca lokalu, jego apetyt zniknął bezpowrotnie.

Mitch Trost wrócił z porannego biegu i natknął się na tłum dziennikarzy zgromadzony przed domem. Kiedy wychodził, ulica była ciemna i pusta, nie licząc zaparkowanych samochodów i kotów. A teraz na jego schodkach wejściowych, zalanych szarym światłem, kłębił się z tuzin osób, co najmniej jedna kamera telewizyjna i jeszcze nie zapalone reflektory, gotowe do akcji.

Nie znali jego zwyczajów i skupili się na drzwiach frontowych, dlatego nikt go nie zauważył do momentu, aż znalazł się dwa domy od swojego. Wtedy ruszyli w jego stronę, zarzucając go pytaniami.

-Senatorze, czy ma pan komentarz dla naszych słuchaczy?

-Czy powiadomiono pana zawczasu o ataku?

-Czy to była masakra, panie senatorze? A co z kobietami i dziećmi?

-Jakieś nowiny o pańskiej córce?

-Czy Rosjanie współpracują w tej sprawie z rządem Stanów Zjednoczonych?

-Panie senatorze, czy przeciek pochodzi z pańskiego biura? Trost nie miał pojęcia, o czym mówią, ale słowa „masakra” i „córka” sprawiły, że poczuł ból w klatce piersiowej, a na czoło wystąpił mu pot. Słowo „Rosjanie” natomiast wzbudziło jego zaniepokojenie, chociaż z innego powodu.

Nie mógł im odpowiedzieć. Nie posiadał odpowiednich informacji, był nieprzygotowany i czuł, że ogarnia go panika. Z najwyższym trudem, dzięki wieloletniemu doświadczeniu i samodyscyplinie, przemienił wystraszonego ojca w szortach w senatora Stanów Zjednoczonych. Konstrukcja była chwytliwa i nie spodziewał się, że wytrzyma zbyt długo.

-Panie i panowie, jeszcze dziś rano wygłoszę oświadczenie dla prasy. Dziękuję za państwa zainteresowanie sprawą.

Musiał użyć łokcia, żeby odepchnąć reportera CNN sprzed swoich drzwi i dostać się do środka. Zdążył jeszcze zauważyć, że ktoś ukradł jego gazetę z ganku.

Zapach kawy nie sprawił mu przyjemności. Podbiegł do telefonu, żeby zadzwonić do szefowej sztabu, ale Ruby okazała się szybsza. Nagrała się na automatyczną sekretarkę z poleceniem - tylko jej na to pozwalaj - żeby zadzwonił na numer jej telefonu w samochodzie, a jeśli ten nie będzie odpowiadał - do pracy. Była w drodze do biura i miała rozgniewany głos. Ruby - niech jej Bóg błogosławi.

Złapał szefową swojego sztabu, kiedy jechała autostradą numer 395. Poinformował ją o artykule w gazecie. Przeciek z biur rządowych. MacCauley zataił tę wiadomość.

-Sukinsyn - powiedział Trost.

-Zgrabne podsumowanie - powiedziała Ruby.

-Ale w artykule piszą, że z Kelly wszystko w porządku?

-Cóż, piszą, że nic nie wskazuje na to, że została ranna, chociaż przedstawiciel wojskowy, którego cytują, podejrzewa, że może być chora.

-Połącz mnie z tym gnojkiem, MacCauleyem.

-Próbowałam wyrwać go z łóżka - poinformowała go Ruby głosem, w którym slychać było pogardę dla tego człowieka, tego miasta i tego świata - ale jego żona powiedziała mi, że już wyszedł.

-Zadzwoń do Białego Domu. Znajdą MacCauleya. Posłuchaj, Ruby, przefaksuj mi ten artykuł, jak tylko dotrzesz do biura. Mam przed domem stado reporterów i muszę wiedzieć przynajmniej tyle co oni. Potem zadzwoń do biura podróży. Chcę bilet na najbliższy samolot w tamtym kierunku. - Wpatrywał się w swoje upiornie blade odbicie w lustrze. - Powinienem być od razu to zrobić, Ruby. Do wszystkiego zabrałem się nie tak jak trzeba. - Czuł, że zaraz się rozplacze. - Muszę być blisko Kelly.

Jego szefowa sztabu przeklęła jakiegoś kierowcę i powiedziała: - Uważasz, że to rozsądne?

-Zmęczyło mnie bycie rozsądnym. Zamierzam odnaleźć moją córkę.

-W takim razie - powiedziała Ruby, poznając po tonie jego głosu, że podjął już decyzję - pewnie trzeba ci będzie załatwić wizę i tym podobne. Może będziesz musiał się zaszczepić.

-Pieprzyć szczepienia. I niech ludzie z administracji natychmiast zajmą się wizą. Pourywjaj im głowy. Oni karmią się cierpieniem. Niech tylko ktoś spróbuje nie wpuścić mnie do tego kraju. A kiedy wysiądę z

tego pieprzonego samolotu, niech lepiej czeka tam na mnie ambasador Stanów Zjednoczonych z popiołem na głowie i prezydent, czy kogo oni tam mają, na kolanach. Nie zatrzymuj się przed żadnym znakiem „stop”. - Zastanawiał się przez chwilę. - Za godzinę będę w biurze. Nie, za półtorej. Muszę spakować parę rzeczy. Przygotuj wszystko, co muszę dzisiaj podpisać. I wysyłaj Laurze kwiaty dwa razy w tygodniu. Zostanę tam, dopóki nie oddadzą mi Kelly.

Rozłączył się i wsłuchał w hałasy z ulicy. Przejeżdżały samochody, dwóch krzykaczy wszczęło kłótnie o zaparkowaną furgonetkę. W tej chwili nienawidził reporterów, zastanawiając się jednocześnie, jak wykorzystać ich do swoich celów. Należy zawsze myśleć perspektywicznie i wystrzegać się słów, których się będzie potem żałować. MacCauley, niech go piekło pochłonie, to osobisty przyjaciel prezydenta. Dostanie go, ale robi to subtelnie, a nie pod wpływem chwili. Trost wszedł do łazienki i zamknął drzwi. Jednak hałasy cyrku na zewnątrz dopadły go i tutaj. Jedynym sposobem uwolnienia się od prasy było włączenie wiadomości.

Radio w łazience miał ustawione na NPR, wazeliniański i wyjątkowo bezczelny kanał lewicowej propagandy dla budzącej się Ameryki. Na szczęście nie mówili nic o jego córce. Nie zniósłby więcej nowin na jej temat. Liczy się tylko to, że ktoś powiedział komuś innemu w administracji rządowej, że ona żyje. Tego się będzie trzymał.

- Tak, panie senatorze - odpowiedział Drew MacCauley. - Nie. Absolutnie nie. Czekaliśmy tylko na weryfikację. Nie chciałem pana niepotrzebnie denerwować. Wydawało się to przedwczesne. Nie. Oczywiście, że nie.

Głos w słuchawce należał do tych, którymi MacCauley szczególnie pogardzał: akcent o klasę wyższy od rzeczywistego pochodzenia. Trost to nikt więcej jak tylko absolwent uniwersytetu. I futbolista, pozał się Boże. Z gównianym dyplomem z jakiegoś wsiowego wydziału prawa. To przestępstwo pozwalać ludziom takim jak on wtrącać się do jego polityki, do spraw, których nie są nawet w stanie pojąć.

- Ta wiadomość pojawiła się na moim biurku wczoraj wieczorem, panie senatorze. Wciąż nie mogę ręczyć za jej wiarygodność. Depesza nie została sporządzona przez naocznego świadka. Nie. Jakiś wojskowy typek, który pojawił się na miejscu po fakcie. Osobiście nie wierzę, żeby Rosjanie popełnili taki czyn. Chociaż są bardzo zaangażowani w poszukiwania pańskiej córki, na ile tylko pozwala zasięg ich władzy. Otrzymałem osobiste zapewnienia ze strony wicepremiera, człowieka,

którego uważam za przyjaciela.

Głos na drugim końcu linii znów go obraził.

- Doprawdy, panie senatorze... nie wydaje mi się, żeby to było skuteczne działanie. Mówię z własnego doświadczenia, że łatwiej zachować obiektywizm z dystansu. Lecąc tam, tylko pan...

- Popracuj nad moją pieprzoną wizją - powiedział Trost. - I powiadom ich, że jestem w drodze.

Rozłączył się.

Przez kilka minut Drew MacCauley po prostu siedział za biurkiem, czując, że coś tu jest strasznie nie w porządku. Ojcowie Założyciele na pewno nie chcieli, żeby demokracja poszła w tym kierunku. Rząd, który zrodził się w ich umysłach, składał się z dżentelmenów, a ich wiedza i doświadczenie, nie wspominając już o wychowaniu, miały decydujące znaczenie. Wraz z Jacksonem weszli na równię pochyłą. W dzisiejszych czasach każdy prostak z odrobiną pieniędzy i znośną fryzurą może się zaczepić w Waszyngtonie. Ludzie tacy jak Trost, z ich pretensjami do populizmu i nałogowym podrywaniem kobiet. Oczywiście, prezydent też nie jest bez winy w tych kwestiach. Ale przynajmniej rozsądnie obsadza ludzi na kluczowych stanowiskach.

Ożywiony własnymi przemyśleniami MacCauley zadzwonił po swojego zastępcę sekretarza, który skończył prywatną szkołę podstawową kilka lat przed nim. Niecałe dwie minuty później w drzwiach ukazała się szczupła twarz, za nią wąskie ramiona, wąskie biodra i wreszcie szare spodnie, które równie dobrze mogły okrywać kije od szczotek.

- Wejdz, Tick. I zamknij drzwi. Siadaj.

Tick nic nie powiedział. Znał swojego szefa. MacCauley napawał się jeszcze przez cudowną chwilę uczuciem, jak niesprawiedliwie go oceniono i powiedział: - Chcę, żebyś zrobił coś dla departamentu, Tick. Wiem, kto jest odpowiedzialny za przeciek tego dokumentu. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Dziwka o nazwisku Rains. Na imię ma Wirginia. Mała paskuda.

- Nie wydaje mi się, że bym ją znał, Drew.

- Nie znasz, Tick. Jest jedną z tych małych ludzi. Zajmuje się Zakaukaziem i tego typu rzeczami. Wirginia Rains. Mówią na nią Ginny. Dobry Boże, ona jeszcze jedną nogą jest w przyczepie, w której pewnie mieszkała. - MacCauley dotknął starannie wygoloną brodę. - Chcę, żeby ją aresztowano. Pogwałcenie przepisów bezpieczeństwa, i tak dalej. Dużo dowodów. Niech ją skują przy biurku i wyprowadzą na zewnątrz. Upewnij się, czy widzą to jej współpracownicy. Sporządź obszerną dokumentację.

Tick nie był przekonany. - Naprawdę, Drew. Nie sądzę, żebyśmy mogli ją skazać. Trost zwoła swoje wojska. Kongresmani staną za nim murem.

MacCauley uśmiechnął się i machnął ręką, jakby chciał zabić muchę.

-Nie zamierzamy postawić jej w stan oskarżenia. Wyjaśnię Trostowi, że aresztowanie było pomyłką, nadgorliwością chłopców z ochrony. Wyślę mu list z przeprosinami. - Jego uśmiech miał temperaturę zimy w Nowej Anglii. - Tylko się upewnij, że będą dokumenty jej aresztowania. Nie jest oficerem służby zagranicznej, sprawdzałem. Wdepczemy ją w ziemię i nigdy już nie będzie pracować dla rządu. Ani FBI, ani nikt inny nie oczyści jej z zarzutów. Bez tego, będzie zmuszona prowadzić wykłady z prawa i administracji w jakimś państwowym koledżu.

Tick pokręcił głową. - Nie chciałbym się nigdy znaleźć na liście twoich wrogów, Drew.

-Jeszcze jedno - ciągnął MacCauley. - Trost uparł się, że poleci do Azerbejdżanu i zrobi z siebie głupca. - Podniósł rękę jak policjant na skrzyżowaniu. - Wiem, wiem. Ale już się zdecydował. Więc zorganizuj to tak, żeby wyglądało, że poruszamy dla niego niebo i ziemię. Mam powody przypuszczać, że lotnisko w Baku zostanie zamknięte dla ruchu powietrznego, zanim jego samolot zdąży dotknąć podwoziem pasa startowego. A w obecnej sytuacji nie zaszkodzi, jeśli nasz senatorek ochłonie przez parę dni w Istambule albo w Moskwie. - Uśmiechnął się tak, jak się uśmiechał, kiedy wygrywał w tenisa, czyli prawie zawsze. - Bierz się do pracy.

Kiedy jego uczeń wyszedł, Drew MacCauley zadzwonił do swojej sekretarki i powiedział jej: - Lydia, połącz mnie z Arthurem Vandergraafem.

Koledzy Trosta tłoczyli się w jego biurze, żeby złożyć mu wyrazy współczucia i poparcia. Niektóre były szczere, inne wynikały z poczucia obowiązku, a trzecia grupa przybyła zaalarmowana tym, że Trost chce wyjechać z miasta, kiedy miały się odbyć głosowania ustaw przez nich finansowanych. Prace Kongresu przeciągające się przed letnią przerwą sprawiły, że wszyscy czuli się zmęczeni, zniecierpliwieni, a uprzejmość przychodziła im z coraz większym trudem. Ale od uprawiania polityki, podobnie jak od alkoholizmu, nie można sobie zrobić przerwy.

-Poprę cię w głosowaniu - odezwał się Trost do starszego senatora po drugiej stronie pokoju - chociaż uważam, że źle robisz, John. Wezwę na pokład naszych młodszych senatorów. Ale musisz mi przysiąc na swoją duszę, że nigdy nie poprzesz kandydatury Drew MacCauleya na

stanowisko sekretarza stanu, jeśli prezydent zostanie ponownie wybrany.

Ruby kupiła mu bilet na samolot odlatujący z lotniska International o jedenastej dwadzieścia, z przesiadkami na JFK, Heathrow i w Istambule. I chociaż linia lotnicza, którą leciał dwa pierwsze etapy podróży, zaproponowała mu nieodpłatne przeniesienie do pierwszej klasy i tak wiedział, że będzie to mordercza podróż i na pewno jego bagaż zostanie zgubiony. Ale Trost nie chciał nigdzie nocować w połowie drogi. Przekonał sam siebie, że los Kelly zależy od jego obecności na miejscu, że jej uwolnienie nastąpi z chwilą, kiedy on tam wyląduje.

Nie przyjmował do wiadomości, że ją utracił. Cała sprawa odbiła się na jego zdrowiu i miał najgorszy atak zgagi od lat. Ruby poleciła młodszemu pracownikowi, żeby przyniósł mu śniadanie, ale zdołał tylko wmusić w siebie banana. Pił za to dużo kawy. Tak dużo, że o mało nie wypaliła mu nerek. Połknął kilka pastylek Tums leżących na biurku i znów popił kawą. Ucisk w klatce piersiowej nie chciał ustąpić.

Dzwonił prezydent, współczujący, ale wyraźnie nie mogący się doczekać końca całej sprawy. Prokurator wezwał go właśnie do złożenia zeznań i prezydent niewątpliwie miał swoje problemy. Zaoferował się, że wyśle limuzynę, która zabierze Trosta z Białego Domu na lotnisko, ale senator nie tego teraz potrzebował. Wyszedł z biura z torbą na ubrania, teczką i Ruby Kinkiewicz u boku.

Kiedy jechali przez most Buickiem Ruby, przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do Laury. Ostatniej nocy znów chciała przyjechać i zostać z nim. Żałował, że się od niej odsunął. Jest przecież jedną z tych dobrych. Kto wie, czy nie najlepszą. Ale jej głos wydawał się w telefonie taki odległy, chociaż słowa były pełne otuchy. Złożył to na karb połączenia komórkowego, ponieważ nie chciał się nad tym zastanawiać.

Na lotnisku trwała prawdziwa walka o przetrwanie pomiędzy taksówkami i pasażerami linii lotniczych. Ruby wysadziła go przed starym budynkiem terminalu. Wcześniej dzwonił tu jeden z jego pracowników, żeby utorować mu drogę, ale i tak musiał przejść przez skomplikowane procedury niezbędne przy połączeniach międzynarodowych, a robiło się coraz później. Przepychał się przez tłum, potrącając swoją torbą podróżnych. Zapowiedzi z głośników popędzały spóźnialskich.

Dotarł już prawie do stanowiska obsługiwanego przez jego linię lotniczą, kiedy jego klatka piersiowa wybuchła. Sekundę później ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Ból przybrał kształt srebrnych nitok, błyskawic na niedalekim horyzoncie, upodabniając świat do pociągowej fotografii.

Stracił równowagę i kontrolę nad swoim ciałem. Otworzył usta, mając wrażenie, że wewnątrz jego klatki piersiowej lada chwila wytryśnie mu przez gardło. Czuł wewnątrz coś żywego i ohydneho, obcy organizm.

-O mój Boże - jęknął.

Potem osunął się na ziemię, przyciskając dłonie do piersi. Widział, jak gromadzą się wokół niego niewyraźne sylwetki, tak jak się widzi przedmioty pod płynącą wodą.

-Lekarza! - ktoś krzyknął, a Trost chciał powiedzieć: - „Tak, bardzo bym prosił”, ale na razie jeszcze nie mógł mówić.

-Czy to ktoś sławny?

-Zadzwon po lekarza.

-Proszę się odsunąć.

-Nie dotykaj go, Marty. Może nas pozwać.

-Niech wszyscy się cofną.

-Kelly - powiedział Trost. Jeszcze przed chwilą stała obok niego. A teraz nie miał pojęcia, gdzie się podziała. Jakaś aparatura szumiała i pikała, wokół przesuwaly się rozmyte sylwetki ludzi. Szarpał się całym ciałem, walcząc z bólem. Pochyliła się nad nim ciemna twarz i czyjeś ręce zaczęły zdejmować mu ubranie. Trost nie rozumiał, jak to się stało, że znów znajduje się w domu na ulicy Mahantongo. Miał być gdzie indziej, ale nie pamiętał gdzie.

Ludzie wokół zdawali się być czymś wyjątkowo zaaferowani. Klatka piersiowa bolała go w sposób trudny do opisanania.

-Boli - powiedział Trost. - Tak bardzo boli.

-Niech się pan nie martwi, proszę pana. Wszystko będzie dobrze.

-Kelly! - krzyknął nagle. - Gdzie jest Kelly?

Kelly poznała po zapachu, że jest w Baku. Ropa i słona woda oraz mgielka spalin. Wyczuła to w dwie sekundy, które zabrało jej przejście z tyłu ciężarówki do starego domu, śmierdzącego jak szatnia w siłowni.

Baku.

Przychodził jej do głowy tylko jeden powód, dla którego jej porywacz przywiózł ją do Baku. Zamierzał ją uwolnić. Zawarli układ bez jej wiedzy. Już niedługo będzie wolna. Nie może być innego wyjaśnienia.

-Musisz iść - oznajmił jej porywacz. Nazywał się Abbas i stanowił nieprzeniknioną mieszankę serdeczności i podłości. - Schody są za wąskie. Nie ma niesienia.

Stąpiła ostrożnie, dręczona zawrotami głowy. Wciąż miała na nogach traperskie buty, ale bez skarpetek, i reszty ubrania. W ostatniej

wiosce dostała parę spodni tak szerokich, że prawie się przewracała, jeśli nie szła powoli. Położyła obie ręce na ramionach młodego mężczyzny, nienawidząc tego, że go dotyka i zagłębiła się w mrok.

W piwnicy nie było żadnych okien. Śmierdziała starą ziemią i olejem silnikowym. Pojedyncza, słaba żarówka oświetlała ceglane fundamenty składające się z różnych części, jakby budowano tu domy jeden na miejscu drugiego przez stulecia.

- Błagam - powiedziała - muszę usiąść. - Lek, który dał jej Abbas, powstrzymał biegunkę, a napady zimna stały się coraz rzadsze. Ale jej osłabienie ustąpiło miejsca znużeniu. Myślała teraz jedynie o tym, żeby położyć się na łóżku. Raz Abbas przyniósł jej butelkę ciepłej Pepsy i to było cudowne. Kiedy napiła się soku, znów rozpuściła burzę w żołądku. Mężczyzna, który prowadził ciężarówkę, był mały i nieogolony, z potężnymi barkami. Przyniósł skądś zdezelowane krzesło, ale nie pozwolił jej od razu na nim usiąść. Najpierw omiół ją płonącymi oczami i błysnął złotymi zębami. Na obnażonych ramionach miał zielone tatuaże. Powiedział coś, czego Kelly nawet nie próbowała zrozumieć, ale Abbas odpowiedział coś gwałtownie, po czym drugi mężczyzna postawił krzesło na podłodze i wyszedł. Kelly usiadła z ulgą, wdzięczna za małe przyjemności.

Żyła w nie kończącym się koszmarze i nauczyła się doceniać krótkie chwile wytchnienia. Siedzenie w zatęchłym powietrzu piwnicy, z zawrotami głowy nękającymi jak po imprezowym weekendzie, wydawało się jej sytuacją niemal luksusową.

Abbas obudził ją przed świtem, dzień, a może całe życie wcześniej. Kiedy wyjął jej knebel, krzyknęła ze strachu i zmoczyła się. Była pewna, że to koniec, że przyszedł ją zgwałcić. On jednak zasłonił jej tylko usta dłonią, przemawiając łagodnie, podczas gdy drugi mężczyzna z karabinem stał na czatach. Powiedział, że muszą wyjechać stąd dla jej dobra, bo nie jest już tutaj bezpieczna, po czym rozwiązał ją, pomógł jej się ubrać, schylając się nawet, żeby zawiązać jej buty, które przyniósł jej z powrotem. Potem wyszli i w świetle księżyca minęli psa z poderżniętym gardłem.

Szła tak długo jak mogła. Świeże powietrze było takie cudowne, że nie przeszkadzał jej chłód górskiej nocy i miała wrażenie, że znów jest silna i zdrowa. Okazało się jednak, że nieświadomie, stopniowo zwalnia krok, a on popędzał ją, ostrzegając szeptem: - Nie można mówić. Ten człowiek chce cię skrzywdzić. Nie można mówić. On nie może wiedzieć, że my idziemy.

Upadła i nie miała siły wstać. Przypomniała sobie, kiedy widziała takiego konia, a nowy mąż jej matki wyszedł ze stajni i strzelił mu w łeb.

-Nie zabijaj mnie - powiedziała. - Proszę.

-Nie można mówić. Poniosę cię.

I tak zrobił, biorąc ją na ręce, jak strażacy ofiary zaccadzenia albo myśliwi jelenia na starych obrazach. Nie był dużym mężczyzną, ani bardzo silnym, więc często się zatrzymywał. Czuła jego pot i przyszło jej do głowy, że śmierdzi strachem. Kiedy zaczęło się robić jasno, czółgali się przez wysokie trawy, ciągnąc ją za sobą i nic jej już nie obchodziło.

Potem znaleźli się w domu oświetlonym tylko staroświecką lampą, a wszyscy jego mieszkańcy dyskutowali ściszonymi głosami. W końcu wepchnęli ją na tylne siedzenie małego samochodu, okryli kapami i kocami, a Abbas kolejn raz ostrzegł ją, że musi być cicho.

Samochód toczył się ze wzgórza, aż się zatrzymał, a wtedy Abbas i kierowca pchali go, aż znów zaczął się toczyć. Wreszcie, kiedy zwolnił po raz drugi, kierowca włączył silnik i pojechali szybko wyboistą drogą.

-Możesz usiąść - powiedział do niej zniecacka Abbas. - Spójrz na świat. Zobacz, jak pięknym stworzył go Allah. Ale znów się schowasz, kiedy ci powiem. Albo zastrzelę cię z pistoletu.

Usiadła. Zatrzymali się w parowie, żeby mogła załatwić swoją potrzebę. Rozejrzała się i zobaczyła, że parów stanowi część głębokiego, czerwonego wąwozu, który przywiódł jej na myśl dzikie tereny południowego Utah. Nie dała rady wrócić do samochodu o własnych siłach. Abbas przyszedł jej z pomocą, dotykając ją z delikatnością, która brzydziła ją bardziej niż przemoc. Jechali bez końca, podskakując na zakurzonych drogach i pokonując kolejne wzniesienia, za którymi otwierał się przed nimi krajobraz górskich ścian, gładkich samotnych szczytów wznoszących się nad wąwozem. Abbas ciągle pytał ją, czy mają się zatrzymać.

-Niedługo już nie będziesz chora - obiecał jej. – Dostaniesz lekarstwo.

Samochód wspiął się wreszcie drogą tak stromą, że Kelly nie zaryzykowałaby podróży nią nawet w dziupie. U stóp wzgórza pojawiła się niespodziewanie szara wieś. Wyglądała jak biedna wioska indiańska. Dzieci zbiegły się ze wszystkich stron, zachwycone pojawieniem się samochodu. Kierowca ostro rozprawił się z dziećmi, krzyżąc na nie i rozdając im kuksańce. Wycofały się, ale niezbyt daleko. Abbas pomógł Kelly wydostać się z tylnego siedzenia i zaprowadził ją do małego czworokątnego domu.

Język brzmiał teraz inaczej, pozbawiony tureckich gardłowych dźwięków, które nauczyła się już rozpoznawać. Stara kobieta gładząc niezrozumiale i gestykulując zawzięcie pomogła jej w końcu położyć

się na czymś w rodzaju maty na ziemi. W pomieszczeniu znajdowało się otwarte palenisko, unosił się w nim zapach zielonej herbaty i mleka. Nie minęło kilka minut, a wokół paleniska zgromadziła się kilkusobowa grupa brodatych mężczyzn. Ukucnęli przy ogniu i zaczęli dyskutować nad czymś, używając w takim samym stopniu rąk co słów. Wszyscy wyglądali na zaniepokojonych, część na wystraszonych. Potem zapadła w sen, a kiedy Abbas ją obudził, nie wiedziała, czy minęły godziny, czy dni. W rękę trzymał buteleczkę z brązowym płynem, z naklejką w niezrozumiałym języku. Wyjaśnił jej, że to lekarstwo i podał jej je na drewnianej łyżce. Lekarstwo smakowało jak stojąca woda i pierwszą łyżkę wypłuła. Abbas jednak cierpliwie podtrzymywał jej głowę, aż udało się jej połknąć porcję.

- Musisz jeść lekarstwo - powiedział jej. - To zła choroba.

- Proszę pozwól mi wrócić do domu. Chcę wrócić do domu.

- Musisz jeść lekarstwo.

Czuła się bardzo słaba. Chciała walczyć, ale wiedziała, że nie da rady. Teraz nie była już w stanie poruszać się o własnych siłach. To straszne, że wszystko musiało się tak skończyć. Zawsze była taka silna, samodzielna.

Kiedy połknęła lekarstwo, Abbas pozwolił kobiecie, żeby dała Kelly herbaty i trochę chleba maczanego w mleku. Zdołała połknąć tylko odrobinę, ale i tak czuła się nieporównanie lepiej, kiedy znowu położyła się na macie. Poza zasięgiem jej wzroku, jakiś mężczyzna kłócił się z Abbasem, ale Abbas miał ostatnie słowo. Znowu podszedł do niej i zobaczyła niewyraźnie, jak przy niej kuca, pochyla się nad nią. Zaczął coś mówić zmienionym głosem, prawie śpiewnym i zrozumiała, że coś jej czyta. Przeszkodził mu w tym inny męski głos i Abbas oddalił się gdzieś. Kelly miała nadzieję, że teraz pozwolą jej spać. Jedyne co chciała, to spać i dziwiło ją trochę, że nie może zupełnie uśpić zmysłów.

- Proszę mi pomóc - powiedziała. - Ale muszę pójść do łazienki.

Próbowała wstać sama, ale pojawiła się stara kobieta. Kobieta solidarność: ona rozumie. Wszyscy mężczyźni są w końcu tacy sami, prawda? Przynajmniej w sprawach podstawowych.

Nie, nieprawda. Teraz to sobie uświadomiła. Znajdowała się daleko od ludzi takich jak ona. Owładnęło ją uczucie, że zbłądziła, że popełniła błąd, być może nie do naprawienia. Kelly była zbyt chora, żeby się wstydzić i pozwoliła starej kobiecie przytrzymać ją, kiedy ukucnęła w budynku gospodarczym. Chciała być znowu czysta. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze czysta. Kiedy wrócili do chałupy, ponownie, jakby za sprawą czarów, tłoczyło się w niej wielu mężczyzn.

Abbas spojrział na nią. Był rozgniewany.

-To złe miejsce - powiedział. - Mężczyznom brakuje odwagi. Stały się tu złe rzeczy. Wszyscy się boją. Musimy stąd odjechać.

I znów jechali wyboistymi drogami w ciemnościach. Kiedy jakoś nawierzchni gwałtownie się poprawiła, Abbas kazał się jej schować pod przykryciem.

-Źli ludzie cię szukają - powiedział.

Nie odróżniała już prawdy od fałszu. Zresztą, było jej wszystko jedno, dopóki mogła spokojnie leżeć. Wreszcie wjechali na jakieś podwórko, a Abbas znowu podał jej lekarstwo i powiedział. - Musisz dużo pić. To bardzo ważne. Myślę, że nie chcesz umrzeć.

Umrzeć? Pojęcie śmierci wydawało się jej tak abstrakcyjne, zupełnie możliwe, ale nie do końca realne. Przypomniała sobie, jak zastrzelili jej kierowcę, ale wspomnienie nie było bardziej rzeczywiste niż scena z filmu. Tak, tak. Oni zabijają ludzi. Ludzie umierają. Sama była tego świadkiem. Ale ona nie może umrzeć. Tak naprawdę, to nie. Nawet po tym wszystkim, nie mogła uchwycić realności śmierci.

Zrobili jej siedzisko w tylnej części ciężarówki, dali jej chleb, ser, wodę i wiadro.

-Musisz być bardzo cicho - powiedział jej Abbas. - Czeka nas długa podróż, a wszędzie czai się zło.

Wokół niej poustawiali skrzynki z melonami, barykadując ją tak, żeby ładunek nie przesunął się i nie zgniół jej. Skończyło się na tym, że spaliny okazały się gorsze niż obawa przed zgnieceniem skrzynkami.

Spała i budziła się na przemian, ale wiedziała, że przebyli bardzo długą drogę. We śnie widziała ojca, był bardzo realny, wspinały i przekonujący i wiedziała, że będzie bardzo smutny, kiedy ona umrze. Wędług niej ciężarówka nie zatrzymała się ani razu, aż otoczyły ją odgłosy miasta, hałas silników, klaksonów samochodowych, hamulców, głosów. Ciężarówka zaparkowała i odsunęli skrzynie, żeby ją uwolnić. Abbas pomógł jej zejść, dotykając ją z oblesną czułością, i wtedy zdała sobie sprawę, że rzeczywiście czuje się lepiej, trochę lepiej, a potem do jej nozdrzy dotarł intensywny zapach Baku, czyli ropy i słonego powietrza.

Piwnica pełniła rolę kolejnego więzienia, oczywiście. Może nawet gorszego pod pewnymi względami. Przypominała szczurzą norę, a jego nadzorca miał wygląd mordercy. Ale jest w Baku. Już prawie w domu. Ojciec wszystko załatwił. Tego była pewna. Nie wstydziła się już tej myśli. Chciała tylko, żeby gehenna wreszcie się skończyła. Lekarstwo wzmocniło ją na tyle, żeby uświadomić jej z całkowitą jasnością, że

pragnie żyć. Modliła się po cichu, chociaż nie miała tego w zwyczaju, obiecując Bogu, że jeśli pozwoli jej przeżyć, nigdy nie będzie okrutna ani niecierpliwa w stosunku do innych. Wspominała nawet byłych chłopaków. Nie tęskniła za nimi, ale było jej wstyd, że traktowała ich bez serca. Każdy z nich wydawał się jej taki nieodpowiedni, ale teraz rozumiała, że wady to ludzka sprawa. A ona zawsze była zbyt twarda, zbyt wymagająca. Sekutnica. Chciała też, żeby Bóg pozwolił jej znów popływać. Poczuć wodę, omywającą jej ciało.

- Proszę - powiedziała słabo do każdego, kto mógłby ją słyszeć. - Muszę się położyć.

- Tu nie ma łóżka - odpowiedział jej Abbas. - Niedługo przyniosą tu łóżko. Nie wolno ci leżeć na podłodze. Tu jest brudno.

Dla niej nie miało to znaczenia. Sama jest brudna. Zbrukana. Nie pragnęła niczego więcej, jak tylko się położyć. Ale Abbas wmuszał w nią po prostu więcej lekarstwa.

- Czy niedługo będę już w domu? - spytała sennie.

Na to jedno, jedyne pytanie jej porywacz nigdy nie odpowiadał.

Abbas Melli skończył się modlić i zwinął swoją matę. Potem usiadł przy ścianie i zaczął się zastanawiać, co robić dalej.

Dał się namówić na to porwanie i z niesmakiem przypominał sobie, jak wraz z resztą uczestników spisku siedzieli przy herbacie i przebijali jeden drugiego coraz bardziej śmiałymi wizjami zwycięstwa, którym będą się cieszyć, kiedy wprowadzą plan w życie. Nikt nie wystąpił z najmniejszą krytyką, więc i on zdusił nękające go wątpliwości ciężarem wiary, paląc przychodzące mu na myśl pytania w ogniu entuzjazmu. Mieli jedynie działać, a Allan ich poprowadzi. Wmówili sobie, że ich czyn wstrząśnie światem. Wielki Szatan Ameryka ugnie się pod ich ciosem. Abbas nigdy nie był w Ameryce, nigdy też nie rozmawiał z żadnym Amerykaninem przed spotkaniem Kelly, ale podzielał przekonanie pozostałych spiskowców, że Ameryka rozsiewa zło pośród Wyznawców. Poznał Amerykę, ponieważ oglądał programy satelitarne, kobiety portretowane jako dziwki, nieświadomych niczego, chciwych, bezbożnych mężczyzn. Ameryka to wyjątkowo szatańskie miejsce, przeżarte narkotykami, rozwiązłe i zepsute. A mimo to posiada tajemną władzę, która według Abbasa w żaden sposób nie pasuje do jej niemożności. Nie rozumiał dlaczego kraj, będący niczym więcej jak ogromnym burdelem, posiada tak wielką władzę. A nie ulegało wątpliwości, że Ameryka jest potężna.

Ameryka jest odpowiedzialna za wszystkie niedomagania jego ludu, regionu, świata. Każda utracona praca, chore dziecko, pobity policjant

lub skorumpowany biurokrata, wszystko to sprawka Ameryki, manipulującej losami uciskanych milionów. Ameryka spiskuje z Żydami, żeby zniszczyć świat islamu. Nigdy nie dotknął Ameryki, ale Ameryka dotknęła jego. Dziewczyna ucieleśnia Amerykę, a jej ojciec, którego wyobrażali sobie dość mgliście, stał się panoszącym się potworem, zdolnym jednym słowem unicestwić podłość Ameryki. Wymyślanie żądań było radosnym zajęciem, i wszyscy bez wyjątku wierzyli, że zostaną one spełnione, w związku z czym dodawali coraz to nowe warunki, żeby przypadkiem nie sprzedać się za tanio. Samą dziewczynę osadzili w roli nałożnicy Szatana, oszukującej ludzi swoją dobroczynnością. A teraz dziewczyna stała się aż za bardzo ludzka, ojciec się nawet nie odezwał, a w kraju szerzyła się śmierć. Abbas zabrał ją z rezydencji Galibaniego, kiedy zdał sobie sprawę, że herszt traktuje porywaczy dziewczyny jak więźniów. Poza tym Abbas widział wzrok Galibaniego, kiedy stary herszt zobaczył dziewczynę nagą. Potem zabił starą kobietę zupełnie bez powodu. W powietrzu unosiło się zbyt wiele złego.

A jednak, zaszokowały go nowiny o tym, co się stało w domostwie Galibaniego po ich ucieczce. On sądził, że to Amerykanie, ale miejscowi utrzymywali, że winni są Rosjanie. Oczywiście Amerykanie i Rosjanie spiskowali razem, i jedni, i drudzy byli wrogami Wyznawców. Abbas czuł jednak instynktownie, że najistotniejsze sprawy potoczyły się złym torem. W wiosce, przez którą przejeżdżali, dowiedział się, że Irańczycy zamknęli granicę i szlaki przemytnicze w górach. Wraz z kompaniami oczekiwał, że Irańczycy staną po ich stronie. Ale i oni szukali dziewczyny. Mężczyźni z wioski, tchórze bez wiary, wyrzucili go z chaty jego ciotki. Abbas wstydził się za islam, który obligował mężczyzn do zapewnienia schronienia i opieki chorym. A dziewczyna była w tak złym stanie, że obawiał się o jej życie. Wbrew własnej woli zmienił do niej nastawienie. Zamierzał nią pogardzać, dręczyć ją tak, jak na to zasługiwała. A okazało się, że nie potrafi jej skrzywdzić bez żalu, i nie może ścierpieć, kiedy inni ją krzywdzą albo są świadkami jej hańby. Mimo że wciąż był przygotowany zabić ją w razie potrzeby, stał się jej opiekunem, stawiając to sobie za punkt honoru - za dobroczynność Wiernych wobec słabych. Coraz częściej wyobrażał ją sobie czystą i pięknie ubraną. Oczami duszy widział, jak zostaje uwolniona i wraca do niego z własnej woli, biegnie do niego, prosi go pokornie, żeby dzielił z nią wspólne życie, żeby pozwolił odbudować jej życie w cieniu jego miłości i opieki. Kiedy jej dotykał, nawet tak brudnej, ręce paliło mu požądanie.

Wiedział, że Amerykanki mają wielu kochanków i że są niewierne. Być może jednak ta stanowi wyjątek i nie jest taka, jak te bezwstydnym kobiety w telewizji. Nie próbowała stosować żadnych feministycznych sztuczek, nie widział u niej żadnych oznak pożądania. Może córki potężnych ludzi Ameryki wychowywano w odosobnieniu, wpajano zasady wyższej moralności. Niewykluczone nawet, że jest dziewczyną.

Wszedł jego gospodarz i podniósł wytatuowane ramię.

-Bóg jest wielki.

-Wielki, zaiste.

Po powrocie do Baku, Abbas spodziewał się spotkać swoich współtowarzyszy spisku, wojowników Wiary, ale jedynie ten człowiek, który odsiedział długi wyrok za kradzież, czekał na niego w umówionym domu. Pozostali przedstawili mu wymówki tłumaczące ich nieobecność i zakazali mu do siebie więcej dzwonić.

Teraz zrozumiał, że od samego początku złożyli na jego barki największą odpowiedzialność, zasypując go pochlebstwami. - Abbas, ty jesteś człowiekiem, który się do tego nadaje. Abbas, nikt nie jest taki odważny i mądry jak ty...

-Abbas - odezwał się były więzień. - Ta Rosyjska suka z sąsiedztwa widziała dziewczynę, kiedy ją tu wprowadzaliśmy. Ja jestem za tym, żeby ją zabić albo zabierać się stąd.

Abbas spojrział na niego chłodno. - Nie. Zabij Rosjanę.

Przestępca, który nazywał się Ali, zastanawiał się nad tym przez chwilę. - Ona jest w porządku. Jej mąż często wyjeżdża. Wiesz?

Abbas poczuł obrzydzenie na samą myśl. Ten człowiek podobno jest mudżahedinem, wojownikiem Allana.

-Zabij ją. Powiedziałaś, że to Rosjanka. Nie ma podlejszego narodu.

-A czemu by nie zabić Amerykanki? Mielibyśmy problem z głową.

-Ma zbyt dużą wartość. To skarb Sprawy Sprawiedliwych.

Ali roześmiał się, błyskając złotym zębem. - Są takie kradzione towary, których nie da się sprzedać, bracie. Wszyscy szukają tej dziwki. Cały kraj. Lepiej znajdź sobie bezpieczną kryjówkę, a dziewczynę zostaw mnie. Zajmę się wszystkim.

-Nasz opiekun załatwi co trzeba.

Były więzień znowu się roześmiał. Miał głos człowieka, który z upodobaniem krzywdzi słabszych od siebie. - Twój opiekun. Nie wierzę już w te kłamstwa. Nie masz opiekuna. Wszyscy kłamaliście. Jesteście amatorami. Byłem głupcem, że ci wierzyłem.

-To co zrobisz, przysporzy chwały Allahowi. Pomoże ludziom głodnym prawdy...

Ali potrząsnął głową. - Jesteś głupcem.

-Allah wskaże nam drogę.

-Drogę kulki do twojej potylicy - zaszydził Ali. - Gdzie się podziali twoi przyjaciele? Gdzie są teraz twoi „bracia”? Ty i ten twój opiekun. Oszukaliście mnie. - Splunął na podłogę. - Powiniennem cię zabić. Przy najmniej lepiej bym się poczuł.

-Zabij Rosjanke, jeśli coś widziała. I miej wiarę. Allah składa na nasze barki trudności tylko po to...

-Masz jakieś pieniądze?

-Będą pieniądze. I wszystko inne. Nasz opiekun czeka tylko na odpowiedni moment.

-A ja się następnym razem wysram w Chinach. „Nasz opiekun”. Kim on w ogóle jest? Nawet nie możesz podać mi nazwiska.

Abbas Melli mógł mu podać nazwisko, ale to byłaby oznaka słabości i mogłaby mu tylko zaszkodzić. Ali jest nieprzewidywalny, nadaje się do szpiegowania i zabijania, ale nie można mu ufać. Nie w przypadku dziewczyny i nazwiska jego opiekuna.

Prawda była taka, że Abbas sam zaczynał mieć wątpliwości co do opiekuna. Miotał się, zdecydowany zadzwonić do tego człowieka i powiadomić go, że dziewczyna jest w Baku, a z drugiej strony bał się jej utraty, zdrady, tego jak załatwia się sprawy między mężczyznami. Wiedział, że prędzej czy później nie będzie miał innego wyjścia. Taki koniec był jednak bolesny i odwlekał go w nieskończoność. Wmawiał sobie, że troszczy się o własne życie, o to, żeby dziewczyny nie spotkała hańba. Bądź co bądź, do tej pory generał Hamedow nie spełnił żadnej ze swoich obietnic.

Drew MacCauley po raz trzeci tego dnia rozmawiał przez telefon z Arthurem Vandergraafem, kiedy do gabinetu wślizgnęła się jego sekretarka. Lydia miała świetne wyczucie protokołu i priorytetów, więc MacCauley uznał, że ma mu do przekazania coś ważnego. Zasłonił słuchawkę ręką, a jego sekretarka powiedziała:

-Senator Trost właśnie miał atak serca. To znaczy prawdopodobnie atak serca. Na lotnisku International. Mówili w radio.

-Nie żyje?

-Nie, sir. To znaczy, w doniesieniach twierdzą, że odwieziono go do szpitala. Nie podali zbyt wielu szczegółów, ale na pewno umieszczą tę wiadomość na pierwszych stronach gazet. Wiążą ją z porwaniem jego córki. Pomyślałam, że będzie pan chciał o tym wiedzieć.

-Ale jego stan jest poważny?

Spojrzała na niego czujnymi oczami biurokraty. - Tak przypuszczam.

- To wielki cios dla kraju. Chcę być informowany na bieżąco. Dziękuję, Lydio.

Wyszła z gabinetu, delikatnie zamykając za sobą drzwi. MacCauley zastanawiał się przez chwilę, zanim podjął rozmowę z Baku.

Napawało go zadowoleniem jego opatrnościowe podejście do świata. Dobrze go wychowano, zaszczepiając głębokie poczucie sprawiedliwości, i wierzył, że w końcu ludzie dostają to, na co zasłużyli.

12

Jeśli ktoś wystrzega się nowej azerbejdżańskiej elity lub jej przedstawicieli, najlepszą kryjówką są przybytki kulturalne albo historyczne. Państwowe muzeum dywanów ma jeszcze jedną zaletę: nie posiada klimatyzacji. Późnym rankiem sierpniowy upał niczym plaga wypełnia pomieszczenia oddzielone od świata. Gęsto tkana wełna leżących i wiszących dywanów spowalnia ruchy, wyciska pot jak w gorączy. Oczy pieką, a zegarek wbija się w przegub, jakby miał zęby. Kolory w półmroku nabierają głębi. Dokucza zgaga i najmniejszy hałas. Człowiek jest sam w ogromnych salach, ale powietrze napiera na zwiedzającego jak tłum duchów. To miejsce ma swój zapach. Skarbiec w kształcie grobowca. Czekać na Spoonera, Burton był jedynym zwiedzającym. Pół tuzina wąsatych kobiet w białych bluzkach tłoczyło się przy elektrycznym wiatraku przy wejściu, jedząc chleb i pomidory. Jak wszyscy pracownicy najniższego szczebla pilnujący dorobku kultury, nie odczuwały chwały z racji wykonywanego zawodu i gniewała je obecność Burтона, ponieważ oznaczała, że od czasu do czasu któraś z nich będzie musiała wstać i przejść się korytarzami, żeby się upewnić, że Burton nie upycha jednego z ogromnych dywanów pod koszulę. Poza tym, przez niego nie będą mogły wcześniej zamknąć.

Wolał to miejsce podczas chłodniejszej pogody, ale nawet teraz, roztapiając się z gorąca i czekając na zgrzytanie gąsienic czołgów na ulicach, wspaniałość antycznych wyrobów działały na niego kojąco. Nauczył się czytać dywany. Ich geometria była równie wyrazista jak wiara, równie skomplikowana i myląca. Trzeba posiadać wiedzę na temat klanów i znać odległe wąwozy, żeby pokochać spontaniczność ujętą w karby dyscypliną tradycji oraz harmonię kolorów, tak drażniącą na początku jak egzotyczna muzyka. Burton uwielbiał te wyjątkowe dywany i skromniejsze chodniki, niczym poezję niemych, wspomnienia niepiśmiennych, historie prawdziwsze niż te spisane przez dworaków

chana. W tym muzeum miał zazwyczaj wrażenie, że dowiaduje się czegoś, czego nie da się opisać słowami i niezmiennie dziwił się, że nigdy nie zostało splądrowane. Wiedział z doświadczenia, że ludzie chętni sprzedać własny kraj, nie wstydzi się handlować jego spuścizną.

Tym razem nie czuł, że muzeum to dobra kryjówka. Był upokorzony własną głupotą, rozczarowany swoją ślepotą. Doznał wstrząsu, kiedy poskładał w całość bełkot niemieckiego ambasadora. A powolność, z jaką odkrył przygotowania Hamedowa do zamachu stanu, była wręcz niewybaczalna. Wciąż jeszcze wiele kawałków nie pasowało do siebie, a on nie mógł się zmusić do logicznego myślenia. Nafciarze dostali to, co chcieli od Aliewa. Dlaczego więc Dick Fleming znajdował się z pozostałymi w gabinecie Hamedowa? Jeśli Hamedow współpracuje z Rosjanami, jak skorzystają na tym Irańczycy? Czy Heddy jest w to zamieszana? A jeśli tak, to po czyjej stronie? A jeśli już o tym mowa, kto w ogóle jest po czyjej stronie?

Nie wierzył już, że porwanie nie ma nic wspólnego z tą sprawą. A co z dziewczyną? Przypomniał sobie rozgorączkowanego małego Talaata. Informacje ze Strefy Mroku, przekazywane w publicznej toalecie. Cóż, w obecnej sytuacji, Talaat miał takie same szanse trafić w dziesiątkę jak pozostali. Niewykluczone, że Kelly Trost jest w Baku. Albo w Bejrucie. Na starym parkiecie odbiły się echem czyjeś kroki i Burton odwrócił się, oczekując Spoonera, ale była to młoda kobieta z miną tak zdegustowaną jak królowa zmuszona do zmywania naczyń. Nie zwracając na niego uwagi, chociaż po to tutaj przecież przyszła, minęła go powoli, roztaczając woń potu i czosnku. Miała nie ogolone łydki kogoś, kto się wychował pracując na roli. Usiadła na krześle w przeciwnym końcu zakurzonego pomieszczenia, po czym skrzyżowała ręce i nogi. Po niej przyszedł równie spocony Spooner.

-Jezu - powiedział. - To jakiś test na wytrzymałość, czy co? - Rozejrzał się, żeby się upewnić, że są sami i zauważył dziewczynę, trzy łukowate przejścia dalej. - Co jest grane, szefie?

-Z ambasadorem w porządku?

Pytanie na moment zbiło Spoonera z pantałyku, aż wreszcie pojął, o którego ambasadora chodzi. - Tak. Wiele hałasu o nic. Musiałby krwawić co najmniej pół roku, przy ranach, jakie sobie zrobił. - Spojrzał na Burtona ze źle ukrytym zakłopotaniem. - Chyba mu zależy na zatrzymaniu Heddy przy sobie?

-Miłość jest dziwna - powiedział mu Burton. Słowa zabrzmiały tak gorzko, że Nina Simone byłaby z niego dumna. - Są dla siebie stworzeni. - Zdusił w sobie gniew i powiedział: - Słuchaj. Zachowałem się jak dupa wołowa. Nie mogę uwierzyć we własną głupotę. Heddy pracuje

dla BND*. Wpadłem w słodkie sidła. Najstarszy sposób na świecie.

Spooner był bardzo zrównoważonym człowiekiem - Jest pan tego pewien, szefie?

-Aż za bardzo. Helmut Megaszwab wciskał mi szesnaście kitów o tym, że zwerbowałem ją do amerykańskiego wywiadu. Mówił o jej niewyjaśnionych nieobecnościach i jak szkolono go w rozpoznawaniu szpiegowskich zachowań. - Burton pokręcił głową, jakby nagle ugryzł coś gorzkiego. Pomieszczenie pełne dywanów zmieniło się nagle w kostnicę. - Stary Helmut okazał się sprytniejszy, niż myślałem. Tylko pomyliło mu się państwo. Podał nie tego pracodawcę.

-Powiedział jej pan coś ważnego?

Burton myślał o tym aspekcie problemu długo i dokładnie. - Nie wydaje mi się. Nic takiego nie pamiętam. Ale znała mój rozkład dnia, wiedziała, dokąd idę. Mniej więcej. Zresztą, Heddy jest bystra. Nigdy byś jej nie złapał na przeszukiwaniu twojej teczki z dokumentami.

-Może nie pan był jej celem. Może naprawdę pana lubi. Może byliście sobie przeznaczeni.

-Szpieg nigdy nie przestaje szpiegować.

-„Szpieczy tacy jak my”, co?

Burton się skrzywił. - My jesteśmy amatorami, a ona zawodowcem.

Spooner myślał o tym, kiedy spacerowali między zakurzonymi warstwami dywanów.

-I?

-Nie jestem pewien. Ale części układanki zaczynają do siebie pasować. Jeszcze nie wszystkie. Wierzę w improwizację, ale boję się przypadku.

-Cóż, byłoby fatalnie, gdyby to się okazało prawdą. - Spooner odwrócił wzrok, a Burton dosłownie czuł jego rozczarowanie.

-Zapomnij o tym. Heddy to wątek poboczny. Nie ona jest grubą rybą. - Ich obserwatorka nie podniosła się ze swego odległego krzesła, a w zasięgu wzroku nie było nikogo innego, lecz Burton i tak przysunął się do sierżanta. - Hamedow już rozpoczął zamach stanu. Może dziś wieczorem, a może jutro. Albo za pięć minut. Zaangażowanych jest w to tysiące ludzi. - Spojrzał twardo w oczy towarzysza. - Spooner, ja wszedłem prosto między nich. Wpakowałem się tam. Wszyscy byli w gabinecie Hamedowa, palili papierosy i żartowali nad mapą Baku. Nasz kumpel Swiridow. Fahrhad Adjami - nie jestem pewien, czy go znasz, to irański agent. Do tego jakiś gość, który wyglądał jak Ormianin. No i

* Bundesnachrichtendienst- niemiecki wywiad [przyp. tłum.].

Dick Fleming, chociaż nie wiem, w jakim charakterze.

- Nietypowy skład.

- A teraz ciekawostka - ci ludzie pozwolili mi stamtąd wyjść. Potem wybiegł za mną na korytarz Hamedow. Nawet nie próbował mi wciskać swoich typowych kitów. „Zamachy stanu? Oczywiście, że mamy. Jaki smak pan sobie życzy?” A następnie przekonuje mnie, że: „Azerbejdżan musi zawrzeć pokój ze swoimi sąsiadami” i zaczyna opisywać, jak zamach stanu dobrze wpłynie na bogaczy i wskaźniki giełdowe.

- Dzwonił pan do ambasadora?

- Właśnie dlatego tu jesteś. Puente pojawiła się, kiedy Hamedow powiedział mi, że zabije córkę Trosta, jeśli pisanę choć słowo.

- Ma ją?

- Jeszcze nie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale zrobi wszystko, żeby ją znaleźć.

Spooner zagwizdał. - A ten chłopak to potrafi. Więc co robimy, szefie?

- Muszę powiadomić Kandinsky'ego. Wiem, że to okrutne, ale zamach stanu ma pierwszeństwo przed dziewczyną.

Spooner, skrzywił się, ale skinął głową.

- Może uda nam się złapać dwie sroki za ogon – kontynuował Burton. - Nie chciałem rozmawiać z ambasadorem na otwartej linii albo przez komórkę. Całe podwórko podsłuchuje. Dlatego ty pójdziesz do niego. Wyjaśnij mu całą sprawę. I trzymaj się z daleka od Vandergraafa. Już prędzej zaufałbym Hamedowowi. Zajmij się tym, Spooner, i to jak najszybciej.

Sierżant spojrział na niego z wahaniem. Twarz świeciła mu się od potu.

- Co pan zamierza zrobić, szefie? Mam wrażenie, że Hamedow może żałować swojej wspaniałomyślności. Powinien pan schronić się w ambasadzie, aż opadnie kurz.

Burton absolutnie zgadzał się ze Spoonerem.

- Nie mogę. Kiedy tylko się znajdę za bramą, Azerowie nie wypuszczą mnie z powrotem. Ani Kandinsky, skoro już o tym mowa. Jestem u wszystkich na czarnej liście.

- Więc co pan zamierza zrobić? - To proste pytanie, pełne troski i uczucia, stanowiło podsumowanie zalet wynikających z przynależności do żołnierskiej braci.

- Zamierzam odnaleźć tę dziewczynę - powiedział Burton do swojego przyjaciela. - A ty i pozostali niech się zajmą zamachem stanu. Ja zamierzam uratować Kelly Trost.

Spooner potrząsnął głową. - Pieprzeni oficerowie - jęknął. - Zawsze muszą odgrywać bohaterów. - Popchnął Burtona w kąt, poza zasięg wzroku pracownicy muzeum.

Podoficer wyjął dziewięciomilimetrový pistolet i chciał go wręczyć Burtonowi.

-Pomyślałem, że może się panu przydać. Zostawił go pan w domu.

Burton pokręcił głową i wrócił do zakurzonego światła.

-Jeśli go wezmę, już jestem trupem.

Usłyszeli zbliżające się kroki. Ich zniknięcie potwierdziło podejrzenia strażniczki. Spooner schował pistolet.

-Myślałem, że chce pan mieć jakieś szanse.

Burton próbował się uśmiechnąć.

-Gdzie on teraz jest? - spytał ambasador. Wyglądał na zmęczonego, a oprawkę okularów skleił z boku taśmą. Przyjął sierżanta w swoim klimatyzowanym gabinecie, zamykając Vandergraafowi drzwi przed nosem.

-Nie wiem, sir. Jak Boga kocham.

-Dlaczego nie zadzwonił?

-Boi się, że pański telefon jest na podsłuchu - odpowiedział Spooner. - Nie chciał ryzykować życiem dziewczyny. Ani sprawić panu kłopotów.

Kandinsky wyjrzał przez żaluzje w oknie na kończący się dzień. - Wszyscy mamy kłopoty, sierżancie. Większe niż się nam zdaje.

-Tak jest, sir.

-Powinien był tu przyjść. Jeśli znajduje się w niebezpieczeństwie.

-Tak jest, sir.

Kandinsky odwrócił się i spojrzał na niego.

-Myśli pan, że się tu pojawi?

-Nie, sir.

-Co zamierza?

-Znaleźć tę dziewczynę. Albo umrzeć próbując to zrobić. - Spooner natychmiast pożałował doboru słów.

-Tego się właśnie obawiałem.

W ambasadzie pracowało bardzo niewiele osób. Czternaścioro cudzoziemców. Zatrudniano też kilkunastu miejscowych. Amerykanie trzymali się razem, bez względu na różnicę stanowisk. Kandinsky był dla Spoonera takim ambasadorem, jakiego sobie tylko można wymarzyć. Szanował go, ale jako podoficer zawsze podchodził do cywilów ostrożnie, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Starał się uważnie

dobierać słowa, a skończyło się na tym, że wyznał to, co mu leżało na sercu.

-Sir, proszę wybaczyć, ale jeśli istnieje ktoś zdolny uwolnić tę dziewczynę, to tylko on. Traktuje tę sprawę bardzo osobiście. Aż serce boli, kiedy się na niego patrzy.

Kandinsky zapatrzył się na blat swojego biurka. - Skoro mowa o sercach - przed chwilą otrzymałem telefon z Waszyngtonu. Senator Trost najprawdopodobniej miał atak serca.

Spooner zmarszczył czoło. - Pechowa rodzina.

Ambasador dotknął taśmy na oprawce okularów. - Do diabła, nie chcę, żeby któremuś z moich ludzi stała się krzywda. Nie wiem, jakie ma pan zdanie na temat nas, pasożytów, ale ja osobiście przejmuję się losem twojego szefa. Jestem za niego odpowiedzialny i traktuję to poważnie. - Potarł ramię, jakby właśnie dostał zastrzyk. - A poza tym go lubię. - Prawie uśmiechnął się do Spoonera. - Trudno go nie lubić. Nie chcę, żeby ten człowiek stracił życie podczas z góry skazanej na niepowodzenie akcji.

-Ani ja, sir. Ale trzeba go zrozumieć. Ma poczucie misji, które zawstydziloby Jana Baptistę. Gryzie się takimi sprawami. - Spooner żałował, że nie pamięta żadnego cytatu, które oficerowie zawsze przyczepiają do ścian w swoich gabinetach, ale maksymy nie robiły na nim takiego wrażenia, jak uczynki dobrych ludzi. - Można poznać człowieka, kiedy się z nim dużo podróżuje. Ja osobiście poszedłbym za podpułkownikiem Evanem Burtonem na koniec świata. A nawet dalej. Jeśli ta dziewczyna nie wróci w podskokach do tatusia, będzie to go prześladowało do końca życia.

Kandinsky usiadł zmęczony. - Wiem. Pewnie rozumiem go lepiej, niż pan podejrzewa. Ale to nie jest tylko jego osobista sprawa. - Podniósł wzrok na Spoonera. - Jeśli się z panem skontaktuje, niech mu pan powie, żeby tu przyszedł.

-Już mu mówiłem.

-Więc mu pan to powtórz. I doda, że to rozkaz. Mój rozkaz.

Spooner spuścił wzrok. - Nie posłucha pana, sir. Z całym szacunkiem. - Spodziewał się, że w tym momencie Kandinsky'emu puszczą nerwy, ale ambasador jedynie kiwnął głową i postukał palcami w blat biurka.

-Zdaje się, że muszę podjąć kilka decyzji. - Poprawił okulary na nosie. - Coś jeszcze?

-Po drodze przejeżdżałem obok budynków parlamentu i siedziby prezydenta. Wciąż jest tam cicho. Może nawet za cicho.

-Hamedow wybrał idealny moment. Aliew jest w AłmaAcie. Ma wrócić jutro. - Wyjrzał przez żaluzje, jakby przez metalową zasłonę widział całe miasto. - Stawiam na dzisiejszy wieczór. Hamedow będzie

zbyt zdenerwowany, żeby czekać do jutra rana. Wtedy mógłby nie zdążyć.

-Tak, sir. A może zadzwoni pan do prezydenta Aliewa, żeby go ostrzec? On wygląda na starego wyjadacza. To by była już trzecia próba zamachu stanu, prawda?

Kandinsky potrząsnął głową. - Nie. Jestem pewien, że Hamedow otoczył prezydenta swoimi ludźmi. Nie dałoby się tego utrzymać w tajemnicy nawet przez pięć minut. Uruchomilibyśmy tylko cały proces. A ten zamach stanu różni się od poprzednich. Tamte to były bandyckie napady. Hamedow to poważny gracz.

Spooner nie był przyzwyczajony do udzielania porad ambasadorom, ale chciał się na coś przydać. - No to może... może zadzwoni pan do Waszyngtonu?

-Zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego? Twój szef by tak postąpił? - Kandinsky skrzywił się, jak po cytrynie. - Zresztą, Drew Mac-Cauley nie ruszyłby w tej sprawie palcem. Nie, jeśli zamieszani są w to Rosjanie. W oczach starego Drew Rosjanie nigdy nie robią nic złego. I zawsze miał zastrzeżenia do niezależnego myślenia prezydenta Aliewa.

-Tak, sir.

Ku zdumieniu Spoonera, ambasador zaczął chichotać. - Coś wymyślię. Przynajmniej nie muszę się przejmować moją dalszą karierą. Możecie już iść, sierżancie. I - dziękuję.

-Tak, sir.

Spooner wyszedł do poczekalni. Tuż obok gabinetu ambasadora, w jednym z mniejszych biur, Vandergraaf udawał, że pracuje. Spooner mógł w nim czytać jak w otwartej książce.

-Sierżancie - zawołał Vandergraaf. - Wejdźcie tu na chwilę.

Spooner spełnił jego polecenie.

-Niech pan zamknie drzwi i usiądzie.

Spooner zamknął drzwi, ale nie usiadł.

-Proszę mi powiedzieć, co znowu kombinuje ten pana szef?

Mężczyzna wypełniał fotel jak worek z wodą. Gabinet poobwieszony był zdjęciami każdej prawie znanej osobistości, którą Vandergraaf kiedykolwiek spotkał.

-Chodzi panu o ambasadora, sir?

-Wie pan, o kogo pytam.

-Wszyscy pracujemy dla ambasadora, prawda sir?

Gruby mężczyzna pociemniał na twarzy i otworzył usta. Szybko się opanował i zaprezentował Spoonerowi złowieszczy uśmiech.

-Staram się tylko wykonywać swoją pracę - powiedział Vandergraaf. - Pomagać ambasadorowi. On ma teraz wiele stresów. Niech mi pan lepiej powtórzy to, co mu pan powiedział.

Spooner przyjrzał się mężczyźnie z pogardą. Kiedy znów się odezwał, jego słowa były wyważone, a głos spokojny.

-Z całym szacunkiem, sir, ale zawsze uważałem pana za kupę gówna.

Spooner odwrócił się i wyszedł, po czym pobiegł na górę do biura, na wypadek, gdyby dzwonił Burton. Spodziewał się, że wszyscy i tak stracą pracę, i z tym większą przyjemnością zobaczył wyraz twarzy Vandergraafa. Do diabła, warto było. Zawsze może wrócić do domu i jeździć ciężarówką w firmie brata. Zarobki są tam lepsze. I nikt by się go nie czepiał.

Wciąż wierzył Heddy i nie powtórzył ambasadorowi tego, co powiedział mu o niej Burton. Poza tym, Burton nie kazał mu dzielić się z kimś tą informacją. A Spooner nadal był przekonany, że Burton i Heddy kiedyś znów będą razem.

Miał nadzieję, że postępuje słusznie.

-Nikt nic nie wie - skłamała Heddy. - Wszystko będzie dobrze.

Helmut, z zabandażowanymi nadgarstkami, trzymał ją słabo za rękę.

-Widzisz, jak bardzo cię kocham? - spytał, nie bez satysfakcji. Wyglądał szaro. Cały był szary. Rezydencję ambasadora urządzono w pastelowych kolorach o tak delikatnych odcieniach, że wyglądały prawie jak szare. Helmut zgromadził kolekcję nowoczesnej rzeźby, którą dawno temu podziwiałaby, żeby nie wyjść na ignorantkę. Zanim Burton nauczył ją, że wolno śmiać się z kiczu.

-Tak - zgodziła się. - Byłam okropna. Przepraszam, Helmut.

-Nigdy mnie już nie opuszczaj, moja ukochana.

-Nigdy. Wynagrodzę ci to.

Uśmiechnął się. Jego wyrafinowanie zniknęło i wyglądał blado i naiwnie, jak Emil Jannings w rolach biedactwa, którego trzeba żałować.

-Będziemy tacy szczęśliwi - powiedział.

-Niesamowicie szczęśliwi.

-Zostań ze mną jeszcze trochę.

-Tak, kochanie.

Ale już się niecierpliwiła i z całych sił starała się to ukryć. Wszyscy zrobili z niej idiotkę. Najpierw Helmut, z tym swoim niewybaczalnym przedstawieniem, potem, co było dużo gorsze, Hamedow. Sukinsyn śmiał się z niej przez cały czas. Wiedział, że Galibani już nie żyje. Wszyscy wiedzieli. Tylko nie ona. Płatała się po mieście zamiast pracować. A w rezultacie dała tej świni milion dolarów za nic. Już przygotowała sobie wymówkę. W końcu, sam minister kazał jej dać Hamedowowi pieniądze. Ale zdawała sobie sprawę, że wyjdzie na co najmniej

niekompetentną. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Helmut był dla niej ważny. Helmut, willa w Bad Godesberg, rodzinna posiadłość w Hamburgu...

-Kocham cię - zajęczał Helmut.

-Tak, najdroższy, ja też cię kocham. Spróbuj odpocząć.

Na wspomnienie sceny z Burtonem i Helmutem zalewała ją fala wstydu nie do opisania. Zawsze miała swoje życie pod kontrolą. A teraz wszystko popsuła. Stała się nieostrożna, posłuchała ciała, a nie rozsądku. To się już nie powtórzy.

Zastanawiała się, gdzie się podział Burton. Wyglądało na to, że nikt tego nie wie. Jej ostatnią szansą na uratowanie kariery jest odnalezienie dziewczyny przed Burtonem i dostarczenie jej Hamedowowi, a on już niech robi z nią co trzeba.

Oczywiście, całkiem możliwe, że Hamedow od dawna ma dziewczynę. Albo ona już nie żyje - tym lepiej. Wtedy pozostałby tylko problem spreparowania dowodów dla BND. I nie zbrukałaby rąk krwią. To przecież całkiem możliwe, pomyślała z nadzieją. Dziewczyna może już nie żyć. To najbardziej prawdopodobny scenariusz. A Hamedow okłamał ją w sprawie Galibaniego. Równie dobrze może taić informacje na temat śmierci dziewczyny.

-Kochanie - powiedziała. - Muszę na trochę wyjść. Sprawy w ambasadzie, wiesz?

Jego słaby uścisk nieznacznie wzrósł. - Nie zostawiaj mnie.

-Nigdy cię już nie zostawię. Nie w ten sposób. Ale muszę załatwić parę spraw w ambasadzie. I zajrzeć do mojego mieszkania. Sam wiesz, jak jest w tym mieście.

Spojrzał na nią bezbarwnymi oczami. - Nie zobaczysz się z nim, prawda? Obiecuj mi, że więcej się z nim nie spotkasz.

-Nigdy więcej, kochany. Przysięgam. Jesteś wszystkim, czego pragnę.

-On nie jest dżentelmenem.

-Nie, kochanie.

-On jest bardzo prostacki...

-Tak, kochanie.

-Wciąż nie mogę zrozumieć, co ty w nim...

Położyła mu palec na ustach. - Nie powinienes się denerwować. To już przeszłość. Obiecałeś mi.

Pokiwał głową i zamknął oczy.

Uwolniła się z jego uścisku, mówiąc: - Zaciągnę tylko zasłony. - Zapalając lampę na stole, która nie będzie raziła jej narzeczonego w oczy, podeszła do okna. Na zewnątrz miasto rozciągało się w spokojnym półmroku lata.

-Która godzina? - spytał Helmut.

- Prawie pora kolacji.

- Zostaniesz, żeby mnie nakarmić? Nie czuję się dobrze.

Znów przeszła przez pokój i spojrzała w dół na niego, godząc się w duchu ze swoją sytuacją do końca życia. - Niestety, muszę iść, najdroższy. Pielęgniarka cię nakarmi.

- Nie chcę pielęgniarki.

Usiadła przy jego łóżku i wzięła jego rękę, jakby ostrożnie wyjmowała jakąś rzecz z kubła na śmieci.

- Powiem ci, co zrobimy - rzekła. - Zostaw deser na potem. Wrócę i zjem go razem. Czy to nie będzie romantyczne?

- Jestem zmęczony - powiedział. - Czuję, że zaraz zasnę.

Wstała, szykując się do wyjścia.

- Bądź ostrożna - powiedział Helmut. - Nie zniósłbym, gdybym cię stracił.

Uśmiechnęła się, zastanawiając się, czy tak się właśnie czują aktorki na scenie. W okropnych rolach. - Oczywiście, kochanie. Niczym się nie przejmuję.

Generał Hamedow siedział za biurkiem i czekał na pierwsze raporty. Był z siebie niezadowolony, co zdarzało się niezwykle rzadko. Teraz zdawał sobie sprawę, że nie powinien był wypuścić Burtona z rąk. Jednak tak bardzo chciał się dogadać z tym człowiekiem. Burton jako jedyny zawsze dotrzymywał słowa i nigdy go nie okłamał. Dobrze byłoby go uczynić partnerem w interesach, chociaż musiałby wtedy prowadzić dwie różne księgi rachunkowe. Teraz nie ma innego wyjścia, jak tylko odszukać Burtona. Znaleźć go i zdecydować, co z nim robi. Hamedow szczerze żałował, że Amerykanin wpadł do jego biura w czasie spotkania. Przez to wie za dużo. O wiele za dużo. Fleming - żałosna kreatura pozbawiona duszy - miał rację. Na Burtona trzeba uważać.

To inni zasłużyli na śmierć. A będą żyli. Na myśl o Niemce, jej perfidii, poczuł wściekłość. Ludzie Zachodu to głupcy, że pozwalają swoim kobietom wymykać się spod kontroli w ten sposób i powierzają im tak odpowiedzialne zadania. I nie spotka jej za to żadna kara. Ta wizja nappełniła go oburzeniem. Pragnął znaleźć jakiś sposób, żeby ją upokorzyć. Nie tracąc obiecanych przez nią pieniędzy.

Już jutro będzie, oczywiście, rządził krajem, ale nigdy nie zaszkodzi mieć kilka milionów dolarów w kieszeni na czarną godzinę. Zdawał sobie sprawę, że ludzie zdobywający władzę poprzez zamach stanu, mogą ją utracić dokładnie w taki sposób. Mając to właśnie na uwadze, zamierzał darować prezydentowi życie, a nawet przyznać mu szczerą, dożywotnią pensję na wygnaniu.

Niemka to potwór i zdrajczyni. Jej nieuczciwość w stosunku do Burtona budziła jego gniew. Jeśli kobieta jest zdolna zdradzić takiego mężczyznę, to kogo nie zdradzi? Hedwig Seghers stała się w oczach Hamedowa ucieleśnieniem wszystkich kobiet, z ich okrucieństwem i słabościami charakteru. Przeanalizował zachowanie niemieckiego ambasadora, dziwiąc się degeneracji Europejczyków.

Zadzwoił jeden z telefonów na biurku i Hamedow porwał słuchawkę, spodziewając się raportu od pierwszego oddziału, który ruszył do akcji. Zamiast tego, spotkała go wspaniała niespodzianka.

-Bóg jest wielki - powiedział głos w słuchawce. - Czy to generał Hamedow?

-W istocie, Bóg jest wielki - zakończył formułkę Hamedow. - Abbas?

-Tak.

-Gdzie jesteś, bracie?

Głos wahał się przez chwilę, a potem odpowiedział: - Tu. W Baku.

-Masz dziewczynę?

Znów w powietrzu zabrzmiała nutka wahania, zanim jego rozmówca odpowiedział: - Tak.

-Żyje? Wszystko z nią w porządku?

-Chorowała. Dałem jej lekarstwo. Myślę, że wyzdrowieje.

-Gdzie jesteś?

-Czy możemy się spotkać w jakimś odosobnionym miejscu?

-Nie, nie. Czasy są niebezpieczne, mój bracie - powiedział Hamedow. - Ja przyjadę do ciebie. Dostaniesz ode mnie pełną ochronę.

-Musimy coś zrobić. Wszyscy jej szukają. Nie chciałem jej tu przywozić, ale Irańczycy zamknęli granicę. Nie wiedziałem, co robić.

Hamedow uśmiechnął się pod wąsem. - Postąpiłeś słusznie. Podaj mi swój adres.

-Musimy uderzyć w Wielkiego Szatana - odezwał się w słuchawce młody, zmęczony głos. - Muszą zapłacić za odzyskanie dziewczyny.

-Są gotowi zapłacić - zapewnił go Hamedow. - Utrzymywałem z nimi tajne kontakty. Ameryka zgodziła się odwrócić od Izraela. I wyrzucić z kraju wszystkich Żydów. - Zastanawiał się przez chwilę, starając się sobie przypomnieć pozostałe bzdurne żądania tych religijnych głupców. - Prezydent Stanów Zjednoczonych przeprosił Iran. Ameryka przyjmie islamskich misjonarzy.

-Ich prezydent musi przeprosić, zanim oddamy im dziewczynę.

- Oczywiście, oczywiście. Trwają już przygotowania do tego. Jesteś wielkim bohaterem, prawdziwym synem Proroka. Twój czyn będzie pamiętany przez wieki. - Generał przerwał na chwilę. - A teraz podaj swój adres.

- Nic nie może się stać dziewczynie.

- Oczywiście.

- Oddamy ją, kiedy przyjdzie na to czas.

- Ustalimy datę między sobą. Tylko ty i ja - zgodził się Hamedow. Przypomniał sobie oczy chłopca, jak u owieczki, i jego niespójne wypowiedzi. Podczas panowania Sowietów generał nauczył się jednego - tego, że fanatycy stanowią doskonałe narzędzia, którymi można się posługiwać. - Ale jestem bardzo zajęty. Dzieją się wielkie sprawy. Nie wierni zdradzą z trwogi. Podaj mi adres.

Młody człowiek spełnił jego polecenie, cedząc słowa, jakby zamierzał zmienić zdanie. Hamedow znał tę okolicę. Opuszczone tereny niedaleko pól roponośnych, gdzie można będzie się pozbyć niewygodnych świadków.

- Dobrze, dobrze. To wielki czyn. Niedługo przyjadę. - Hamedow spojrzął na zegarek. Nie powinien teraz opuszczać biura. Ale zabierze ze sobą krótkofalówkę i telefon komórkowy.

- Przyjdź sam - powiedział Abbas. Brzmiało to w połowie jak rozkaz, a w połowie jak pytanie.

- Z jednym ochroniarzem - zapewnił go Hamedow. - Czasy są bardzo niebezpieczne.

Kiedy generał odłożył słuchawkę, usiadł głębiej w fotelu i zamknął oczy. Wierzył w szczęśliwe przypadki, a te najwyraźniej go nie opuszczały. Zanim wstał, żeby przypiąć pas z pistoletem, znalazł rozwiązanie dla innego problemu.

Niemka być może dostanie to, czego chciała. Ale będzie musiała na to zapracować. Wszyscy cudzoziemcy dostaną nauczkę.

Burton bocznymi uliczkami jechał na peryferie miasta. Nie zauważył, żeby ktoś go śledził, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu. Zaparkował przy opustoszałym już rynku, czekając, aż się ściemni i przyglądając się dzieciom grającym przy śmietniku w piłkę. Kiedy zrobiło się wystarczająco ciemno, żeby zaryzykować dalszą drogę, skierował się w stronę domu Razima, w nadziei, że złapie czołowego biznesmena Baku, zanim Azer pojedzie do „Charleys” i innych restauracji i barów, które służą mu za biura.

Wyszkoleni w kwestiach technologii przez Rosjan, Azerowie uważali, że jazda z włączonymi światłami wyczerpuje akumulator. Po raz pierwszy w życiu Burton był im wdzięczny za tę łatwowierność. Jechał przez ciemne ulice, mijany przez nieoświetlone samochody, zgodnie z

prerażającym zwyczajem tego kraju i nagle roześmiał się z siebie, bo przyszło mu do głowy, że sam przez dłuższy czas jedzie z wyłączonymi światłami własnego umysłu.

Brama przed domem Razima była otwarta, więc Burton wjechał i zatrzymał samochód w miejscu, w którym stał się niewidoczny od strony ulicy. Zauważył mignięcie czyjejs twarzy za firanką i wysiadł.

W drzwiach wejściowych przywitała go żona Razima, której został przedstawiony podczas jedynej wizyty w tym domu. Pulchna i nijaka małżonka zaserwowała im przepyszne jedzenie i wyglądała zza rogu, upewniając się, że im smakuje.

- Nie ma go w domu - powiedziała po azersku. - Wyszedł.

Ale zanim Burton zdążył wrócić do samochodu, usłyszał rozłoszczony męski głos dochodzący do domu. Kilka sekund później ze środka wybiegł Razim, żeby go zatrzymać.

- Evan-bey. Przepraszam. Moja żona nic nie rozumie. Boi się z powodu pogłosek, krążących w mieście.

Burton uśmiechnął się, udając zakłopotanie.

- Więc, mój przyjacielu - powiedział Razim. Dyszał po małej przebieżce po podwórku. - Przyjechał pan w sprawie zamachu?

- Raczej w sprawie dziewczyny.

Razim wyglądał na rozczarowanego. - Nie interesuje pana zamach stanu?

- I owszem, interesuje. Ale dziewczyna to wciąż numer jeden.

Razim spojrzął przez ramię w stronę drogi. - Wejźmy do środka. Wszędzie pełno uszu.

Burton wszedł za nim do domu wypełnionego wrzawą dzieci, znajdujących się poza zasięgiem jego wzroku. Umeblowanie stanowiło mieszkankę krzykliwego stylu zachodniego, uzupełnionego poduszkami sumaa na podłodze i brązowymi rodzinnymi fotografiami, przedstawiającymi przodków, którzy z ponurą satysfakcją zabijali Persów, Turków, Rosjan i każdego, kto zapuścił się na ich terytorium.

Usiedli i Razim zawołał, żeby żona zrobiła im herbatę. Uśmiechnął się na znak gościnności, ale uśmiechowi brakowało szczerości, a jego gospodarzowi pewności siebie. Razim szybko spoważniał i spuścił wzrok.

- Bardzo mi przykro, Burton-effendi. Nie wiedziałem, że ta sprawa z Galibanim znajdzie taki straszny koniec. Nigdy bym tam pana nie wysłał, gdybym coś podejrzewał. A teraz muszę panu jeszcze powiedzieć, że nie wiem nic nowego na temat tej dziewczyny. Krążą tylko plotki, niewarte pańskiej uwagi. Zabrano ją do Teheranu albo do Czechenii. Inni twierdzą, że nie żyje. A potem, że żyje. - Spojrzął na Burtona

brązowymi, błyszczącymi oczami. - Kto może w tych czasach cokolwiek wiedzieć?

- Żadnych innych plotek?

- Tylko że porwanie to spisek CIA, który miałby być pretekstem dla inwazji Amerykanów i zawładnięcia naszą ropą.

- Wątpliwe.

- Historia śmieje się z nas wszystkich, Evan-bey. Kto wie, jaki nonsens wydarzy się jutro?

Burton utkwiał wzrok w jaskrawym, robionym maszynowo dywanie, szyderczej imitacji wspaniałych okazów z muzeum. Sowietci zabili sztukę tkania dywanów. I tkaczy.

- No, dobrze. A co z zamachem?

- Wszyscy o nim wiedzą. Ale nic konkretnego. Mówią, że prezydent Aliew w tajemnicy powrócił do kraju. Albo że zbiegł do Stambułu. Za każdym razem przemawia przez nich strach.

- Czy Hamedowowi uda się przejąć władzę?

- Któż to może wiedzieć? To potężny człowiek. Lecz być może za dużo intryguje, a za mało myśli. - Razim dotknął ręki Burtona. - Hamedow to dziwny człowiek. Bardzo ambitny, a przy tym nie pozabawiony sumienia. Wiele zrobił dla uchodźców. - Gospodarz Burtona uśmiechnął się. - Z woli Boga, nie różni się od pozostałych Azerów. Lojalny wobec własnego klanu, swoich rodaków. Kraj, państwo... Mężczyzna dba o swoich. Czasem też o przyjaciół. Jednak zawsze najważniejsze są więzy krwi. - Razim uśmiechnął się szerzej. - Wiedział pan, że Hamedow i Aliew są spokrewnieni? Dziesiąta woda po kisielu. Teraz będą ze sobą walczyć. Ale dożyjemy czasów, kiedy wpadną sobie w ramiona i sprzymierzą się przeciw komuś innemu.

- To rzeczywiście utrudnia prowadzenie interesów - powiedział Bur-ton.

- Chyba że ma się krewniaków.

Burtona zastanowiły te słowa. - Pan nie jest spokrewniony z Hamedowem... albo Aliewem, prawda?

Razim roześmiał się. Jego żona pośpiesznie weszła do pokoju, niosąc na tacy czajniczek z herbatą, małe szklanki i srebrną cukierniczkę z cukrem w kostkach.

- Och, nie - odpowiedział. - Moja rodzina pochodzi z wysokich gór. Nie jestem spokrewniony z żadnym z nich. Ale staram się być dla wszystkich użyteczny. - Podał Burtonowi szklankę z herbatą i wziął swoją. - Myślę, że Hamedow się rozgniewał, bo nie został premierem. W tych sprawach można się ułożyć.

- Nie traktuje pan tego zamachu poważnie?

Razim spojrział na niego zdziwiony. - Oczywiście, jest jak najbardziej serio. Zginą ludzie. Być może Hamedow zwycięży i znacznie

faworyzować inną korporację. Albo Rosjan. Czy Irańczyków. Nie potrafię tego przewidzieć. Ale ziemia będzie się kręcić tak jak do tej pory.

-Dyplomacja - powiedział Burton - działa w krótszym przedziale czasowym. - Herbata uświadomiła mu, jak bardzo jest spragniony.

-Dyplomacja! Co za wspaniałe słowo, które można wymienić na ludzkie dusze! Niech mi pan powie, Evan-bey, jak mogę panu pomóc?

Burton pojął, że Razim daje mu do zrozumienia, iż jego czas nie jest nieograniczony.

-Potrzebuję innego samochodu. Hamedow nie jest ze mnie ostatnio zadowolony. Potrzebuję pojazdu, którego władze ze mną nie skojarzą.

-Ale, mój przyjacielu... wszystkie drogi z Baku zostały zamknięte przez wojsko. Już po południu.

O tym Burton nie wiedział. Ale nie miało to znaczenia. - Nie chcę wyjeżdżać z miasta, a tylko swobodnie się poruszać w jego obrębie.

-Przecież pana rozpoznają.

-Po jakimś czasie. Potrzeba mi kilku godzin. - Spojrzał w oczy swojemu gospodarzowi. - Muszę odnaleźć tę dziewczynę.

Razim kiwnął głową, a potem wzruszył ramionami. - Z samochodem sprawa jest prosta. Niech pan weźmie jeden z moich. Proszę pójść ze mną.

Burton przeszedł z nim przez podwórze do garażu. Razim włączył słabe światło i oczom Burтона ukazało się pociemniałe od smaru pomieszczenie, pełne narzędzi, części zamiennych i skrzynek. Małe Żiguli wyglądało na ich tle jak zabawka.

Razim podniósł stojące na kilku innych pudełko. Trochę się przy tym zmęczył i Burton musiał mu pomóc. W pudełku pod spodem znajdowały się tablice rejestracyjne, wszystkie odpowiednio zardzewiałe.

-Uważam, że powinniśmy zdjąć moje tablice. Wybaczy pan, ale wolałbym niepotrzebnie nie denerwować generała Hamedowa.

-Doceniam pańską pomoc, Razim-bey.

Azer machnął ręką w odpowiedzi. - Nie ma o czym mówić. Tylko tyle mogę dla pana zrobić. Życzę panu szczęścia z tą dziewczyną, która przybyła do naszego kraju z dobroci serca.

Kiedy Razim zmieniał tablice rejestracyjne, Burton wrócił do swojego samochodu i zabrał z niego najpotrzebniejsze rzeczy. Stojąc w mroku zadzwonił z telefonu komórkowego do biura.

Spooner natychmiast podniósł słuchawkę.

- Kominek - powiedział Burton - Trzydzieści mikrofonów, bez kolaczy. Przynieś cukier.

Ateshgah za trzydzieści minut. Sam. Z pieniędzmi na działania w terenie z biurowego sejfu.

- Dobra kopia - odpowiedział Spooner. - Vaya con Dios.

Razim podszedł do niego z kluczykami w rękę. Burton nie słyszał, jak nadchodzi, a kiedy odjeżdżał w nocnych ciemnościach, mógł się jedynie zastanawiać, czy Azer okaże się prawdziwym przyjacielem, czy też pomoże mu, żeby się go pozbyć, a potem zdradzić.

Sierzant Spooner odliczył z koperty ukrytej w kącie sejfu dokładnie dwa tysiące sto osiemdziesiąt dolarów, wypisał pokwitowanie, zamknął sejf i włożył pieniądze razem z latarką i telefonem komórkowym do okładki na mapę. W Ateshgah był przedtem tylko raz, podczas rekonesansu po punktach kontaktowych i pamiętał, że to miejsce przyprawiło go o gęsią skórę. Żadnego oświetlenia, za to pełno duchów. Na korytarzu zatrzymał się i upewnił, że jest pusty, potem zbiegł, przeskakując po dwa stopnie na raz, minął budkę strażnika i dokładnie w tym momencie usłyszał huk potężnych silników na ulicy.

Biegł dziedzińcem przed ambasadą w kierunku bramy wyjściowej. Zanim do niej dotarł, zobaczył snopy światła z reflektorów i zarys wieżyczki, unoszącej się nad bramą. Transportery opancerzone BTR.

Ale żadnych czołgów. Nie było słyhać ciężkiego gruchotu gąsienic na krawężnikach i jezdni. Natomiast wyglądało na to, że pojawiło się przed budynkiem sporo wozów z żołnierzami. W domku strażniczym przy bramie miejscowi strażnicy belkotali coś do niego w panice. Nawet policjant pełniący służbę przy ambasadzie wydawał się zdumiony takim obrotem sprawy. Za bramą krzyżowały się snopy reflektorów, gromadziło się coraz więcej pojazdów. Rozległy się podniesione głosy i w plamach światła pojawiły się umundurowane postaci.

Otoczają pierścieniem ambasadę. Spooner wybiegł za bramę, pragnąc za wszelką cenę dołączyć do Burtona i natychmiast został zatrzymany przez mur stalowych pojazdów i żołnierzy, z których kilku zdążyło już wycelować w niego lufy karabinów. Stał jak wryty.

To oddziały wojskowe, a nie znani mu policjanci. Co najmniej kompania. Wielkie ośmiokołowe pojazdy blokowały ulicę, skrzyżowanie, taranowały zaparkowane po bokach samochody. Wieżyczki z karabinami maszynowymi obracały się wokół własnej osi, szukając

celu, a żołnierze, niewiele starsi od dzieciaków, siedzieli na pancierzach ze zdziwionymi minami. Na drodze jeden z BRT-ów wjechał drugiemu w błotnik.

Podszedł do niego oficer, krzycząc coś po azersku.

- Mów po angielsku - powiedział Spooner. - Co wy, do diabła, wyprawiacie? Mówisz po angielsku?

Obok Spooner pojawił się znieacka drugi oficer.

- Musi pan wejść do środka. Przyjechaliśmy was ochraniać.

Spooner odwrócił się w jego stronę. - Przed kim? Nie potrzebujemy ochrony.

Oficer stanął w szerszym rozkroku. - Musimy was ochraniać. W mieście są problemy.

- Gówno prawda - powiedział Spooner. - To wy stanowicie cholerny problem.

- Z rozkazu generała Hamedowa.

- Zejdź mi z drogi.

Poczuł na ramieniu uścisk czyjejs ręki i o mało nie zareagował uderzeniem. To był Kandinsky. - Ja się tym zajmę - powiedział.

Rozmowa ambasadora z Azerami zaczęła się dość uprzejmie, chociaż Spooner znał miejscowy dialekt zaledwie w stopniu umożliwiającym mu zamówienie posiłku w restauracji. Po minucie jednak Kandinsky już krzyzał, głośno i niestety mało skutecznie. Spooner nie wierzył, żeby taki ton głosu przekonał chłopców z karabinami do zmiany stanowiska. Ambasador go jednak zaskoczył. Kiedy jeden z oficerów wyjął z kabury pistolet i wycelował go w Kandinsky'ego, ambasador odepchnął lufę ręką. Odwrócił się do Spoonera.

- Te sukinsyny nie powstrzymają mnie przed wypełnianiem moich obowiązków - powiedział podoficerowi. - Pójdę do biura Hamedowa, jeśli będzie trzeba. - Zdjął z palca obrączkę. - Proszę to wziąć. Jeśli mnie zastrzelą, niech pan ją odda mojej żonie. Niech pan jej powie, że kochałem ją bardziej niż potrafiłem wyrazić słowami.

- Sir, co...

Ambasador się odwrócił. Odepchnął następną lufę i zaczął schodzić ze wzgórza w stronę centrum miasta. Za nim powędrowały lufy karabinów i wieżyczka z karabinem maszynowym. Ucichł wszelki hałas i słycać było kroki ambasadora na popękany chodniku.

Spooner rzucił się za nim, żeby go chronić, ale jeden z oficerów wepchnął mu pistolet w żebra tak mocno, że aż zabołało. Jednak nie zastrzelili ambasadora. Kandinsky przecisnął się między dwoma wielkimi pojazdami, poprawiając okulary na nosie, a z jednego z wozów,

jakby na wiwat, wydobył się ciemny obłok spalin. Po chwili zniknął za ścianą światła z reflektorów i zagłębił się w noc, maszerując, żeby pokonać armię, zamach, kraj.

Teraz obok Spoonera pojawił się ktoś jeszcze. Nalana twarz Vandergraafa była tak mokra, jakby dopiero co wyszedł spod prysznica.

- Teraz ja tu dowodzę - powiedział Spoonerowi. - Wejdz z powrotem do ambasady. I nie próbuj kontaktować się ze swoimi kolegami wicherzycielami. Łączność nie działa.

- A jeśli nie wejść do środka?

- Powiedziałem tym chłopcom, że mogą cię zastrzelić.

Burton jechał starym Żiguli z wyłączonymi światłami, nie widząc wybojów i bruzd po deszczu, które próbowały unieruchomić mały samochód. Okolica nie należała do najbezpieczniejszych i ludzie po zmroku zamykali się w domach na trzy spusty. Zazwyczaj wyczuwało się tu życie, czekające do ranka, żeby się obudzić. Ale tego wieczoru przez zamknięte okna nie przedostawało się na zewnątrz żadne światło. Warkotowi silnika towarzyszył strach. Tylko raz wybiegła mu na drogę stara kobieta, machając długimi rękawami ciemnego ubrania, tak że zahamował z piskiem opon. Poza tym, nędzna okolica tonęła w martwej ciszy. Wolno przejechał obok wysokich ścian świątyni, upewniając się, że stróż ją zamknął. Zaparkował samochód w maleńkiej uliczce o przecznicy dalej i ustawił go przodem do drogi, żeby mógł szybko z niej wyjechać, ale nawierzchnia była w tak fatalnym stanie, że scena pościgu samochodowego rodem z filmów akcji nie wchodziła raczej w rachubę. Wsiadł cicho przy akompaniamencie syku chłodzącego się silnika. Ateshgah stanowił punkt kontaktowy. Miejscowi byli przekonani, że w okolicy straszy i Burton obserwował je na tyle długo, żeby się upewnić, że policjanci tu nie zagląдают. Setki lat wcześniej Baku zostało poddane działaniom zanieczyszczeń przemysłowych, a w Ateshgah produkty uboczne wydobywania ropy i gazu wydostawały się przez glebę na powierzchnię i powodowały samozapłony. Nieustający płomień na szczycie Apsheron, wcinającym się w morze, sprawił, że stało się ono miejscem pielgrzymek czcicieli ognia Zaratustry i samozwańczych mistyków. Nawet po zapanowaniu na tych ziemiach praw islamu, z Indii przybywali tu pieszo świątobliwi mężowie, stawiając czoło bandytom w górach i wężom na pustyni, po to, żeby ucałować ziemię Ateshgah i zagłodzić się na śmierć ku chwale bożej.

Obecnie świątynia została tandetnie odnowiona i stanowiła atrakcję turystyczną bez turystów. Pilnował jej dozorca, który za opłatą podawał

wyssane z palca informacje. Specjalnie dla Indiry Gandhi sowieci zainstalowali w tym miejscu sztuczny „wieczny” płomień, w miejsce prawdziwego, zduszonego przez rozwój przemysłowy. W kilku odbudowanych pomieszczeniach znajdowały się manekiny, z rodzaju tych, które mimowolnie straszą małe dzieci. Zanim do Baku przyjechał Gorki, żeby nieporadnie i wrzuszająco pisać o naftowym proletariacie, miasto przyciągało robotników pracujących na platformach naftowych, bezrobotnych szukających pracy, mieszkańców wsi, ciągnących do miasta i kaleki, nie nadające się już do pracy na wszechobecnych platformach. Gorączka ropy dawno już minęła, pozostawiając po sobie zamieszkane na stałe prowizoryczne chałupy z warzywnymi ogrodami otoczonymi murem i studnie, z których czerpano wodę skażoną ropą naftową i zanieczyszczeniami z ich własnych budynków gospodarczych. Mieszkały w nich całe rodziny, a ich lekko zatrute substancjami chemicznymi dzieci były się ze sobą na zakurzonej drodze. W nocy skraj lądu należał do duchów i ludzi w rodzaju Evana Burtona.

Burton ukucnął, plecami dotykając ściany budynku, w miejscu, gdzie jego zagłębienie tonęło w mroku. Tam, gdzie mógł obserwować otoczenie, sam niewidzialny dla obcych oczu. Wtedy usłyszał charakterystyczne dudnienie w oddali. Czołgi. Jeśli słuch Burtona nie mylił, jechały drogą na lotnisko.

To jest to.

Zamach stanu.

W pierwszym odruchu chciał wskoczyć do samochodu i pojechać do ambasady, na pomoc Kandinsky'emu. Natychmiast jednak uświadomił sobie głupotę takiego postępowania. Ambasada na czas przewrotu stanie się więzieniem. To ostatnie miejsce, w którym chciałby się teraz znaleźć. Musi działać z szeroko otwartymi oczami. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer gabinetu ambasadora, ale zakłócenia atmosferyczne uniemożliwiły połączenie. Albo Azerom udało się zakłócić ich częstotliwości. Rosjanie mogli im w tej sprawie służyć pomocą, pomyślał Burton. Cholerny Swiridow i jego banda.

Wydało mu się, że na drugim końcu słyszy pracujący silnik półciężarówki, ale jakość połączenia była za słaba, żeby mieć pewność. Zaczął mówić do telefonu opanowanym głosem, nie chcąc robić więcej zamieszania niż to konieczne. Liczył na to, że Kandinsky go słyszy.

- Mówi Burton. Drogą na lotnisko jadą czołgi. Przynajmniej batalion. Powtarzam: w przybliżeniu jeden batalion czołgów wjeżdża do miast drogą na lotnisko. Baza, słyszycie mnie?

Szumy. Odgłosy jak z taniego filmu science-fiction. Złożył telefon i schował go do kieszeni w spodniach. Na niebie pojawiły się pociski

smugowe i rozmyły w powietrzu. Były tak daleko, że dźwięk wybuchu nie od razu dotarł do jego uszu.

Walczą o lotnisko?

Wstał i znów ukucnął. Zdał sobie sprawę, że Spooner może do niego nie dotrzeć, i że nie ma pojęcia, co robić dalej. Nawet jeśli Kelly Trost znajduje się w sąsiednim domu, nie ma sposobu, żeby to sprawdzić. Miał poczucie, że - bez jego udziału - dzieją się rzeczy ważne. Czuł się bezradny i przegrany. Opuścił brodę na piersi. Nawet jeśli nie zamierzali zabijać dziewczyny, łatwo może się stać jedną z ofiar, gdy zamach przybierze krwawy obrót. Jeśli zaczniesz przegrywać nie ta strona, która powinna. Albo jeśli jakiś człowiek z bronią straci panowanie nad sobą.

- Trzymaj się - szepnął do niej. - Idę po ciebie.

Plecie bzdury. Zrobiło mu się wstyd za siebie. Spojrzał na zegarek. Od jego telefonu do Spoona z posesji Razima minęła już prawie godzina. Wojsko pewnie zablokowało główne arterie komunikacyjne. Jeśli nie wszystkie.

Znając Azerów, podejrzewał, że nie dopracowali w szczegółach planu logistycznego wojska, nie wspominając już o kontroli nad cywilami. Wtedy to do niego dotarło. Nie zna Azerów. Nie w najważniejszych sprawach. Oczekał jeszcze kwadrans. Usłyszał dwukrotny wystrzał z pistoletu jakiś kilometr od niego. Strzelanina na blokadzie drogowej, pomyślał. Każdy samochód będzie teraz skrupulatnie kontrolowany, ale wciąż nie słyhać wystrzałów z broni dużego kalibru, nie widział nagłych błysków i towarzyszącego im huku, charakterystycznego dla pęknięcia ciężkiego metalu.

W górę wystrzeliły dwie flary na spadochronach i rozległy się kolejne strzały z broni ręcznej. Jednak stawka wciąż rośnie. Na lotnisku - łączącym miasto z resztą świata - na pewno dzieje się coś złego.

Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer do Spoona, ale zakłócenia były jeszcze większe niż poprzednio. Zagłuszają. To jasne. Kandinsky potrzebuje go w terenie, zbierającego informacje. Chociażby na temat oddziałów. Wydarzenia tego typu to działka attache wojskowego. Ambasadorzy potrzebują ekspertów zdolnych ocenić rzeczywistą naturę rzeczy, której są świadkami. Burton postanowił dać Spoonerowi jeszcze dziesięć minut, a następnie odstawić dziewczynę na boczny tor i ruszyć w stronę miasta, żeby robić to za co mu płacą. Wydało mu się, że słyszy zbliżający się pojazd. Trudno jednak było to ustalić w nieustającym huku silników w tle. Nie. To na pewno gdzieś niedaleko. Coraz bliżej. Spooner? Samochód zatrzymał się na środku ulicy. Burtonowi włączył się wewnętrzny alarm: takie nieostrożne zachowanie nie leży w naturze Spoona.

Ktoś wysiadł. Sprawy potoczyły się na jego niekorzyść w bardzo szybkim tempie. Pojawiło się jeszcze trzech mężczyzn. Zarys ich postaci wskazywał na to, że mają Kałasznikowy. Za nimi zatrzymało się jeszcze kilka pojazdów. Przyjechały szybko, w zwartej grupie jak konwój. Burton zauważył co najmniej jedną ciężarówkę, powiewającą brezentową powłoką niczym czarnymi skrzydłami. Nawet w takim momencie oburzyło go, jako żołnierza, niechlujstwo całej akcji. Jeszcze go nie widzieli, ale najwyższy z nich, jedyny nieuzbrojony mężczyzna krzyknął: - Pułkowniku Burton. Przyjeżdżamy, żeby zapewnić panu bezpieczeństwo.

13

Evan Burton był twardy.

Jeden z jego „opiekunów” włączył latarkę i Burton skoczył do góry, jakby wbijał piłkę do kosza. Palcami ledwo dosięgnął szczytu ściany budynku. Zapalało się coraz więcej świateł i zjeżdżały się kolejne pojazdy, ale Burton dobrze wybrał sobie kryjówkę. Był niewidoczny na tyle długo, że zdołał wdrapać się na ścianę, zdzierając skórę z palców, łokci i kolan. Podciągnął się na parapet, uciekając przed snopem światła.

Szczyt ściany zatonął w świetle, ale on znajdował się już poza zasięgiem wzroku. Rozpłaszczył się na przejściu za imitacją udającą blanki i zaczął się czołgać w stronę schodów prowadzących na dziedziniec. Przez warkot silników przebijały się głosy. Ale nikt nie strzelał. To oznacza, że dostali rozkazy doprowadzenia go żywego. Wnętrze budynku miało rozmiary boiska do koszykówki. W centralnej części kamiennego pawilonu drgał płomyczek podpalonego gazu, odrobinę rozjaśniając noc. Burton dotarł do schodów, podniósł się na kolana i skulony zbiegł po stopniach, pokonując ostatnie jednym skokiem. Przebiegł po odkrytym terenie tak szybko jak tylko potrafił, kierując się do kolejnych schodów prowadzących do tylnej ściany. Gonitwa w tym kompleksie będzie kosztowała ścigających go żołnierzy czas i siły. Jeśli uda mu się przeskoczyć przez tylną ścianę, zanim go zobaczą, będą musieli zostawić w budynku kilku ludzi do sprawdzenia, czy się nie ukrywa w którymś z jego licznych pomieszczeń. Dobiegł do parapetu okna tylnej ściany - nasłuchiwał krzyków za jego plecami, ale nie chciał tracić nawet sekundy na oglądanie się za siebie. Wdrapał się na parapet i wbił wzrok w czarną zupę. Nie widział, co czeka go na dole więc wyskakując ścisnął razem kolana i ugiął lekko nogi, żeby zadziałały jak amortyzujące upadek sprężyny, zgodnie z zasadami, które wpojono mu podczas szkolenia w Fort Benning dwadzieścia lat wcześniej. Coś powstrzymało jego upadek, a potem załamało się pod jego ciężarem. Stracił równowagę. Rozłączył nogi i wylądował na palcach, potem na kolanach, padając całym ciałem.

Upadek był tak gwałtowny, że zabrakło mu tlenu w płucach. Ale nie pojawiły się symptomy charakterystyczne dla złamania, czy zwichnięcia. Pod całym ciałem czuł błogosławioną miękkość. Śmieci. Szybko sprawdził wszystkie członki i skoczył na równe nogi. Razem ze Spoonem sprawdzali możliwości ucieczki na tym terenie, ale popełnili kardynalny błąd, robiąc to w ciągu dnia. Teraz, w okalających go ciemnościach pozostało mu iść po omacku gruntową drogą, z nadzieją, że pamięta trasę i wie, gdzie się znajduje. Gwałtowne, wydawane donośnym głosem rozkazy świadczyły o tym, że pościg trwa. Nie udało mu się zainteresować ich całkowicie budynkiem. Odgłosy ich pojazdów dały o sobie znać na pobliskich drogach. Jeden po drugim samochody powłączały światła, żeby lepiej orientować się w terenie. Zaczęły mu odcinać drogę z dwóch stron. Z budynku dobiegały rozgniewane głosy. Po lewej niebo rozjaśniła flara. Uderzyła go myśl, że sytuacja uległa nieznaczej zmianie, ale zajęło mu parę dobrych minut, podczas których nie przestawał biec po omacku, zanim zorientował się, o co chodzi. Świat w oddali uspokoił się. Nie słychać było teraz odległych wystrzałów ani dudnienia opon konwojów na bulwarach, a jedynie buczenie jałowych biegów. Powody tego mogły być bardzo różne. Niewykluczone, że zamach stanu już został przeprowadzony. Albo utknął w martwym punkcie i trwało zawieszenie broni oraz negocjacje. Burton doszedł do wniosku, że w każdym razie, im mniej strzelaniny tym lepiej.

Odnalazł właściwą drogę, po tym jak jego wzrok ponownie się przyzwyczaił do ciemności. Niepotrzebnie spojrzął na płomień na dziedzińcu, a potem w światło reflektorów samochodowych. Truchtając wzdłuż ogrodzenia, schylony, starał się uzyskać jak największą przewagę, zanim pogoń samochodowa odnajdzie drogę w labiryncie alejek i wąwozów. Wracał do centrum miasta.

Niedaleko odezwał się pies. Miał wyjątkowe szczęście zostać zbiegiem w jedynym islamskim państwie, w którym ludzie trzymają psy. Skręcił w stronę, gdzie odgałęzienie alejki schodziło w dół, przez płataninę niskich murków i chat. Poruszał się bardzo szybko. Pół kilometra niżej znajduje się wąwóz, który oddziela obrzebne zabudowania od reszty miasta. Teren był tam tak pofałdowany, że dżip ledwo sobie na nim dawał radę i to w świetle dnia. Kiedy się tam znajdzie, będą musieli gonić go na piechotę. A Burton był przekonany, że da radę uciec przed całą armią Azerbejdżanu, której umundurowanie byłoby niepełne bez nieodłącznego papierosa w ustach każdego żołnierza.

Rozedrgane snopy reflektorów samochodowych przecięły mu drogę.

Rzucił się na ziemię i wczołgał do rowu. Ubrudził błotem nogi i rękę. Dżip na pewno jedzie w jego stronę, dźwięki silnika i reflektorów nabierały intensywności. Usłyszał za plecami jak ktoś biegnie.

Wąwóz jest tak cholernie blisko. Był stromy, wypełniony zardzewiałymi beczkami i porzuconymi samochodami oraz karłowatą roślinnością na samym dnie. Wiedział, że na przeciwnym końcu łączy się z kilkoma brukowanymi uliczkami. Gdyby udało mu się go przeciąć, mógłby uruchomić samochód i schować się w labiryncie miasta, zanim Azerowie wróciliby objazdem do drogi z lotniska, żeby go dalej ścigać.

Reflektory dźgnęły ciemność z drugiej strony. To znaczyło, że nie wszystkie częstotliwości są zakłócanie. Albo że zakłócanie dotyczy tylko pewnych sytuacji.

Przedzierając się po ścianie rowu do suchego miejsca, wyjął telefon komórkowy, w nadziei, że nie zniszczył go skacząc. Był mokry i oślizgły. Wyciągnął antenkę i wybrał palcami w ciemności numer z pamięci. Dzwonił na sekretarkę w biurze.

Dziki szumy.

I tak zaczął mówić. Wtedy telefon przestał działać zupełnie.

Żegnaj rewolucjo w łączności.

Wyrzucił telefon do rowu i przeczołgał się przez najbliższy murek. Zanurzył się w mrowisko żołnierzy i samochodów, zacieśniających się wokół niego pierścieniem głosów, silników i reflektorów. Wstał czując jak zraniona noga zaczyna go boleć i trochę sztywnieć. Przeskoczył przez kolejną ściankę.

Miękkie lądowanie. Ogród. Poruszał się szybko, ale stawiał kroki bardzo ostrożnie. Pomieszczenie gospodarcze przesiąknięte ludzkim zapachem. Potem, zupełnie niespodziewanie, plantacja róż, pięknie rozwiniętych, zatapiających go w zapachu. Jakiś kolec zaczepił się mu o spodnie.

Hałas był taki, jakby gonił go co najmniej tuzin samochodów i kompania wojska. Wiedział, że strach robi z igły widły. Ale nawet dzielona przez pięć liczba nadal stawiała go na przegranej pozycji. Przenarł się w głąb skupiska rodzinnych zabudowań, nie połączonych żadną drogą, pewien, że mieszkańcy czują jego obecność, a niektórzy nawet obserwują przedstawienie przez zaciemnione okna. Ale nimi się nie przejmował. Typowy Azer nauczył się trzymać z dala od rządowych spraw.

Powódź światła zalała ciemność wśród której się poruszał, ale nie udało się jej spenetrować labiryntu ścian, ogrodzeń i chałup. U stóp wzniesienia ścigający go ludzie ustawili wzdłuż brzegu wąwozu kilka pojazdów. Ich skrzyżowane reflektory tworzyły obszar ziemi niczyjej.

Ale Burton nadal ufał, że ma szansę. Porusza się sprawnie, umknie przed światłami, zanim zdołają go zatrzymać. Potem znajdzie się w wąwozie i gra rozpocznie się od nowa.

Chyba że mimo wszystko zdecydują się strzelać.

Pochyłony biegł przez podwórka i ogrody, obok narzędzi ze starego gospodarstwa i antycznego urządzenia wiertniczego, gdzie nasiąknięta ziemia ugięła się mu pod stopami. Przed sobą miał obszar całkowitego zaciemnienia, na którym Azerowie stracą jakąkolwiek możliwość manewrowania pojazdami na wyboistym terenie. Jeśli nie rozlokowali tu oddziałów, rozsądnie będzie tędy przejść.

Prawie udało mu się dotrzeć do strefy bezpieczeństwa. Wtedy, gdy został mu do pokonania tylko jeden budynek, usłyszał charakterystyczny głos podoficera poganiającego swoje oddziały. Burton ukrył się w zaroślach, w nadziei, że go ominą. Kilka sylwetek znajdowało się już na jego wysokości.

Ciemności rozjaśniała tylko jedna latarka. Azerowie nigdy nie dawali oddziałom liniowym tak drogiego sprzętu jak latarki. Światło w każdym oddziale znajduje się zawsze w rękach dowódcy, i jeśli Burton szykowałby na nich zasadzkę, dokładnie wiedziałby кого zabić.

Żołnierze byli hałaśliwi, niezdarzy, niewyszkoleni i niedokładni. Jeden z nich coś powiedział. Głos był młody i wystraszony. Pewnie nie urządzono im odprawy, domyślił się Burton. Przełożony kazał im po prostu poszukać w okolicy jakiegoś człowieka. Dzieciak pewnie wyobrażał sobie mordercę o stalowym spojrzeniu czającego się w ciemnościach, żeby poderznąć mu gardło.

Wystraszone dzieciaki.

Wystraszone uzbrojone dzieciaki.

Na szczęście, oddział szedł dalej, potykając się i złorzecząc. Kiedy Burton uznał, że warto zaryzykować, podniósł się i pokonał ostatni mur dzielący go od wąwozu.

Nagle rozległ się obok niego hałas niczym wystrzelona z pistoletu kula. Przez pół sekundy Burton czuł wręcz paraliżujący strach o własne życie, nie mając pojęcia, co się dzieje. Potem zidentyfikował dźwięk. Wokół jego nóg kręciły się małe gładzące żyjątko.

Wpadł do zagrody z kurczętami.

Światło z latarki odnalazło go. Rozległy się krzyki. Polowanie nabrało tempa. Oddziały poszukiwawcze ruszyły w jego stronę, świecąc coraz większą liczbą latarek i coraz więcej głosów pośpiesznie wydawało rozkazy po azersku.

- Nie ruszaj się. Stać. Nie ruszaj się.

Burton zastanawiał się, czy nie rzucić się do ucieczki, ale ktoś puścił mu nad głowę serię. Ukucnął. I poczuł na sobie ręce.

W chwilę później, ze wszystkich stron dopadły go światła, kłując go w oczy. Jego oprawcy trzymali go mocno. Cała masa mocnych uścisków. Czuł zapach brudnych mundurów, ich oddechy. Coś twardego i zimnego dźgnęło go pod brodą, odchylając głowę do tyłu, a potem wycofało się lekko. W ruchliwym świetle błysnęła mu czyjaś twarz. Nie mógł jej skojarzyć. Potem oficer przemówił i Burton go sobie przypomniał.

To był major, któremu narobił takiego wstydu po południu. Major Mała Głowa, oficer w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, którego podstępem nakłonił do eskortowania go do biura Hamedowa. Światła zatańczyły i znów uderzyły Burтона prosto w oczy. Twarz mężczyzny zniknęła w ciemnościach, ale wystarczył sam głos.

-Bardzo proszę, pułkowniku Burton - powiedział major. - Błagam, niech mi pan da pretekst, żebym pana zabił.

-Będzie żył?

Ruby Kinkiewicz odwróciła się do niego, jakby ją klepnął w pośladek. Kiedy zorientowała się, kim jest, zdziwienie na jej twarzy ustąpiło miejsca konsternacji. Makijaż miała w ruinie, oczy zaczerwienione. Z tymi krzykliwie rudymi włosami zawsze mu przypominała Belle Watling z „Przeminęło z wiatrem”, film, który nigdy nie przestawał go wzruszać.

-Nie powinieneś tu przychodzić - powiedziała ostro. Jednak wiedział, że jej brawura jest krucha jak skórka przypieczonego bekonu. Dwóch pielęgniarzy przetoczyło wózek z tacami przez poczekalnię. Na jednym łóżku staruszka z drżącymi ustami wpatrywała się w jarzeniówkę.

-Zaniepokojony obywatel ma prawo wiedzieć. - Panował nad swoim głosem, ale mimo iż bardzo się starał, nie potrafił przybrać bardziej przyjacielskiej miny. Stawka jest za wysoka. - Powiedz mi tylko, jak on się czuje.

Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła się, ukazując profil zdradzający jej średni wiek. Dotknął jej ramienia, bez przekonania próbował go strząsnąć, ale on nie zwolnił uścisku. Obserwował rozbiegane oczy kobiety, która zastanawiała się, czy widzi to obsługa szpitala. Albo jacyś reporterzy. Łatwo ją było rozszyfrować.

-Mój Boże - powiedziała. - Nie powinieneś tu przychodzić. Ktoś może się domyślić, co nas łączy. - Jej głos zdusiła rezygnacja.

-Będzie żył? Muszę to wiedzieć.

Kobieta parsknęła lekko. - Przeprowadź blondynkę do jego łóżka, jeśli nie złapie jej za tyłek, to znaczy, że nie żyje.

Zaczął tracić cierpliwość.

-Co mówią lekarze, Ruby?

Unikała jego wzroku. To niedobry znak. Nie potrzebował ataku wyrzutów sumienia i idiotycznych wyznań przy łóżku Trosta.

-Posłuchaj - powiedział - bez względu na rozwój wydarzeń, zadbam o ciebie. Nie masz się czym martwić.

Zaśmiała się, a jej śmiech zabrzmiał jak trzask zgniatanej w rękę puszki. - Jasne.

-Dotrzymuję danego słowa. Zawsze tak było. Nieważne, co się dzisiaj stanie, i tak zadbam o ciebie.

W rzeczywistości, już się oczywiście zastanawiał, jak się wykręcić od danych jej obietnic, jeśli Trost umrze. Bez senatora Mitcha Trosta stawała się zbędna jak brudny ręcznik. - Ale musimy zachować równowagę, zadbać o interesy. Po prostu pracujmy dalej razem, Ruby.

Wreszcie na niego popatrzyła. - Musisz robić w spodnie.

Nie obraził się. Wręcz przeciwnie, cieszył się, że wróciła jej zadziorność. - Powiedz mi tylko, co mówią lekarze i już mnie nie ma. Nie chcę być tu tak samo, jak ty nie chcesz mnie tutaj.

Potrząsnęła głową i na jej twarzy pojawił się wyraz przegranego życia. - Będzie źył, do diabła.

Zamknęła na chwilę oczy. - Dzięki Bogu.

Ruby zaczęła płakać. - Och, do diabła z tobą, sukinsynu. Żebyś zgnił w piekle. - Zasłoniła twarz ręką. - I ja tam trafię.

Bob Felsher, który nie lubił marnować czasu, pędził już do wyjścia szpitalnym korytarzem.

Zamierzają ją uwolnić. Kelly była pewna. Abbas zmienił się, jego zdenerwowanie ustąpiło miejsca żalowi. Dwa razy przychodził do piwnicy, żeby na nią popatrzeć, za drugim razem wychodząc ze słowami, że „wszystko będzie dobrze”.

Słyszała, jak się kłóci z tym bandytą na górze, ale wytatuowany mężczyzna więcej nie pojawił się w piwnicy. Już prawie po wszystkim. Zamierza ją uwolnić. Fizycznie czuła się już o wiele lepiej i mogła jeść chleb i ser, przyniesiony przez Abbasa. Zupełnie jakby podarowano jej z powrotem życie w najmniej spodziewanym momencie. Chciała pływać, zobaczyć się z ojcem, znów być czystą.. Chciała wrócić do domu na jesień, czytać George'a Eliota, może zrobić dyplom wcześniej niż planowała. Chciała zjeść prawdziwego hamburgera podczas lunchu z Ruby Kinkiewicz i posłuchać najnowszych plotek z biura jej ojca.

Abbas szedł na dół, stukając obcasami. Miał białą, czystą koszulę, zapiętą pod szyję. Rękawy były za krótkie i wystawały z nich kępki

czarnych włosów. Wydawał się jej zawsze przerażająco silny i zaskoczyła ją kruchość jego nadgarstków..

Nie skrzywdzi mnie, wmawiała sobie. Ale równie dobrze mogłaby się zmusić do polubienia węża. Z obrzydzeniem spowodowanym jego bliskością obserwowała, jak podnosi połamane krzesło i ręką wyciera je z kurzu. Był pedantyczny jak pedantyczni musieli być jej zdaniem najgorsi naziści, o których uczyła się w czasie serii wykładów pod tytułem: „Holocaust - teksty i rodzaje literackie”.

Potań dłonie, jakby je czyścił.

- Porozmawiamy - powiedział.

Kelly postanowiła być ostrożna i nie rozgniewać go teraz.. Niedługo będzie wolna i nie chce zrobić jakiegoś głupstwa, które może wszystko zepsuć. Nie stawiaj się, nakazała sobie w duchu. Zgadza się z tym, co powie.

Patrzył na nią tak długo, aż poczuła węzeł w żołądku.

- Myślę - powiedział - że nie jesteś złym człowiekiem.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Myślę... że rozumiesz moje postępowanie. To wszystko - machnął ręką w stronę piwnicznego muru - zrobiłem dla moich rodaków.

- Tak - odpowiedziała - oczywiście.

Przysunął się bliżej, prawie się uśmiechając. Chyba nie był w stanie uśmiechnąć się szeroko. Przypominał jej poważnych, chłopców z kampusu, którzy studiowali inżynierię i nigdy nie umawiali się na randki.

- Być może... polubiłaś mnie - powiedział. - To rozumiame.

Kelly wzmogła czujność. Czekał na jej reakcję. Ku jego rozczarowaniu, z jej ust nie przyszło potwierdzenie. Nerwowo poruszył się na krześle. - To normalne. Mężczyzna i kobieta. Nie myślę o tobie źle.

- Ja... ja byłem chora. To nie... - Zastanawiała się, czy nie plotła jakichś bzdur w gorączce. Jeśli nie, temu człowiekowi musi brakować piątej klepki. Nagle twarz mu się rozjaśniła. Nie można tego było inaczej nazwać. - Widzisz, moja religia jest bardzo piękna. Podczas twojej choroby cały czas czytałem ci Koran. Pomaga walczyć z diabłem. Jest lepszy od lekarstwa. Musisz nauczyć się więcej o islamie.

- Tak - zgodziła się Kelly skwapliwie. - Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

To mu się spodobało. - Tak - powiedział z ożywieniem. - Czekaj cię wiele nauki. Moim obowiązkiem jest nauczyć cię tego.

- Ale... nie ma... nie będzie już czasu.

Na jego twarzy odbiły się jego myśli, jak ciemny welon.

-Allan w swojej łasce daje nam mało czasu na ziemi. Ale nie martw się. Skontaktuję się z tobą. Znajdę sposób. Nie obawiaj się. Jeszcze się zobaczymy.

Przeżazona nagłą myślą zamknęła oczy. Założyła, że koniec będzie prosty, że uwolnią ją i już. Sam fakt, że miałyby jeszcze kiedyś zobaczyć tego mężczyznę, sprawiał, że chciała krzyknąć ze strachu i rzucić się na niego z pięściami.

-Tak - powiedział. - Zamknij oczy i zastanawiaj się nad tymi sprawami.

Jego usta dotknęły jej czoła i otworzyła oczy. Prawie krzyknęła, ale udało się jej zapanować nad sobą.

Abbas cofnął się niezdarnie, potrącając swoje krzesło.

-Przepraszam - powiedział. Nawet na nią nie patrzył. - Proszę. Nie powinienem był tego robić. Za wcześniej na to. Wystraszyłem cię.

Kelly olśniło, że jest odwrotnie niż mówi. To on jest wystraszony. Nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę zachowywał się jak mały chłopiec, który żyje w świecie fantazji. W świecie mrocznych fantazji.

Przy ulicy przebiegającej wzdłuż domu zatrzymał się samochód z zepsutym tłumikiem. Abbas się wyprostował i spojrzał w stronę schodów, jakby sprawy toczyły się dla niego zbyt szybko, a człowiek, który przyjechał tym samochodem już był w środku i nie można go było zatrzymać. Odwrócił się do Kelly po raz ostatni. Spuściła wzrok, żeby nie widzieć jego oczu i zobaczyła, że trzęsą mu się dłonie.

-Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Teraz widzę już, że mnie kochasz.

Hamedow nie od razu wszedł do budynku. Zatrzymała go wiadomość, którą przekazano mu drogą radiową. Mają Burtona. Generał wziął do ręki mikrofon od adiutanta siedzącego na tylnym siedzeniu samochodu wojskowego. Odwrócił się w kierunku radia, jakby to prawiało łączność i spytał: - Czy cel jest ranny?

-Lekko ranny w nogę. Nic poważnego. Jest spokojny. Odbiór.

-Nic mu się nie może stać. Przywieziecie go do mnie. - Hamedow zwolnił przycisk i oddał mikrofon swojemu podwładnemu. - Powiedz temu głupcowi, jak tu dojechać. Niech się pośpieszy.

Jego adiutant trzymał mikrofon w pogotowiu. W radio rozległ się głos: - Potrzebna nam lokalizacja - ale obaj mężczyźni zignorowali go na moment. - Sprowadźcie mi Niemkę - powiedział Hamedow. - I to szybko. Powiedzcie jej, że mam to, czego chce. Zabierzcie ją do siedziby

głównej i trzymajcie, dopóki nie zadzwonię. Traktujcie ją z szacunkiem.

- Tak jest, towarzyszu generale.

Hamedow uniósł brew. - Nie jesteśmy już towarzyszami. Ciągłe o tym zapominasz. - Potem roześmiał się. - Oczywiście, nie należy za bardzo się od tego odzwyczajać.

Generał wysiadł z samochodu, skrępowany zbyt ciasnym mundurem. Ochroniarze, jadący za nim w drugim pojeździe, zdążyli już wysiąść i zabezpieczyć uliczkę. Oficer i dwóch mężczyzn czekało, żeby razem ze swoim wodzem wejść do budynku.

- Żadnej strzelaniny - ostrzegł ich Hamedow - dopóki wam nie pozwolę. - Odważnie podszedł do drzwi i zapukał, po czym wszedł nie czekając na odpowiedź.

W środku czekali dwaj mężczyźni. Jeden był młodym chłopcem, z przyszywaną brodą i krowim oczami typowymi dla osoby religijnej. Drugi, pokryty więziennymi tatuażami wyglądał jak opryszek.

- Gdzie ona jest? - spytał Hamedow.

Religijny chłopiec, z którym rozmawiał przez telefon, otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale oprych był szybszy.

- Ten układ działa w dwie strony - powiedział, robiąc krok do przodu. - Nie zamierzamy tak po prostu...

Ze zwinnością, której nikt by się po nim nie spodziewał, Hamedow wyszarpnął pistolet z kabury i strzelił mu prosto w twarz. Huk wystrzału był ogłuszający w pustym pomieszczeniu i nadal odbijał się echem od ścian, kiedy martwy mężczyzna upadł na ziemię.

Hamedow włożył pistolet do kabury i spojrzał na religijnego chłopca, który wyraźnie się trząsł. Hamedow spokojnie powtórzył pytanie:

- Gdzie jest dziewczyna?

- Jest... - Chłopiec ledwo mógł mówić. Zaciśnął pięści, ale Hamedow wiedział, że robi to tylko po to, żeby nie było widać, jak się trzęsą. - Jest w piwnicy. Na dole.

- Pokaż mi, gdzie.

Chłopiec ledwo trzymał się na nogach. Kojarzył się Hamedowowi z kruchym kryształowym wazonem podczas trzęsienia ziemi. Samemu sobie pewnie wydawał się lwem. Ryczącym i walczącym dla swojej idiotycznej sprawy.

Generał poszedł za nim na dół, wyprzedzając ochroniarzy, żeby im pokazać, że się nie boi. Dziewczyna czekała na dole zgodnie z obietnicą. Nie wyglądała najlepiej po swoich przygodach. W oczach czaiła się jej nadzieja na uwolnienie, ale nie potrafiła ocenić natury usłyszanego

strzału, ani wyglądu ludzi, którzy weszli do pomieszczenia. Cóż, pomyślał, ta młoda kobieta zaraz odbierze cenną lekcję na temat ludzkiej natury. Na samą myśl odczuwał zadowolenie.

-Musi mi pan obiecać - powiedział słabym głosem chłopiec - że nie zrobi jej pan krzywdy.

Hamedow rozejrzał się pobieżnie po betonowej norze, żeby się upewnić, czy nie czają się w niej inni bandyci, potem znów wyjął z kabury pistolet i strzelił chłopcu w skroń. Twarz Abbasa rozszerzyła się na sekundę, po czym jego druga skroń eksplodowała. Krwawa miazga trafiła dziewczynę, a ta krzyknęła, wtórując ogłuszającemu echu wystrzału. Chłopiec upadł z otwartymi oczami. Był martwy, ale jego ciało drgało uparcie i wiergał jeszcze nogami.

Dziewczyna nie przestawała krzyczeć i szamotać się na krześle, do którego była przywiązana, aż upadła na bok, prawie dotykając twarzą nieżywego chłopca. Krzyczała jak szalona i próbowała się odsunąć od jego ciała, podczas gdy jej włosy nasiąkały krwią zabitego. Hamedow pomógł się jej podnieść, z trudem znosząc jej smród. Wyjął chusteczkę i starł trochę krwi z jej blond włosów. Przestała krzyczeć i szlochała spazmatycznie.

-Niech mi pan nie robi krzywdy - powiedziała gwałtownie.

Hamedow, ogłuszony od wystrzałów, ledwo zrozumiał jej słowa.

- Proszę, niech mi pan nie robi krzywdy. Zrobię wszystko.

-Nikt pani nie skrzywdzi - powiedział. - Już jest pani bezpieczna. Została pani uratowana. To źli ludzie tak panią wymęczyli, bardzo niebezpieczni.

-Proszę, niech mi pan nie robi krzywdy.

-Niedługo dołączy pani do swoich.

Ale nie rozwiązał jej. Wydał rozkaz swoim ochroniarzom, żeby zabrali ciała z domu. Potem odwrócił się w stronę schodów. Spodziewał się, co teraz nastąpi. Jego zawód wiele go nauczył o ludzkiej naturze. Dlatego nawet nie mrugnął, kiedy dziewczyna zaczęła drzeć się w niebogłosy:

-Wypuście mnie, wypuście mnie. Wypuście mnie.

Odwrócił się do niej, stojąc na pierwszym schodku i spojrzął takim wzrokiem, że umilkła.

-Tak, panno Trost - powiedział Hamedow z lekkim uśmiechem. - Oczywiście, że panią wypuścimy. Ale najpierw pozna pani nowych przyjaciół. Oni również pani szukali. Musimy razem omówić parę ważnych spraw. - Kompletnie wyczerpany, pokręcił głową. - Tymczasem, moim obowiązkiem jest zapewnić pani ochronę w tym niebezpiecznym mieście.

Spooner usadowił się na tarasie na dachu obłożonej ambasady. Starał się odczytać przebieg zamachu z trajektorii pocisków, flar i odgłosów poruszających się po okolicy pojazdów. Usiłował interpretować fakty, tak jakby to robił Burton, zapisując w notesie najważniejsze spostrzeżenia, które przydadzą mu się potem do sporządzenia tajnego faksu. Trafi on do Waszyngtonu na tyle wcześnie, że analitycy pracujący w porze duchów zdążą go przygotować do porannej odprawy dla wysokich rangą oficerów. Tajny faks był jedynym sposobem na przechytrzenie Vandergraafa, więc Spooner modlił się, żeby przestali zakłócać przekazy.

Próbował dodzwonić się do oficera dyżurnego w Pentagonie, ale mu się nie udało. Na razie więc zrezygnował i usadowił się na dachu, żeby zebrać więcej informacji. Zajął tę pozycję z poczucia obowiązku, bo wierzył, że Burton zrobiłby to samo, nie dbając o zbłąkane kule, które dwukrotnie trafiły w kamienny front budynku ambasady. Jego kieszonkowy notes pełen był diagramów i godzin wpisywanych przy słabym świetle. Z całej siły starał się nie zawieść Burtona.

Kiedy wślizgnął się do gabinetu attache po nową porcję papieru, zobaczył światelko na automatycznej sekretarce.

Wiadomość od Burtona. Sprzed dwóch godzin.

Zaskoczony, odsłuchał ją dwa razy. Zagłuszana wiadomość brzmiała jak stara audycja radiowa. Słaby, zrezygnowany głos dobił Spoonera. Nie było go z Burtonem, kiedy tamten go potrzebował. W sytuacjach kryzysowych łączność jest najważniejsza. Wie to każdy, nawet kapral. Jeśli coś się stało Burtonowi...

Zbiegł po schodach do gabinetu Vandergraafa, z całego serca żalując swojej wcześniejszej beczelności. Ponieważ ambasador zniknął, szefem został Vandergraaf.

Gabinet zastępcy ambasadora był zamknięty. Spooner oparł się o ścianę, zdezorientowany i wściekły na siebie, wsłuchując się tępo w krzątanie strażników i pracowników w holu na dole, gdzie się schronili. Dopiero po kilku minutach zauważył pasemko światła wydobywające się spod drzwi gabinetu ambasadora.

Spooner podbiegł do drzwi i mocno zapukał.

-Jestem zajęty - powiedział Arthur Vandergraaf.

Spooner otworzył drzwi. Vandergraaf spojrział zdziwiony i wpadł w gniew.

-Za kogo ty się uważasz?

-Przepraszam, sir. Pułkownik Burton jest w niebezpieczeństwie...

-Cholerna racja, że jest w niebezpieczeństwie. Spotka go sąd wojskowy.

-Nie. To znaczy, Azerowie go pojмали. Nagrał się na sekretarkę. Ludzie Hamedowa go otaczali. To było dwie godziny temu.

Vandergraaf uśmiechnął się z niewiadomego powodu. Potem w jego głosie pojawił się jad. - Myślałem, że twój szef wszystko umie. Czy mówimy o tym odważnym, niepokonanym Burtonie? - Jego oczy były zimne i nieubłagane. - Wyjdź stąd.

-Sir... proszę. Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie... za to, co powiedziałem. Ale musimy...

-Ja nic nie muszę. I nie mam czasu na te bzdury. - Potężny mężczyzna odłożył długopis na biurko i rozparł się na ambasadorskim fotelu. - Sierżancie, będziecie mieli szczęście, jeśli nie pójdziecie pod sąd wojskowy razem ze swoim szefem. Który, swoją drogą, został uznany za persona non grata przez tutejszy rząd. Jeśli naprawdę zatrzymali go Azerowie, to tylko po to, żeby go deportować do kraju. A teraz, daj mi spokój.

Spooner wykorzystał już swoje możliwości podlizywania się. Wyobraził sobie, że Burton jest torturowany albo zabity i chciał tylko wyciągnąć Vandergraafa zza biurka i stłuc go na kwaśne jabłko.

-Jeśli coś mu się stanie, pożałuje pan tego.

Vandergraaf przewrócił oczami i wydał usta. - Nie wątpię. Moje sumienie nie da mi spokoju. A teraz posłuchaj, gnojku. Ambasador Kandinsky zaginał i od tej chwili ja kieruję ambasadą. Rozkazuję ci wrócić do twojego biura i pozostać tam do czasu, aż dam ci inne polecenie.

Spojrzał na dokument, który poprawiał, i znów skierował na Spoonera wzrok, który lepiej pasowałby oficerowi tajnej policji. -I masz zakaz komunikowania się z Waszyngtonem. Podczas nieobecności ambasadora będę osobiście zatwierdzał wszystkie wiadomości, łącznie z rozmowami telefonicznymi. Jeśli chociaż dmuchniesz w stronę zachodu, spędzisz emeryturę w więzieniu Leavenworth. - Vandergraaf skrzywił się, jakby nadepnął na psie odchody. - Razem z twoim szefem.

Kiedy ta szumowina, sierżant Spooner, wyniósł się, Arthur Vandergraaf wprowadził ostatnie poprawki do depechy, którą przygotował dla Drew MacCauleya i reszty Waszyngtonu. Kłuło go w żołądku. Złożył niezbyt żołądka na karb stresującej sytuacji, biorąc pod uwagę późną nocną godzinę, ale zmuszony był podnieść się z fotela Kandinsky'ego i pójść do swojego biurka, żeby przynieść sobie buteleczkę z tabletkami, przeklinając ludzi, zatruwających mu życie na każdym kroku.

Znów usiadł i obrzucił spojrzeniem swoje dzieło. Miał nadzieję, że przejdzie do historii dyplomacji jako wzór zwięzłości i monument umiejętności prowadzenia polityki w sytuacji kryzysowej przez utalentowanego oficera służb zagranicznych.

Dokument jest dobry. Naprawdę. Z rodzaju tych, które historycy przytaczają w całości.

Jego żona będzie z niego dumna. I dostaną pierwszorzędną ambasadę. Ambasador Arthur G. Vandergraaf z żoną. Pewien swej przyszłości przeczytał po raz kolejny ostatni paragraf depechy.

Podczas powstawania tego dokumentu, w Baku ponownie zawita pokój. Zdrowe siły narodu azerskiego rozpoczęły działania prowadzące do odbudowania azerbejdżańskiej demokracji. Generał Hassan Hamedow, patriota o nieposzlakowanej opinii, został większością głosów wybrany na tymczasowego prezydenta. Zażegnano konflikt z Moskwą w kwestiach energetycznych. W ambasadzie dominuje opinia, iż rozwój wypadków wpłynie korzystnie na interesy i linię polityczną Stanów Zjednoczonych. Nasz jedyny niepokój dotyczy losu amerykańskich obywateli, którzy mogli w trakcie działań dostać się w ręce elementów przestępczych powiązanych z obecnym reżimem. Ambasada jest osobiście zaangażowana w tę sprawę.

Kandinsky na własnych nogach przemierzał dystanse od jednej ambasady do następnej i z każdej odchodził z kwitkiem. Raz z powodu zamkniętych drzwi i ciemnych okien, innym razem odprawiony przez zagubionych chłopców w mundurach, których oficerowie znali tylko swoje bardzo sprecyzowane rozkazy. Jeden porucznik podejrzewał, że to najazd wojsk Armenii, podczas gdy jakiś kapitan ponuro stwierdził, że to sprawka mafii i Rosjan, po czym sztywnym krokiem pomaszerował do swojego dżipa z przebitą oponą. Obok niego przejeżdżały z hukiem czołgi i transportery opancerzone, sprawiając osobliwe wrażenie, że kręcą się bez celu, i mimo że od czasu do czasu w oddali rozlegały się strzały, jedynym przejawem przemocy, której świadkiem był ambasador, okazało się grabienie przez nastolatków i policjantów sklepu oferującego zachodni sprzęt elektroniczny. Z ulic pouciekały wszystkie koty, natomiast na głównym skwerze miasta rozpoczął się mroczny karnawał. Ciekawscy zbierali się wokół rzekomo najlepiej poinformowanych, młodzi chuligani, a obok nich sędziwe babcie chodziły od grupki do grupki w poszukiwaniu najbardziej interesujących plotek. Ładna dziewczyna w wieku studenckim szlochała na głos, a tuż obok kobieta o wyglądzie Nikity Chruszczowa w strasznej peruce pchała przed sobą wózek, krzycząc: - Marżenoje! Marżenoje!

Kandinsky właśnie postanowił wdrapać się z powrotem na wzgórze do budynków prezydenckich, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się tam

ktoś z odrobiną władzy w ręku, kiedy zauważył Heddy Seghers. Stała po drugiej stronie głównej fontanny na okalającym ją murku. Jej blond włosy jaśniały niczym żarówka. Idąc za odruchem serca skręcił w jej stronę i zaczął biec, niepokojąc się o jej bezpieczeństwo i licząc na to, że ona wie coś nowego. Właśnie miał ją zawołać po imieniu, kiedy dwa wojskowe samochody zatrzymały się dokładnie na wprost niej. Po krótkim wahaniu Heddy postanowiła rzucić się do ucieczki. Niestety, nie miała do czynienia z głupkowatymi rekrutami. Mężczyźni błyskawicznie wyskoczyli z samochodów i złapali ją, w kilka sekund siłą sadzając na tylnym siedzeniu jednego samochodu. Kandinsky zdążył jeszcze zauważyć jej wierzgające nogi i samochody zniknęły w jednej z bocznych uliczek.

Co to ma znaczyć? To miasto miało tyle tajemnic i intryg, że Kandinsky nie próbował się nawet nad nimi zastanawiać, ponieważ natychmiast opanowywało go poczucie klęski. Nie był najlepszym ambasadorem, nie potrafił nawet dopilnować spraw w swojej własnej ambasadzie, nie mówiąc już o kraju, do którego go przysłano. Jednak czasu nie można cofnąć. Był zdecydowany skoncentrować się na tej jednej, konkretnej sprawie. Raz w całej karierze zapracować na swoją pensję. Po pierwsze musi ustalić, kto pociąga tu za sznurki. Po drugie musi nastraszyć skubańców Stanami Zjednoczonymi i zbudować w środowisku dyplomatycznym podstawy do obrony obecnego prezydenta przed zdjęciem ze stanowiska. Azerbejdżan nie odwróci się tyłem do demokracji - nawet tak niedoskonałej jak ta - podczas jego kadencji. Póki był w ruchu, nie brakowało mu otuchy. Zapach spalin z czołgów, omiatające teren snopy reflektorów, niepokój na twarzach i odgłosy wystrzałów, nigdy w życiu nie przeżył czegoś tak ekscytującego. Czuł, że wokół niego tworzy się historia i zdawał sobie sprawę, że może wpłynąć na nią pozytywnie, jeśli dobrze wykona swoją pracę. W końcu nadeszła jego wielka chwila. Jednak ta chwila mogła przeminać, istniało niebezpieczeństwo, że wymknie mu się z rąk. Zużył tyle energii i niczego nie osiągnął. Poza odwiedzeniem pieszko kolejnych miejsc, nie bardzo wiedział co robić. Potrzebuje jakiegoś punktu zaczepienia, musi się czegoś uchwycić, żeby zacząć kształtować rzeczywistość, zmieniać ją na lepsze. Musi jakoś zacząć...

Kiedy Kandinsky przepychał się wśród tłumu, słuchając, jak jakiś mężczyzna pomstuje na bliżej nieokreśloną podłóż, stanął twarzą w twarz z prawdziwym szczęściem. Kilku dziennikarzy tłoczyło się wokół młodego mężczyzny, który trochę mówił po angielsku. Otoczywszy go kamerami i mikrofonami, zarzucali go pytaniami, starając się dowiedzieć,

kto stoi za zamachem stanu i poznać zdanie Azerów na temat rozwoju wypadków tej nocy. Nagle Kandinsky'go zauważył jeden z dziennikarzy, człowiek, któremu ambasador poświęcił poprzedniego dnia dziesięć minut, a w zamian tamten zarzucił mu brak kompetencji w rozwiązywaniu problemu córki Trosta. Spotkali się wzrokiem i dziennikarz ruszył w jego stronę.

- Panie ambasadorze... panie ambasadorze...

- Wer ist er denn?

- Der Botschafter, hat er gesagt.

- To on. To amerykański ambasador.

- C'est vrai?

- Ten chudy gość w okularach.

Kandinsky podniósł ręce w udawanym geście rezygnacji. Zanim zdążył odpowiedzieć na pierwsze pytanie, wokół zaczął się gromadzić coraz większy tłum dziennikarzy.

- Szto że takoj! On nikogda nie wigladit kak posoł... on sowsiem normalnyj czieławiek...

- Panie ambasadorze, czy może nam pan powiedzieć, kto stoi za tym zamachem?

Kobieta, która wyglądała jak Salome z przedstawienia na off-Broadway, przepchnęła się łokciami przez tłum i krzyknęła ostro: - CNN - spieprzać mi z drogi. Panie ambasadorze, czy Stany Zjednoczone przysłały tu swoje oddziały?

- BBC World Service, panie ambasadorze. Czy całe to zamieszanie może doprowadzić do odwołania mistrzostw szachowych, przewidzianych...

- Panie i panowie, błagam - powiedział Kandinsky.

- Czy to ma związek ze sprawą Kelly Trost?

- Czy był pan dzisiejszej nocy świadkiem jakichś zbrodni wojennych, panie ambasadorze? - spytał jakiś chłopak z wystającymi zębami.

- Deutsche Welle, Herr Botschafter... czy powiązałyby pan zamach z faktem, iż Amerykanie nie posłuchali rad bardziej doświadczonych europejskich sojuszników? Jaką rolę odgrywa CIA?

- Skazali, szto on szpion...

- Eta gawno. On igrajet szak...

Słyszac serię z karabinu maszynowego wystrzeloną na sąsiedniej ulicy, wszyscy dziennikarze padli na ziemię. Tuż pod nogami Kandinsky'ego rozprysł się obiektyw kamery i po chwili tylko on i łowczyni głów z CNN stali na własnych nogach.

- Amatorzy - powiedziała z niesmakiem. Potem odwróciła się do swojej ekipy. - Jack, podnieś się, do cholery, i daj mi ten pieprzony mikrofon.

-Sprawa wygląda tak - zaczął Kandinsky.

Hamedow siedział przy stole, za plecami miał sześciu ochroniarzy z pistoletami maszynowymi, a naprzeciwko trzech starych kumpli, z których każdy dostał pozwolenie na zabranie ze sobą jednego ochroniarza uzbrojonego w pistolet.

-To za mało - powiedział do nich Hamedow. - Albo prezydent uczyni mnie premierem i da mi wolną rękę w kwestiach wydobywania ropy, albo nie jest już prezydentem.

-Hassan Pasza - odezwał się mężczyzna w pogniecionym krawacie - stanowisko premiera jest twoje. Na to zgodzi się bez zastanowienia. - Mężczyzna przyjrzał się kolejno wszystkim ochroniarzom Hamedowa. - Należy ci się to za zasługi dla republiki. Ale Ministerstwo Energetyki... musisz zrozumieć... to sprawa rodzinna

Hamedow uderzył pięścią w stół. Dwóch wysłanników w cywilu podskoczyło ze strachu, ale trzeci - ubrany w mundur lotnika - jedynie uśmiechnął się i spojrział na sufit. On i Hamedow doszli do porozumienia już kilka tygodni temu.

-Ropa to pieniądze. Pieniądze to władza. Czy prezydent ma Hassana Hamedowa za głupca? - Hamedow splunął na swój własny dywan. - Czemu ja właściwie wciąż tytułuję go prezydentem?

-Hassan Pasza... to wszystko jedno wielkie nieporozumienie. Prezydent od początku chciał cię mianować na premiera. A co do ropy, ludzie dobrej woli na pewno dojdą do porozumienia.

Hamedow odchrząknął, a potem spojrział na swojego tajnego sojusznika w mundurze. - Nie chcę by mojej ojczyźnie stała się krzywda, mój kraj kocham ponad wszystko. - Wyciągnął rękę w stronę draperii i zamieszania za oknem. - Poniósłbym dla mojego kraju największą ofiarę. Zrobiłbym wszystko. Musicie to powtórzyć prezydentowi.

-Ale on to wie, Hassan Pasza... Bez wątpienia...

Hamedow znów huknął pięścią w stół. - Ropa! - Pochylił się nad stołem, jakby szykował się do ataku. - Przyszłość naszych rodaków zależy od ropy... od rurociągów... od zasad moralnych ludzi, którzy będą zawierać kontrakty, pilnować rozwoju...

-Brat prezydenta...

Wielka pięść znów uderzyła o blat stołu. - Nie mogę tego znieść. Nie pozwolę, by mój kraj sprzedawano jak owcę na targu! - Jeszcze raz spojrział na swojego sojusznika-lotnika, żałując w duchu, że nie może wykluczyć jego zdrady, skoro tamtej zdążył już zdradzić prezydenta. - Proponuję prezydentowi kompromis. Rodzina prezydenta zachowa kierowniczą pozycję w Ministerstwie Energetyki.

Ale człowiek, któremu wszyscy możemy zaufać - wskazał ręką przez stół - generał Gandarbijew, zostanie mianowany asystentem w kierownictwie. Ja wyznaczę głównego urzędnika do spraw finansów. I wszystkie kontrakty będą przechodzić przez mój bank.

Jego rozmówca machnął ręką i sięgnął po swoją teczkę, jakby zbierał się do wyjścia. - Prezydent się nigdy na to nie zgodzi. Kontrakty przechodzą przez mój bank.

Hamedow roześmiał się i spojrzął na zegarek. - Za piętnaście minut czolgi zaczną ostrzeliwanie twojego banku.

Przedstawiciel prezydenta uczynił ruch, jakby chciał splunąć. - Konta są już poza krajem. Możesz zastrzelić urzędników, nie dbam o to. Dwadzieścia pięć procent kontraktów dla twojego banku. Więcej nie dam.

- Pięćdziesiąt procent.

- Trzydzieści.

- Trzydzieści na ropę, pięćdziesiąt na finanse rurociągu.

- Wspólni księgowi.

- Nie ufasz mi? Powystrzelam ci rodzinę.

- Moi bracia poderzną gardła twoim synom i synom twoich synów.

- Niech generał Gandarbijew zdecyduje.

Generał sił powietrznych przez trzy sekundy w skupieniu kiwał głową. Potem powiedział. - Wspólni księgowi. Pięćdziesiąt procent finansowania rurociągu dla Hamedowa. Pięć procent dla lotnictwa.

- Trzy procent dla lotnictwa wojskowego. Pięć procent dla armii - poprawił go Hamedow. - I dwa dla sił wewnętrznych.

- A co z marynarką wojenną?

- Pieprzyć marynarkę. Są tak głupi, że poparli Ukraińców.

Wysłannik prezydenta wstał z uśmiechem. Hamedow zastanawiał się, czy nie odpuścił za dużo. Ale teraz nie miało to znaczenia. Zawsze może jeszcze raz wysłać do stolicy oddziały.

- Oczywiście, przekażę warunki prezydentowi.

- Oczywiście - powiedział Hamedow. - Rano będę na lotnisku, żeby mu pogratulować osiągnięć w jego dyplomatycznych wysiłkach i mądrej decyzji wezwania wojska do zdławienia działań przestępczych w stolicy. - Spojrzął na zasłonięte okna. - Podobno jutro ma być piękna pogoda. Bardzo spokojny dzień w Baku.

Zakończyli spotkanie w drugim pomieszczeniu zwyczajową szklaniczką brandy, a wtedy trzeci wysłannik prezydenta, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, spytał: - A co z tą Amerykanką? Prezydent nie chce żadnych kłopotów z Waszyngtonem.

Hamedow wzruszył ramionami. - Nie wiem dokładnie. Ale serce mi podpowiada, że wszystko dobrze się skończy.

-Ona żyje?

-Skąd mogę wiedzieć? - W jego głosie pojawiła się nutka gniewu, ale zaraz się zreflektował. - Komu by teraz zależało na tym, żeby ją zabić?

-Może wiedzieć mnóstwo rzeczy.

-Osły też wiedzą mnóstwo rzeczy. A ile z tego rozumieją? - Hamedow wychylił drugą szklaneczkę brandy. - Kto z nas chciałby skrzywdzić niewinną dziewczynę?

Delegacja prezydencka wyszła zaraz potem. Po załatwieniu najważniejszych kwestii Hamedow mógł wrócić do tych mniej istotnych. Był zmęczony. Spodziewał się jednak pewnej dozy przyjemności z przedstawienia, które przygotował na następne parę godzin. Cudzoziemcy tym razem zagrają role, które im wyznaczył.

Nalał sobie jeszcze jedną brandy i zwrócił się do swojego adiutanta: - Przywróć łączność telefoniczną. Muszę zadzwonić w kilka miejsc.

-Tak jest, panie premierze. W tej chwili. - Adiutant wydał ostry rozkaz młodszemu oficerowi, a tamten biegiem opuścił pomieszczenie.

Hamedow cierpliwie przyglądał się żołnierskiemu teatrykowi. Tych spraw nie załatwi się od ręki, bez względu na to, jak głośno się krzyczy. Zajmie to pół godziny, może nawet trochę dłużej, zanim uda mu się skorzystać z telefonu. Zakłócanie i przerywanie łączności nie było doskonałe, a jej przywrócenie nastarczy pewnych trudności, ale to wystarczy - jemu się już tak nie śpieszy. Był w dobrym, doskonałym wręcz nastroju, mimo iż czuł wielkie zmęczenie. Rozkoszował się alkoholem i ledwo wyczuwalną słodyczą, którą brandy zostawia na języku.

-Mamy Niemkę?

-Tak jest, panie premierze. Chodziła po ulicach jak dziwka, panie premierze.

Hamedow uśmiechnął się. - A pułkownik Burton?

Adiutant cofnął się nieznacznie i jego twarz przybrała taki wyraz, że Hamedow chciał go uderzyć, jeszcze zanim tamten zdążył się odezwać.

-On... jeszcze nie dotarł do wyznaczonego punktu. Nastąpiła... konfrontacja... z oddziałami lojalnymi prezydentowi... zdrada. Wywiązała się walka...

Kiedy Trost wreszcie odzyskał przytomność, najpierw zobaczył śnieżną biel sufitu. Zaraz potem w zasięgu jego wzroku znalazła się Ruby Kinkiewicz. Od razu wróciła mu jasność myślenia, a umysł pracował nawet lepiej, niżby sobie tego życzył.

-Atak serca? - zapytał.

Ruby przysunęła się bliżej do jego łóżka. - Możesz się założyć o swój tyłek, że tak.

-Co dzień biegam. Nawet nie...

-Za mało czerwonego wina.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Atak serca. Już na lotnisku - kiedy to było? - wiedział, co się z nim dzieje, ale nadal wydawało mu się to nieprawdopodobne. Jest przecież młody, wysportowany. Jego lekarz stwierdził trzy miesiące temu, że jest w doskonałej formie. Biel szpitala to musi być jakiś kawał.

-Czy... czy to poważne?

Ruby zrobiła minę żelaznej dziewicy. - Nawet cię nie kroili, złotko. Nie założyli ci ani jednego bajpasu. Bóg chciał chyba zwrócić na siebie twoją uwagę. - Uśmiech zmarszczył jej policzki. -Parę osób w tym mieście srodze się zawiedzie, tego możesz być pewien.

-Nie mogę w to uwierzyć. - Sprawdzał, czy może ruszać palcami rąk i nóg.

-Mitch, kochanie, ile ty masz lat? Pięćdziesiąt cztery, pięć? W tym wieku, to już z górki, słoneczko. Jedziesz ekspresem do grobu.

-Nie żartuj, Ruby. - Wydawało mu się, że w pokoju jest echo. - Mogłem umrzeć.

-Cholernie wątpliwe. Wciąż jesteś moją przepustką do stołówki. Tylko spróbuj się wykręcić, Mitchellu Trost, a będę zmuszona napisać wspomnienia, żeby sobie zapewnić emeryturę. Wtedy dopiero byłoby ci przykro.

-Stara dobra Ruby.

-Nie tak stara jak ty.

-Ruby, jeśli nałożysz jeszcze trochę farby na włosy, uznają cię za wysypisko toksycznych odpadów.

-Jedyna blondynka, której nigdy nie przeleciałeś, co?

Nagle chwyciła go za rękę i Trost zobaczył w jej oczach łzy. Dzień pełen niespodzianek. Nigdy nie widział tej kobiety płaczącej.

-Ruby? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, serce mu zadrżało. - Mój Boże, czy chodzi o Kelly?

Ruby odwróciła wzrok, ale machnęła wolną ręką.

-Nie chodzi o Kelly. Nie wiemy o niej nic nowego. Tylko stary Drew MacCauley ujada jak ratlerek. Życzy ci szybkiego powrotu do zdrowia. Cholerny hipokryta.

-Nigdy nie widziałem, żebyś płakała.

-Och, odczep się Mitch - powiedziała głosem pełnym rozpacz. - Nic o mnie nie wiesz, do cholery.

-A więc sam widzisz - powiedział Hamedow do słuchawki - że sprawy nie mogły potoczyć się lepiej.

-Tak nie może być! - krzyknął głos na drugim końcu połączenia. - Obiecałeś. Miałeś - miałeś przejąć kontrolę nad krajem. Tak się umówiliśmy. Nie możesz tak po prostu...

-Miałbym zdradzić mojego prezydenta? - spytał generał. - To jakieś nieporozumienie, Arthurze.

-Ale zamach, wszystko było gotowe...

Hamedow roześmiał się dobrodusznie. - Jaki zamach? Nic takiego nie miało miejsca. Prezydent wezwał siły militarne do zaprowadzenia porządku i zduśnienia nasilonej aktywności przestępczej w stolicy. - Spojrzał na zegarek. - Jeśli się wsłuchasz, w okolicy usłyszysz policyjne syreny. Czołgi są czasem trochę za głośnie...

-Ale zacieśnianie stosunków z Moskwą, umowa dotycząca rurociągu...

-Wszyscy dostaną to, czego chcieli. Nastąpi normalizacja stosunków. Prezydent jest wielkim przywódcą, człowiekiem, który ma wizję.

-Chłopcy od ropy nigdy ci nie wybaczą.

-To biznesmeni, Arthurze. Oni są - jak to jest po angielsku? Gibki?

-Elastyczny.

-Właśnie. Oni są elastyczni. Dick Fleming pierwszy mi pogratuluje nowego stanowiska. Przykro mi, że mi dobrze nie życzysz. Jako przyjaciel i kolega po fachu.

-Nie możesz mi tego zrobić - powiedział Amerykanin. - Już wysłałem depezę.

-Wyślij następną. Wyjaśniając pomyłkę.

-Zawarliśmy umowę.

-Zaszło jakieś nieporozumienie.

-Hamedow, jesteś zwykłym...

-Nie mów tego - poradził mu dobronliwym tonem generał. - Niektóre słowa żyją długo, chociaż chcielibyśmy, żeby umarły.

-Rano mogłeś być już prezydentem - powiedział po przerwie Vandergraaf. Miał rozżalony, kobiecy głos, pozbawiony energii.

-Ja? Hassan Hamedow? Prezydentem? Jestem prostym żołnierzem.

-Wyrzucasz w błoto taką szansę.

Amerykanin najwyraźniej wciąż nic nie rozumiał. Hamedow chciał się rozłączyć i zerwać z całym tym brudem. Ale nie poruszyli jeszcze jednej ważnej sprawy.

-Arthur... pozostaje jeszcze drobny problem z pułkownikiem Burtonem.

-Ten sukinsyn. - W głosie Amerykanina pojawiła się nutka zawziętości. - Masz go?

-Jest ranny. Nic poważnego. Czysty strzał. Trochę krwi. Roztrzaskany obojczyk. Jeszcze się z nim nie widziałem, ale podobno jest bardzo spokojny.

-Hassan, on wie za dużo.

Hamedow się roześmiał. - Nie wie nawet połowy tego co ty.

-To co innego.

-Nie zabiję go dla ciebie, Arthur. Może umrzeć, ale nie z mojej ręki.

-On wie za dużo.

-Boisz się, czy co?

-Musisz to zrobić. Puści farbę.

-O kim?

-Czy to groźba?

-Arthurze, ja jestem twoim przyjacielem.

-Więc zabij skurczybyka.

-Nie. Widzisz, ja bardzo lubię Burtona. Ufam mu, Arthurze. Jeśli nasz wspólny znajomy postanowi go nie zabijać, on wróci do twojej ambasady zanim wzejdzie słońce. Przyjdzie pora na wyjaśnienia... dodatkowe depesze, jak sądzę...

-Zabij go, na litość boską.

-Nie zrobię tego.

-A co z dziewczyną?

-W porządku.

-Jak to „w porządku” ?

Hamedow wzruszył ramionami, chociaż Vandergraaf nie mógł tego widzieć. - Zdrowa. Wystraszona, oczywiście. I przydałaby się jej kąpiel.

-Miała być...

-Tak, Arthurze, wiem. I sądzę, że już prędzej ona zginie tej nocy niż pułkownik Burton. Ale musimy poczekać i sami się przekonamy.

-Zachowujesz się jak szaleniec. Zabij ich oboje. Natychmiast.

-Arthurze... to są twoi rodacy. Nie czujesz wobec nich nawet cienia lojalności? Nie żywisz żadnych ludzkich uczuć? - Hamedow pytał poważnie, ale w słuchawce usłyszał tylko pogardliwy śmiech.

-I ty mi mówisz o lojalności? I człowieczeństwie? Całe miasto hu-czy od strażów. Pewnie wszędzie walają się trupy.

Tym razem to Hamedow się roześmiał. - Obawiam się, że nasi żołnierze nie strzelają zbyt celnie. Ale lubią huk wystrzału. Nie spodziewam się zbyt wielu ofiar.

-Lepiej by się stało, żeby były przynajmniej dwie.

Hamedow potrząsnął głową w niemym oburzeniu. Zastanawiał się, czy Amerykanin w ogóle rozumie pojęcie śmierci. Przed świtem wielu ludzi dostanie nauczkę. Miał nadzieję, że Vandergraaf będzie jednym z nich.

-Wiesz, Arthurze - powiedział generał - to mój kraj. I to ja podejmuję w nim decyzje.

-Pozbądź się ich - powiedział Amerykanin. - Słyszysz?

Zanim Hamedow odłożył słuchawkę, powiedział jeszcze: - Może to zrobię. A może nie.

14

-Ja cię znam - powiedziała Kelly Trost. Była przywiązana do połamanego krzesła, brudna, ale cała. Miała bystry, zmęczony, wystraszony i pełen nadziei wzrok.

Jej widok sprawił mu nieopisaną ulgę. Jest żywa. Poprawił się na krześle i ból z rany uderzył go jak toporem.

- Jezu Chryste! - krzyknął. W życiu nie zaznał takiego bólu. Wrzasnął, kiedy miejscowy pielęgniarz posypał mu ranę jakimś proszkiem, przywodząc mu na myśl stare książki na temat drugiej wojny światowej i stosowane wówczas sulfonamidy.

- Dobrze się czujesz? - spytała dziewczyna.

Burton uśmiechnął się mimo bólu, ale z największym trudem. Cały był zakrwawiony, a kość obojczykowa wystawała jak włócznia spod niedbale zawiązanego bandaża. Czasami, kiedy rana jest bardzo poważna, ciało potrafi walczyć z bólem. Jednak w tym wypadku w piekle była prawdopodobnie specjalna sala tortur, w której wciąż na nowo łamano mu kość obojczykową.

Strzał oddał spanikowany chłopiec, leżący na ziemi, sam zresztą ranny. Kula roztrzaskała kość. Nie była śmiertelna, ponieważ krwawienie ustało, ale bardziej dokuczliwa, niż można sobie wyobrazić. Siedział przywiązany do krzesła, niczym żeglarz więziony przez piratów, a więzy jeszcze potęgowały jego cierpienie. Posadzili go w sporej odległości od dziewczyny, akurat kiedy zaczęło się ściemniać i, ku zadowoleniu Burтона, nie widziała go zbyt dokładnie.

- Wszystko w porządku - skłamał Burton.

Kiedy się odezwał, ścięgnięta w szyi szarpnęły okolice rany i pojawił się nowy rodzaj bólu: szybkie ułtucia, towarzyszące nieustającemu bólowi.

- Znam cię - upierała się dziewczyna. Siedziała w pełnym świetle i Burton nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek spotkał człowieka o tak głębokim głosie i spojrzeniu. Billy Strayhorn nigdy nie skomponował tak nieuchwytniej aranżacji. Strach towarzyszył jej nieustannie jak dźwięk perkusji, ale najbardziej zaskakująca była w niej ogromna

nadzieja. Była ogorziała, nie tak młoda, jak pamiętał. Nie ulegało wątpliwości, że chorowała.

- Burton - powiedział jej. - Z ambasady. - Jego własny ból był brutalny i ledwo starczało mu silnej woli, żeby nie podnieść głosu. Jednak dbanie o morale dziewczyny dobrze mu robiło, ponieważ pomagało mu wznieść się ponad egoizm swojego bólu. - Kilka przyjęć. Twarz w tłumie w „Charley's”.

Kiwnęła głową. Ramiona i kostki miała skrępowane i przywiązane do krzesła, ręce za plecami, ale wyglądało na to, że traktuje swoje położenie jak coś naturalnego. To zdumiewające, jak szybko ludzie potrafią się przyzwyczaić do różnych sytuacji.

- Krwawisz - powiedziała.

- To zaraz ustanie.

- Cały jesteś we krwi.

- Nic mi nie jest. - Chciał to wykrzyknąć, wrzasnąć i zacisnąć zęby z bólu. - Wszystko będzie dobrze.

Widać było, że z całych sił chce mu wierzyć. Wciąż przyswajała sobie nowe fakty, składające się na jej przyspieszoną edukację. - Co tu robisz?

Burton o mało znów się nie roześmiał. - Przybyłem ci na ratunek.

Patrzyła na niego zdziwiona.

- Wygląda na to, że cię złapali - powiedziała.

Burtonowi zrobiło się słabo z bólu. O mało nie zwymiotował.

- Złapali mnie.

- Więc... teraz i ty zostałeś porwany.

To słowo nie przyszło Burtonowi do głowy, kiedy oceniał swoją sytuację. Śmieszna sprawa.

- Kelly... jak długo tu jesteś? W tym pomieszczeniu?

Zastanawiała się nad tym chwilę, interpretując fakty z punktu widzenia więźnia. - Dzień. Niecały. Przyjechaliśmy dziś rano. A może to już będzie wczoraj rano. - Spojrzała na niego. - Co się teraz stanie?

Spojrzał na schody. Były puste. Od czasu do czasu, podłoga nad ich głowami skrzypiała pod naciskiem wojskowych butów.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył.

- Ale co się stanie?

Poczuł, że dziewczyna słabnie, wykończona długotrwałym wysiłkiem. Przeżyła więcej niż inni przez całe życie i chciała się na kimś oprzeć, pozwolić, żeby ktoś inny usiadł za kierownicą. A on potrzebował jej czujnej i gotowej do działania. Wyglądała na silną, chociaż szczupłe mięśnie kontrastowały z chorobliwą bledością jej twarzy. Najgorsze było to, że obecnie znajdowała się w lepszym stanie niż on.

-Pieprzony obojczyk - powiedział wściekle. Nie mógł się powstrzymać. Precyzyjne dźgnięcie bólu wydusiło z niego te słowa. Twarz też nie chciała poddać się jego woli. - Cholera, cholera, cholera, cholera.

-Co oni ci zrobili?

-Moi azerscy przyjaciele zabrali mnie na przejażdżkę. Do ciebie. I natknęliśmy się na blokadę drogową przeciwnej drużyny. Najpierw trochę pokrzyczeliśmy na siebie, a potem trochę sobie postrzelaliśmy po przyjacielsku. Wziąłem nogi za pas. Wtedy postrzelił mnie wystraszony dzieciak. Leżał na chodniku, a jego brzuch wyglądał jak spaghetti z sosem pomidorowym. Był jednak wzorowym żołnierzem, jednym z najlepszych. Nie wypuścił karabinu z rąk. Musiałem wyglądać jak anioł śmierci, kiedy próbowałem przez niego przeskoczyć. I byłem nim. Jeden z moich koleś odstrzelił temu dzieciakowi głowę. Dla porządku.

Wbiła wzrok w brudną betonową podłogę.

-Posłuchaj - powiedział Burton, rozkoszując się niespodziewaną, cudowną chwilą bez bólu - naprawdę uważam, że wszystko będzie dobrze. Jeśli ktoś chciałby cię skrzywdzić, już by to zrobili. Komuś zależy, żebyś pozostała przy życiu.

-Ale dlaczego? O co tu chodzi?

Burton bez zastanowienia wzruszył ramionami i kość obojczykowa wbiła mu się w ciało jak rekin zębami. - Nie wiem. Nie jestem nawet pewien, czy wiedzieli, kiedy cię porywali. - Starał się zebrać myśli, nie zwracając uwagi na cierpienie. Dobre ćwiczenie w zen, kiedy człowiek musi się martwić o kogoś innego.

-A ty? Co zrobiłeś? Czemu cię złapali?

-Sprawiam im za wiele kłopotów.

-Zranili cię.

-To był przypadek. Nikt nie chciał mnie skrzywdzić. Nikt przy władzy. Słuchaj... jest taki człowiek, Hamedow, który pociąga za sznurki, generał. Wydaje mi się, że nie chce splamić sobie rąk krwią gringo. To sprytny biznesmen, który za wszelką cenę chce mieć długie i udane życie. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale liczę na niego.

-Generał?

Burton kiwnął głową, znów robiąc sobie krzywdę. Najlepiej będzie siedzieć zupełnie nieruchomo. Och, pieprzę cię, powiedział do swojego bólu. Przez jakiś czas pewnie będzie trzeba zrezygnować z pompek.

-Tak.

-Był tu taki mężczyzna. W mundurze z dużą ilością gwiazdek. Mo-
że...

-Co zrobił? Co ci powiedział? - Przyglądał się, jak twarz dziewczyny zmienia się pod wpływem wspomnień. I nie była to pozytywna zmiana.

-Zastrzelił kogoś - powiedziała. - O tam.

Senator Trost leżał w białym łóżku w białym pokoju. Rozpoczęła się istna lawina kwiatów i w końcu poprosił pielęgniarkę, żeby je zabrała, wyrzuciła, czy zrobiła z nimi co chce. Nie był w nastroju na kwiaty. Sukinsyny nie dowiedziały się niczego nowego o Kelly. Ani słowa. A kiedy zrobił awanturę o dostęp do telefonu, cholerny lekarz zrobił mu zastrzyk i spytał go z niewybaczalną, logiczną prostotą, czy chce żyć, czy nie.

Teraz leżał w ponurym odurzeniu, odgrywając w głowie fragmenty filmu z życia jego córki, przerywane jego snami, w których widział nieludzkie akty okrucieństwa i przeżywał obawy o własną przyszłość. Ostatni gość - potem nastąpiła przygnębiająca przerwa w odwiedzinach - został wyproszony przez lekarza dużo przed czasem. Lekarz zdecydował, że potrzebny mu odpoczynek. Ale mroczny obraz tego świata nie opuszczał go i czuł, że dopiero się dowie ile rodzajów bólu może dotknąć ludzkie serce. Drzwi otworzyły się bardzo powoli. Za wolno jak na pielęgniarkę. Laura. Na twarzy miała nieznanym mu uśmiech, a w ręku bukiet kwiatów, który wyglądał jak kupiony od ulicznego sprzedawcy.

-Laura - powiedział.

Zamknęła za sobą drzwi i cicho przeszła przez pokój.

-Pielęgniarki pozwoliły mi się tu zakraść. - Położyła kwiaty na nocnym stoliku, nie rozwijając ich z folii.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła przy łóżku, ramionami sięgając do podniesionego materaca. Była piękną, delikatną kobietą, pełną ukrytej pasji.

-Mitch... wiesz, że mi przykro, że nie przyszłam wcześniej. To ta sprawa Rafelsona. Nie mogłam stamtąd wyjść.

Kłamała. Wiedział to i cierpiał, ale starał się to zlekceważyć. Ona jest jedną z tych dobrych. Może najlepszych. To wszystko było dla niej po prostu szokiem. Lata spędzone na Wzgórzu Kapitolińskim nauczyły go, że nie da się przewidzieć, jak zareagują ludzie, kiedy wali im się świat.

- To nie ma znaczenia. Teraz tu jesteś. To się liczy.

Wzięła go za rękę. - Powiedzieli mi, że dobrze się czujesz.

Kiwnął głową.

- Prawdziwy szok. Kochanie, nawet nie potrafię tego opisać.

Ścisnęła go mocniej. I zaraz jej uścisk zelżał. Teraz jej ręka leżała bezwładnie na jego. - Przy całym twoim bieganii. Zawsze uważasz, co

jesz. - Spojrzała przed siebie, jakby przez ścianę. -To wydaje się takie niesprawiedliwe.

- Też mi to przyszło do głowy.

Spojrzała na niego. Nie dało się ukryć, że zrobiła to z wysiłkiem.

- Biedna dziecina - powiedziała.

- Lauro... wiesz, człowiekowi przychodzą do głowy różne myśli, kiedy dzieje się coś takiego. Nie mówiąc już o sprawie Kelly...

- Jakież nowiny?

Poczuł falę gniewu, której nie potrafiło zdusić żadne lekarstwo.

-To ścierwo MacCauley. Nic.

- Mitch, wszystko się dobrze skończy. W Kelly jest coś takiego, co sprawia, że człowiek ma pewność, że ona przeżyje.

- Jest niewinna jak niemowlę. Powiniennem był jej zabronić tej bezsensownej pracy w Azerbejdżanie.

- To dorosła kobieta, Mitch.

- To moja córka, do cholery.

- Uspokój się. Pielęgniarki powiedziały, że będę musiała wyjść, jeśli się zdenerwujesz.

Nie chciał, żeby wychodziła. Wcisnął się głębiej w poduszkę, w niewygodne łóżko.

- Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ją kocham - powiedział Trost. - Śmieszne. Myślałem, że wiem, na czym stoję. Ale ona jest naprawdę naj...

Wtedy zorientował się, że zjechał na zły pas. - I nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo kocham ciebie, Lauro. Do dzisiaj.

Patrzyła na nocny stolik, jakby był bardziej interesujący od niego.

Położył swoją rękę na jej i ścisnął.

- Wyjdź za mnie, Lauro.

Poczuł napięcie w jej palcach.

- Och, Mitch - powiedziała.

- Wyjdź za mnie. - Teraz w jego głosie zabrzmiała jakaś straszna nuta. - Doskonale do siebie pasujemy.

Spojrzała mu w oczy i wiedział już, że postanowiła powiedzieć mu prawdę.

- Nie mogę - powiedziała, po raz pierwszy tego wieczoru patrząc mu w oczy. Potem znów odwróciła wzrok. - Do diabła, kocham cię, Mitch. Wiesz o tym. To znaczy, oczywiście, że cię kocham. - Teraz kiedy czuła się pewniej, ścisnęła jego rękę. - Ale co się z tobą stanie?

- Mój Boże, Lauro. Ja... ja cały czas jestem tym samym mężczyzną. Dalej będę senatorem. Dalej...

- Nie wiesz tego. - Potrząsnęła głową prawie ze złością, a w jej rudych włosach pojawiły się złociste iskierki. - Nie masz pewności. Powiedzmy sobie szczerze, już lepiej nie będzie. To znaczy, a co jeśli... co jeśli, broń Boże, twoje zdrowie się nie... chcę powiedzieć... o, Chryste, Mitch. Wyobrażasz mnie sobie spędzającą życie na jakimś rancho? To znaczy, latem to może być zabawne. Muszę myśleć o swojej karierze.

Przestał na nią patrzeć i pragnął jedynie, żeby sobie poszła. Nie czuł się na siłach, żeby o nią walczyć.

- I nie chcę nawet wystawiać się na taką pokusę - ciągnęła. - To nie byłoby fair wobec ciebie.

- Idź już - poprosił ją Trost. A potem powiedział największe kłamstwo swojego życia. - Chęć być teraz sam.

Arthur Vandergraaf ukrył się w swoim gabinecie, zdumiony tym, co zrobił, jak daleko poszedł w nieodpowiednich kierunkach i przede wszystkim zaskoczony ewentualnymi konsekwencjami, gdyby sprawa wyszła na jaw. Pierwszy raz w życiu był tak spanikowany, że uciekł z gabinetu ambasadora. Do czasu rozmowy z Hamedowem nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wszystko wymknęło mu się z rąk i jak dalece zależy od tego człowieka. Cała sytuacja miała logiczny początek, służący sensownym celom. Drew MacCauley chciał, żeby pozafatwiać pewne sprawy. A Drew, mimo całej swojej inteligencji, potrafi być niewiarygodnie naiwny w podejściu do ludzi, potrzebnych do załatwienia pewnych interesów. O Boże, pomyślał Arthur Vandergraaf. A czy ja nie byłem naiwny? Wciąż nie pojmował, jak znalazł się w takiej sytuacji. Podejmował pochopne decyzje, biorąc je za śmiałe. A teraz bał się nawet wracać do nich myślami, wiedząc, że stały się faktem dokonanym. Ta sprawa z dziewczyną. I z Burtonem. Tak naprawdę to nigdy nie chciał, żeby komuś stała się krzywda. Nawet nie myślał o sobie, jako o złym człowieku. A już na pewno nie okrutnym. Zastanawiał się, jak łatwo będzie dojść do niego po śladach. Czy oskarżą go o morderstwo? Niemożliwe. O współudział? Kto będzie go sądził? Przez chwilę wyobrażał sobie, jak tuła się po obcych krajach, unikając ludzi w prawniczych togach. Lisa nigdy nie zgodziłaby się na takie życie. Sam Azerbejdżan był wystarczająco okropny. Dokuczał jej upał, jedzenie...

Instynktownie sięgnął po słuchawkę telefonu, ale cofnął rękę. Nie potrafił odnaleźć w sobie najmniejszego śladu tego stanowczego mężczyzny, za jakiego się uważał. Jedyne czego chciał, to iść i położyć się do łóżka w swoim domu, ukryć się w ciemnościach. Może uda się jeszcze wszystko odwołać? Może wystarczy nastraszyć Burtona i zamknąć

mu usta? Nie. Burton jest podły. Podły i ograniczony. Nietolerancyjny. Żołnierz. Nie zatrzyma się, dopóki nie dotrze do sedna. I znów Arthur Vandergraaf próbował sobie wyobrazić ewentualne konsekwencje, z każdą minutą sapiąc coraz głośniej. Po raz drugi sięgnął po telefon, zdecydowany zadzwonić do Hamedowa i powiedzieć mu, że żartował, chciał go tylko sprawdzić, i żeby dbał o bezpieczeństwo Burтона i Kelly Trost. Ale tego też się obawiał.

Wszystkiego się obawiał i teraz wydawało mu się, że zawsze tak było. Jako dziecko bał się klasowych siłaczy i łobuzów, od których aż roi się w różnych środowiskach i szkołach. Bał się zdemaskowania. Utraty kariery. Utraty wszystkiego. Upokorzenia. Drew nie da rady go chronić. I wcale nie będzie chciał. W gruncie rzeczy Drew był w sobie tak zadufany, że nikomu nie pomagał. Drew MacCauleyowi brakowało praktycznego podejścia, niezbędnego wielkim ludziom, a Vandergraaf nie mógł się nadziwić, że dopiero teraz to zauważył. Jedyne wyjście to brnąć dalej. Wykorzystać szansę. Skończyć, co się zaczęło.

A jeśli wsadzą go do więzienia? Razem z czarnymi i agresywnymi kryminalistami? Ze zbrojeńcami? Zadrżały mu ręce, a kiedy zadzwonił telefon, wyskoczył do góry jak oparzony i opadł z powrotem na fotel. Czy teraz ma jeszcze szansę zostać ambasadorem? To zawsze tak wiele znaczyło dla Lisy. I dla niego. Ich marzenie. Ich własna ambasada. W Bangkoku byłoby miło. Duży dom z drzewa tekowego. I takie niskie ceny.

-Vandergraaf.

Osoba na drugim końcu linii nie odzywała się przez chwilę, jakby z wyrachowanym okrucieństwem. Potem odezwał się głos, pozbawiony akcentu. - Arthur? Mówi Dick Fleming. Próbowałem się z tobą skontaktować. Gdzieś ty się ukrywał?

Vandergraaf bez walki poddał się wyższości tonu swojego rozmówcy. - Miałem dużo pracy. W gabinecie ambasadora.

Głos w telefonie roześmiał się. - Wygodny ma fotel, Arthurze?

-Czego chcesz? Nie powinienesz do mnie dzwonić.

-Nie zachowuj się jak dupek. Nie musimy się już tym martwić. Sprawy przybrały bardzo zły obrót.

-O co ci chodzi? - Poczul, że go mdli.

-O Hamedowa. Nie ufam mu. On coś szykuje. A ta niemiecka dziwka? Ma ją ze sobą. Co jest grane, Arthurze?

Vandergraaf nie miał pojęcia. - Chodzi ci o Seghers?

-Tak. O nią. Arthur... twój przyjaciel może grać na dwie strony. Albo na trzy. A teraz, spytam grzecznie: czy wiesz, co kombinuje Hamedow?

-Skąd mam wiedzieć? To... wszystko się pomieszało... z zamachem. Mieliśmy tu czołgi wokół ambasady...

Nafciarz roześmiał się. - Arthur, musisz teraz stać po stronie swoich przyjaciół.

-Oczywiście, Dick. Jestem bardzo lojalnym człowiekiem.

-Mówię dosłownie, Arthur. Chcę, żebyś się ze mną spotkał...

-Nie mogę opuścić ambasady. Nie dam rady.

-Dzwonił Felsher z Waszyngtonu. Nie jest szczęśliwy.

-Wszystkie interesy, które z wami obydwoma robiłem były jawne i uczciwe. Rząd Stanów Zjednoczonych pragnie zwiększyć handel i wspomóc...

-Zamknij się, Arthur. Jesteś skorumpowanym, kłamliwym sukinsynem. - Fleming zachichotał. - Podobnie jak my. Więc oszczędź mi pocużeń. - Przerwał na chwilę. - Musimy się dogadać z naszym wspólnikiem - generałem Hamedowem. Musi zrozumieć, że mamy... inne możliwości działania.

-Hamedow jest agresywny - powiedział przestraszony Vandergraaf. - I nieprzewidywalny. - Pocił się, jakby leżał na słońcu w południe, a jednocześnie cały się trząsał.

Fleming zakończył rozmowę kolejną salwą śmiechu. - Wszyscy jesteśmy agresywni, Arthurze. Ale niektórzy z nas potrafią ranić głębiej niż inni.

Burton podtrzymywał rozmowę. Dziewczyna była wykończona, nie całkiem zdrowsza, ale przez większość czasu odpowiadała rozsądnie. Aż pojawiało się złe wspomnienie. Znow dopadał ją horror przeżyć, dławiąc jej słowa w gardle i patrzyła na niego z takim rozczarowaniem, jakiego nie widział u żadnej ludzkiej istoty. Chciał, żeby była skupiona i gotowa do działania, kiedy trafi się jakaś cudowna szansa. I chciał się dowiedzieć wszystkiego, co ona. Gdyby coś się stało i dziewczyna nie przeżyła, potrzebował informacji, demaskujących jej porywaczy.

-Opowiedz mi jeszcze raz - powiedział - jak ten mężczyzna, Abbas wy dostał cię z domu. - Instynktownie spojrział na brązowe plamy krwi na podłodze. Wyglądały jak cień w miejscu, gdzie Hamedow zastrzelił jej poprzedniego porywacza. Opisała Burtonowi całe zdarzenie, pozwalając by wyciągał z niej kolejne szczegóły, aż wreszcie był w stanie odróżnić krew od brudu piwnicy. Nawet najmniejszy ruch powodował błyskawicę bólu w obojczyku. Gdyby naprawdę chciał sobie dokuczyć, mógłby schylić brodę i spojrzeć w miejsce, gdzie kość wystawała zza bandaża. Można było zlać się zimnym potem i od razu zwymiotować na samą myśl. Dlaczego człowieka ciągnie do przyglądania się własnym ranom?

- Powiedz mi jeszcze raz o wołaniu. W pierwszym domu. W nocy. Opuściła głowę na piersi. - Wydaje mi się, że wołałam. Trudno powiedzieć. Byłam taka chora. Nie wiedziałam, co się dzieje. Ale chyba pamiętam, jak tam wszedł... czy to ważne?.

- Spróbuj sobie wszystko przypomnieć.

- Przerwijmy na chwilę, proszę. Jestem taka zmęczona.

Zmęczenie. Burton rozumiał to pojęcie. Za sobą miał wyczerpującą karierę. W jednym z zakamarków jego duszy, rządzonym przez sędziego, który nie wpuszczał do sali sądowej jazzu, kryło się wspomnienie o pewnym zdarzeniu, kiedy stary M-113 przewrócił się na Hohenfels pod koniec wykonywania długotrwałego zadania w terenie. Cały pluton nie spał od trzech dni i kierowca ostatniego transportera stracił kontrolę nad pojazdem, kiedy skręcał, żeby przejechać nad przepustem w drodze. Jesień była deszczowa i w rowie odwadniającym przy drodze dla czołgów stała woda. Transporter przewrócił się jak żółw na skorupę i kierowca został uwięziony z głową pod wodą. Porucznik Burton jako pierwszy wyskoczył ze swojego M-113 i zamoczył się od stóp do głowy, bezskutecznie walcząc ze stałą i ludzką anatomią, bezradnie patrząc jak młody sierżant tonie w błocie czterdzieści centymetrów od jego twarzy. Usta kierowcy znajdowały się minimalnie pod powierzchnią i Burton próbował gorączkowo odgarniać wodę własnymi rękami, jeszcze długo po tym, jak kierowca przestał się szamotać. Jedynym błogosławieństwem było to, że oczy chłopca znajdowały się przez cały czas pod wodą i przynajmniej to wspomnienie zostało mu oszczędzone. To wydarzenie uczuliło go na wykonywanie zbyt wielu działań przy braku snu. A teraz, kiedy chodziło o ich życie, on nie spał porządnie od wielu dni.

- Nie. Żadnych drzemek. Nie teraz. - Spojrzała na nią, starając się przybrać stanowczy wygląd, co często robił stojąc przed swoimi oddziałami. - Kelly, coś się zaraz wydarzy. Ten, kto pociąga za sznurki, nie oszczędza nas sobie na święta.

Przyjrzała mu się z rozsądną podejrzliwością.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. To znaczy, nie mam konkretnych dowodów. Ale czuję to, bardziej niż czułem cokolwiek w całym życiu.

Z wyjątkiem tego pieprzonego bólu.

- Nie dam już rady. Wszystko mi się zamazuje. - Spojrzała na niego błagalnie.

- Już dobrze. Spróbujmy czegoś innego. Opowiedz mi najprzyjemniejsze wydarzenie z twojego życia.

Zaakceptowała pytanie. Ogólnie rzecz biorąc, Burton był zdziwiony, jak dobrze Kelly to znosi. Jest silniejsza niż się jej wydaje, pomyślał.

Uśmiechnęła się w surowym świetle żarówki. I zarumieniła. - Chodzi ci o najprzyjemniejsze wydarzenie, o jakim mogę opowiedzieć bez zażenowania?

- Może być.

- No dobrze. Przeżyłam je razem z moim ojcem. Mogłam mieć wtedy, czy ja wiem, jakieś osiem lat. Musiałabym dobrze policzyć. To takie banalne. Ale dużo o tym myślę i chce mi się śmiać. Zabrał mnie do Disneyworldu. Byliśmy tylko we dwoje. - Teraz była zdrowa i daleko stąd w nieporównywalnie lepszym miejscu. - Widzisz, jedyne czego mojemu ojcu zawsze brakowało, to czas. Oczywiście, starał się. To znaczy, robił wszystko co możliwe. Ale ja byłam wymagającym dzieckiem, kiedy teraz o tym myślę. - Uśmiechnęła się, tym razem do siebie. - Więc zabrał mnie do Disneyworldu. Świetnie się tam bawiłam, ale najprzyjemniejsze było to, że mam swojego ojca dla siebie na cały dzień. Robił wszystko, czego tylko sobie zażyczyłam. - Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. Ale Burtonowi to nie przeszkadzało. To były dobre łzy, pełne życia. - To głupie.

- Nie. Staraj się cały czas o tym myśleć.

Jej ramię drgnęło i Burton domyślił się, że instynktownie chciała otrzeć łzy. Ale więzy nie pozwalały się jej ruszyć. Pociągnęła nosem. - Tak naprawdę, to mogło być miejskie wysypisko śmieci. To akurat nie miało znaczenia, pod warunkiem że byliśmy tylko we dwoje. - Prawie zachichotała, ale skończyło się na cichym, pełnym żalu śmieszku. - Mam nadzieję, że nie jesteś psychologiem. Pomyślałbyś sobie Bóg wie co.

- Tylko tyle że kochasz swojego ojca.

- Cały czas myślę o tym, jak on się musi martwić. Tak naprawdę, jest bardzo wrażliwy.

- Będę to miał na uwadze, jeśli kiedykolwiek go spotkam. I rzeczywiście martwi się o ciebie. Poruszyłby niebo i ziemię, żeby cię odzyskać. - Burton uśmiechnął się, wyobrażając sobie swoją twarz jako czaszkę, odartą ze skóry przez ból. - Wszyscy mamy swoje obowiązki, Kelly. A twoim obowiązkiem jest teraz utrzymać się przy życiu dla swojego staruszka.

Spojrzała na niego. - Porządnie cię zranili. Prawda? Nie musisz nic mówić, jeśli sprawia ci to ból.

- Rozmowa pomaga mi o nim zapomnieć. Mów coś.

Kiedy poruszał ustami, szyję przeszywały mu szpile.

- Dobrze. Więc teraz ty opowiedz mi o najprzyjemniejszym wydarzeniu w twoim życiu.

To było dobre. Niech przez chwilę poczuje, że to ona tu rządzi i że jest silniejsza, niż się jej wydaje.

Uśmiechnął się i nawet to go zabolalo. Przez chwilę drżały mu usta i musiał przymknąć oczy. Niewidzialny magnes wyciągnął wilgoć z jego oczu.

- Chodzi ci o najprzyjemniejsze zdarzenie, o którym mogę ci opowiedzieć bez zażenowania?

Uśmiechnęła się. - Może po prostu najprzyjemniejsze. Jestem już duża. To przynajmniej nie pozwoli nam zasnąć.

Pomimo jej strasznych przeżyć, choroby i brudu nadal pozostawała atrakcyjną młodą kobietą. Ale on nie czuł się na siłach, żeby zagłębiać się akurat w te obszary.

- Raczej nie.

- Nie jest pan zabawny, żołnierzu.

- Pani też nie otworzyła się tu przede mną z feministyczną szczerością.

- To co innego. Faceci lubią się przechwalać.

- Nie wszyscy.

- Wszyscy. Tylko na różne sposoby. Ty pewnie jesteś z tych sprytniejszych. - Nagle olśniło ją, jakby w głowie zapaliła się jej żarówka. - Teraz cię kojarzę - powiedziała. - Pamiętam. Prowadzałeś się z tą kobietą z niemieckiej ambasady. Blondynką, która zawsze wyglądała tak, że aż się prosiła o warkoczyki i swastykę na rękawie.

Miał nieco inny obrazek Heddy w głowie. Zazwyczaj wyobrażał ją sobie, jak leży na brzuchu nago w jego łóżku, a Stan Getz gra dla swoich fanek. Albo śpiewa tęsknie Cassandra Wilson. Jednak wygląda na to, że Kelly Trost zna się lepiej na ludzkiej naturze niż on.

- Mam rację - powiedziała. - To ty, prawda?

- Przyznaję się do winy. Ale jej daleko do nazistki.

- Czyżby? Szkoda, że jej nie widziałeś w damskiej toalecie. Deutschland über alles. Lebensraum w lustreczku próżności.

- Mówisz po niemiecku?

Pokręciła głową. Ramiona związali jej za wysoko i brakowało jej gestów. - Miałam manię na punkcie Holocaustu. Do tego stopnia, że przez cały rok umawiałam się wyłącznie z Żydami. Po uzyskaniu dyplomu pojechałam do Auschwitz.

Burton pokiwał głową i znów sprawił sobie ból. - Jak było?

- Dziwnie. - Przewróciła oczami. - Do tego stopnia, że można było uwierzyć w duchy. To znaczy, tam dosłownie straszny. - Zapatrzyła się w ciemny kąt piwnicy. - Chyba dlatego tu jestem. - Burton rozpoznał niebezpieczną nutę w jej głosie. - Poczucie winy i tak dalej.

- Dobra, koleżanko. Chciałaś poznać mój najprzyjemniejszy...

-O Boże! - krzyknęła nagle. - Oni nas zabijają. Prawda? Zabijają nas.
-To bzdura. Przestań.
Ale trzęsa się tak bardzo, że aż przesuwiała się po podłodze razem z krzesłem. - Zabijają nas. Ty tylko chcesz...
-Daj spokój. Przestań, Kelly. Przestań.
Instynktownie pochylił się do niej, chciał wstać z krzesła, a wtedy wystająca kość ugodziła go w skórę jak ostrze noża.
-Przestań... udawać... - Ból i wściekłość z bólu oraz rozpacz ścisnęły mu żołądek. - Przestań.
Zrezygnowana zaczęła cicho płakać.
-Weź się w garść - rozkazał jej, próbując zrobić to samo. - Twój ojciec by się wstydził za ciebie.
Spojrzała na niego z wyrzutem. - Sam powiedziałeś... że to nic złego się bać.
-Ale nie możesz pozwolić, żeby strach przejął nad tobą kontrolę.
-Boję się śmierci. Nie chcę umierać.
-Wszyscy kurewsko boimy się śmierci. Ale nie każdy z nas ma tatuś, który jest cholernym senatorem. Nikt ci nic nie robi, do diabła. Boją się, dziewczyno. Żałują, że w ogóle cię tknęli. Założę się, że teraz zastanawiają się jak nas oddać, nie brudząc sobie przy tym rąk.
-Przepraszam.
-Daj już spokój - powiedział delikatniejszym głosem. - Przestań już, dobrze? Jesteś na to za silna. Tyle przeszłaś i zobacz, wyglądasz, jakbyś była gotowa do decydującego meczu w kosza.
-Nie gram w kosza. Pływam.
-No to do ważnych zawodów pływackich. To już nie potrwa długo.
-Nie mogę tego znieść.
-Ja też nie rozkoszuję się tą sytuacją. Ale musimy jasno myśleć. Tak jasno, jak to tylko możliwe.
Och, ból, ból, ból, ból. Mąci mi w głowie.
-Nie znoszę tego - powtórzyła z jeszcze większą determinacją. Chwilami czuć w niej było prawdziwie młodzieńczego ducha. - Przykro mi, nie wiem, jak to powiedzieć...
-Nie przejmuj się. To stres.
-Nie, nie o to mi chodzi.
-Niczym się nie przejmuj. Ja się będę martwił za nas oboje.
-Chodzi o to... że muszę się wysikać. Nie wiem... może to przez płacz.
Na taki problem Burton nie był przygotowany.
-A jak oni przedtem...?

-Zazwyczaj było wiadro, czy coś takiego. Abbas starał się być dyskretny. Chyba wstydził się bardziej niż ja. Ale od kiedy... od kiedy...

Znów zaczęła się załamywać.

-Straż! - krzyknął Burton, najgłośniej jak umiał po turecku. Był pewien, że potrafi temu zaradzić. Przynajmniej temu. - Straż! Niech ktoś tu przyjdzie! Szybko! - Bolało go tak, że miał kłopoty z podniesieniem głosu.

Pojawił się strażnik. Chłopiec prosto ze wsi, w mundurze o kilka numerów za dużym. Zbiegł do połowy schodów z Kałasznikowem w rękę. Brat bliźniak chłopca, który go postrzelił.

-Ty - warknął Burton. - Czy tak potraktowałbyś swoją siostrę? Ta kobieta ma osobiste potrzeby! Przynieś wiadro i rozwiąż ją! Żaden szanujący się Azer nie potraktowałby tak źle kobiety.

Żołnierz spojrział na niego ogłupiałym wzrokiem i zbiegł ze schodów. Buty też miał za duże i utrudniały mu chodzenie. Kiedy zniknął, Burton usłyszał gorączkowe szepty przy drzwiach do piwnicy, a potem odgłosy pośpiesznych kroków.

-Nie zezłościłeś go, co? - spytała Kelly.

-Nie. Zawstydyłem. Mam nadzieję, że wystarczająco.

Pojawił się żołnierz z wiadrem w rękę. Za nim wszedł podoficer z miną wiejskiego Casanovy.

-Rozwiąż ją - rozkazał mu Burton. - A potem pozwól jej na trochę prywatności.

Podoficer prychnął i uśmiechnął się szerzej zaciśniętymi ustami. Wreszcie powiedział: - Owce nie mogą rozkazywać rzeźnikowi.

Burton nie przetłumaczył tego Kelly.

Ale żołnierz zaczął rozwiązywać dziewczynę, kiedy tylko odstawił wiadro na ziemię. Węzłów było tak dużo, że zabrało mu to kilka minut. Podoficer oparł się o betonowy słup, podtrzymujący sufit i zapalił papierosa.

Kiedy Kelly była wolna, z trudem udało się jej utrzymać na nogach. Musiała na chwilę usiąść z powrotem i wyprostować nogi, masując je, żeby przywrócić krążenie krwi. Gdy mogła już chodzić, Burton powiedział:

-Miejcie trochę przyzwoitości i zostawcie ją samą.

-Musimy pilnować was obojga.

-Idź na górę. Przecież stąd nie uciekniemy. Tu nawet nie ma okien.

-Mamy rozkazy.

-Czy nie jesteś Azerem?

-Tak, jestem Azerem. - Podoficer rzucił na ziemię niedopałek papierosa.

- Więc czemu zachowujesz się jak rosyjska świnia?
Podoficer zeszytniał.

- To nie ma znaczenia - odezwała się Kelly.
Ale rezygnacja w jej głosie zdradzała, że ma znaczenie i to duże.
Z szyderczym uśmiechem twarziela podoficer odwrócił się do chłopca, który przyniósł wiadro. - Dwie minuty - powiedział do Burtona.

- I zamknij drzwi - krzyknął za nim Burton.

- Co powiedział?

- Powiedział, że masz dwie minuty, dziewczyno. Lepiej się pośpiesz.

- Czy... czy mógłbyś się odwrócić?

- Przykro mi. Dostałem pociskiem kalibru 7,62 mm w obojczyk.

- No to zamknij oczy.

- Już są zamknięte, na litość boską.

- To takie żenujące.

Miała rację. Burton nie przypominał sobie, żeby bohaterowie jakiegoś filmu borykali się z tego typu praktycznymi problemami.

Kiedy usłyszał kroki na górze, spytał: - Mogę już otworzyć oczy?

- Tak. Przepraszam.

- Co ty robisz?

- Rozwiążę cię.

- Wracaj na swoje krzesło.

- Moglibyśmy spróbować...

- Nie. Nie ma czasu. Siadaj. Ale już rozwiązywała mu supeły.

- Kelly. Oni mogą nas pozabijać. Ja nawet nie... Jej palce zastygły na chwilę.

- Usiądź - powiedział. - Pośpiesz się. Nie chcemy denerwować strażników. Jeszcze nadejdzie lepszy moment.

Ale ona nie ruszyła się z miejsca.

- Mój Boże - powiedziała.

- Co? O co ci chodzi? Proszę cię, usiądź.

- Twoje ramię.

- Mówiłem ci, że jest poharatane.

- Nie widziałam. Czy to jest kość? Pod bandażem? - Poczul, że zadrżała.

- Usiądź. Natychmiast.

Ocknęła się. I wróciła do swojego krzesła. - Nie miałam pojęcia - powiedziała. - Mój Boże. Ty musisz... ty...

Usiadła na krześle dokładnie w momencie, kiedy czyjaś noga stanęła na pierwszym stopniu. Czując jakby jego ramię poddawano średniowiecznym torturom, Burton spojrział w górę, spodziewając się wracających strażników.

Ale spodnie człowieka, który schodził na dół, zdobily czerwone lampasy.

Kiedy Hamedow pojawil się w zasięgu jego wzroku, Burton zobaczył za generałem parę znajomych butów. Hamedow stanął w miejscu, jak tylko zobaczył Burтона.

-Evan - odezwał się, a w jego głosie brzmiała szczerza troska.

Potem Hamedow przeszedł na swój ostrożny, chropowaty angielski.

- Jaka to dla ciebie musiała być straszna noc!

Za nim pojawiły się biodra Heddy, potem tułów i cała reszta. Okolona włosami twarz miała zmieszany wyraz i kiedy spotkali się wzrokiem, ona zaraz spojrziała w inną stronę, jak oparzona. Na koniec do pomieszczenia weszło dwóch strażników z Kałasznikowami.

Hamedow westchnął i spojrzął na dziewczynę, ale nic do niej nie powiedział. Wyglądał jak ucziwy szef, zmuszony zwolnić parę osób z pracy. Kiedy cała grupka stanęła u stóp schodów, Hamedow odesłał żołnierzy i powiedział do swoich gości:

-A teraz pora na naszą lekcję.

15

- Puść dziewczynę wolno, Hassan - powiedział Burton.

Generał uniósł jedną brew, a za nią drugą. Miał brwi tak grube, jak wąsy Groucho i połyskujące od potu spływającego mu z czoła. Hamedow podszedł bliżej i uśmiechnął się, zostawiając zmieszaną Heddy u stóp schodów. Na jej twarzy strach mieszał się z wyrachowaniem, co zupełnie nie podobało się Burtonowi.

Generał strzelił z kostek u rąk tuż przed twarzą Burтона. - Twoje ramię, Evan. Musimy sprowadzić dla ciebie bardzo dobrego lekarza.

- Pozwól dziewczynie odejść. Wydostań ją stąd.

Generał stanął naprzeciw niego tak blisko, że czuć było jego zapach. Mundur Hamedowa był brudny, twarz nosiła oznaki wyczerpania, a alkohol niczym rzeźbiarz nadał jego policzkom charakterystyczny kształt. - Jeszcze zobaczymy. - Rzucił okiem na dziewczynę, która siedziała z otwartymi ustami i z powrotem skupił uwagę na Burtonie. - Jestem pewien, że bardzo cierpisz, Evan, i przykro mi z tego powodu. Uważam cię za przyjaciela. Ale musimy omówić pewne sprawy. - Nie spodziewanie obrócił się na pięcie i podszedł do Heddy. - Proszę usiąść, Fraülein Seghers. - Wskazał jej dolne schodki i wrócił do strzelania z kostek w palcach. Mówił do Heddy takim tonem, jakby miał przed sobą podwładnego, który go czymś wyprowadził z równowagi. - Mężczyzna na moim stanowisku nie lubi, kiedy kobieta jest od niego wyższa.

Heddy usiadła.

- No dobra - powiedział Burton, a strzaskana kość wbiła mu się boleśnie w żywe ciało. - Pogadajmy o interesach, Hassan. - Czuł, jak na czole zbiera mu się pot.

Hamedow znów uśmiechnął się, a potem westchnął. - Evan... nie mamy żadnych „interesów” do omówienia, bo ty w obecnej chwili nie masz mi nic do zaoferowania. Ale nie martw się tym zbytnio. - Potężny mężczyzna ukucnął. Z tej pozycji patrzył w górę na twarz Burтона. Generał był tak zmęczony, że prawie stracił równowagę i jedną ręką

musiał się oprzeć na chwilę na brudnej podłodze, drugą trzymał na kaburze. - Nie mam najmniejszej ochoty robić ci krzywdy. Musisz to zrozumieć. - Jego wzrok powędrował w stronę dziewczyny, ale nie dotarł do niej. - Nie chcę też skrzywdzić dziewczyny. Nie jestem takim dzikusiem, za jakiego mają mnie twoi ludzie. - Przybrał minę człowieka interesu i zaczął gładzić się ręką po brodzie, zabierając ją z rękojeści swojego pistoletu. - Tylko, widzisz, pozostałe strony mają swoje własne interesy do załatwienia. - Znow na jego twarzy pojawił się błądy uśmiech. - Okrucieństwo twoich ludzi napawa mnie obrzydzeniem. Myślę, że zgodzisz się ze mną - Uśmiech zniknął całkowicie. - Nie wiem, ile osób z tego pomieszczenia dożyje do rana. Ale obiecuję ci, Evan: Nie skrzywdzę ani ciebie, ani dziewczyny.

- Więc nas rozwiąż.

Hamedow podniósł się z wysiłkiem, dodając kolejny niespodziewany uśmiech do kolekcji. - W odpowiednim czasie, w odpowiednim czasie. Macie na to dobre określenie po angielsku - „przymusowa widownia” . Musimy porozmawiać. O forsie i wpływach. - Wymuszony humor całkowicie go opuścił, tak jak słońce znika za chmurą pędzącą po niebie. - Najpierw musisz mnie wysłuchać. Evan. - Obrócił się, włączając Kelly i Heddy do swojej widowni. - Wszyscy mnie wysłuchacie.

Generał wygiął palce dłoni w stawach, wydając charakterystyczny dźwięk, i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem po piwnicy. Nagle obrócił się gwałtownie - dźgił rodem z gór wykonujący taniec wojenny. Wyciągnął ręce w kierunku Burtona.

- Evan... jesteś najlepszy z nich. Najlepszy z nich wszystkich. Prawie nas rozumiesz. Myślę, że czasem nawet żywisz dla nas szacunek. Oczywiście, nie we wszystkim. Ale ty nigdy potraktowałbyś człowieka jak psa. - Skierował się w stronę Heddy i podniósł głos. - Powiedz mi... kim są ci ludzie? Europejczycy, Amerykanie? Kim są, że przyjeżdżają do cudzego kraju i zachowują się, jakby to oni tu rządili? Europejczycy mówią nam, co mamy robić, a Amerykanie, jak mamy żyć. - Przez chwilę zwracał się również do Kelly. - Uważacie się za postępowych. „Cywilizowanych”. Tylko wasze odpowiedzi są prawidłowe. Wydaje wam się, że dysponujecie wiedzą na każdy temat, a my jesteśmy... my jesteśmy głupi... niezdolni do budowania własnej przyszłości. Traktujecie nas jak czarnych z Afryki.

Odwrócił się do Heddy i krzyknął: - Nie wiecie o nas nic! Zupełnie nic. - Wykonał ręką taki ruch, jakby odstaniał kurtynę. - Nie znacie tego kraju. Ani mnie. Ani moich rodaków. - Roześmiał się, znow kojarząc się Burtonowi z tańczącym wojownikiem z gór.

Jego głos stał się chrapliwy. - Nie znacie nawet swoich własnych ludzi. Nawet ty, Evan. Nie masz pojęcia, co się tu dzieje. Najmniejszego. I jesteś najlepszy z nich, mój przyjacielu. - Generał przerwał. - Powiedz mi, Evan, czy od jakiegoś czasu podejrzewałeś, że mogę zabić tę dziewczynę? Szczerze. Powiedz mi.

Burton kiwnął głową i poczuł w ramieniu żywy ogień. - A co miałem myśleć?

-Nigdy nie chciałem jej zabić. Kiedy to Hassan Hamedow zabił kobietę? - Uśmiechnął się do Burтона, ale to był bardzo niedobry uśmiech numer trzynastcie. - Och, z radością się nią posłużę. Tylko głupiec przepuszcza jakąkolwiek okazję w życiu. Ale nigdy nie miałem zamiaru jej zranić, Evan. - Pokręcił głową. - Masz nas za dzikie bestie. Ale wiedz, mój przyjacielu, że Hassan Hamedow nigdy nawet nie uderzył kobiety. Ani razu. Gdyby moi rodacy o tym wiedzieli, uznaliby mnie za mięczaka.

Generał pochylił głowę w stronę Heddy i zaczął się podnosić, ale zmienił zamiar i ponownie ukucnął przy Burtonie. W mocnym, niekorzystnym świetle doskonale widać było na jego twarzy każdą żyłkę, każdą kroplę potu, każdy włos.

-Przekażę ci pewną wiedzę, Evan. Jako przyjaciel. Powiem ci, kto chce zabić tę dziewczynę. - Wydał z siebie coś w rodzaju wściekłego warknięcia. - Po pierwsze, twoi rodacy. Nafciarze. Zabiliby każdego. Widzisz, twoi biznesmeni są inteligentniejsi od twoich władz. Wiedzą, że ropa naftowa jest najważniejsza. Ropa to strategia, władza. Ten, kto kontroluje ropę na Wybrzeżu Kaspijskim i na Bliskim Wschodzie, kontroluje następne stulecie. Oni oczywiście nie wierzą, by taki głupiec jak Hassan Hamedow zdawał sobie z tego sprawę. Ale oni i owszem. I wydaje im się, że zdołają przekupić dzikusów paciorkami i perkalem. - Machnął ręką zawodowego boksera w stronę Kelly. - Poświęcenie jednej dziewczyny, wszystko jedno jakiej, to dla nich niewielka cena. Jedna dziewczyna za trasę rurociągu, tam gdzie chcą. Ona nic dla nich nie znaczy. Jedna dziewczyna za strategiczną przewagę w nowym stuleciu. Evan... nie pochwalam, ale zgadzam się z ich rozumowaniem.

-Fleming, co?

Hamedow wzruszył ramionami. - Nie on jeden. Wszyscy, którzy się spóźnili i musieli dogadać się z Rosjanami. Oczywiście, w twojej ambasadzie też są podziały. Wiedziałeś o tym? W twojej ambasadzie też są ludzie, którzy uważają, że nie byłoby źle, gdyby dziewczyna... - Rozłożył ręce, wnętrzem do góry.

-Vandergraaf.

-Pan Vandergraaf chyba wyobraża sobie, że jest wielkim mężem stanu. Ale to tylko bezduszny człowieczek. Podły, mały człowieczek.

Widzisz teraz, jak niesprawiedliwie mnie oceniałeś? Założyłeś, że chcę skrzywdzić tę dziewczynę - a przez cały czas to ja utrzymywałem ją przy życiu. - Uśmiechnął się dobrodusznie. - Nie będę udawał, że działam zupełnie bezinteresownie, ale Hassan Hamedow nie krzywdzi kobiet. Jednak nie sądzę, żeby skrzywdzenie jej przyniosło korzyści mojemu krajowi. Prezydent Aliew i ja zgadzamy się w jednym: nie chcemy, żeby nasz kraj znów stał się więźniem.

- Kto jeszcze chce, żeby była martwa?

Hamedow pokręcił głową i spojrzał na podłogę między kolana.

- Powinieneś mnie raczej spytać, kto nie chce jej zabić, Evan. - Podniósł głowę. - Oczywiście, Rosjanie by ją zabili. Pragną jej śmierci, żeby mogli zwalić winę na nas i dostać swój rurociąg. Mówiłem ci już, że to źli ludzie. Zdradzają każdego. Mają to we krwi. - Kiwnął głową w stronę dziewczyny. - Najazd na dom Galibaniego? Przez cały czas mieliśmy ze Swiridowem umowę. Na wydarzenia tej nocy. Na wszystko. Ale nie ostrzegli mnie, że zorganizują ten atak. Wydawało im się, że dostaną siłą to, czego chcieli. I zrobią ze mnie głupca. Kiedy im się nie udało, Swiridow przyszedł do mnie z następnym stekiem kłamstw. Że nie został poinformowany i nic nie wiedział. Że atak był sprawką renegeatów z Moskwy. Same kłamstwa. Ale ja potrafię poradzić sobie z Rosjanami. Podchodzę do nich jak Czeczen. Są zwykłymi dziwkami. Korzystam z ich usług, ale nigdy im nie ufam. A oni w gruncie rzeczy są bardzo głupi. Zwłaszcza dzisiejszej nocy. - Wstał i wyprostował ramiona zawodowego zapaśnika, walcząc z guzikami munduru krępującego jego tułów. - Musisz wiedzieć, że Irańczycy - zawzięci wrogowie twojej ojczyzny - chcą, żeby dziewczyna była cała i zdrowa. Ponieważ zależy im na tym, żeby Rosjanie nie dostali rurociągu. Śmieszna sprawa, co? Z drugiej strony, niektórzy z twoich najwierniejszych przyjaciół nie byli wobec ciebie do końca uczciwi. - Zaprezentował Burtonowi najszerzy i najbardziej nieprzyjemny uśmiech tego wieczoru.

- Nie - powiedziała Heddy.

Prawie wstała, kiedy Hamedow dopadł do niej jak zamachowiec. Ścisnął ją jedną ręką za ramię i siłą posadził na stopniu. - Siadaj - warknął. - Słuchałem cię, kiedy mówiłaś do mnie jak do swojego niewolnika. Teraz ty mnie posłuchaj.

- On kłamie - powiedziała błagalnym tonem Heddy, chociaż Hamedow nie zdążył jeszcze nic powiedzieć.

- Heddy...

- Nie wierz mu, Evan.

- Fraülein Seghers - odezwał się Hamedow głosem, który jasno dowodził, że jednak być może jest w stanie skrzywdzić kobietę. - Siadaj i nie odzywaj się.

Burton spojrział na Kelly, która zaczynała się już w tym wszystkim gubić, ale nie potrafił nic odczytać z jej twarzy. Za dużo zachodzących na siebie informacji.

Nagle Hamedow wyjął z kabury pistolet i odciągnął zamek. Generał bez wahania podszedł do Kelly i przyłożył jej lufę pistoletu do skroni. Burton spodziewał się, że dziewczyna zacznie krzyczeć, ale ona tylko zamknęła oczy i drżącymi ustami modliła się o życie.

- Nie rób tego Hassan - powiedział proszącym głosem Burton. - Błagam cię.

Generał przeniósł wzrok z niego na Heddy. - Ile mi pani obiecała za pociągnięcie za spust, panno Seghers? Cztery miliony? Dolarów amerykańskich, oczywiście. Jak sądzisz, Evan? Czy to dobra cena?

- Musiałbyś zabić i mnie.

Hamedow roześmiał się i odsunął broń od głowy dziewczyny. Podszedł wolno do Burtona. - Tak. Trafiłeś w samo sedno, Evan. - Znów szybkie spojrzenie na Heddy. - Ona godzi się na twoją śmierć. Niefortunny aspekt tego interesu. Czyż nie tak, Fraülein Seghers?

Heddy potrząsnęła głową. Bez przekonania.

- Widzisz, Evan. Nawet twoi niemieccy przyjaciele są gotowi poświęcić życie tej dziewczyny dla dogodnej dla nich trasy rurociągu. Chcą, żeby to wyglądało na robotę Rosjan. Żeby Waszyngton rozgniewał się na Moskwę i poprowadził rurociąg przez Gruzję i Turcję. Oczywiście, nie wydaje mi się, żeby Niemcy byli złymi ludźmi. Cóż w końcu znaczy jedna dziewczyna w obliczu dobrej strategii i dobrego interesu?

- Możesz ją ocalić - powiedział Evan. - Ameryka będzie ci wdzięczna.

Generał teatralnie udawał, że się zastanawia.

- Jak mam do tego podejść? Jak oszacować zyski? Jak brudny, chciwy Azer, który nie dba o swój kraj, ani swoich rodaków? Jak bufon, który nie potrafi się ubrać? Klaun, który nie nauczył się ukrywać złych manier za ścianą wyuczonych zachowań jak Europejczycy? A może powinienem przeliczyć wszystko na gotówkę, w którą tak wierzą nasi niemieccy przyjaciele? Jedna dziewczyna. Cztery miliony dolarów. Kto by się dowiedział? Co twoim zdaniem powinienem zrobić, Evan?

Bez ostrzeżenia, generał stracił nad sobą kontrolę. Wymachując pistoletem tak, że mało nie zahaczył o sufit, zaczął krzyczeć: - Za kogo wy się uważacie? Za kogo się uważacie, że przyjeżdżacie tutaj, żeby udzielać nam lekcji i obdarzać fałszywym współczuciem i brudnymi interesami? Za kogo wy się macie?

Heddy skurczyła się w sobie. Ale musiałaby stać się niewidoczna, żeby uniknąć gniewu generała.

- Ustalmy, kim jesteśmy. Wszystkie te gierki i kłamstwa. Sprawdźmy, jacy jesteśmy odważni. - Złapał Heddy za nadgarstek i pociągnął za sobą przez pomieszczenie do dziewczyny.

- Chcesz, żebym zabijał dla ciebie. Babrał się w twoim gównie. - Siłą rozwarł jej pięść i wcisnął do ręki pistolet. - Pokaż mi. Pokaż mi jak zachowuje się cywilizowany Europejczyk. - Przysunął jej rękę z bronią, tak że lufa dotykała włosów Kelly. - Pokaż mi jak się zabija, ty dziwko.

Kelly zaczęła krzyżeć ze strachu. Hamedow puścił Heddy, cofnął się o kilka kroków i decyzję o losie dziewczyny zostawił Heddy.

- No dalej - warknął generał. - Pokaż nam, jaka jesteś odważna. Przekonaj się, co to znaczy zabić.

Heddy zadrżała, ale pistolet nadal trzymała przy skroni dziewczyny. Kelly krzyżała: - Nie, błagam, nie - płakała i szarpała się na krześle, żeby je przewrócić i w jakiś sposób uniknąć śmierci. Burton widział, jak Heddy zagryza dolną wargę i myśli zbyt intensywnie. I też płacze.

- Evan... - powiedziała Heddy, głosem z innego kontynentu. Tonącej Atlantydy. - Evan... wybac mi...

Na sekundę zanim to się stało, Burton zobaczył przyszłość.

- Heddy, nie rób tego.

Lecz było już za późno. Niemka odwróciła się od Kelly i wycełowała broń prosto w twarz generała. Strzeliła bez zastanowienia. Pocisk wbił się Hamedowowi w górne zęby, a siła uderzenia szarpnęła do góry nos i na moment odepchnęła głowę nieco do tyłu, po czym stożkowaty przedmiot przebił czaszkę i wyleciał u jej podstawy, ciągnąc za sobą mózg.

Hamedow upadł niezgrabnie, nie przeciągając dramatycznej sceny. Martwym wzrokiem patrzył gdzieś ponad głową Burtona.

- Heddy, szybko! - krzyknął. - Rozwiąż mnie. Daj mi pistolet! Nie chciał już więcej dotykać broni, ale stracili swojego ostatniego opiekuna i musiał albo walczyć, albo zginąć.

Najważniejszą rzeczą było utrzymać przy życiu dziewczynę. I cholerną Heddy.

- Heddy, ocknij się.

Czekał, że w każdej chwili otworzą się drzwi i na drewnianych schodach rozlegną się kroki. Jedyne, co mogło ich ocalić, to przekonanie ludzi na górze, że to Hamedow strzelał.

Heddy stała nad ciałem zabitego przez siebie człowieka. Jak we śnie. Burton nie mógł znieść jej widoku, ale musiał na nią patrzeć.

- Heddy, proszę.

Jego kochanka ocknęła się i spojrzała na niego. Oczami, które skupały jego uwagę podczas jazzu namiętności, muzyki dwóch ciał. Potem

te oczy spochmurniały i Burton zobaczył twarz, której, zupełnie nie znał. Wtedy Heddy zaczęła biec w kierunku schodów.

-Nie, Heddy. Nie rób tego.

Było jasne, że straciła rozum i nic na to nie można poradzić. Uciekała. Bezmyślnie. Poddała się błędnie zaprogramowanej instynktownej reakcji. Dobięła do szczytu schodów i przez drzwi, i chociaż Burton nic nie widział, doskonale wiedział, co się dzieje: nagle zamieszanie, szok po obu stronach. Potem uświadomienie sobie przez strażników obecności obcej kobiety z pistoletem. Usłyszał krótką, gwałtowną wymianę zdań. Rozległy się strzały z Kałasznikowa i pistoletu. Potem echo wystrzałów i znów krzyk. Odgłos padającego ciała.

Heddy spadła głową w dół ze schodów, z jedną ręką za plecami. Pod naporem bezwładnego ciała pękały kości. Przez chwilę zwłoki balansowały na schodach, a potem nabrały prędkości. Kiedy znalazła się już na schodach całym ciałem, nogi rozsunęły się jej bezwładnie. Zmiana punktu ciężkości zepchnęła ją na brzeg schodów i zrzuciła na podłogę, twarzą do przodu. Leżała poskręcana i nieruchoma, a z ran powoli sączyła się krew.

-O, Boże - powiedziała Kelly ogłupiałym głosem. - O, mój Boże.

Nie było czasu, żeby ją pocieszać i okłamywać. O stopnie uderzyły pierwsze obcasy. Burton czuł, że chce zmówić ostatnią modlitwę, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Patrzył na swoje przeznaczenie szeroko otwartymi oczami, zdecydowany nie okazać się tchórzem, kiedy nadejdzie jego koniec. Ale w środku, tak właśnie się czuł. Chciał powiedzieć dziewczynie, że mu przykro, ale nie miał już zaufania do swojego głosu. Nie zdawał sobie sprawy, że strach jest tak potężną siłą.

Pierwszy do piwnicy wszedł Swiridow, rosyjski attache. Za nim pojawił się Dick Fleming z Oak Leaf Oil, a na końcu o stopnie uderzyły niezgrabne, chwiejne stopy Arthura Vandergraafa.

Fabrizio Parma, młody dziennikarz o wybujałej ambicji, nie uważał zamachu stanu. Przybył do kraju jako wysłannik „Charter House”, żeby relacjonować sprawę porwania Kelly Trost, ale zaraz po jego lądowaniu zamknięto lotnisko, a wokół rozległy się strzały. Podczas ośmiu godzin spędzonych w Azerbejdżanie stracił bagaż, płatał się po ulicach bez mapy i wynajmował taksówkarzy, z którymi nie potrafił się porozumieć, ale którzy chętnie brali od niego pieniądze, nie zwracając sobie głowy zamachem stanu. Obecnie siedział w miejscowej imitacji vana Volkswagena, wdychając opary benzyny, wciśnięty pomiędzy dwóch starszych i większych dziennikarzy - jednego ze Stanów Zjednoczonych, a drugiego z Kanady, którzy zaofferowali mu miejsce w

samochodzie. Na fotelu obok kierowcy siedziała hałaśliwa, trzydziesto-kilkuletnia Angielka i komenderowała miejscowym kierowcą, który na każde z jej kategorycznych poleceń reagował skrętem w dowolnym kierunku. Widok, dźwięki, a nawet zapach na ciemnych, zaniedbanych ulicach kojarzył się z zamachem stanu. W tłumie zdezorientowanych, bezradnych ludzi, Amerykanin podający się za dyplomatę zapewniał, że to zamach stanu. Jednak Fabrizio i koledzy po fachu, których się trzymał, nie potrafili zlokalizować centrum wydarzeń.

Dwukrotnie zostali zmuszeni do odwrotu z ciemnych ulic przez umundurowanych mężczyzn. Raz natknęli się na rząd czołgów, ale żołnierze siedzący przy wieżyczkach albo nie rozumieli ich pytań, albo bali się z nimi rozmawiać. Raz po raz natrafiali na ślepe uliczki w slumsach, albo na blokady, przy których musieli płacić tylko po to, żeby móc zawrócić i odjechać. Od czasu do czasu, na bulwarze mijali ich wojskowy dżip. Kiedy tracili już nadzieję, w powietrze gdzieś w oddali wystrzelała rakietka świetlna, wabiąc ich niczym gwiazda betlejemka umieszczona na niebie przez oszusta.

-Jezu, co za miejsce - jęknął amerykański dziennikarz. - Kręcimy się w kółko, jak krowa uwiązana do pala.

-Pieprzyć to - wyrzuciła z siebie Angielka na przednim siedzeniu. - Skręć tu, skręć tam! - Jej akcent kojarzył się Fabrizio z najbardziej ponurą częścią Wielkiej Brytanii. Jednak jej twarz była mu znajoma, a poza tym, na tylnej ławce samochodu siedziała jej ekipa filmowa, więc Fabrizio postanowił ją oczarować.

-Wygląda na to, że zna pani to miasto - powiedział, pochylając się do niej. - Chyba ma pani dobre rozeznanie.

Kobieta odwróciła się do niego z twarzą, chwilami oświetlaną przez latarnie. Od takiej miny krowy trącą mleko, a pola przestają przynosić plony.

-A ty co za jeden, do kurwy nędzy? Co to za gość, Everett?

-Facet z „Charter House” - odpowiedział Kanadyjczyk. - Gwyneth, mogłabyś poprosić kierowcę, żeby trochę zwolnił? Ulica jest tu trochę wąska, co?

-„Charter House” to pieprzona konkurencja.

-Powiedziałas, że nie ma sprawy.

-Gówno prawda.

-Zresztą, czy on wygląda na poważną konkurencję?

Spojrzała na Fabrizia oceniającym wzrokiem. - Wygląda ciotowato.

Fabrizio poczuł, jak Kanadyjczyk siedzący obok niego sztywnieje.

-Hej - mówiła dalej Angielka. - Ty. Mówisz po angielsku?
-Oczywiście - odpowiedział Fabrizio. - Władam kilkoma językami.
-Chryste - ponownie jęknął Amerykanin. - Jeszcze jeden, który chce zrobić karierę w CNN.

Fabrizio odczytał aluzję w jego wypowiedzi i poczuł się dotknięty. Rzeczywiście pragnął zostać korespondentem CNN. Uważał, że jego angielski jest wystarczająco dobry. Poza tym był przekonany, że wygląda o niebo lepiej od pozostałych mężczyzn korespondentów sieci CNN. Kobiet zresztą też.

-To był czołg! - wrzasnęła kobieta. - Na tamtej ulicy.
-Reporter opancerzony. Zepsuty, jeśli mnie wzrok nie myli.
-Potrzebny mi materiał filmowy. Jakies tło wydarzeń. Niech to wszyscy diabli, co za fatalna sytuacja.

Minęli miejsce, gdzie zderzyły się dwa samochody - obrazek, który można było zaliczyć do najbardziej dramatycznych tego wieczoru. Zakrwawiony mężczyzna machał rękami.

-Twój rodak? - spytał Kanadyjczyk swoją koleżankę. Pochylił się, napierając na Fabrizia i mówił dalej: - Ten, który podawał się za ambasadora? Szczery człowiek, co?

-To ten. Kandinsky. Wczoraj robiłam z nim wywiad.
-Nie zachowywał się jak ambasador. Chodzi mi o to, że był taki... otwarty, szczery. Prawie uczuciowy. Wydał mi się bardzo miły.
-Pewnie wszyscy schodzą tu na psy. Brzemie białego człowieka, czy coś w tym stylu. Gwyn, czy on ma skręcić w lewo na tym rondzie?

-To - powiedziała Gwynneth - jest pieprzona droga na pieprzone lotnisko. Nie mam zamiaru znów wpakować się na te same pieprzone blokady.

-Tak też myślałam.
-Na szczycie tamtego wzgórza - oznajmiła Gwynneth - zaczynamy zjeżdżać na dół. W dole jest centrum miasta. Chcę wrócić do centrum miasta. - Nagle podskoczyła do góry, tak gwałtownie, że prawie uderzyła głową w dach samochodu. - Niech mnie diabli. Zatrzymaj się. Zatrzymaj samochód.

-O co chodzi?
-Zatrzymaj się, na Boga. Stój.
-Co?
-Widziałam ciało! Na poboczu.
Na tylnej ławce rozległy się zrzędlive głosy.
-Zatrzymaj samochód. - Szturchnęła kierowcę w rękę i rozległ się pisk hamulców. Samochód przejechał jeszcze kawałek i stanął.

-Wszyscy z wozu. Nie. Dickie, zostań z kierowcą i miej oko na tego skubańca.

Fabrizio wyszedł na drogę za Amerykaninem, popędzany przez Kanadyjczyka. Tylnymi drzwiami wyszło na drogę dwóch niedźwiedzio-watych mężczyzn, niosąc kamerę i opłatane kablami pudła.

-Szybciej - poleciła im Gwynneth.

Amerykanin rozciągnął się, wypiął potężny brzuch i rozejrzał się wokół siebie. - Jedyny kolor w tej okolicy - powiedział znużonym głósem - to kolor pieprzonego pyłu. Wiecie, ile mi policzyli za hotel?

Fabrizio trzymał się z tyłu, kiedy podchodzili do ciała. Śmierć go przerażała. Nie lubił widoku martwych zwierząt i unikał sklepów mięsnych. Potykając się, szedł za swoimi kolegami, wciągając do płuc spalinę unoszącą się nad miastem i obserwując różne kolory zmieniające się na horyzoncie, w miejscu, gdzie widać było duży pożar. Zastanawiał się, czy to może być centrum wydarzeń. Ale ogień palił się na grzbiecie wzgórza, a ta Angielka powiedziała, że centrum Baku znajduje się poniżej. Zmusił się, żeby dołączyć do grupki dziennikarzy akurat w momencie, kiedy Angielka krzyknęła: - A niech to diabli. Równie dobrze mogłam zostać w Manchesterze, żeby zobaczyć to samo.

Człowiek na ziemi nie był martwy. Nawet nie ranny. Był za to radośnie i absolutnie pijany, a swoich wielbicieli obdarzył bełkotliwą piosenką.

-Wszyscy z powrotem do furgonetki - rozkazał Amerykanin.

-A niech to jasna cholera.

W oddali rozległa się strzelanina, która po chwili ucichła.

-Trzeba było zabrać mapę, co?

-Mam mapę. Nie znam cholernego języka. Śmieszna sprawa.

-Jest jeszcze sprawa tej małej Trost.

-Jakieś nowiny?

-Coś się na pewno pojawi.

Amerykanin odwrócił się do Fabrizia. - Hej, Luigi. Masz coś ciekawego na temat dziewczyny Trosta?

-Perdoni?

-Mała Trost. Kelly Trost. Córka senatora.

-Ach, tak - powiedział Fabrizio. - Oczywiście. Wiesz coś o niej?

-Chryste - powiedział Amerykanin do Kanadyjczyka. Potem zwrócił się do Fabrizia: - Odnalazła się w miłosnym gniazdku z Michaeliem Jacksonem. W Vegas.

Fabrizio wyczuł nieuprzejmość, ale nie przejął się nią zbyt. Rozumiał. Sam zaczynał być już tak sfrustrowany, że o mało nie krzyczał.

Wcześniej tego wieczoru wydawało mu się, że to punkt zwrotny w jego życiu, wydarzenie, które czekało na jego przybycie. Ale nie potrafił go zlokalizować. Czuł, że serce mu pęka z tego powodu.

- Powinniśmy pojechać na uniwersytet, jeśli ta pipidówka go posiada - powiedział Amerykanin. - Podczas prawdziwego zamachu stanu zawsze strzelają do studentów. Albo tłuką ich na kwaśne jabłko i zamykają. Świetny materiał. Hej, Gwyn! - zawołał do przodu, w kierunku jej męskich pleców. - Czemu nie spróbować by uniwersytetu? -

- Dave komentował Tienanmen - wyjaśnił Fabriziowi Kanadyjczyk. - Wtedy załapał się na pięć minut sławy.

Pomysł wydawał się Fabriziowi całkiem logiczny. Postanowił, że zapamięta sobie tę wskazówkę na przyszłość. Znajdziesz uniwersytet, znajdziesz zamach stanu. Poza tym, na uniwersytecie na pewno są ładne dziewczyny. A szkoda marnować całą noc.

Senator Mitchell Trost odnosił wrażenie, że zmarnował życie. Wiedział, że z obiektywnego punktu widzenia nie jest to prawda. Według miary śmiertelnika osiągnął bardzo wiele i wierzył nawet, że zrobił nieco dobrego. Ale zarówno kroplówka jak i czujniki przyklejone do jego skóry, równie dobrze mogły być przyłączone do pustej skorupy. Jak mógł mieć atak serca, skoro nie ma serca?

Otaczała go czerń jak w kopalni.

Jego ojciec pokazał mu jedną z jego kopalń na północ od wzgórza. Żeby przybliżyć mu jego korzenie, a prawdopodobnie dlatego, żeby dostarczyć mu odrobiny emocji. Lecz on był niespokojnym dzieckiem o żywej wyobraźni i zanim przeszli sto metrów obniżającym się korytarzem, zamknęły się za nimi duże drzwi przeciwpożarowe i zaczął płakać. Nigdy nie przeżył takiego horroru. Ciemność wykropkowana paciorkami lamp wzdłuż chodnika, nagły chłód, ogrom otaczającej ich góry - to wszystko, a może coś więcej dało mu pierwszy przedsmak śmierci. Płakał, kopał metalowy wózek i krzyczał tak długo, aż zawstydzony ojciec polecił kierowcy, żeby się zatrzymał. Ojciec wziął go na ręce i wysiadł z nim z wózka. Nic nie mówił, ale chłopiec wyczuwał jego rozczarowanie. Jeśli dobrze pamiętał, to był jedyny raz, kiedy jego ojciec się za niego wstydził i wspomnienie to bardzo mu ciążyło. Chodziło jednak o coś jeszcze. Oprócz ciemności i strachu, pamiętał silny uścisk ojca. Najsilniejszy uścisk na świecie, niemal stalowy. Ojciec niosący go z ciemności w niebieskie światło dnia.

Trost żałował, że nie może tak samo wziąć Kelly na ręce. Uratować ją od strasznych doświadczeń, przez które musi przechodzić. Nawet nie jest w stanie podnieść się z łóżka. Teraz nic, czego dokonał w życiu nie

ma znaczenia. I nie chodzi nawet o Laurę. Już przestał o niej myśleć. Prawie. Radził już sobie z większymi problemami, ale bał się, że być może nigdy się-z tego do końca nie otrząśnie. Skoro nie potrafi pomóc Kelly, czy cokolwiek ma jeszcze jakieś znaczenie? Nawet z biologicznego punktu widzenia tylko dzieci liczą się naprawdę, czyż nie tak? Czy nie dlatego nawet najbardziej nieśmiali rodzice potrafią walczyć jak lwy w obronie swojego potomstwa? Był tak zakochany w sobie, że przeczył to, co jest w życiu najważniejsze. Oczywiście, pomagał jej. We wszystkich prostych sprawach. Tych, które w rzeczywistości się nie liczą. Ale jak głęboko w sercu ją trzymał? Na ile pozwolił się jej zbliżyć? Ile z tego, co jej ofiarował nie miało metki z ceną?

Uważał się za człowieka światowego, doświadczonego, wykształconego. A teraz rozumiał, że jego wiedza nie ma znaczenia. Bóg ofiarował mu jeden dar, dobre dziecko, a on tego nie docenił. Jego kara wydawała się tak straszna, że niemal biblijna...

Leżąc samotnie w pomieszczeniu zalanym sztucznym światłem, przy akompaniamencie sporadycznych kroków albo wózka na korytarzu, Trost zmagał się z uczuciem bezradności, którego by się nigdy nie spodziewał. Nigdy dotąd nie rozumiał, co to znaczy strata. Nawet śmierć ojca, punkt zwrotny w jego życiu, nie zraniła go aż tak. Kiedy podniósł pokłutą rękę, wydawała się stara i obca, jakby dostał ją od nieznanego.

Jeśli on nie uratuje swojej córki, to kto to zrobi?

Burton siedział na tylnym siedzeniu samochodu, wciśnięty pomiędzy Dicka Fleminga, uzbrojonego w potężnych rozmiarów pistolet, a majora, z którego zrobił idiotę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych tego samego popołudnia. Kiedy któryś z mężczyzn się ruszył, szpic pękniętej kości obojczykowej wbijał się Burtonowi w ciało i wyrządzał kolejne szkody jego ramieniu.

Nie wierzył, że istnieje gorszy ból.

-Jezu Chryste! - krzyknął. - Proszę. - Nie mógł się powstrzymać. - Nie ruszajcie się. Proszę.

-Pieprz się - powiedział Fleming i dźgnął Burтона łokciem w zęba.

Łzy popłynęły Burtonowi po twarzy. Teraz ból był nie do zniesienia. Coś uległo zmianie. Bolało go tak, że pocił się i był na krawędzi wycia i bał się, że narobi w spodnie.

-Boże - powiedział w ciemność Burton.

-Bohater, co? - odezwał się Fleming. - Ta gnida wygląda ci na bohatera, Arthur? - spytał dużego mężczyzny, który próbował skurczyć się do mniejszych rozmiarów na przednim siedzeniu.

Vandergraaf odpowiedział, nie odwracając się. Ledwo usłyszeli jego słowa:

- Wystarczyło, żeby pilnował własnych interesów.

Fleming lekko dźgnął Burtona. - To chyba nauczka dla ciebie, ogierze.

Ciągnąc go do samochodu, narobili mu niewypowiedzianych szkód. Próbował z nimi rozmawiać, przekonać ich, ale ból zniekształcał mu mowę. A ich to nie obchodziło. Wepchnęli Kelly do jadącego z tyłu samochodu razem ze Swiridowem, a dwóch uzbrojonych ludzi zabrało go do pierwszego samochodu. Major wykręcił mu ranną rękę, kiedy wsiadali i jeszcze się z tego śmiał. Jechali na południe główną ulicą. Za miasto.

Ostatnia podróż, pomyślał Burton.

Myśl o dziewczynie. Teraz nie możesz stchórzyć. Zachowaj jasność umysłu. Skoncentruj się na niej.

Istnieje coś takiego jak ból nie do zniesienia.

Jak Bóg, czy ktokolwiek inny, może oczekiwać po nim skupienia w takim stanie?

Głęboko wydrążona dziura po pocisku przesywała tułów Burtona spazmami bólu niczym ładunek elektryczny. Ból wgrzyzał się w jego szczękę i oczy.

Zwymiotował. Na spodnie Fleminga.

Fleming bił go kolbą pistoletu, ale Burton nie mógł powstrzymać torsji. Im większy ból, tym silniejsze konwulsje.

Nie chcę umrzeć, nie chcę...

Skoncentruj się na dziewczynie.

Naprawdę umrę? Czy ja...?

Żołądek mnie pali. I gardło.

Oddychaj głęboko.

Jak to możliwe?

- Garnitur z pierdolonego jedwabiu - powiedział Fleming. - Ty kupo gówna.

Burtonem znów zaczęły targać torsje.

- Otwórzcie okna. Co za sukinsyn.

Ból był tak przejmujący, że Burton wyobraził sobie, jak sięga po odsłonięty obojczyk i wyrywa go, a razem z nim ból.

Skoncentruj się na dziewczynie. Ostatnia misja. Utrzymać dziewczynę przy życiu.

- Pozabijam was - wymamrotał Burton nie wiadomo do kogo. - Bękarty.

Fleming się roześmiał. - Daruj sobie.

Burton jęknął głośno resztką sił i przycisnął do brzucha zdrową rękę.

-Wiesz, wybrałem dla ciebie specjalne miejsce, Burton. Nikt cię tam nie znajdzie - powiedział Fleming. - Ani dziewczyny. A ja dopilnuję, żeby twoja śmierć nie należała do przyjemnych. Żebyś zgnił. Masz pojęcie, ile narobiłeś szkód? Uczciwym biznesmenem?

-Wystarczyło, żeby pilnował własnych interesów - powtórzył człowiek z przedniego siedzenia.

Arthur Vandergraaf. Słaby głosik. Strach. Strach rozpozna strach. Znam cię, Arthurze.

-Arthurze - powiedział Burton, z trudem układając usta w odpowiedni kształt. - Dowiedzą się prawdy. Zdajesz sobie z tego sprawę.

-Zamknij się w końcu - powiedział Fleming. Czyścił zabrudzone spodnie chusteczką.

-Nikt się nigdy nie dowie - powiedział Vandergraaf. Ale w jego głosie, o tak, w jego głosie dźwięczał strach. Strach, strach, strach. Strach Burtona. Tylko większy.

-Dowiedzą się, Arthurze. Kandinsky już wie - skłamał. - Powiedziałem mu.

-Kłamca.

-Wiedzą, Arthurze.

-Każ mu się zamknąć - powiedział Vandergraaf.

Fleming uderzył go w plecy kolbą pistoletu tak, że Burton krzyknął. Potem major uderzył go z drugiej strony, żeby zachować symetrię.

-Zabicie cię będzie przyjemnością - powiedział Fleming. - Niewykluczone, że zrobię to osobiście.

Przez zasłonę bólu Burton zobaczył nocny połysk morza w oddali. Pomiędzy drogą a wodą rozciągał się złowrogi, czarny pas.

Stare pola roponośne.

Ziemia umarłych.

Burton zrozumiął.

Zjechali z szosy w miejscu, gdzie okrążała przylądek i minęli przydrożną kapliczkę. Jadące w stronę morza samochody podążały za pororaną koleinami drogę dojazdową na nieurodzajne tereny. Przez otwarte okna do środka wpadało powietrze śmierdzące ropą, zgnilizną, zdechłymi rybami i ściekami. Szabrownicy posprzedawali metalowe części ze starych żurawi, ale dziesiątki szkieletów nadal majaczyły po ich lewej stronie w powodzi światła Baku. Burton od zawsze nienawidził tego miejsca, nie lubił nawet tędy przejeżdżać w drodze na południe. Była to bagnista połać jałowej ziemi, upstrzona bajorkami zanieczyszczeń chemicznych i ścieków, zajeżdżona oponami do tego stopnia, że

nabrała konsystencji ruchomych piasków. Pola roponośne to najohydniejsza rzecz jaką stworzył człowiek.

Samochód telepał się na wyboistej drodze, a jego światła wzmocnione reflektorami drugiego pojazdu wydobywały z mroku krajobraz pełen potworów, ruin i płaszczyzn połyskujących w ciemności jak skóra węża.

-Arthurze - odezwał się proszącym głosem Burton. - Ocal tę dziewczynę. Na litość boską, człowieku.

Po upływie tysiąca lat Vandergraaf odpowiedział:

-Za późno.

Pojazdy musiały zwolnić, żeby przejechać obok zapadliska. Burton słyszał opowieści o tym, jak ludzie, a nawet całe ciężarówki zapadały się pod ziemię w biały dzień po okna szoferek na oczach bezradnych kolegów. Miejscowi mówili, że ziemia jest głodna i mści się za to, co jej ukradziono.

Major rozkazał kierowcy wyłączyć światła. Kiedy tylko to zrobił, jadący za nim samochód wyłączył swoje. Teraz pozostała tylko łuna miasta na horyzoncie i obojętne morze w bezksiężycową noc.

-Powiedz mu, żeby jechał ostrożnie - rozkazał Fleming majorowi.

-Ma się tu zatrzymać?

-Nie. Bliżej morza. Gdzie sięga przypływ.

-Ocal siebie, Arthurze - powiedział Burton. A przynajmniej myślał, że to powiedział, chciał to powiedzieć. Usiłował sobie przypomnieć coś z Biblii, ale po głowie chodziły tu tylko jakieś urywki. Ból był zbyt wielki. Pomiędzy fragmentami z księgi Eklezjasza a Psalmami pojawił się Matthew Arnold i Burton wyrecytował samemu sobie: „Morze jest spokojne dziś w nocy...”, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że myli to z modlitwą. Tak. Ogarnięta mrokiem płaszczyzna. Jednoosobowa armia tego ignoranta. Debil z zawodu. Do tego się wszystko sprowadza. Heddy to taka strata. Wszystko na nic. Piękne życie. No i ból, jakby taki ból potrafił zabić człowieka.

Boję się, dobry Boże, boję się.

Pragnął odnaleźć w sobie heroiczną determinację, resztę sił. Ale był chory z bólu i strachu. Przypomniało mu się, że nie zapłacił ostatniego rachunku Mastercard i po chwili paniki rozeźmiał się sam z siebie.

Ostrzegą mnie, zanim strzelą?

Nie ostrzegajcie dziewczyny. Zróbcie tak, żeby nie wiedziała, kiedy nadejdzie koniec.

Boże, pozwól mi się nie bać za bardzo.

-Nie ujdzie wam to na sucho - powiedział Burton, kiedy samochód się zatrzymał.

Fleming parsknął śmiechem. To rzeczywiście brzmiało zabawnie. Wytarta fraza, na której zakończy życie. Burton czuł, że mało brakuje, a sam zaczął się śmiać. Nagle opanowały go zawroty głowy. Oczywiście, że ujdzie im to na sucho. Takie właśnie zasady rządzą światem.

-Proszę - odezwał się Burton. - Sam wysiądę. To tak boli.

Czy to tchórzostwo? Czy jestem tchórzem?

Nie wiedziałem, że może tak boleć.

Czemu nie jestem w szoku?

Czy nie powinno się dostawać szoku, kiedy ból staje się nie do zniesienia?

Czy już jestem w szoku?

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, pomyślał.

Jakikolwiek Boże. Proszę.

Nie w ten sposób.

Pozwolili mu wysiąść z samochodu o własnych siłach, chociaż zabrało mu to sporo czasu z powodu bólu. Coś się teraz zmieniło. Wszystko znieruchomiało, na śmierdzącej ziemi zrobiło się uroczyście.

To śmierć.

Nawet Fleming ucichł.

Burton starał się nabrać w płuca zapachu tej ziemi ostatni raz. Ale powietrze było ciężkie od ropy i siarki.

Zobaczył dziewczynę i światło majaczące w jej włosach. Jezu, dlaczego?

Dla pieniędzy, dla pieniędzy.

Dla czegoś więcej.

Tacy są ludzie.

To mordercy. My wszyscy.

Uwielbiamy to, tak długo, jak długo pistolet znajduje się w naszej ręce.

O, Boże. Tak się boję.

-Tam - powiedział Fleming cichym głosem. - Przy sadzawce.

Ruszyli. Wtedy Vandergraaf się odwrócił. Przez krótką chwilę Burton mógł zobaczyć, jak wygląda przerażony człowiek. Zastępca ambasadora buchał strachem, jego twarz wyglądała jak biała maska strachu w ciemnościach nocy.

-Co to? - spytał Vandergraaf. - Kto to jest?

-Co? - spytał go Fleming.

-Tam. Za nami.

Burton przyciągnął swoje kalekie ciało bliżej Kelly.

-Wszystko w porządku - skłamał.

-Nie - odpowiedziała zadziwiająco spokojnym głosem. - Wiem, co się dzieje.

-Kto to, kurwa, jest? - spytał Fleming kategorycznym tonem.

Burton spojrział w tamtym kierunku. W pewnej odległości od nich, przez labirynt wyboistych dróg, przecinających pola ropo-nośne, jechał trzeci samochód.

Fleming zwrócił się do majora, tym razem w łamanym tureckim. - Kto to jest?

Major wzruszył ramionami. - Ich też możemy zabić.

-Co...? - Vandergraaf zacisnął rękę na ramieniu Fleminga. - Czy nie powinniśmy...? To znaczy, skoro Hamedow nie żyje. Może to wiadomość od Aliewa...

-Nikt o tym nie wie.

-Dick... wszyscy wiedzą...

-Arthur, weź się w garść.

-Krzesło elektryczne, Arthur - prawie krzyknął Burton.

Fleming obrócił się gwałtownie i uderzył Burтона lewą pięścią.

Cios był niedokładnie wymierzony i trafił pod kątem w czoło. Burton oparł się o dziewczynę. Ale znów poczuł wściekłość. Resztki dawnej siły.

Daj mi okazję. Tylko daj mi okazję, a będę z tobą walczył tu i teraz.

-Jadą tutaj - powiedział Vandergraaf. - To może być wiadomość.

-Zadzwoniliby. Albo nadali ją przez radio.

-Może wciąż zakłócają częstotliwości. Lepiej poczekajmy minutę. Jeśli Aliew...

Fleming odwrócił się do Vandergraafa. - Poczekajmy? Mamy czekać ryzykując setkami miliardów dolarów? To już koniec, Arthur. Chryste.

Ale Burton mu nie wierzył. Jego głos brzmiał nieodpowiednio. Słychać w nim było gniew, ale żadnego zdecydowania. Za to nutkę niepewności.

-Zobaczmy po prostu, czego chcą - powiedział Vandergraaf. - Co nam szkodzi?

Czekali ponuro na nadjeżdżający pojazd. Poruszał się wolno, robiąc objazdy, kiedy droga znikąca.

-Musiał za nami jechać - stwierdził Vandergraaf. - Może powinniśmy włączyć reflektory. Może wcale nas nie widzą.

-Znajdą nas.

-Powiedz mu, żeby włączył reflektory.

-Na litość boską.

-Jeśli to wiadomość od prezydenta, od jednego z jego ludzi... Teraz nie mamy już Hamedowa...

-Włącz światła w drugim samochodzie.

Grupa zaczęła żyć własnym życiem i przesunęła się na tyły ich małego konwoju, żeby zatrzymać śledzący ich samochód.

-To prezent - powiedział nagle Fleming do Burtona. – Pięć pieprzonych dodatkowych minut. Ciesz się nimi.

Burton wierzył, że gdyby tylko dostał szansę, dałby radę biec. Nogi ma w porządku. A ból da mu dodatkową motywację. Zastanawiał się nad dziewczyną. Wyglądała na wysportowaną. Ale była chora. I przestraszona. Próbował dojrzeć coś w atramentowoczarnym krajobrazie, obmyślając ewentualną trasę ucieczki. Zastrzelał go, zanim zrobił dziesięć kroków. A nawet pięć.

Ale lepiej zginąć w walce. A przynajmniej próbując walczyć.

Jadący pojazd zaskrzypiał i natrafił na wyboistą drogę, przy której czekał pluton egzekucyjny.

-Niech to lepiej będzie coś dobrego - wymamrotał Fleming.

Dostali się w światło przednich reflektorów i Burton instynktownie zamknął oczy i odwrócił głowę.

-Zamknij oczy - szepnął do Kelly. - I patrz w przeciwnym kierunku.

Czując dotkliwy ból w obojczyku, pchnął ją do przodu i trochę na bok w stronę ścieżki, która wyglądała na suchą.

Przelotnie spojrzął na nadjeżdżający samochód, starając się omijać wzrokiem światła, czego nauczono go wiele lat temu, jeszcze jako porucznika Sił Specjalnych.

Samochód nie wyglądał i ogólnie nie sprawiał wrażenia oficjalnego pojazdu. Jednak tego dnia wszystko stało na głowie. To była taksówka bagażowa. Zatrzymała się tuż przed nimi, zalewając światłem ludzi, ich samochody, wiekowy złom do wydobycia ropy stojący przy zbiornikach przybrzeżnych. Wysiadła jakaś postać, za nią następna. Jedna sylwetka była szczupła, druga szersza. Następnie wysiadł jeszcze jeden człowiek, a wreszcie czwarty-

To była kobieta.

-Przepraszam - rozległ się po angielsku kobiecy głos - ale się zgubiiliśmy. Czy ktoś z państwa mówi po angielsku? Możecie wskazać nam drogę do uniwersytetu?

Nikt nie odpowiedział. Ale Burton czuł, jak sięgają po broń. Nagle głos z obcym akcentem krzyknął: - Jezu Chryste. Córka Trosta.

-O kurwa mać. Ian, kamera. Włącz światła.

-To Kelly Trost.

Z samochodu wysypało się więcej ludzi. Burton skoczył do przodu.

-Panie i panowie - zaczął oficjalnym głosem, zmienionym groteskowo od bólu - ci dżentelmeni właśnie uratowali pannę Trost i mnie. - Wyciągnął przed siebie zdrową rękę. - To Arthur Vandergraaf z ambasady amerykańskiej. A to pan Dick Fleming z Oak Leaf Oil. To dwaj bohaterowie tej...

-Panno Trost? Kelly? Tutaj. Filmuj ją. Filmuj dziewczynę.

-Połącz to, do diabła.

-Daj tu talerz satelitarny.

Burton przysunął się bliżej do Kelly i wyszeptał: - Kiedy krzyknę, zacznij biec tak szybko jak potrafisz do tamtych budynków.

Fleming złapał Burtona za jego zdrowe ramię i zaczął coś mówić, ale Burton wyrwał mu się, odwracając się w stronę bólu, tak jak człowiek odwraca się w stronę wiatru. Przebiegł przez małą scenę oświetloną reflektorami i spytał oświetleniowca: - Mogę pomóc?

-Nie, ja...

Ale Burton złapał za uchwyt, kiedy rozbłyły reflektory i skierował je prosto w oczy Fleminga i majora. Potem przewrócił sprzęt na swoich oprawców.

-Biegnij. Już!

Ten jeden jedyny raz w jego karierze, kiedy to naprawdę miało znaczenie, rozkaz podpułkownika Evana Burtona wykonano natychmiast. Kelly rzuciła się do ucieczki, o mało go nie zdeptując po drodze i skierowała się dokładnie tam, gdzie jej polecił. Burton podążył za nią, chłostany bólem jak batem.

Nie można było rozszyfrować krzyków za ich plecami. Przy odrobinie szczęścia mają dziesięć sekund. Przy odrobinie szczęścia.

-Omijaj oświetlone miejsca! - krzyknął.

Rzeczywiście była wysportowana i szybko powiększyła dystans między sobą a mężczyzną ze zmasakrowanym ramieniem. Ból był bardzo dotkliwy. Ale teraz i on poczuł napływ sił.

Dziewczyna upadła, ale zaraz się podniosła i wtedy rozległy się pierwsze strzały.

Nie ma sprawy. Pierwsze strzały będą na oślep. Nawet dobry strzelec bez odpowiedniego sprzętu nie trafi do celu. To pogoń będzie problemem. Albo zabłąkana kulka.

Długa seria z Kałasznikowa rozerwała powietrze nocy, ale strzały nadeszły z daleka. Wciąż słychać było nawoływania, ale żadnych wrzasków. Więc nie zaatakowali dziennikarzy. Pewnie teraz nie wiedzą, co z nimi, do diabła, zrobić.

Vandergraaf osłoniłby ich swoim wielkim, wspaniałym cielskiem. Nie chciały mieć jeszcze kogoś na sumieniu.

Do czasu, aż znów dostanie w swoje ręce Burtona i dziewczynę.

Burtonowi zdawało się, że widzi, jak dziewczyna znika w ruinach przed nim. Ale noc wypełniały zamazane, mylące kształty. Podejrzewał, że z bólu może mieć przywidzenia.

Po prostu biegnij.

Nie myśl.

Biegnij.

Kluczył, żeby zmylić pościg, dopóki nie uświadomił sobie, że to strata czasu. Liczy się odległość.

Więcej strzałów. Czy sytuacja uległa zmianie?

Nie usłyszę kroków. Ziemia jest za miękka. Nasiąknięta trucizną.

Ręka będzie do niczego, nawet jeśli on sam wyjdzie z tego cało.

Wojskowa renta inwalidzka.

Potknął się i znów się podniósł przeszyty bólem. Nie spojrzy za siebie. Nie chce marnować czasu. I boi się tego, co może zobaczyć.

Teraz słyhać mnóstwo strzałów. Sobotnia noc w Alamo.

Krzyki, krzyki.

Ale żadnych wrzasków bólu. Dziennikarze jeszcze nie są ofiarami.

Jeśli uda się uciec nam, ich też nie zabiją.

- Kelly?

Pojawiły się pierwsze budynki bez dachów.

W mur trafiło kilka pocisków, rozpryskując iskry.

- Kelly?

Dobra. Biegnij. Dalej, dziewczyno.

Może uda mi się zrobić tę jedną dobrą rzecz w życiu.

Boże, daj mi schronienie w tych ścianach, muszę rozeznaczyć się w sytuacji.

Chlupot nóg w błocku.

Zrobiła to, czego jej zabroniłem.

Jezu, jak klej.

Buty, zostańcie ze mną.

Cholera.

Z ogromnym wysiłkiem, czując ból i krzycząc, chociaż sobie tego nie uświadamiał, włożył but z powrotem na nogę, brudząc sobie rękę błotem.

- Tutaj.

Jej głos. Dziewczyno, mówiłem ci, że masz biec.

- Proszę. Nie zostawiaj mnie tutaj.

- Kelly?

Rykoszety odbijające się od starego kamienia i tynku.

-Jestem tutaj.
Szybko ją odnalazł. Leżała na kupie gruzu i starych metalowych beczek. Tak samo toksyczne miejsce jak wiele innych na ziemi.
-Co się stało?
-Moja kostka. Nie mogę biec. Nie mogę iść.
Wymacał jej tydkę w ciemnościach. Dobre mięśnie. Wtedy krzyknęła.
A, tak. Serdeczne dzięki, Pechu.
Zwichnięta kostka.
Para pieprzonych kalek na gigancie.
-Boję się - powiedziała.
A ja nie, złotko. Czego tu się bać?
-Wszystko będzie dobrze.
-Teraz nas zabiją.
-Nie.
Zaczęła płakać. - Zabijają nas tutaj.
-Nie. - To była najbardziej stanowcza sylaba, jaką Burton wypowiedział w całym swoim życiu.
-Nie mogę chodzić.
-Ja mogę.
-Nie zostawiaj mnie.
-Nie zostawię cię. No, dalej. Siadaj. - Przez ułamek sekundy zastanawiał się nad tym, czy by jej nie zostawić, podczas gdy jego mózg z prędkością superkomputera szukał dobrej wymówki. Ale nie zrobi tego.
-Co?
-Siadaj. Poniosę cię. Tylko muszę cię przewiesić przez zdrowe ramię.
-Ale...
Kochanie, działałam przy założeniu, że ten ból już nie może być gorszy.
-Siadaj już. Pośpiesz się.
Pociski przeleciały im nad głowami. Ale tamci strzelali w ciemno. Brzmiało to tak, jakby ścigający strzelali teraz we wszystkie strony naraz.
Spojrzał przez ramię nad popękana ścianą i wydawało mu się, że widzi sylwetki podążające ich śladem. Ale noc była zbyt ciemna, żeby widzieć dokładnie.
Wyznacz sobie jasne, proste cele. Wróć do drogi. Tam pomyślisz.
-Czas w drogę - powiedział, podnosząc ją jak strażak ofiarę pożaru. Była cięższa niż wyglądała: dobre mięśnie. Okazuje się, że ból może jednak się nasilić.
-Uda się nam - obiecał jej.

16

Arthur Vandergraaf biegł. Nie był przyzwyczajony do tej czynności i zaczął zbyt energicznie. W niecałą minutę zabrakło mu oddechu i nie sądził, że da radę biec dalej. Ale biegł, dysząc, z trudem łapiąc oddech, potykając się w ciemnościach. Nie gonił Burtona ani dziewczyny. Uciekał.

Od wszystkiego. Wszystko potoczyło się nie tak jak trzeba. Pomimo własnej ostrożności, umiejętności i inteligencji, które wykorzystał do maksimum.

Potknął się i upadł ciężko, rozdzierając spodnie i ocierając kolana oraz raniąc ręce. Podniósł się z wysiłkiem i desperacko rzucił przed siebie, w nadziei, że zapomniano o nim w całym zamieszaniu i że ci, których zostawił za sobą, zajmą się problemami. Opanował go strach, podobny do tego, jaki odczuwał w dzieciństwie, kiedy matka zabierała go do piwnicy, podczas długich nieobecności jego ojca i siedząc na nim okrakiem zapalała zapalki, a potem gasiła je na jego nadgarstkach albo na bardziej wrażliwych częściach ciała.

Niczemu i nikomu nie można ufać.

Tylko jego żonie. Lisa. Jedyna istota na świecie. Jedyna, której pozwalał się dotknąć.

Ona by zrozumiała.

Zrozumiałaby?

Strzelanina. Trwa już od jakiegoś czasu, ale słyszał ją jakby przez jakiś filtr.

Czy strzelają do niego?

Na pewno nie.

Wpadł do kałuży, której nie zauważył, bajorka pełnego błota i kiedy się z niego wygrzebał, był przemoczony prawie do pasa. Miał uczucie, jakby oblażył go małe, wijące się robaki.

Okropne miejsce. Cały ten kraj to okropne miejsce.

Zastanawiał się, czy na polach roponośnych są węże.

Jadowite węże, jak ten, którego ogrodnik zabił na podwórku na tyłach domu.

Skierował się w stronę łuny nad miastem. Gdy tylko dostanie się z powrotem do ambasady, do świata, zacznie odzyskiwać kontrolę nad swoimi sprawami.

Nie.

Nigdy nie odzyska nad nimi kontroli.

Wiedział, że nie zniesie więzienia. Wiedział to.

Przecież nie wsadzą jego, dyplomaty, do więzienia? Z pospolitymi przestępcami?

I nie skażą go na śmierć. Nikogo nie skrzywdził. Jest delikatnym człowiekiem, troskliwym, uwikłanym w niesprzyjające okoliczności, lojalnie zobowiązania wobec przełożonych...

Właściwie, co takiego złego zrobił?

Więzienie wyobrażał sobie jako miejsce, w którym młodociani czarni przestępcy będą go torturować i upokarzać.

Nie. To nonsens. Wyślą go do jednego z tych miejsc o minimalnym rygorze, gdzie odbywają kary finansiersi i pracownicy Białego Domu.

Jest ważną osobistością.

Wpadł do następnej kałuży błota i stracił oba buty.

Szkoda czasu. Czas stracony na sięganie do brudnej topieli bez dna po buty, które zniknęły.

Ziemia jeżyła się od kamieni, na które jego stopy nie były przygotowane. Podskakiwał jak na rozżarzonych węglach, czując ukłucia i ranki, wyobrażając sobie okropne infekcje.

Jak uda mu się dotrzeć boso do miasta? Za bardzo boli.

Za jego plecami do życia zbudziły się silniki samochodów.

A jeśli jadą po niego? Fleming nie ma sumienia. A jeśli uznali go za zdrajcę, dlatego, że uciekł? Jeśli Fleming nie zrozumie? Vandergraaf nauczył się już strachu przed Flemingiem.

A Rosjanin? Czy on też jest podły? Drew robił świętych ze wszystkich Rosjan, ale Vandergraaf poznał ich od innej strony.

- Lisa - zawołał do stworzonego w myślach obrazka żony. - Liso, pomóż mi.

Ból w stopach był nie do zniesienia.

Zboczył z drogi, tam gdzie się zaczynały wypełnione ropą bagna, a ziemia była bardziej miękka. To okropne, okropne miejsce, dowód na to, że miejscowi sami nic nie osiągną. Rozpacz.

Wilgoć pod jego stopami stała się chłodna i niemal przyjemna. Żeby nie była taka brudna.

Lekarze na pewno znajdą lekarstwo na wszelkie infekcje, które mogą się mu przydarzyć.

A jeśli zatruje krew? Albo straci stopy, czy całe nogi?

Żałował, że kiedykolwiek usłyszał o tym kraju. Cholerny Drew MacCauley go do tego namówił. „Mój człowiek w Azerbejdżanie”.

-Do diabła z tobą, Drew - powiedział na głos. - Żebyś się zapadł pod ziemię.

Nie można było dojrzeć nawierzchni. Czarne na czarnym. Nie zauważył żelaznego drąga, o który się potknął i przewrócił.

Arthur Vandergraaf, człowiek sukcesu, oficer służb zagranicznych wpadł z pluskiem do sadzawki, rozkładając ramiona dla zamortyzowania upadku. Zanurzył się z głową, a następnie wynurzył na powierzchnię. Ropa, słona woda i błoto oblepiły go dokładnie jak tysiące palców. Złapał oddech i poczuł własną śmiertelność.

Stopami szukał dna, którego nie było i im bardziej się szarpał, tym głębiej pchał go do dołu ciężki płyn. Próbował wymacać solidny grunt pod nogami, ale w jego zasięgu nic takiego nie było. Droga dojazdowa zniknęła mu z podrażnionych chemicznymi odpadami oczu. Przez krótki, wspinały moment, poczuł w palcach żelazny drąg, który zastawił na niego pułapkę, ale gestykulował zbyt gorączkowo i jeszcze głębiej zanurzył się w ropopochodne odpady.

W kokosowym gaju
podskakuje małpa...

Burton śpiewał zniekształconym głosem, nie wiedząc i nie dbając o to, czy dziewczyna go słyszy. Kadencja pojawiła się podświadomie, jak modlitwa u księdza. Przerywana łapaniem oddechu i jękiem. Wyzwanie rzucone bólowi. Dziewczyna zwiślała z jego zdrowego ramienia jak plecak z piekła rodem.

Był podłym sukinsynem,
Można było poznać
po jego ubraniu...

Po to są stare przyśpiewki. Wytrwałość. Opanowanie bólu. Zagranie na nosie słabości cielesnej i diabłu.

Boże, ten ból.

Ból oświadczył nim go tego stopnia, że musiał ją zdjąć na ziemię i nienawidził się za to. Leżeli płasko przy ziemi, słuchając pracy silnika szukającego ich samochodu, nawoływań i sporadycznych strzałów.

- Uda się nam, mała - wyszeptał Burton.

Spojrzała na niego oczami, w których jaśniały wszystkie światła świata.

Znów ją przewiesił przez ramię, pewien, że - nawet jak przeżyje - będzie kaleką. Już nie wiedział, czy jest mokry od świeżej krwi, czy tylko od potu.

Ustawił sto kobiet pod ścianą,
Założył się z diabłem,
że to mu się uda...

Poruszyła się i ledwo zdusił krzyk.

-Przepraszam.

-Postaraj się nie... przenosić... ciężaru ciała...

Kluczył między ruinami, relikdami przeszłości, beczkami, żurawiami, wokół dołów z trucizną. Przejeżdżając równinami zawsze czuł na plecach ciarki z samej czystej, złowrogiej brzydoty tego. miejsca. A teraz bałagan i chaos są jego jedynymi sprzymierzeńcami.

Najpierw odnaleźć szosę.

Potem zdobyć samochód.

Dostać się do ambasady.

Plan B, dostać się do jakiegokolwiek publicznego miejsca.

Był pochylony, a kość dźgała powietrze.

Ale sukinsyny go jeszcze nie dostały.

Ani dziewczyny.

Przetrzymać sukinsynów. Pokonać ich.

Wypieprzył dziewięćdziesiąt osiem, aż mu jaja zsiniały
Zostawił je, zwałił konia i wypieprzył dwie ostatnie...

-Chyba się zbliżają - powiedziała. - To samochód, czy coś takiego.

-Widzą nas?

-Nie wiem.

Postawił ją na ziemię za metalową osłoną, starając się zrobić to delikatnie, ale ból dopadł go znienacka i zrzucił ją z siebie tak, że ciężko spadła na ziemię i jęknęła tylko raz, kiedy kostką uderzyła o podłogę. Jednak była dobrym żołnierzem.

-Co ja ci robię? - spytała.

Jedno z ważniejszych pytań w życiu. Najpierw dźwięk. Potem drgające, niestabilne światła reflektorów, kiedy samochód objeżdżał odpadki.

Myliłem się, pomyślał Burton. Pistolet przydałby się w sam raz.

Na płycie nagrobnej, zielonym pismem...

-Zatrzymują się - wyszeptała.

Ale nie zatrzymywali się, a jedynie zwalniali. Zły kawałek nawierzchni.

Burton poczekał, aż samochód ich minie, ucichnie hałas. Potem przekradł się wokół ich osłony, żeby nie dać się złapać w pułapkę.

-Już niedaleko - powiedział dziewczynie.

-Dasz radę...

-Bułka z masłem.

Jęknął i wziął ją na ramię, po czym znów skierował się w stronę szosy. Wtedy usłyszał czołgi.

-Chcę dostać tego sukinsyna - powiedział Dick Fleming do majora.

- Teraz to sprawa osobista.

-A dziennikarze? Nie powinniśmy wrócić i ich zabić?

-Potem. Nigdy nie należy za wcześnie pozbywać się inwentarza.

-Tam. Przy żurawiu.

-Zatrzymaj samochód.

Fleming i major wyskoczyli z wozu kolejny raz i zaczęli gonić następnego ducha. Wrócili do samochodu z przemoczonymi butami i spodniami przyklejonymi do nóg, świadomi utraty cennych minut.

-Zabiję to gówno tak powoli i okrutnie, że będą słyszeli jego jęki aż w Waszyngtonie - powiedział Fleming. Ledwo kontrolował swoją wściekłość. Nie docenił Burtona, nie wierzył, że człowiek w tak złym stanie wykręci taki numer. W jednym oku miał szkło odprysnięte z reflektora, którym dostał prosto w twarz. Boli jak diabli. Burton za to zapłaci.

Tak samo Arthur Vandergraaf. Śmignął jak wystraszony ptak. Ale nie ucieknie daleko. Vandergraaf otrzyma od niego kilka ważnych poleceń, zanim wróci do ambasady.

I Swiridow. Rosjanin zabrał drugi samochód i zwiął. Nawet azerski major był zbyt roztrzęsiony jak na gust Fleminga, teraz kiedy jego mentor - Hamedow - stał się kupą ścierwa. Uszy aż mu dymią od kombinowania.

W końcu został on przeciwko Burtonowi. I Fleming nie miał wątpliwości, kto wygra.

Widział ich. Na samym końcu snopa reflektorów, jak wdrapywali się na nasyp przy szosie. Nasyp był stromy i nagi, więc Fleming natychmiast zauważył jakiś ruch, chociaż kształt go początkowo zmylił.

-Zatrzymaj. Nie. Jedź w górę. Tam. - Fleming uderzył kierowcę w rękę, pokazując palcem kierunek.

Major podniósł się nieco z miejsca i też zauważył ruch.

- Musimy wysiąść i pobiec za nimi.

- Zatrzymaj samochód.

-Daj mi karabin.

Fleming wyskoczył na błotniste podłoże, zaalarmowany odgłosem, który towarzyszył im od pewnego czasu i czekał, aż uświadomi sobie, co to jest. Kiedy odsunął się od samochodu, dźwięk znacznie się nasilił.

Czołgi?

-Co jest grane? - spytał kategorycznym tonem majora. - Myślałem, że ten bajzel już się skończył.

Jednak znajdował się w kraju, w którym - nawet uprzywilejowani - majorzy dysponowali ograniczoną wiedzą. Oficer wyglądał na skołowanego.

-Może... może wracają do koszar.

Fleming przecesał wzrokiem horyzont. Stał tyłem do morza, więc widział poświatę nad Baku, wznoszącą się nad cyplem. W miejscu, gdzie szosa zakręcała wokół cypla, można było dostrzec obrzeżne zabudowania miasta. Potem droga skręcała na południe, dzieląc pola roponosne i chałupy zdesperowanych pionierów z zasiedlonych terenów, przyklejonych do stoku wzgórze. Droga wiła się na kształt ogromnej podkowy wzdłuż cypla. Burton i dziewczyna wspinali się w stronę jej wygięcia.

Fleming ruszył biegiem, wyprzedzając majora siłą woli. - Chryste - powiedział. - On ją niesie, do diabła. Mamy ich.

Ale kiedy biegł, spojrzął dalej na południe. I zauważył długą linię świateł pozycyjnych.

-Ale... oni jadą do miasta.

Major spojrzął na niego w słabym świetle i mina mu zrzedła. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Ale Fleming okazał się szybszy.

-Ten sukinsyn Aliew. Umowa była trefna.

To była odpowiedź na zamach stanu. Lojaliści ruszyli do akcji.

Niecałe trzysta metrów dalej, Burton i dziewczyna wyglądali tak, jakby zatrzymali się w miejscu na nasypie i nie byli w stanie zrobić ani kroku więcej.

-Muszę tam iść - powiedział major. - Ja...

-Gówno. Zostaniesz tutaj. Najpierw sprawa najważniejsza.

Fleming podniósł karabin, wycelował i strzelił. Ale zlepek postaci na nasypie nie zareagował. W ciemnościach Fleming nie był nawet w stanie ocenić odległości od celu. Znów wystrzelił.

-Za daleko - powiedział major. - Z takiej odległości nie da się dokładnie wycelować.

-Nic w tym pieprzonym kraju nie jest dokładne. Idziemy.

Kierowca samochodu starał się jak mógł dotrzymać im kroku.

Przed nimi szły wydłużone cienie.

-Nie chcę, żeby te czołgi przecięły nam drogę - powiedział Fleming.

-Uwaga!

Ale Flemingowi nie było pisanie podzielić los Arthura Vandergraafa. Zmniejszył odległość dzielącą go od zbiegów do stu pięćdziesięciu metrów, obserwując żalosne wysiłki Burтона, próbującego wciągnąć dziewczynę na szczyt nasypu. Dotarli do stromego miejsca, gdzie dziewczyna zesła z jego pleców i czołgała się po nasypie jak kaleka, a Burton ciągnął ją za rękę.

Głupi gnojek. Musiał zgrywać bohatera. To go będzie drogo kosztowało.

Fleming zatrzymał się, złapał oddech, wycelował i strzelił. Potem strzelił ponownie. Burton odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie. To znaczyło, że ostatnia seria trafiła gdzieś blisko.

Światła pierwszych czołgów zniknęły, kiedy pojazdy dotarły do zbocza i zaczęły skręcać na drodze w kształcie podkowy. Fleming wraz z majorem schronili się pod osłoną nasypu.

Hałas był teraz przeraźliwy. Dziesięć tysięcy stalowych diabłów.

Jeśli Burtonowi uda się przeciąć drogę przed czołgami...

Fleming sam siebie zaskoczył. Krzyknął. Krzyczał w ciemną noc.

-Zabiję cię, ty sukinsynu! Zabiję cię!

U podnóża nasypu on i major natknęli się na długi, ukryty kanał, którego powierzchnia połyskiwała jak płynny antracyt. Major złapał długi kij i włożył go do kanału. Nie ma dna.

-Do diabła. Do diabła z tym wszystkim - zaklął Fleming. Potem przeszedł z angielskiego na slang brukselskiego półświatka z czasów młodości.

Nienawidził sytuacji, w której się znalazł. Widział ich poszczególne części ciała w świetle przydrożnych lamp. Widział ich zwisające luźno, porwane ubrania. Tak blisko, że prawie mógł ich dosięgnąć. Uniósł karabin, celując tak dokładnie jak to tylko było możliwe, w niezdarne sylwetki na nasypie. Strzelał tak długo, aż zużył wszystkie naboje. I ani razu nie trafił zwierzyny.

Odwrócił się do majora.

-Dawaj tu pieprzony samochód. Wciąż możemy być na szosie przed tym sukinsynem.

Burton upadł na nasyp. Był śliski od potu i krwi. Ziemia miała cudowny dotyk.

-Nie mogę...

-Strzelają do nas.

-Nie mogę...

-Proszę.

Przeturlał się, spisując na straty zranione ramię. Nie widział dokładnie ścigających. Nieregularne błyski w ciemnościach były trudne do uchwycenia, a jego wzrok i umiejętność oceny sytuacji mało wiarygodne. Jak daleko? Ilu? W głowie zaczynało mu się mieszać. Zaczął widzieć dziwne rzeczy. Tańczące skały przed nosem. Świat zaczął migotać. Jeszcze trochę, a zemdleje. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby wreszcie znaleźć się w szoku.

Dziewczyna wyglądała źle. Nowa porcja strachu. Nic stałego, emocje w ciągłym ruchu. Odwaga i strach, zdesperowanie i rozpacz, kręcące się w człowieku jak koniki na karuzeli. Teraz wydawała mu się jeszcze młodsza niż na początku. Ostatnia kobieta, którą obejmował. Dziwne, czuł, że już zna ją lepiej, niż którąkolwiek z kobiet, towarzyszącą mu w życiu przez miesiące, a nawet lata.

Na pewno lepiej niż o Heddy.

Przy nabrzeżu w Kolonii. Spacer w maju. Pocałunki. Chłodne piwo w wysokich szklankach podawane w bierstube przy alejkach.

Pieprzona dziwka.

-Chodźmy - powiedział, zmuszając się do włączenia programu z przetrwaniem. Zdziwiła go własna umiejętność dokonania rzeczy niemożliwej. - Czołgaj się. Rób cokolwiek, tylko idź do przodu.

Bez słowa zaczęła czołgać się pomiędzy skałami i ziemią. Uniósł częściowo tułów i zaczął własną wędrówkę obok niej, zgarbiony jak mała człekokształtna, podpierając się zdrową ręką. Symfonia czołgowa zbliżała się do crescendo. Piękna muzyka. Zapadająca w pamięć. To twoje życie.

Nawet w szaleństwie bólu Burton dobrze wiedział, co się dzieje. Aliew kupił czas i rozgonił spiskowców. Teraz zaufane siły wkraczały do akcji, żeby zmieść ich z powierzchni ziemi. Burton wyobrażał sobie te tysiące grózb, obietnic, układów. W końcu decydującą rolę odegrają czołgi.

Teraz, bez Hamedowa, sprawa jest prosta. Aliew to niesamowity człowiek. Czeką go kariery dłuższe od kariery Louisa Armstronga. Wieczny prezydent.

Nawet jeśli zabiją jego i dziewczynę, Fleming i jego kumple prze-grają. Aliew nigdy nie da ropy Rosjanom. Fleming, Vandergraaf, Swiridow. Pieprzyć ich.

Kelly wyglądała jak średniowieczna kaleka na pielgrzymim szlaku.

-Dalej, dziewczyno. - Teraz on ją musi błagać. Żałosna drużyna. - Dasz radę.

Oczekiwał jej narzekań na ból w kostce, ból, jaki sprawiał jej wysiłek. Ale nie powiedziała ani słowa. Ledwo na niego spojrziała.

Skupiała całą uwagę na szczycie nasypu, na pociętej barierze ochronnej szosy.

- Dalej.

Ziemia zaczęła się pod nimi trząść. Czołgi się zbliżają. Hałas był ogłuszający.

- Dalej, Kelly.

Muszą przeciąć szosę, zanim konwój odetnie im drogę. Ich rany uniemożliwią przemkniecie się pomiędzy potworami na gąsienicach.

Ostatni odcinek okazał się za stromy i musieli zmienić kąt wspinaczki, tracąc czas, na co nie mogli sobie pozwolić. Zostało im trzy metry do pokonania, czołgi dojeżdżały do zakrętu. Burton złapał ją pod pachę i zaczął ciągnąć wściekle, tracąc równowagę, krzycząc na nią, owładnięty chęcią przetrwania i zabrania jej ze sobą.

- Dalej. Ruszaj się, ruszaj się.

Wbijając palce w ziemię, raniąc ręce do krwi. Ciągnął ją za sobą. Płakała, krzyczała i przeklinała, tak jak on.

- Staram się... sukinsynu...

- Dalej, do diabła.

- Sukinsyn... sukinsyn...

- Zostawię cię tu, do diabła - powiedział jej. Płakał, nie zdając sobie z tego sprawy, ożywiony strachem i determinacją. - Przysięgam na Boga, że to zrobię.

Miała porwane ubranie i strasznie wyglądała, wdrapując się po nasypie, walcząc z nim w myślach i próbując mu pomóc, żeby pomógł jej. Kiedy tylko mogła, podnosiła chorą nogę w górę, żeby zmniejszyć ból, ale noga zawsze opadała bezwładnie.

Kiedy dotarli do bariery, obydwójce jęczeli i gdyby mieli dość siły, zrobiliby sobie nawzajem krzywdę.

Burton przepchnął ją przez poszarpany metal na czarną nawierzchnię dokładnie w momencie, kiedy wielki pojazd pojawił się w ich polu widzenia, badając powietrze długą lufą, jak zwierzę na polowaniu.

Wylądowała na kostce i wrzasnęła z bólu, ale Burton już do niej dopadł. Złapał ją za ciało i strzępy ubrania, i pociągnął na środek szosy, próbując wyprzedzić czołg i w duchu licząc na to, że kierowca nie trzyma palca na spuście.

Pojazd nie miał zamiaru się zatrzymać.

Chciał na nią krzyczeć, kazać jej iść dalej, odpychać się zdrową nogą, pomóc jej, zrobić cokolwiek. Ale udało mu się wydobyć z gardła tylko bezgłośny krzyk.

Kiedy czołg prawie na nich najechał, Burton zobaczył czarny samochód, wjeżdżający na szosę.

Fleming zobaczył Burtona i dziewczynę, kiedy tylko wjechał na szosę. Amerykanin, jak skończony głupiec, sam ledwo idąc, ciągnął za sobą dziewczynę. Ta z kolei czołgała się po ziemi. Zaraz zmiażdży ich czołg.

Fleming wystawił karabin przez okno.

Dla całkowitej pewności.

Odległość była tak mała, że strzał zwali ich z nóg.

-Mięso armatnie - zasyczał Fleming, naciskając na spust.

Powstrzymał go dziki krzyk. Major złapał go za rękę.

-Niech pan patrzy.

Po drugiej stronie samochodu, na północnej pętli zakrętu, zbliżała się do nich druga kolumna czołgów.

Wjechali w środek bitwy czołgowej.

Fleming zobaczył, jak czołg, który prawie rozwiązał za niego problem, zatrzymuje się tuż przed zgarbioną sylwetką Burtona. Kiedy długa lufa podróżowała w powietrzu, Burton popchnął dziewczynę w kierunku wąwozu po drugiej stronie szosy. Fleming oddał serię z Kałasznikowa, ale było za późno. Burton okazał się szybszy o kilka sekund.

Strzelanie do Burtona to był zły pomysł. Oznaczał on, iż Fleming strzelił w kierunku czołgu szpicy, którego strzelec nie mógł widzieć dwóch sylwetek przebiegających w martwym dla niego miejscu obserwacji. Widział jednak strzały oddane z samochodu.

Zanim Fleming, major czy kierowca zdążyli wyskoczyć, pocisk podkalibrowy trafił prosto w samochód, przewracając go na dach i zrzucając z nasypu. Samochód wybuchł i stał się maleńką częścią historii.

Burton leżał na dziewczynie w wąwozie, a nad jego głową ryczała bitwa. Odległości były absurdalnie małe i cała potyczka wyglądała jak bójka wielkich stalowych prętów, w niczym nie przypominając finezyjnych manewrów, których uczył się w Fort Leavenworth. Czuł żar od wystrzałów i zapach spalanej benzyny, metalu i ciała dziewczyny leżącej pod nim. Nie podnosił głowy, przyciśnięty do ziemi przerażeniem.

Hałas był nie do opisania. Instynktownie, zanim zdążył pomyśleć, zasłonił dziewczynę własnym ciałem, tak dokładnie jak się dało, krzycząc z bólu i krwawiąc w jej włosy. Nie przyszło mu do głowy, żeby ją zapytać, czy może oddychać. Teraz liczył się każdy milimetr osłony. Przetrwanie każdej kolejnej sekundy graniczyło z cudem.

Słyszał makabryczne, dzwoniące odgłosy rozlatujących się w powietrzu koszulek pocisków podkalibrowych, wyobrażając sobie masakrę

wewnątrz czołgów. Karabiny maszynowe wyrzucały z siebie nieprzerwane serie, dzwoniąc o stal. Jedyne czego brakowało to ludzkich głosów.

Ryk wzmógł się do tego stopnia, że Burton zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie słuchać muzyki. Głowa pulsowała mu bólem. Czekał, aż zabłąkany pocisk odnajdzie ich kryjówkę.

Na drogę, tuż za wąwozem trafiła seria z karabinu maszynowego. Burton schylił się jeszcze niżej, wciskając nos w łopatkę dziewczyny i zdrową ręką osłaniając jej głowę.

Trzęśła się.

-Już dobrze - próbował jej powiedzieć. Ale słowa rozplynęły się w hałasie. Wydawało mu się, że krwawią mu uszy.

Azerowie to fatalni czołgiści. Jednak odległości były tak minimalne, że spudłowanie nie wchodziło w grę i wyglądało na to, że każdy pojazd wyprodukowany w ich ojczyźnie pluje ogniem z całych sił. Czuł żar na plecach. Kiedy pogięty kawał metalu wielkości ludzkiego tułowia upadł w odległości ramienia od miejsca, w którym leżeli, Burton ze strachu otworzył oczy i aż skulił się z przerażenia. Poharatanym ramieniem dźgnął w ciało dziewczyny i natychmiast oprzytomniał. Wtedy w zboczce nad nimi trafił pocisk z lufy armatniej i rozpryskał wokół tyle ziemi, że o mało nie zostali pogrzebani żywcem.

Walka trwała zaledwie kilka minut, ale były to długie minuty. Najpierw ucichły lufy czołgów, potem karabiny maszynowe. Burton słyszał jedynie warkot silników manewrujących na nawierzchni, daleko schowane za barykadą ze zniszczeń. Buchnęły płomienie i nastąpił kolejny samoistny wystrzał w lufie czołgu. Robi się niebezpiecznie. Czekał na deszcz metalu. Ale nie poczuł nic oprócz żaru.

-Co się dzieje? - wyszeptwała, a może wrzasnęła, dziewczyna prosto w jego twarz.

-Miejscowy odpowiednik wyborów.

-Chcą nas dopaść?

-My się już nie liczymy.

Trochę więcej bólu. Oddychał głęboko, wyobrażając sobie, że to pomaga.

-Nie podnoś się - powiedział.

Wdrapał się na szczyt wąwozu, starając się nie pogarszać stanu swojej rany.

Na południowym i północnym wygięciu drogi palący się sprzęt wojskowy blokował szosę. Ciasno jak na parking na Manhattanie. Walka ustała, kiedy zniszczone pojazdy ustawiły się tak ciasno, że żaden sprawny nie mógł się przecisnąć, żeby oddać strzał.

Nietrudno było sobie to wyobrazić: pojazdy z tyłów kawalkady podjeżdżały chaotycznie, z zagłuszonymi radiostacjami - z których co najmniej połowa i tak nie działała - na drogę za ciasną na atak, z boczami zbyt stromymi na pogoń za wrogiem. Zamknięci w pojazdach dowódcy załóg, lekceważąc rzeczywisty rozwój sytuacji, pchali się do przodu, traktując wszystko na swojej drodze, dopóki sami nie dostali się w pułapkę.

To była metalowa masakra, gdzie ludzkie mięso piekło się w metalowych puszkach. Burton domyślał się, że większość z członków załogi - pewnie młodych chłopców - była młodsza od powierzonych im pojazdów.

Żadnych ciał na ziemi. Załogi popełniły klasyczny błąd zostając wewnątrz pojazdów zbyt długo. Upekli się żywcem.

Nad polami roponośnymi i morzem rozciągał się pas czarnej nocy, ciemna ścieżka pomiędzy pożarami po wystrzałach, które znaczyły obydwie kolumny. Ta osobliwa pustka płomieni kojarzyła się Burtonowi z przejściem Charltona Hestona przez Morze Czerwone. Mózg działa w tajemniczy sposób. Pozwól przejść wybranemu ludowi.

Ale nie tutaj.

Cóż, widział marny koniec samochodu. I głębę Dicka Fleminga. Zna ten rodzaj satysfakcji. A ludzkie uczucia zostawi na jutro.

Niechętnie przywołał w pamięci obraz Heddy. Leżącej w zenującej pozie tam, gdzie upadła, nieżywa na podłogę piwnicy.

Burton ześlizgnął się z powrotem do miejsca, w którym leżała dziewczyna. O mało nie zemdlął z tego niewielkiego wysiłku.

Teraz długo już nie wytrzyma. Zużył cały swój zapas. Dziewięć żyć, szczęście, energię strachu.

- Chodźmy - powiedział. Wydusił z trudem te słowa, mając nadzieję, że da radę je wprowadzić w życie.

- Gdzie?

- W górę tym wózkiem.

- Daleko? Moja kostka...

- Wystarczająco daleko, żeby uratować życie.

- Czy oni nie... będą do nas strzelać?

- Przekonamy się.

- Czy nie powinniśmy... poczekać tutaj?

Spojrzał na nią. Pokrwawiona. Brudna. Posiniaczona. I, w sumie, twarda kobieta. Oddaj dziewczynie sprawiedliwość.

- Panno Trost - powiedział Burton, zdecydowany nie zemdleć z samego pieprzonego bólu - stawia mnie pani w kłopotliwej sytuacji.

Spojrzała na niego wspaniałymi, czystymi oczami w brudnej twarzy. Tak cudownie pełnymi życia.

- Chyba nie dam sobie rady bez ciebie - powiedział.

Epilog

Drew MacCauley siedział w swoim gabinecie na szóstym piętrze budynku Departamentu Stanu. Patrzył, jak jesień ogarnia Waszyngton. Jego dni były wypełnione do niemożliwości i użył całej powagi swojego autorytetu, żeby doprowadzić do rychłego końca prace grupy między-agencyjnej. Dopadła go nagła, niemożliwa do zwalczenia, niemal fizyczna potrzeba chwilowej samotności. W innym miejscu, położyłby się na plecach. Czuł na duszy niezrozumiały ciężar. Palcami jednej ręki gładził przycisk do papieru, który dostał w swoich mniej uprzywilejowanych czasach za grzeczne dziennikarstwo.

Niewdzięczne miasto. Jak diabli. Człowiek oddaje serce i duszę słuźnemu celowi, a jego działania zostają mylnie zinterpretowane, dobre imię zaś zszargane. Doszło do tego, że republikanie w Kapitolu winią go za każdą złą rzecz, która miała miejsce w Rosji, czy marionetkowych państewkach przyssanych do jej granic. Jakby narody mogły się odradzać bezboleśnie, jakby historię tworzyli ludzie doskonali.

Wpatrywał się ponad czubkami kolorowych drzew w panoramę dachów, rozciągającą się do ogrodów Mail. I wpatrywał się w wizję przyszłości, jego wizję, która być może zawsze będzie nierozwiązalnie połączona z jego nazwiskiem, koncepcję Rosji europejskiej i praworządnej, pomnika wytrwałości i wiary, triumfu cywilizacji.

Najbardziej ze wszystkiego Drew MacCauley pragnął, żeby dobrze go pamiętano. A teraz legiony małych ludzi rujną jego marzenie.

Cały Azerbejdżan wymknął się spod kontroli i odzyskiwanie tego kraju było obecnie priorytetem. Trudne zadanie, bez jego człowieka na miejscu. Biedny Arthur Vandergraaf zginął jak bohater, chociaż nieprzyjemną śmiercią, próbując ratować córkę Trosta. Arthur nie był atletą. Mężczyzna naprawdę powinien utrzymywać ciało w dobrej kondycji. Tak, czy inaczej, to tragiczne zdarzenie. Wszystkim będzie brakowało Arthura.

Wojskowi próbowali przekręcać fakty. To istne potwory. Kalać imię zmarłego. A ten Kandinsky - zdrajca departamentu - dołożył gwóźdź do jego trumny. Gość jest zawistny nawet o zmarłego. Karierowicz najgorszego sortu. Prostack.

Cóż, Kandinsky nie ma przyszłości. Baku, a potem dowidzenia. Może zostać nauczycielem i pisać wspomnienia dla gazetki uniwersyteckiej. A jeśli chodzi o wojsko, nigdy już nie będzie się cieszyć zaufaniem prezydenta. Chociaż lubi się z nimi fotografować.

MacCauley ścisnął przycisk do papieru rękami wytrenowanymi grą w tenisa, jakby był jego ostatnią bronią w obleżonym biurze. Nawet w kwestii samobójstwa tej kobiety źle go rozumiano. Nikt nie mógł przewidzieć takiej reakcji. Dziewczyna była ewidentnie niezrównoważona.

Nad karmazynowymi czubkami drzew przemknęło stadko ptaków. MacCauley westchnął ciężko, odłożył na biurko przycisk do papieru i odchylił się na krzesło, zakładając ręce za głowę.

Przynajmniej Trost się wycofał. Kiedy odzyskał swoją kłopotliwą córkę. Stary Mitch wrócił na Kapitol i zajął się polityką wewnętrzną i programami dla szarych ludzi. Dzięki Bogu, przestał wsadzać nos w sprawy, których nie rozumie.

Podmuch wiatru potrząsnął drzewami przed oknem, wyrzucając w niebo konfetti liści. MacCauley miał wrażenie, że mógłby tak siedzieć i przyglądać się im przez cały dzień. Zawsze brakuje czasu na piękno tego świata, na poezję, na sprawy istotne. To twarde, podłe, niewdzięczne miasto. Tylko poczucie obowiązku trzyma go na tym stanowisku.

Zadzzwoniła jego sekretarka. Przypomniała mu bezlitośnie, że czas wrócić do naprawiania świata.

Evanowi Burtonowi daleko było do płynności w plemiennym dialekcie i korzystał z pomocy swojego tłumacza, żeby wyjaśnić jak kontynuować prace nad kanałem nawadniającym. Późnym rankiem wyrwał się stamtąd dżipem zaparkowanym za polami ryżowymi i pojechał z powrotem do wioski. Szare chmury otułały masyw górski na wschodzie, gdzie laotańskie wyżyny odgórnym rozkazem stawały się wietnamskimi wyżynami. Na głos poprosił bóstwa deszczu, żeby się jeszcze trochę wstrzymały, do czasu aż helikopter dostawczy z Vientiane wyląduje i pozbędzie się ładunku.

Zaparkował przed ogrodzonym placem, na którym organizacja humanitarna zbudowała dla niego dwa betonowe pomieszczenia i przez chwilę - krótszą niż zazwyczaj - bawił się z dziećmi, kręcącymi się przed jego wejściem, czekając aż zauważy je ten śmiesznie wyglądający

mężczyzna przybywający z daleka. Wewnątrz znów się rozejrzał, żeby się upewnić, że jest czysto i że podczas jego nieobecności żadne zwierzęta nie złożyły mu wizyty. Ustawił porządnie stos książek przy latarni huraganowej, kładąc Milana Kunderę na Marku Aureliusz, potem zdjął ubranie. Upewniwszy się, że jest sam, wszedł pod prysznic, który urządził sobie z beczki, kilku klepek, rury i starego brezentu. W górach było już zimno, a on zawsze wzdrygał się przed zimną wodą, ale nie miał się jak od niej wykręcić. Pracował w rowie z miejscowymi i spociał się porządnie.

Namydlił pajęczynę blizn na lewym obojczyku i ramieniu. Ręka odzyskała siedemdziesiąt procent sprawności i jego zdaniem nadal zdrowiała. Praca fizyczna dobrze jej robi. Wysilek dobrze robi na wszystko.

Projekt, do którego się włączył, zajmował się budowaniem małych tam, jazów i ulepszaniem kanałów, żeby kontrolować miejscowe powodzie oraz przekształcać pola maku w pola ryżowe. Jeszcze niedawno dolina była bujnie porośnięta opium. Teraz połyskiwała zielono i srebrno od ryżu. Po zakończeniu budowy małe tamy wytwarzały również energię elektryczną i gruntówkami, które ufundował Departament Stanu w przepływie zdrowego rozsądku, zawożono ryż na rynek, a przywożono stamtąd ubrania i lekarstwa. Po raz pierwszy otwarto dwa małe stragany - jeden przy drugim - gdzie sprzedawano towary, po które wieśniacy wcześniej musieli iść trzy dni.

Żył się ciężko, dokuczaly mu nawroty bólu, a baterie jego radiomagnetofonu zawsze były na wyczerpaniu. Jednak jasność celu przeważała nad niewygodami. Raz w miesiącu jechał dżipem do Phonsavan, skąd helikopterem leciał do Vientiane na weekend z francuską kuchnią, po solidny zapas czekolady i rozmowy z innymi cudzoziemcami, którzy tu pracują. Ale nawet tego luksusu by się wyrzekł, żeby robić to, co robi. Dokonuje zmian. Jego kara i jego nagroda.

Szybko się wytarł i włożył czystą koszulkę w kolorze khaki. Projekt humanitarny skupiał zarówno rządowych, jak i prywatnych Amerykanów i był dumny, że jest jego maleńką częścią. Chciał pokazać swój kraj od najlepszej strony, szczególnie dlatego, że Laos widział go już od najgorszej. Kiedy się leciało z Vientiane w jednym z hałaśliwych rosyjskich helikopterów Mi-8 - za każdym razem cudem unikając katastrofy - mijano się Równiną Nożyc: setki mil kwadratowych dewastacji, którą natura będzie naprawiać przez wieki. Pomiedzy kraterami odbudowano wioski, których rolnicy nieodmiennie dziwili się na śmierć, kiedy orali

nie tę skibę i natrafiali na niewybuchy. Podczas wojny w Indochinach, bombardierzy B-52, startujący z bazy w Tajlandii używali Równiny Noży jako wysypiska bomb, których nie udało im się zrzucić nad Wietnamem. Przez dziesięć lat, dziesiątki tysięcy ton bomb upadło na najbardziej żyzną dolinę wzgórz Laosu. W teorii istnieli partyzanci Pathet Lao w okolicznych jaskiniach, przez co masowe bombardowania znajdowały usprawiedliwienie. Jednak za każdym razem, kiedy musiał przelatywać nad tym obszarem, ćwierć wieku po zrzuceniu ostatnich bomb, Evan Burton odczuwał coś, do czego nie był przyzwyczajony: wstyd z faktu, iż jest Amerykaninem.

Próżność i arogancja tego, co jego kraj tu narobił, była nie do opisanania. Za każdym razem, kiedy jakiś stary marksista w Vientiane rozgniewał go podejrzliwością i biurokratycznym podejściem, zmuszał się do myślenia o Równinie Nożyc. To było zdumiewające, że częściowo z łaski, a częściowo z desperacji, Laotańczycy w ogóle chcieli rozmawiać z Amerykanami.

Usłyszał warkot łopat wirnika helikoptera w oddali i wybiegł do dżipa. Pole, na którym lądowały, znajdowało się o dwie minuty drogi piechotą, ale dziś będzie miał z powrotem rzeczy do niesienia, a jego ramię nadal nie jest do końca sprawne. Pojechał wyboistą drogą, a za nim najpierw dzieci, a potem dorośli pośpieszyli podziwiać latającą maszynę.

Hmongowie znajdowali się w epoce kamienia łupanego. Ale była to epoka radosna. Burton szczerze lubił tych ludzi. Może nawet kochał, jak na dobrego chrześcijanina przystało. Czuł, że wreszcie uczy się czegoś.

Oczywiście, nie zostanie tu na zawsze. Nie idealizował ich nieszczęścia, ale z całych sił pragnął nieść im pomoc. Kiedy projekt zostanie ukończony, pójdzie dalej swoją drogą. Bóg wie, dokąd. Ale obecnie był prawie szczęśliwym człowiekiem.

Zaparkował i wyskoczył z samochodu, żeby wskazać okrągłobrzuchemu helikopterowi bezpiecznie miejsce do lądowania. Z mokrymi po umyciu włosami, stanął i podniósł ręce do góry - jedną nieco wyżej od drugiej - z dziecinnym uśmiechem na twarzy. Przeszarżałe silniki jęczały i prychały, maszyna wylądowała, jeden z pilotów podniósł kciuk zza spiczastej przeszklonej kabiny. Potem wirniki zaczęły opadać i otworzył się właz. Silne ręce zamontowały schodki.

Burton podbiegł, wciąż z uśmiechem na twarzy. Najpierw na ziemię upadł marynarski worek - duża, wypchana, zielona parówka - potem pojawiły się traperskie buty i dzinsy. To był białoperłowy, zachmurzony dzień. Ale Burton nigdy nie widział jaśniejszego. Kelly zesłała niezdarnie na jego ziemię. Też uśmiechnięta.

-Nie mogłam dłużej czekać - krzyknęła do niego, odgarniając włosy z twarzy. Jeszcze urosły od czasu, kiedy się widzieli po raz ostatni.

Publiczne okazywanie uczuć było obce temu plemieniu. A Burton generalnie przestrzegał takich zasad. Jednak po chwili zakłopotania, zorientował się, że tuli Kelly w ramionach, tak mocno, jak nikogo innego w życiu i natychmiast przypomniał sobie ciepły zapach jej włosów podczas pożegnania w Waszyngtonie.

-Przywiozłaś dużo rzeczy - powiedział bez związku.

Uwolnił ją z ramion i rozejrzał się wokół na setki bardzo zaciekawionych gapiów. Ich uśmiechów nie trzeba było tłumaczyć.

KONIEC